

Małgorzata  
Falkowska

*Gorzej  
być (nie)  
może*



V I D E O G R A F



Małgorzata  
Falkowska

*Gorzej  
być (nie)  
może*

VIDEOGRAF



Redakcja  
*Anna Seweryn*

Projekt okładki  
*Pracownia WV*

Fotografia na okładce  
© *Vecton / Shutterstock*

Redakcja techniczna, skład i łamanie  
*Damian Walasek*

Korekta  
*Urszula Bańcerek*

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 600 472 609  
[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)  
[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12  
[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)  
[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016  
tekst © Małgorzata Falkowska

**ISBN 978-83-7835-582-3**

*Kiedy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat.*  
Janusz Korczak

*Zuzanno, mój świat się śmieje, kiedy jesteś w pobliżu!*

# Prześwietenie

**Zofia (Zosia)** – ja, urodzona szczęściara (zapewne w Ameryce nazwano by mnie Lucky, ale Zosia też jest ładnie... tak szlachetnie), piękna, zgrabna, utalentowana i w dodatku bogata. Czego chcieć więcej?

**Bernadetta (Berka)** – kobieta potrafiąca pokazać, że niemożliwe jest jednak do zrealizowania – znalezienie męża w rok było najgłupszym pomysłem, na jaki można było wpaść, a co dopiero zrealizować, a jej się udało. Szczęśliwa żona, przyszła matka i chodząca fabryka nieszczęść (dotyczących na szczęście tylko jej osoby).

**Marietta (Mari)** – poukładana miłośniczka krochmalu (od czegoś musi być tak sztywna), nieudana morderczyni swojego szefa, zamiast zabić... zakochała się, co zupełnie nie było w jej planach na najbliższe tysiąc lat, a może i tysiąc pięćdziesiąt.

**Baśka** – korektorka w wydawnictwie, polująca na stołek mojej macochy, mama rezolutnej trzylatki, będącej moją siostrą (można by ją nazwać „tygodniową trzylatką”, bo od tygodnia wiem, że istnieje). Aż strach pomyśleć, co Baśka jeszcze przed nami ukrywa.

**Jolka** – wredna „Gęś” (nazwisko Gęsicka zobowiązuje), będąca pedagogiem z wykształcenia i trenerem personalnym z zamiłowania, dziewczyna Moni, choć dziwne, że ktoś jest w stanie z nią wytrzymać... z własnej woli, a nie z przymusu.

**Monika (Monia)** – spokojna i zaangażowana pracownica socjalna, kocha to, co robi i tych, którym pomaga, choć – jak się okazało – najbardziej kocha Jolkę (której pomoc także byłaby wskazana).

# Sylwester 2015

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! – wykrzykiwałyśmy wszystkie razem.

Monia otworzyła szampana, Baśka podbiegła do niej z tacą, na której jak co roku stało sześć kieliszków.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochane – jako pierwsza powiedziała to gospodyni imprezy, Marietta.

– Szczęśliwego Nowego Roku, złotka wy moje – dodała Moni.

– Happy, happy, sex and love, my girls! – wykrzyknęła Jolka, podskakując z sobie tylko znanych powodów.

– Oby dwa tysiące szesnasty był najwspanialszym, jaki nas spotkał. –

Baśka co rok mówiła to samo, jedynie zmieniając rok w wyuczonej formule.

– Moje robaczki, moje pchełki, wiecie, że chcę dla was tak samo dobrze, jak ja mam, i tego wam życzę – powiedziałam z radością, wiedząc, że i one się cieszą z moich słów.

– Szczęśliwego, moje piękne – rzuciła wesoło Berka, głaszcząc się po brzuchu.

Z uśmiechem na ustach stuknęłyśmy się kieliszkami i wypiliśmy do dna ich zawartość. Pięć napełnionych szampanem i jeden z sokiem pomarańczowym.

– Do stołu, lejdis – zarządziła gospodyni, a my zasiadłyśmy na swoich stałych miejscach.

Sześć krzeseł, sześć nakryć na stole i sześć przyjaciółek z dzieciństwa. Wspólne czasy podstawówki, gimnazjum, liceum, a potem studia na jednym uniwersytecie, tylko na innych wydziałach. Łączyło nas wiele, wiele też dzieliło. Jednak zawsze w sylwestra byłyśmy dla siebie. Nasza szóstka i nikogo więcej. Nasza szóstka po raz ostatni w tak wąskim gronie. Jak wiele zmieniło się przez ostatni rok? Zbyt wiele. Jedna z nas wyszła za „przypadkowego” męża, z którym od lat mieszkała pod wspólnym dachem. Jolka z Monią zakomunikowały, że są parą, Marietta zakochała się w znieprawionym od wieków Teodorze, a Baśka... Baśka od ponad trzech lata sypiała z moim ojcem. Jakby tego było mało, mam siostrę. Małą, diabelnie śliczną siostrę.

Zasiadamy do stołu, wiedząc, że będzie inaczej niż rok temu, dwa czy trzy lata temu. Zdajemy sobie sprawę, że nic już nie będzie takie samo jak dawniej. Mówią, że zmiany są potrzebne, że wprowadzają nowe możliwości,



jednak dla mnie to zbyt ni chaos. Zawsze byłyśmy w sześc, a teraz miało się to zmienić.

– No dobra, skończyłyśmy z postanowieniami, ale chcę wiedzieć, jakie mamy plany na teraz – zaczęła Marietta, spoglądając na każdą z nas, zdecydowanie zbyt długo.

– Aż strach to powiedzieć... – Moni głos uwiązł w gardle. – ...ale Zośka miała dobry pomysł z tymi, no, Oscarami.

– Nominacjami – poprawiła ją Jolka, czule głaszcząc partnerkę po dłoni.

Pięć par oczu spojrzało na mnie, jakby wyczekiwało mojej aprobaty. Rzucony po pijaku pomysł nawet dziś wydawał się słusznym zastępstwem naszych corocznych zmagañ z postanowieniami noworocznymi.

– Może zanim zaczniemy wymyślać coś nowego, to podsumujemy stary rok i stare postanowienia? – słusnie zaproponowała Berka.

Kiwnęłyśmy jednocześnie głowami, jakbyśmy były ustawionymi robotami.

– To ja zacznę. – Mari wstała z kieliszkiem w dłoni. – Moje postanowienie zostało zrealizowane. Zostałam dyrektorem projektowym. – Podniosła kieliszek ku górze. – I wcale nie musiałam nikogo mordować, choć, jak same wiecie, było blisko.

Zaśmiałyśmy się, przypominając sobie sytuację z otruciem Teodora, którego ponoć zabiła tabletkami nasennymi wsypanymi do kawy. Kto by pomyślał, że wyjdzie z tego coś więcej niż śmierć, której w rzeczywistości nie było.

– A ja poszłam na kurs, ale oblałam. – Monia niczym błyskawica wstała, powiedziała i wypila zawartość kieliszka.

– Pochwal się ile razy – zaśmiała się Jolka.

Monia spojrzała na nią surowo, lecz po chwili w jej oczach znów pojawiły się iskierki. Jak mogłyśmy ich nie dostrzegać przez ostatnie lata?

– Już dwanaście, ale trzynasty jest gratis, więc nic nie stracę – powiedziała dumnie.

Jolka zaczęła bić brawo, a my zaraz za nią, jakby Monia już prawko zdobyła, a nie podejmowała kolejną próbę zdobycia.

– Ja zostałam trenerem personalnym, co właściwie było formalnością. – Jolka nieco się wywyższała, kiedy mówiła o swoim zamiłowaniu do ćwiczeń i zdrowego jedzenia. – W tym roku rozpoczynam w szkole zajęcia dla otyłej młodzieży.

Po raz kolejny nas zaskoczyła. Nikt nie przypuszczał, że nasza „wieczna

grubaska” będzie kiedyś trenowała dzieci podobne do niej niegdyś. To, co zawładnęło naszymi sercami, było dziwne, dziwnie miłe. To była duma.

– Nawet nie wiecie, ile otyłych dzieci jest teraz na świecie. Te wszystkie fast foody zabijają zdrowe myślenie, zabijają jakiegokolwiek myślenie. – Jolka zaczęła swój wykład.

– Zjadłabym pizzę – rozmarzyłam się.

– I oto przykład! – Wskazała na mnie. – Żywi się toksycznym jedzeniem, co powoduje obumarcie mózgu.

Dziewczyny zaśmiały się głośno.

– Mózgu u Zośki? – kpiła Marietta.

Posłałam jej mordercze spojrzenie, trenowane przed lustrem do jednego z castingów.

– Nie wiedziałam, że jedzenie też może być patologiczne – zdziwiła się Monia, zapewne mając w głowie obraz swoich podopiecznych.

– Skończmy te przekomarzenia – zarządziła Baśka, wstając z krzesła. – Jak wiecie, wyprowadziłam się od rodziców i powiem wam, że dobrze mi z tym.

– Uniosła kieliszek do góry, po czym wypila jego zawartość.

– Tylko tobie – mruknęłam pod nosem, wciąż nie mogąc się przyzwycząić do obecności Baśki w moim domu.

Ona nie była jeszcze taka zła, ale ta jej córka, a moja siostra, to istny diabeł do potęgi potęgowanej i jeszcze do prostokąta. Zuzia była wszędzie. Piekielnie piękna i jeszcze bardziej piekielnie wredna, choć miała niespełna trzy lata.

– A teraz nasza mężatka – zaśmiała się Monika, zachęcając Berkę do wstania.

– No, ja, jak wiecie, wyszłam za mąż i to jeszcze z gratisem. – Pogłaskała się po jeszcze niewidocznym ciążowym brzuszku. – Nie było to łatwe, ale opłacało się.

– Kto by pomyślał? – Jolka nie chciała być zgryźliwa, lecz jej nie wyszło.

– Ciebie facet nie wziął, to Mońka się zlitowała – odgryzła się Berka z uśmiechem.

Wybuch wulkanu wydawał się wielce prawdopodobny, jednak niespodziewanie Jolka odpędziła go swoim uśmiechem.

– I na dobre mi to wyszło – powiedziała radośnie, łapiąc za rękę Monikę.

Kłótnia zatrzymana, zatem pora na mnie. Wstaję z krzesła, dumnie przeczesuję palcami włosy, by móc powiedzieć:

– Obroniłam się.

Pięć par oczu spogląda na mnie z niedowierzaniem, Jolka krztusi się zajadany ogórkiem, na co Monia poklepuje ją po plecach.

– Jak to? – pyta wciąż zdziwiona Marietta.

– Tak to. – Uśmiecham się i ponownie przeczesuję włosy.

– Kiedy? – Berka także nie wierzy.

– Dwudziestego dziewiątego grudnia o trzynastej miałam obronę magistratu.

– Sratu, sratu – przekomarza się Baśka.

– Magisterską – zauważa mało dyskretnie Berka.

Nie zwracam na nie uwagi, w mojej głowie wciąż słyszę gratulacje od profesora Sajmowicza, chyba bardziej szczęśliwego, że się mnie pozbędzie, niż dumnego z mojego wystąpienia.

– I teraz będziesz szukać pracy w salonie? – Berka raczej zapytała z obawy niż z troski.

Zapewne wciąż pamiętała moje praktyki u niej w salonie. Widocznie w przeciwieństwie do mnie nie wspominała tego zbyt dobrze, pewnie zazdrosna o moją nienaganną prezencję i doskonałe obycie w temacie.

– Bez obaw – rzuciłam chłodno. – Nie martw się o swoje stanowisko, to nie dla mnie.

Przyjaciółki zaniemówiły z wrażenia. „A więc jest sposób, byście zamilkły” – pomyślałam z uśmiechem. Nigdy we mnie nie wierzyły, miały za głupszą i gorszą tylko dlatego, że jestem ładniejsza i trochę trudniej idzie mi z nauką. Aż dziw, że nasza przyjaźń ciągnie się tak długo. Mimo niepowodzeń były ze mną zawsze w trudnych chwilach, a przecież to jest najtrwalszym fundamentem przyjaźni.

– To jakie masz plany? – zapytała mnie Monika.

Uśmiechnęłam się pod nosem, próbując wyobrazić sobie ich miny za kilka chwil.

– Idę na studia.

– Studia? – zdziwiła się Baśka.

– Tak, studia.

– Przecież dopiero skończyłaś studia – słusznie zauważyła Jolka. – Chcesz studiować kolejne dziewięć lat?

Popatrzyłam na nie z wyższością. Wiedziałam, że mój pomysł wywoła burzę. Wiecznie zgryźliwa Jolka, opanowana Monia, ambitna Mari, optymistka Berka i trudny przypadek – Baśka były mieszanką iście wybuchową, a jeszcze musiało znaleźć się tam miejsce dla mnie. Pięknej,

zgrabnej i bogatej Zosi Majer.

– Mam plan na siebie i będę go sprawować – tłumaczyłam z dumą.

– Chyba realizować. – Zgryźliwa Jolka dała o sobie znać. – Więc na co się wybierasz tym razem?

Puściłam mimo uszu jej uszczypliwość, której nawet nie próbowała ukryć.

– Idę na seksuologię kliniczną – wydusiłam z siebie.

Dziewczyny spojrzały na mnie uważnie, czekając, aż wybuchnę śmiechem lub co najmniej powiem, że żartowałam. Jednak ja nie żartowałam. Naprawdę chciałam pomagać innym w tym trudnym seksualnym świecie. Kto lepiej niż ja odnajdzie nutę albo i cały klucz wiolinowy pożądania w związku? Gdyby w dziedzinie seksu rozdawane były Oscary, na pewno byłabym co najmniej nominowana w tej kategorii.

– A wiesz chociaż, co to znaczy? – zapytała spokojnie Marietta.

– Mari, oj, Mari, jeszcze przyjdiesz do mnie po pomoc, kiedy ten twój Teodor zniedołężnieje w tej dziedzinie – rzuciłam. – Nie bój się, nie policzę ci za pierwszą wizytę. Przecież jesteś moją przyjaciółką.

Uśmiech zdobił moją twarz tak pięknie, jak śnieg powinien zdobić wszystko za oknem. Niestety, śniegu nie było, jedynie w moim uśmiechu śnieżnobiałych zębów była nadzieja.

– Oby ci się tym razem udało – zakończyła temat Baśka.

– Zawsze mi się udaje. – Puściłam do niej oczko.

– Niedługo się o tym przekonamy – zakpiła Jolka, a reszta wybuchła śmiechem.

Temat zeszłorocznych postanowień został zakończony. Pora stworzyć nową tradycję, w której będą mogli uczestniczyć i inni. Inni doczepieni przypadkowo przez życiowe okoliczności.

– Mari, a gdzie jest Napoleon? – zapytała zniecierpliwiona Berka, wciąż jeszcze pamiętając te kilka dni z rozwydrzonym kotem gospodyni.

– Napcio jest w kocim spa, wiedziałam, że za wami nie przepada, więc zapewniłam mu kilka dni rozrywki z dala od swojej pańci i jej głośnych przyjaciółek.

Zaczęłyśmy się śmiać, wyobrażając sobie Napoleona korzystającego z kociego spa. Swoją drogą, kto wymyślił taką głupotę i co takiego oferuje kotom taki kurort? Kąpiel w mysiej skórcie, a może moczenie łap w whiskasie?

– To jaki był ten twój pomysł z nominacjami? – z zamyślenia wyrwała mnie Marietta.

– Każda z nas powie jakąś kategorię, a za rok o tej porze rozdamy takie pseudonagrody.

– A może zrobimy jakieś statuetki? – Błysk w oku Mari mówił sam za siebie.

– Spoko, ale to twoja broszka. Nas w to nie mieszaj – zarządziła Berka, puszczając do nas oczko.

Marietta już w głowie tworzyła wizualizację naszych przyszłorocznych statuetek. Jak cała ona, musiały być idealne, nienagane i perfekcyjne.

– To każda niech powie tę kategorię, a ja zapiszę, żebyśmy nie zapomniały. – Monia znakomicie wchodziła w rolę protokolanta naszych sylwestrowych spotkań. – Może zacznijmy od gospodyni. – Spojrzała na Mari, po czym sięgnęła po leżący w pobliżu notes i długopis.

Marietta myślała przez chwilę, szukając idealnego pomysłu. Zapewne jej myśli błędziły, chcąc odnaleźć kategorię, w której to ona będzie królować.

– Może perfekcjonizm roku? – zaproponowała, a my wydałyśmy z siebie okrzyki protestu.

– Nuda – podsumowałam, przeczesując włosy.

Mari ponownie się zamyśliła, chcąc wyszukać we wnętrzu swoich uporządkowanych mózgowych szufladek coś bardziej szalonego. Czasem miałam wrażenie, że jedyną szaloną rzeczą, jaka ją spotkała w życiu, są spotkania z nami. Ona sama była perfekcyjnie nudna i przewidywalna.

– Wydarzenie roku to moja ostateczna decyzja. – Tupnęła lekko nogą.

Kiwnęłyśmy głowami na znak akceptacji „szalonego pomysłu”, by Monia mogła swoim koślawym pismem zapisać.

– To może jak jest wydarzenie, to i zaskoczenie zapiszmy – zaproponowała radośnie Berka, cały czas gładząc się po brzuchu, jakby już czuła ruchy dziecka, które rosło w niej dopiero od dwóch miesięcy.

Ponownie kiwnęłyśmy głowami, zgadzając się na zaproponowaną kategorię do naszej nowej zabawy.

– Ja proponuję tekst roku – powiedziała cicho Monika. – Każda z nas czasem coś walnie i aż szkoda, że o tym zapominamy.

– Tu już mamy zwyciężczynię – zaśmiała się Jolka.

Spojrzałyśmy na nią, a ona skierowała swój wzrok na mnie. „Jeszcze się przekonasz” – pomyślałam, przepełniona motywacją, aby dopiec Gęsi Jolce.

– Baśka, a ty, jaki masz pomysł? – zapytałam swoją „tygodniową macochę”.

Baśka myślała o czymś przyjemnym, błysk jej oczu zdradził jej uczucia.

Ciekawiło mnie, co tym razem wymyśli, bo ostatnio sporo namieszała w moim życiu, czego nie dało się ukryć.

– Może kochanek roku? – Zaczerwieniła się.

– Fujjj! – Udałam, że wymiotuję.

Baśka posłała mi mordercze spojrzenie. Błysk jej oczu zamienił się w wirujące piły mechaniczne, czekające na zbliżenie się ofiary.

– Miałabym spać z moim ojcem? – Popukałam się w czoło. – To, że ty jesteś sposzczona, nie znaczy, że i my mamy jakieś problemy demercyjne.

– Spaszona i demercyjne – poprawiła mnie Berka.

Baśka spojrzała na mnie nieufnie, znałam ten wzrok zbyt dobrze. Od czasu naszej rozmowy podczas wesela Berki i Karola patrzyła tak na mnie codziennie. Chcąc za wszelką cenę wywołać we mnie wyrzuty sumienia, spowodowane moim nieudolnym budowaniem kariery aktorskiej.

– Baśka, faktycznie to nie ma sensu – zauważyła Jolka, wcale nie mając na myśli przyznania mi racji.

– To może wyprawa roku? – rzuciła szybko Baśka. – Każda z nas gdzieś wyjeżdża...

Monia zapisała w notatniku pomysł Baśki, który nie do końca przekonywał swoją oryginalnością, ale czego spodziewać się po kobiecie zakochanej w facecie przed sześćdziesiątką.

Pozostała Jolka oraz ja. Dwie wiecznie skłócone przyjaciółki, których przyjaźń opierała się na walce o przetrwanie wśród pozostałych.

– Jolka, jaki masz pomysł? – zapytałam z kwaśną miną.

– Proponuję zmianę roku, wizualną lub też emocjonalno-umysłową. – Szelmowski uśmiech ozdobił jej twarz.

Monia spojrzała na wszystkie z nas po kolei, aby mieć pewność akceptacji, po czym zapisała punkt piąty.

Nadeszła moja chwila, światła reflektorów skierowane na mnie, wzrok milionów oczu wdzięcznie błyszczących na mój widok, czerwony dywan i ja machająca przyjaźnie zgromadzonym.

– Zocha! – Z czerwonego dywanu do stołu w domu Marietty przywołała mnie Berka. – Jaki ty masz pomysł?

Moje myśli szukały mądrego pomysłu, jednak takiego mogłam spodziewać się jedynie po wypiciu większej ilości alkoholu. Teraz byłam zbyt trzeźwa, aby myśleć. Moja głowa za pewno trzymała pion, nie wirowała, co powodowało, że moje mózgowy szufladki były szczelnie zamknięte. Bałagan w nich panujący uniemożliwiał ich otwarcie na trzeźwo. Nie chcąc się

przyznać do braku pomysłu w pomysłu rzuconym przeze mnie, udawałam, że mam w zanadrzu coś wyjątkowego.

– Ja proponuję kategorię Żenada roku, bo przecież nie możemy oceniać tylko za dobre rzeczy. – Staralam się brzmieć mądrze.

– Gdybyśmy nagradzali tylko za dobre rzeczy, to uwierz, że nie nominowałabym cię już dziś do kategorii tekstu roku – zakpiła Jolka, lecz się tym nie przejęłam.

Dziewczyny najwidoczniej zgodziły się ze mną, bo Monika zapisała w notatniku kolejną kategorię.

Szybkie całusne przypieczętowanie nie było już tak wielkim wydarzeniem, jak we wcześniejszych latach. Malowanie ust, lekki buziak do notatnika i po sprawie. Żadna z nas nie musiała myśleć, czy uda jej się sprostać noworocznym wyzwaniom. Po naszej tradycji z postanowieniami nastąpiła nowa era – era nudnych nominacji w śmiesznych kategoriach, których zapewne już żadna z nas nie pamiętała.

Zmiana dotyczyła także *Króla Lwa*. Oglądany latami, dziś skończył swój żywot na rzecz prawdziwej kinematografii XXI wieku.

– Gdzie płyta? – zapytała Marietta, podchodząc do telewizora, pod którym stało nowe DVD.

– *Zabójcze prącie Marshalla* – przeczytała Jolka.

– Musiało być mocne, żeby ludzie oglądali – broniłam filmu, w którym miałam swój debiut.

– Zaczynam się bać, i to bardziej niż Skazy. – Berka zakryła twarz dłońmi, robiąc luki między palcami.

– Tylko nie krzycz, jak ostatnio było ze Skazą – zaśmiała się Monia, a mnie przed oczyma pojawiły się sceny z zeszłorocznego sylwestra.

Pijana do nieprzytomności Berka, przewracająca się o otaczające powietrze, wibrator Marietty będący tego wieczoru najlepszym mikrofonem i próba przekupienia taksówkarza przez Berkę, chcącą wygrać nasz pojedynek na postanowienia. Ten sylwester nie mógł być gorszy. I dziś musiało się zdarzyć coś godnego zapamiętania i wspomnienia przez następne lata.

– Zobacz, Zocha, jesteś, jesteś – ekscytowała się Monika, widząc moje imię i nazwisko na ekranie telewizora.

Wierzyłam, że najbliższe czterdzieści minut upłynie w skupieniu i uwielbieniu mojej gry aktorskiej, jednak dziewczyny jak zawsze musiały wszystko zepsuć.

– Chodzisz na laser? – przerwała oglądanie Baśka, widząc mnie nago w pierwszej scenie filmu.

– A ty nie? – zdziwiła się Monika.

Baśka rzuciła okiem na każdą z przyjaciółek, po czym speszona spuściła wzrok.

– Nie dziwię się, że nie znasz możliwości laserowej depilacji – zadrwiłam.

– Przecież sypiasz z moim ojcem, więc pewnie tam, na dole, to średniowiecze zamieszkuje. – Odruchowo spojrzałam na jej krocze.

Dziewczyny zaczęły się głośno śmiać, a Baśka zmierzyła mnie wzrokiem, pokazując przy tym gest wisielca.

– Żebyś tylko jakichś zwierzątek tam nie hodowała. – Jolka była już w pijackiej fazie.

– A wiecie, co słyszałam? – Monia wyraźnie miała trudności z przebicciem się przez nasze śmiechy. – Moja podopieczna miała ostatnio jakiś nowy rodzaj wszy węsicznych czy wąsicznych. To takie wszy mieszkające tylko w miejscach intymnych, rzecz jasna częściej u facetów, bo oni lubią lasy włosów, dodające im męskości, ale Baśka, ty też pewnie jesteś narażona.

– Narażona to zaraz ty będziesz, Monia, jak nie skończysz z tymi głupotami – zagroziła jej Baśka.

Cisza nastała, film mógł być znów podziwiany. Mocne i wyraziste sceny zdecydowanie dodawały pikanterii mojemu debiutowi. Niejedna dyplomowana aktorka miałaby na pewno problem z tak przekonującym zagranieniem scen seksu. Napisy końcowe i brawa od dziewczyn upewniły mnie w słuszności pokazania im filmu.

– Na czterdzieści minut filmu, trzydzieści pięć to grzmocenie, dwie to napisy, a reszta to gra wstępna – podsumowała film Marietta.

– Chciałabyś, aby Teodorek miał taki grzmot. – Zaśmiałam się lekko, a Mari oblała się rumieńcem.

– Zośka, a jak to jest tam z tym całym seksem i penisami? Kamera powiększa czy jak? – ciekawiła się gospodyni.

Przerzuciłam zalotnie włosy przez ramię, przeczesując je kilkakrotnie.

– No, wiecie, chcieli mi dać dublerkę, ale przecież ja jestem doskonała w łóżku, więc dla mnie to była jakaś kpina, a Marshall... same widziałyście.

Dziewczyny przełknęły ślinkę na myśl o przystojnym i doskonale zbudowanym Latynosie. Nawet Jolka i Monia wydawały się być pod jego wrażeniem, mimo iż deklarowały pociąg do kobiet.

– A on naprawdę ma takiego? – Berka wskazała na krocze.



– Takiego i jeszcze raz takiego, ale wiecie, są specjalne maści doprowadzające do maksymalnego wzwodu, choć Marshall na mój widok zeszywniał cały – pochwaliłam się.

Dziewczyny wydusiły z siebie „wow”, a ja zrozumiałam, że nadszedł odpowiedni moment.

– Muszę wam coś powiedzieć – zakomunikowałam radośnie.

– Jesteś w ciąży – ucieszyła się Berka.

Przyjaciółki spojrzały raz na mnie, raz na nią, oczekując na odpowiedź z moich ust.

– Nigdy w życiu. Ja w ciąży? – zaprzeczyłam. – Dostałam nominację do nagrody filmowej.

– Telekamery? – zapytała Monia.

– Bożeszczę, film porno w telekamerach, kto to widział?! – Mari aż przeżegnała się z wrażenia.

– W lutym jest Festipor w Madrycie – poinformowałam dziewczyny.

One wyraźnie nie były w temacie, nie znały się na prawdziwej sztuce, a w szczególności na filmach wysokoprodukcyjnych. Ich największą kulturą były ubogie w przekazie książki, które posiadały jedynie sploty wyrazów, ułożonych w nic nieznaczące zdania. Nie było tam obrazu, głosu czy magii światła, ukazujących prawdziwe piękno człowieka.

– Co to jest ten por? – zapytała Berka.

– Festipor. – Po raz pierwszy to ja kogoś poprawiałam. – To festiwal filmów porno, na którym mamy olbrzymie szanse. Jesteśmy z Marshalllem nominowani w kluczowych kategoriach. Jeszcze nigdy Polska nie zdobyła tak prestiżowej nagrody, a my mamy szansę! – Cieszyłam się jak dziecko.

– No, za twoje akrobatyczne występy statuetka na pewno ci się należy – zadrwiła Baśka. – Widziałyśmy co nieco przed chwilą. Biedny Maks.

– Nawet nie waż się mu mówić! – krzyknęłam, wściekła.

# 1 stycznia 2016 roku

Sen jest najlepszym lekarstwem nie tylko dla ciała i duszy, ale także na kaca po sylwestrowej nocy z przyjaciółkami. Wlewając w siebie hektolitry wina, nie mogłyśmy czuć się dobrze następnego dnia. Jedynie Berka dziś kwitła jak pączek w kuchni, zazdroszcząc nam stanu, w jakim jesteśmy.

Odgłosy dobiegające z dołu nie dawały mi spać. Głowa pękała od hałasu, a myśli wirowały, szukając wyjścia ewakuacyjnego. Dziecięcy, przeraźliwy śmiech pochłaniał wszystko wkoło. Ból głowy pogłębiał się, lecz nie kac był temu winien. To głos piekielnej trzylatki zagłuszał wszystko, co dotąd siedziało w mojej głowie.

– Cisza! – krzyknęłam jak najgłośniej, choć wciąż brakowało mi sił.

Śmiechy ustały. Kac miał ponowną szansę przebicia się w celu opanowania mojej głowy. Pierwszy dzień roku od kilku lat wyglądał tak samo. Zmęczona całonocnym spotkaniem z przyjaciółkami, wylegiwałam się w łóżku, zbierając siły na cały rok zmagań, które miałam przed sobą. Ten dzień wydawał się inny. Po raz pierwszy w moim ładowaniu akumulatorów ktoś mi przerywał, wcale nie robiąc z tego tajemnicy.

Odgłos delikatnie naciskanej klamki docierał do moich uszu dość powolnie. Odwróciłam się, aby ujrzeć w progu małego potwora, moją „nową” siostrę.

– Czego? – zapytałam.

Zuza wskoczyła na moje łóżko i zaczęła po nim skakać. Jej kruczoczarne włosy, zaplecione w warkocze, wesoło podrygiwały wraz z nią, niepełny uśmiech zapewne powaliłby na kolana niejednego reżysera, ale ja wiedziałam, że to istny diabeł w anielskiej skórze.

– Zabił cię ktoś kiedyś tępym narzędziem? – pogroziłam jej.

Ona wciąż wesoło podskakiwała, często trafiając we mnie, co na pewno nie było dziełem przypadku.

– Mamusia mówi, że twoją głupotą nie można się zarazić, więc i zabić nią mnie nie zabijesz – odpowiedziała.

Moje oczy zrobiły się znacznie większe niż zazwyczaj. „Skąd to małe paskudztwo zna takie powiedzenia” – zastanawiałam się, rozumiejąc, że jest tylko jedno wytłumaczenie – Baśka.

– A co jeszcze mówiła mamusia? – zapytałam spokojnie, choć wewnątrz cała się gotowałam ze złości.

– Że tatuś miał pecha, krojąc twoją kapustę.

– Jaką kapustę? – Nie rozumiałam.

– No, tę, w której cię znalazł. Masz szczęście, że nie trafił w ciebie nożem, jak ją kroił.

Wzruszyłam się jej troską, chciałam ją nawet przytulić, lecz wzięła mnie unikiem.

– Mogłabyś być wtedy jeszcze głupsza niż teraz – rzuciła, po czym wybiegła z mojego pokoju.

Wzruszenie minęło, przerodziło się w złość, a może nawet coś bardziej dotkliwego. Pędem wyskoczyłam z łóżka, nie patrząc na to, że mam na sobie kuszą koszulkę, zdecydowanie nieodpowiednią do chodzenia po domu.

– Niech ja cię tylko dorwę, powyrywam te twoje czarne kudły z tej małej głowy! – krzyczałam, biegnąc za Zuzką po schodach.

– Mamo, mamo! Ona mi grozi! – krzyczała cwaniara, wpadając w ramiona Baśki.

Baśka spojrzała na mnie spode łba, pewna, że chcę zrobić krzywdę jej dziecku, w ogóle nie zwracając uwagi na szkodę, jaką mi wyrządziła ta mała diablica.

– Zośka, to twoja siostra, opamiętaj się. – Pocałowała małą w czubek głowy.

– Mamo, powiedz jej, że ta pani w telewizji mówiła, że za takie groźby to ona może iść nawet na dwa lata do więzienia. A tam nie ma kosmetyków. – Wystawiła do mnie język.

– To prawda, co jej mówiłaś? – postanowiłam porozmawiać z przyjaciółką o słowach usłyszanych w moim pokoju.

– A co mówiłam? – Baśka nie wiedziała najwyraźniej, o co chodzi.

Głęboko westchnęłam, chcąc opanować wściekłość, która mnie przepełniała.

– Że jestem głupia i z gorszej kapusty – wyrzuciłam z siebie.

– Nawet powtórzyć dobrze nie potrafi. – Diablica znów zabrała głos.

– Zuziu, idź, pooglądaj kreskówki. – Pogłaskała małą po głowie. – Wiesz, że dzieci często zmyślają, taką mają fantazję – powiedziała szeptem, kiedy dziewczynka była już przy telewizorze.

– Pięć złotych za kłamstwo, mamo! – z oddali krzyknęła uradowana Zuzia.

Kreskówki z Mini Mini opanowały cały dom, a może i nawet całą dzielnicę, która zamiast spać po sylwestrowych szaleństwach, zmuszona była wysłuchiwać odgłosów wydawanych przez wstrętą żółtą rybę.

– Maks, chodź do nas na chwilkę – zawołała słodko Baśka.

Tata zszedł na dół, zapewne ze swojego gabinetu, gdzie jak co dzień rano przeglądał akcje giełdowe. Giełda była jego pasją, kochał obstawiać, a pieniądze na jego koncie pozwalały mu nie martwić się ryzykiem niepowodzeń. Stawiał głównie na pewne spółki, ale nie bał się czasem inwestować w małe, innowacyjne firmy. Niejednokrotnie dzięki nim powiększył swój dość pokaźny majątek, który w przyszłości miał należeć do mnie i małej diablidy, Zuzi.

– Musimy im powiedzieć, znów się kłóć – zakomunikowała twardo Baśka, kiedy tata stanął obok niej.

– Zuziu! – zawołał tata, a po chwili do jego nóg przyległa niczym rzep moja siostra.

Baśka i tata wymienili spojrzenia, pełne czułości i zrozumienia. W takich chwilach cieszyłam się, że mają siebie i są z sobą szczęśliwi. Zapominałam o tym, że Baśka to moja przyjaciółka, młodsza od ojca o blisko trzydzieści lat.

– Wyjeżdżamy we wtorek – zakomunikował tata, łapiąc Baśkę za rękę.

Z radości rzuciłam się mu na szyję. Wiedziałam, że wymyślił coś doskonałego na świętowanie zdobytego przeze mnie tytułu magistra. Oczyma wyobraźni widziałam siebie na piaszczystej plaży, leżącą w skąpym bikini pod palmą i słuchającą szumu oceanu.

– Zosiu, my wyjeżdżamy. – Tata wskazał ręką na siebie i Baśkę. – Wy zostajecie, aby się lepiej poznać. To tylko kilka dni, taki tam wyjazd w interesach.

Złoty piasek odleciał, bikini nie było tak skąpe, palma opadła bezsilnie, a ocean odpłynął daleko. Marzenia prysły, rzeczywistość je dogoniła, by dotkliwie skopać im tyłek.

– W interesach? Z nią? – zdziwiłam się.

– Basieńka zasługuje na kilka dni odprężenia.

„Basieńka, srasieńka” – pomyślałam, lecz szybko pożałowałam, że tak źle oceniam przyjaciółkę.

– To gdzie jedziecie? – zapytałam spokojnie.

– Na Dominikanę – zaszczebotała wesoła niczym skowronek Baśka.

Interesy na Dominikanie? Już ja je widziałam. Zapewne mieli w planie opalanie na pięknej plaży i kąpiele w ciepłej wodzie szafirowo-lazurowego oceanu.

– Dobrze, że lecicie na Dominikanę, a nie do Włoch. Kaśka, jak była we Włoszech rok temu, to tamtejsze słońce całkiem ją uczuliło. Po jednym dniu

miała już całe ciało czerwone i musiała zakładać ubrania z długim rękawem, kiedy na zewnątrz było z milion stopni – zaczęłam trajkotać, przypominając sobie opowieść koleżanki. – Uczulenie na słońce to musi być coś strasznego.

– Zośka, słońce jest tylko jedno – zakomunikowała głupio Baśka.

Zerknęłam na nią niepewnie, zastanawiając się, co ona robi w tym wydawnictwie, bo na pewno nie czyta wiadomości. Jedno słońce, dobre sobie.

– Oj, Baśka, jakaś ty naiwna. – Tylko tak mogłam skomentować jej wypowiedź.

– Słyszałaś o Koperniku? – zapytała.

Kiwnęłam głową, przypominając sobie nazwisko, lecz nie mogąc go dopasować do osoby. Poeta? Pisarz? Malarz? A może znany sportowiec?

– Wstrzymał słońce...

– Aaa ten... – Przypomniałam sobie nagle.

Klepnęłam się odruchowo w głowę, szukając większej liczby informacji na temat tego całego Kopernika od słońca.

– I widzisz, jak na tym wyszedł? – zauważyłam, przypominając sobie, że on już dawno nie żyje.

– No jak? – zdziwiła się głupio Baśka.

– Nawet taka Zuzka wie, że słońca się nie dotyka, bo jest za gorące i może mocno poparzyć, a on chciał się pokazać i je złapał, żeby zatrzymać, i jak na tym wyszedł – tłumaczyłam cierpliwie.

– Jak Zabłocki na mydle pewnie – zaśmiała się Baśka.

Wzruszyłam ramionami, dziwiąc się, że Baśka tak wiele rzeczy nie wie. Kiedy spotykałyśmy się jako przyjaciółki, jej niewiedza nie biła tak po oczach, ale teraz nie można było tego nie zauważyć.

– Jak ty Zabłockiego z mydłem kojarzysz, to nie mamy o czym rozmawiać – rzuciłam, odchodząc w stronę swojego pokoju.

Droga po schodach willi nigdy nie była tak długa, jak teraz. Moje myślenie kręciło się wokół czasu spędzonego sam na sam z diabłem albo raczej diabolicą. „Już oni mi to wynagrodzą” – postanowiłam, wiedząc już z góry, że te kilka dni będzie się tragicznie dłużyło.

Rybka Mini Mini wciąż wirowała na ekranie, słysząc ją było w każdym zakamarku blisko czterystumetrowej willi, w której mieszkałam z tatą od trzynastu lat. Czułam, że od wtorku rybka stanie się jedynym wybawieniem w trudnej siostrzanej relacji. Nawet gdyby miała pływać na ekranie na okrągło, jest jedynym wyjściem, by wytrzymać z diabolicą. „Tonący rybki się

chwytą” – pomyślałam, będąc pewną, że jest ona moim jedynym otwartym wyjściem ewakuacyjnym.

## 5 stycznia 2016 roku

Warszawskie lotnisko o każdej porze dnia i nocy zdaje się przepełnione. Zaspani, zmęczeni ludzie, opierający się na dość pokaźnych walizkach, czekający na lot, byli smutnym materiałem obserwacyjnym. Zdecydowanie lepiej patrzyło się na uśmiechnięte twarze tych, którzy wyjeżdżali na urlopy. Ich twarze promieniały, czuli, że za kilka chwil odpoczną w idealnie pięknym miejscu.

Baśka i ojciec z dwiema walizkami nie pasowali do typu zmęczonych i zaspanych. Interesy, jak już wcześniej sądziłam, były dobrym pretekstem do wyjazdu, którego, niestety, nie potrafiły ukryć ich twarze. Dwoje czekających na swój lot, uśmiechniętych ludzi, mała diablica zebrząca o prezenty z podróży i nieszczęśliwa ja. Daleko nam było do widoku idealnej rodzinki.

Na ekranie pojawił się numer lotu na słoneczną Dominikanę. Uściski z diablicą, kilka przypomnień w moim kierunku, abym pamiętała, że mam siostrę, i już ich nie było. Dwie postacie oddalały się od nas ze swoimi eleganckimi walizkami. Dwie drobne postacie machały im na pożegnanie. „Najgorszy tydzień w moim życiu uważam za rozpoczęty” – pomyślałam, łapiąc za małą dłoń.

– W co się pobawimy? – zapytała radośnie diablica.

– W co ty się pobawisz, ja mam inne plany – wydusiłam sucho.

Ciemne oczy spojrzały na mnie ze smutkiem, lecz nie mogłam im ulec. Wiedziałam, że diablica jest dobrą aktorką. Więzy krwi w tym wypadku działały, a przecież niedaleko padają włosy od fryzjera, jak mawiało przysłowie.

– O piętnastej będzie obiad i wtedy mnie zobaczysz. – Nastawiłam budzik w komórce, mający mi przypomnieć o posiłku dla małej. – Wcześniej nie chcę cię nawet widzieć w promieniu kilometra.

Drogę do domu przebyłyśmy w milczeniu. Ona najwyraźniej obrażona na mnie, ja szczęśliwa, że nie muszę odpowiadać na głupawe dziecięce pytania.

Jedenaście dni, tyle pozostało. Tyle muszę wytrzymać, aby przetrwać. Nigdy nie lubiłam obozów przetrwania. Tata wysyłał mnie na kolonie do hoteli z pięcioma gwiazdkami, przy których były baseny z chlorowaną wodą. Namioty, jeziora i ogniska były mi obce. Teraz miało się to zmienić. Jedenaście dni na polu bitwy z dziką zwierzyną, po której nie wiadomo, czego można się spodziewać. Ciemne oczy skrywają w sobie demona, a kruczoczarne włosy są wspomnieniem najczarniejszych horrorów. Nawet

gładka, porcelanowa twarz nie jest w stanie przekonać mnie, że w tym niewielkim człowieku jest coś dobrego.

Drzwi willi otworzyły się, zapowiadając najdłuższe jedenaście dni, jakie zgotował mi los, a w zasadzie tata i Baśka. Zuzka pobiegła wprost do swojego pokoju, który przypominał bardziej komnatę księżniczki niż norę diabła tasmańskiego, w jakiej zapewne doskonale by się odnalazła.

Cisza – jedno słowo tak wiele znaczące dla mnie w tym czasie. Spodziewałam się rozgardiaszu, szumu, hałasu, Sodomy i Gomory, a zaczęło się od ciszy. „Niech trwa wiecznie” – pomyślałam, zastanawiając się przy okazji, jak powinnam się zrelaksować przed ciężkimi dniami z praktycznie obcym dzieckiem.

Sauna. Parowo-solne idealne miejsce do naładowania akumulatorów. Willa Majerów ma wiele udogodnień, o których przeciętni śmiertelnicy mogą tylko pomarzyć. Niewielki basen w lewym skrzydle jest największym zaskoczeniem dla gości z niższych sfer, kiedy nas odwiedzają. Solarium, sauna i siłownia jedynie uzupełniają małe centrum rekreacji. Tata stworzył to wszystko, abym się nie nudziła za czasów nastoletnich, wiedząc, jak ważny dla zdrowia jest ruch. Sam także często odwiedzał lewe skrzydło naszej willi, o którym zazwyczaj mawiał „sanktuarium”.

Diablica, zajęta urywaniem głów kolejnym lalkom, zapewne doskonale sobie radziła z tęsknotą za rodzicami. Udawane łzy może wzruszyły Baškę i ojca, ale na mnie nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Przez swoje trzy lata życia Zuza opanowała grę aktorską na poziomie absolwentki łódzkiej filmówki i aż strach się bać, co będzie za kilka lat.

Teraz zostałyśmy we dwie. Dwie jakże podobne i jednocześnie jakże inne siostry. Ona – wcielony diabeł i ja – anielska dusza, skazana na jedenaście dni kuszenia przez diabła. Sama sauna nie wystarczy. Basen będzie odpowiednim dodatkiem. Kilka długości wyciszy mój umysł i orzeźwi wirujące, mordercze myśli. Ruch – najlepsze lekarstwo na nerwy. Jedni skaczą z mostu, kiedy mają problemy, inni idą biegać, bo wiedzą, że każdy problem da się rozwiązać. Mój problem ma imię i niewiele ponad metr wzrostu. Mój problem da się rozwiązać, jednak rozwiązanie nastąpi dopiero za jedenaście dni. Jedenaście długich dni, kiedy muszę robić za niańkę wysłannika szatana. Kilka długości basenu pozwala wyciszyć umysł, a sauna wprawia moje ciało w cudowny stan odprężenia. Chwila trwa i trwa, ale wciąż zdecydowanie za krótko. Budzik oznajmia, że pora na obiad, a ciało rozumie, że musi znów stoczyć walkę z demonem.



– Obiad! – krzyczę, ledwie przekraczając drzwi wejściowe głównego skrzydła domu.

Cisza panująca w domu jest wręcz zaskakująca. Ciemny telewizor wydaje się szczęśliwy z powodu braku żółtej, nadętej rybki na jego ekranie. Cała dzielnica odpoczywa wraz z nim, co wydaje się podejrzane.

– Obiad! – krzyczę ponownie. – Ty ropucho mała – dodaję znacznie ciszej.

Zuzka nie zbiegła, nie słyhać na schodach tupania jej małych stópek. „Pewnie bawi się ze mną w chowanego” – pomyślałam i ruszyłam schodami do góry. Znam każdy zakamarek tej willi i żaden mały, wredny dzieciak nie jest w stanie się przede mną tu ukryć. Weszłam do jej pokoju. Śliczne różowo-tiulowe królestwo nie przypominało swojego demonicznego mieszkańca. Kamuflaż jest najistotniejszy w byciu takim gadem jak ropucha.

– Obiad, Zuzanko. – Chcę brzmieć słodko, lecz emocje nie pozwalają na wydobyć się choćby krzty słodyczy z moich ust. – A potem niespodzianka. – Wiem, że na te słowa zareaguje od razu.

„Rozpieszczony bachor” – pomyślałam, ale nie byłam pewna, czy nie powiedziałam tego na głos.

Cisza. Absolutna cisza panująca w całym domu to znak, że coś musiało się stać. Sięgnęłam myślami do kilku godzin w tył, zastanawiając się, czy na pewno nie pozwoliłam moim morderczym instynktom wygrać z rozsądkiem. Luka. Nie pamiętałam. „Przecież byłam na basenie, a potem w saunie” – przypomniałam sobie, delikatnie się uśmiechając.

Przeszukałam skrupulatnie cały dom. Każdy pokój, łazienki, kuchnie, a nawet skrzydło rekreacyjne. Po diablcy nie było śladu. Zniknęła, jednak nie cieszyło mnie to tak bardzo, jakbym przypuszczała kilka chwil temu. Miałam się nią opiekować, ojciec i Baśka mi zaufali, a ona rozplynęła się niczym bańka mydlana dotykająca ziemi.

„SOS do mnie!!!” – napisałam SMS-a i wysłałam go do czterech przyjaciółek. Baśka nie mogła się dowiedzieć, ani teraz, ani nigdy potem.

Przyjaciółki przyjechały w godzinę. W tym czasie przeszukałam już piwnicę i wszystkie szafki, w których mogła się ukryć diablca.

– Co jest? – pierwsze dotarły Monia z Jolką.

– Zuzka zniknęła – powiedziałam smutno.

– Jedyna mądra, wiedziała, że nie da się z tobą wytrzymać – rzekła Jola. – Swoją drogą marny z niej zawodnik, bo ile z tobą była? Godzinę, dwie?

– Jak to zniknęła? – Monika była bardziej zainteresowana sytuacją.

– No była i jej nie ma. – Wzruszyłam ramionami.

– Przeszukajmy dom – rozkazała Monika.

– Już to zrobiłam.

Monia zawiesiła się na chwilę, szukając w głowie kolejnego planu działania.

– Jeszcze raz, może byłaś w szoku i czegoś nie zauważyłaś – zaproponowała spokojnie.

Kiwnęłam głową, pozwalając im na swobodne poszukiwania.

– Zacznę od piwnicy! – krzyknęła Jolka do Moni.

– Sprawdzalam już – poinformowałam ponownie.

Jolka spojrzała na mnie z ironicznym uśmiechem.

– Znając ciebie, to przykułaś biedactwo łańcuchem do ściany i nawet miski z wodą i jedzeniem jej nie dałaś – rzuciła podle, lecz ja postanowiła ją zignorować.

Otworzyłam na oścież drzwi do piwnicy i gestem zaprosiłam Jolkę do środka. Jej niepewny wzrok mówił, że mi nie ufa, lecz skrywając głęboko strach, weszła do wnętrza przez stare drewniane drzwi.

– Zocha, co się dzieje? – od progu pytała Marietta, za którą stała wyraźnie niewyspana Berka.

– Zuzka zniknęła – poinformowałam je.

– Ale jak to? – zdziwiła się Berka.

– Tak to, była i nie ma – wyjaśniłam. – Takie czary-mary, hokus-krokus, kadabra-makabra.

Dziewczyny patrzyły na mnie ze zdziwieniem, lecz nic nie mówiły. Pozwoliły mi uwolnić z siebie negatywne emocje, spowodowane stratą siostry. Kilka głębokich oddechów wystarczyło, bym wróciła do żywych, z pełnią władz umysłowych.

– Monia i Jolka przeszukują dom – zakomunikowałam spokojnie.

– Pójdę do piwnicy – zaproponowała Marietta.

Emocje znów buzowały, zawirowały niczym skarpetki w pralce.

– Zapraszam, ale Jola już tam jest i szuka Zuzy przypiętej łańcuchem do ściany, bez miski z wodą. – Wskazałam ręką na otwarte drzwi.

– Łańcuchy, miska? – Mari nic nie rozumiała. – Ja po prostu sama wiele razy chowałam się w piwnicy, jak byłam mała.

Przeszukiwania osiągnęły poziom maksimum. Pięć kobiet polujących na małą zarazę. Sprawdzone każdy kąt, każda najmniejsza szczelina, a nawet kilka dziur w ścianie na wypadek, gdyby ropucha potrafiła dzielić się na kilka mniejszych części. Zmęczone padłyśmy na kanapę w salonie, myśląc, co

dalej. Gdzie ona się podziała? Przecież wyparować nie mogła, bo krew nie woda, nie paruje.

– Może ktoś ją porwał?! – rzuciła Berka.

– Nie, niemożliwe. – Odruchowo spojrzałam na milczący telefon. – Już by dzwoniли po okup lub sami by ją oddali za dopłatą po tych kilku godzinach z nią.

– To co robimy? – zapytała opanowana jak zawsze Marietta.

– Pozostaje policja – wyznałam, skruszona.

– Nie! – krzyknęły jednocześnie przyjaciółki.

Mój wzrok musiał rzucać w nie znakami zapytania, gdyż szybko porozumiały się z sobą spojrzeniem, aby móc odpowiedzieć na moje niezadane głośno pytanie.

– Policja może chcieć poinformować rodziców, a chyba zdajesz sobie sprawę, co zrobi ci Baśka, jak dowie się, że... powiedzmy... zgubiłaś jej dziecko – tłumaczyła Jolka.

Kiwnęłam głową, a w myślach widziałam polującą na mnie Baškę z siekierą, którą chciałaby wbić w moją pokrytą kruczoczarnymi włosami głowę.

– Może detektyw? – zaproponowała Monika. – Jak się nazywał ten fagas od twojego ojca?

Wyszukiwanie w mojej głowie włączyło się automatycznie. Przeszukiwało każdą z szuflad, aż w końcu natrafiło na właściwą.

– Górnicki! – Ucieszyłam się. – Poszukam numeru.

Rzuciłam się do ojcowskiej szuflady z dokumentami. Wiedziałam, że pedantyczny Maksymilian Majer ma każdą teczkę podpisaną i nie ma możliwości, aby znalazło się w niej coś ponadto. Białe, sznurowane te czki, poukładane alfabetycznie, przyprawiły mnie o zawrót głowy. Znalazłam. Teczka z napisem *Górnicki* leżała między *Giełdowymi niepowodzeniami* a *Humanitarnym traktowaniem świń*.

– Dzwonię – powiedziałam, wychodząc z salonu do kuchni.

Kilka zdawkowych zdań wystarczyło, aby detektyw zrozumiał powagę sytuacji, obiecując przyjechać najdalej za czterdzieści minut.

Siedząc na salonowej kanapie, starałyśmy się nie myśleć o Zuzce, jednak żadnej z nas to nie wyszło. Cisza ponownie zawładnęła ogromną willą. Gdyby za ciszę płacono, właśnie stałybyśmy się milionerkami. Nawet zegar przestał tykać, może nie chcąc nam przeszkadzać w przemyśleniach.

Ciche „puk, puk” wydawało się nad wyraz głośne.

– Witam, panno Zosiu. – Detektyw Górnicki powitał mnie mocnym ściśnięciem dłoni.

– Witam, detektywie. – Zaprosiłam go do środka. – To moje przyjaciółki: Marietta, Monika, Jolanta i Bernadetta – wyliczałam, a one, słysząc swoje imię, delikatnie skinęły głowami.

Pospiesznie, dość chaotycznie wyjaśniłyśmy detektywowi, o co chodzi. Spisywał każde nasze słowo, podnosząc na nas wzrok jedynie w sytuacjach spornych. Kilkanaście minut, kilka szybkich telefonów i tyle. Mamy czekać. Detektyw wyszedł, żegnając się w ten sam sposób, w jaki się witał. Jego mocny uścisk świadczył o pewności siebie i wewnętrznej sile. Jedynie wewnętrznej, bo mięśni nie zauważono nawet podczas bliskiego kontaktu. Niezbyt bliskiego.

Mamy czekać. Przynajmniej do rana. Jak sytuacja nie ulegnie zmianie, poszukiwania ruszają pełną parą, poprzez policję, radio i telewizję. Pozostało jedynie przetrwać noc. Nie chciałam być sama.

– Zostaniecie ze mną? – zapytałam.

– Karol na mnie czeka z kolacją bezglutenową – wymigła się Berka. – Ponoć gluten źle wpływa na płód i przechodzimy na dietę. Chociaż sądzę, że na kolacji dieta się zakończy.

– Teodor ma plany na wieczór – kombinowała Mari. – Jakaś niespodzianka.

Posłałam błagalne spojrzenie w kierunku Jolki i Moni, wierząc, że one nie zostawią mnie na pastwę losu w tym niebezpiecznym, pełnym tajemnic domu.

– No, niech stracę – rzuciła Jolka, odpowiadając na ściśnięcie dłoni Moniki.

– Tylko bez żadnego mi ten-teges w sypialni – zarządziłam, a Jolka parsknęła śmiechem.

– Ten-teges? A co my w podstawówce? Seks to się nazywa! S-E-K-S! – literowała, żebym lepiej ją zrozumiała.

– Wiem, co to seks – zauważyłam uszczypliwie. – Lecz jakoś ciebie, Jolka, sobie w nim nie wyobrażam. To jak rzucanie kłody na Monikę.

– Dziewczyny! – uspokoiła nas Marietta.

Marietta z Berką założyły swoje zimowe płaszcze, aby móc wrócić do swoich ukochanych, czekających z kolacją.

– To co, idziemy spać? – zaproponowała Jolka, zapewne nie chcąc się już dziś kłócić.

– Ja muszę zrobić jeszcze jedną rzecz – powiedziałam i ruszyłam biegiem do góry, do pokoju Zuzki.

Rzuciłam okiem na pokój, szukając dobrze znanej mi rzeczy. „Eureka!” – pomyślałam, idąc w kierunku półki z kolorowymi książkami.

– Co robisz? – Monika stała tuż za mną.

– Detektyw kosztuje – rzekłam, biorąc różową świnkę skarbonkę, należącą do Zuzy.

– Przecież to okradanie dziecka – zauważyła złośliwie Jolka.

– Okradanie? – Zaśmiałam się ironicznie. – To jej detektyw ma szukać, to niech ona płaci.

– Przecież masz pieniądze. – Jolka nie dawała za wygraną.

Wzruszyłam lekko ramionami, lecz to jej nie wystarczyło.

– Mam, ale mam też własne potrzeby, żeby je wydać, a z konta ojca nie mogę przelać pieniędzy, bo na pewno zapyta, na co tym razem je wydałam, mając ponoć pokaźne kieszonkowe – tłumaczyłam dziewczynom, wyjmując ze skarbonki pieniądze. – Pięć tysięcy na miesiąc i on myśli, że to dużo.

Przeczesałam ze zdenerwowania włosy. Nie rozumiałam, dlaczego mój ojciec był tak skąpy w stosunku do mnie. Przecież wyglądam kosztuje. Trzeba się ubrać, umalować, kupić odżywki do włosów, a on trzymał tego przysłowiowego słonia w kieszeni, jakby nie miał pieniędzy.

– Trzy tysiące, sto osiemdziesiąt pięć złotych i pięćdziesiąt groszy – podliczyłam pieniądze wydobyte ze skarbonki.

– Ile? – Monika nie kryła zdziwienia.

– No, mało, ale zawsze coś, a z książeczki nie mogę ruszyć – odpowiedziałam, trochę wymijająco.

# 6 stycznia 2016 roku

## 1.

Godzina 7:05

Moja cera błaga o mannę z nieba, która sprawi, że znów będzie promienna i gładka. Kremy, korektor, podkład, puder, róż, cienie i tusz nie są w stanie zakryć zmęczenia po praktycznie nieprzespanej nocy. Jest rano, w domu wciąż nie widać Zuzy. Telefon do Górnickiego jest tylko kwestią czasu. A co za tym idzie, spotkanie z mediami, wywiady i nagrania. Tylko jak ja się pokażę w telewizji z taką twarzą? Moi wielbicielcy będą zawiedzeni, widząc mnie w tak opłakanym stanie. Jednak może to i dobrze. Może lepiej pokazać się taką trochę szarą i przygnębioną. Ludzie przecież lubią takie łzawe historie typu *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie?* lub *Wybacz mi*, nawet jeśli prawdziwe uczucia bohaterów są zupełnie inne niż na wizji.

– Dzwonię do Górnickiego – zakomunikowałam, wchodząc do jednego z gościnnych pokoi, w którym spały Monia z Jolką.

– Po co? – Jolka wyraźnie była jeszcze zaspana.

– Zlecić twoje morderstwo – burknęłam, wiedząc, że i tak nic z tego nie zrozumie.

Znalezienie telefonu okazało się nie lada wyczynem. iPhone, którego nie odstępowałam na krok, tej nocy nie spał w moim łóżku, zapewne z racji przejęcia dzisiejszym dniem. Wywiady wciąż były dla mnie nowością, mimo iż w świecie mass mediów zaliczyłam już swój debiut. Zaliczyłam w dość dokładnym tego słowa znaczeniu.

– Detektywie... – Telefon nie wiadomo czemu leżał na pralce, w pomieszczeniu, które zazwyczaj staram się omijać ze względu na jego toksyczną woń proszków i domestosów. – ...niech pan pakuje siebie i tych z telewizji, bo jej nadal nie ma.

Górnicki jęknął coś niewyraźnie, lecz mi to wystarczyło, abym zaczęła szykować się na swój wielki dzień. Jednak diablica czasem jest przydatna. Dzięki niej mogę pokazać się szerszej publiczności i nie zdziwię się, jak po emisji wywiadu zaczną dzwonić telefony z błaganiami o angaż dla mnie. Menedżerowie, reżyserzy, scenarzyści, a może i sami aktorzy zakochają się w pięknej, zgrabnej Zosi, którą spotkało nieszczęście. Jedyne, co muszę zrobić, to wyglądać wiarygodnie. Jakbym naprawdę była zdruzgotana po zniknięciu diablicy. „Nie mów o niej diablica” – powtarzałam sobie

w myślach. „Ani ropucha” – dodałam, zdając sobie sprawę, że to będzie trudna rola.

Przeszukiwałam garderobę, próbując dopasować odpowiedni strój na swój występ przed kamerą. Muszę zarazem wyglądać zniewalająco, jak i załamująco, co doda mi autentyczności. Cieniutki kombinezon może nie jest odpowiedni na zimę, ale przed kamerą będzie podkreślał moje wcięcie w tali i krągłe piersi, a granatowy jedwab, z którego jest uszyty, będzie znakiem mojej żałoby po zniknięciu siostry. Czarny oznaczałby, że pogodziłam się z jej stratą, a granat jest obsypany nutą nadziei, jakiej oczekują ode mnie widzowie.

## 2.

### Godzina 8:30

Górnicki zjawił się w obecności trzech mężczyzn. Jeden, w policyjnym mundurze, wyraźnie nie był zadowolony z wczesnej pory odwiedzin w moim domu. Zapewne wolałby spać w radiowozie i udawać, że łapie przestępców, zamiast poszukiwać zaginionego dziecka. Drugi z mężczyzn, trochę krągły (widać, że siłownia była mu bardziej obca niż mnie encyklopedia), trzymał w ręku kamerę. Trzeci rozmawiał przez telefon, dość nerwowo przy tym gestykulując. Przystojny, opalony i dobrze ubrany, musiał być reporterem, który będzie ze mną przeprowadzać wywiad.

– Witam, panno Zosiu. – Górnicki podał mi rękę, przepuszczając resztę mężczyzn w drzwiach. – Niech pani się nie martwi, wszystko będzie dobrze.

Pocieszenie. To teraz powinnam uronić łzę, oznaczającą moje przejęcie sytuacją. Stojące za mną Monia i Jola bacznie mnie obserwowały, więc olejek goździkowy musiał pozostać w mojej kieszeni. Kilka trzepotań rzęsami załatwiło sprawę łzy. Mała kropla spłynęła po moim policzku, a ja, ciesząc się w duchu, odwróciłam się, niby chcąc, żeby inni jej nie dostrzegli.

– Detektywie, pospieszmy się, każda chwila się tutaj liczy – powiedziałam z zatroskaniem w głosie.

Moja wiarygodność została chyba oceniona na maksa w skali do dziesięciu. Nawet Jola i Monika zdawały się wierzyć, że naprawdę się martwię o diabolicę.

– Zaczniemy od rozmowy z policjantem, niech pani się nie martwi, aspirant Miętus jest moim serdecznym przyjacielem i będzie poszukiwał Zuzanny bocznymi drogami, żeby jej rodzice się o tym nie dowiedzieli – tłumaczył Górnicki.

– A co jeśli ona poszła główną drogą? – pytam.  
– Zośka, zamknij się, błagam – wybuchła Jolka.  
– Zatem zapraszam. – Detektyw wskazał ręką sofę, na której siedział już policjant.

Kilka zdawkowych pytań o Zuzkę zmęczyło mnie niemiłosiernie. Miętus chciał wiedzieć wszystko, a co mnie interesowało, jak diablica była ubrana, kiedy ostatni raz ją widziałam. Ja nie patrzyłam na jej strój. Widziałam w niej tylko te dwa błyszczące ponad nosem brązowe punkty, zwane przeze mnie oczami diabła. Niby radosne, kryły w sobie jedynie najgorsze uczucia. Ciekawski Miętus zdawał się niezadowolony z moich odpowiedzi, dlatego musiałam przyznać się do wewnętrznego szoku, który spowodował częściową amnezję co do ostatnich zdarzeń sprzed zaginięcia.

– Panowie... – Górnicki pomachał ręką do elegancika i krępego. – Zapraszam, nie mamy czasu.

Mężczyźni podeszli do nas, podali swoje dłonie w celu przywitania, zapominając się przy tym przedstawić. Krępy wskazał, abyśmy usiedli za jadalnianym stołem, co niespecjalnie mi się spodobało. Siedząc, widzowie nie mogli dostrzec całego mojego piękna, jakie chciałam im ukazać.

– Witam serdecznie, jesteśmy właśnie w domu pani Zosi, której zaginęła siostra – zaczął elegancik, widząc podniesiony ku górze kciuk krępego. –

Postanowiliśmy pomóc zaniepokojonej kobiecie w poszukiwaniach dziewczynki. Pani Zosiu, proszę powiedzieć nam coś więcej – poprosił, przystawiając do moich ust mikrofon.

Spojrzałam w oko kamery, chcąc upewnić się, że wyglądam korzystnie.

– Nazywam się Zosia Majer i jestem z TYCH Majerów – zaakcentowałam, aby widzowie nie mieli złudzeń, że ja to naprawdę ja. – Wczoraj zaginęła moja młodsza siostra, Zuzanna. – Z trudem powstrzymałam się, aby nie nazwać jej diabolicą. – Proszę, pomóżcie mi ją odnaleźć. – Nadeszła pora na szloch załamanej siostry.

– Czy mogłaby pani powiedzieć nam coś więcej o dziewczynce? –

Elegancik wyraźnie docenił mój urok osobisty i chciał kontynuować rozmowę.

– Zuzia ma trzy lata, jest jakaś taka... – Pokazałam dłonią jej wzrost. – Ma piękne kruczoczarne włosy, takie jak moje. – Przeczesałam swoje włosy palcami – I błyszczące ciemne oczy.

– Dziękujemy pani, że w tak trudnym momencie zechciała pani z nami rozmawiać, a państwa prosimy o kontakt z nami w przypadku jakiegokolwiek



informacji dotyczącej małej Zuzanny – elegancik z uśmiechem mówił do kamery.

Krępy wyłączył kamerę, a elegancik znów odebrał telefon. Mój pierwszy wywiad najwyraźniej się zakończył. Pozostało tylko czekać na wyemitowanie go w telewizji.

– Pani Zosiu, mam do pani jeszcze jedną prośbę – zwrócił się do mnie po wywiadzie Górnicki. – Wiem, że jest pani w kiepskim stanie psychicznym, ale radziłbym poinformować recepcję hotelu, w którym jest pan Maksymilian, o zablokowaniu polskich kanałów telewizyjnych na kilka dni. Przecież nie chcemy, aby rodzice Zuzi wrócili wcześniej do kraju. – Uśmiechnął się.

– Dziękuję, nie pomyślałabym o tym. – Podałam mu rękę na pożegnanie. – A kiedy będzie nadawany wywiad w telewizji?

– W radiu pewnie za jakieś trzydzieści minut, a w telewizji za jakąś godzinę – odpowiedział, wychodząc.

I znów zostałyśmy we trzy. Jolka co prawda na chwilę wyszła, aby odprowadzić krępego i elegancika do samochodu, ale wiedziałam, że zaraz wróci. Zapewne chciała dać kilka rad krępemu, jak dbać o zdrowie, posługując się swoim przykładem i dając na koniec swoją wizytówkę.

– To co, dzwonisz do hotelu? – przypomniała mi Monika.

Kiwnęłam głową, przy okazji zastanawiając się, jak nazywa się hotel, do którego pojechali Baśka z ojcem. Na Dominikanie musi być ich kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt, zatem lepiej zadzwonić do jednego konkretnego, niż pozbawić wszystkich Polaków ojczystej telewizji podczas urlopu.

– Numer jest na lodówce. – Wskazała ręką. – Baśka zawsze tam zostawia ważne numery – dodała, jakby chcąc się usprawiedliwić.

Wybrałam zapisany Baśkowym pismem numer i oczekiwałam na połączenie.

– Nazywam się Zosia Majer z TYCH Majerów – zaczęłam mówić, kiedy usłyszałam miły kobiecy głos po drugiej stronie.

– Zośka, oni pewnie nie znają polskiego. – Jola szturchnęła mnie delikatnie.

– Zo-sia Ma-je-r z T-Y-CH Ma-je-rów – mówiłam wolniej, aby zrozumiała, jednak ona wciąż mówiła „łot, łot”.

– Mów po angielsku – zaproponowała Monika, a ja zdziwiłam się, że sama nie wpadłam na ten pomysł.

Wzięłam głęboki wdech.

– Maj nejm Zosia Majer, łit tych Majer. Aj plis ju noł tiwi in rum fader end Baška. Zuzia noł in hołm – mówiłam, starannie akcentując słowa. – Fenk ju.

– No, słyhać, że orłem z anielskiego to ty nigdy nie byłaś. – Jolka zaśmiała się wrednie, ale puściłam to mimo uszu, wiedząc, że zazdrości mi, że jestem taka światowa.

### 3.

#### Godzina 12:00

– Zocha! – krzyczała Jolka, kiedy próbowałam spokojnie zrobić siku. – Zocha, wywiad!

Siku musiało jednak poczekać. Wybiegłam z łazienki, zapominając z pośpiechu założyć kombinezon na ramiona. Zakryte jedynie przez koronkowy biustonosz piersi, wyraźnie chciały wydostać się na wolność podczas biegu z łazienki do salonu.

Stałam przed wielkim telewizorem niczym przed bożkiem mającym przepowiedzieć mi przyszłość. Ekran mienił się kolorami, ukazując doskonale znane mi wnętrze oraz sylwetki dwóch drobnych postaci, elegancika i mnie. Dwie fotogeniczne twarze, godne zapamiętania zdecydowanie na dłużej niż trzy minuty trwania wywiadu. Telefon niedługo rozdzwoni się z propozycjami współpracy w reklamie, ofertami aktorskimi, a może nawet dostanę własny program w TV, o modzie i urodzie. Kto mógłby wiedzieć więcej na ten temat niż ja.

– Musicie przyznać, że w ubraniu także korzystnie wyglądam – z dumą w głosie szukałam potwierdzenia u przyjaciółek.

– Powiem ci, że gdyby oglądać ten wywiad bez głosu, to byłoby wręcz idealnie – rzuciła Jolka.

– Widzisz, Jolcia, nawet ty mnie doceniasz.

– Doceniam... do momentu aż cię nie usłyszę.

Monia delikatnie szturchnęła Jolkę, ale na tyle mocno, że to zauważyłam. Nie przejmowałam się jej słowami. Po tylu latach nauczyłam się ją ignorować. Czasami tylko zastanawiałam się, kto jest kim w naszym starciu, by szybko dojść do wniosku, że ona jest brzydką, czarną coca-colą, a ja różowym, słodkim i ślicznym mentosem.

– Zosiu, my musimy już iść – rzekła Monika, nakładając na siebie płaszcz. – Jakbyś czegoś potrzebowała, to dzwoń do nas.

– Dziękuję, że byliście ze mną. – Ucałowałam je serdecznie w policzki. – Oby Zuzka jak najszybciej się znalazła – dodałam z udawanym smutkiem,

przypominając sobie o istnieniu diablity.

Dziewczyny wyszły. Moją głowę ogarnął błogi spokój, którego się nie spodziewałam. Miałam wrażenie, że los zsyła mi z nieba niespodziankę, wręcz nagrodę, którą jest zaginięcie diablity. Miało być jedenaście dni nieszczęścia, a tu już drugiego dnia wyszło słońce. Burza odeszła w zapomnienie, dając szansę lepszym zjawiskom pogodowym. „Może wyskoczę do sklepu po wino” – pomyślałam i czym prędzej postanowiłam zrealizować swoją myśl. Półwytrawne białe wino, popijane w wannie, ze słuchawkami od mp3 na uszach, w których słyhać będzie romantyczny głos boskiej Adele.

## 4.

### Godzina 14:00

Wracałam ze sklepu z dwiema butelkami wina. Do uszu docierał już podświadomie głos Adele i zachęcał do wspólnego śpiewania – *Rolling in the Deep*. Przymknęłam oczy, chcąc poczuć, jak pękają kieliszki, które w mej wyobraźni są dość blisko mnie. Wręcz na wyciągnięcie mojej ręki. Utożsamiałam się z piosenkarką, wiedząc, że gdyby usłyszała moje wykonanie tej piosenki, byłaby dumna, że w przeciwieństwie do niej mam nie tylko głos, ale i figurę.

Zdawać się mogło, że wszyscy mieszkańcy naszej dzielnicy willowej wyjechali albo zapadli w zimowy sen. Mijałam kolejne domy, zbliżając się do tego najpiękniejszego, najbliższego memu sercu. Spoglądałam dookoła, sama nie wiedząc, czego szukam. Zerknęłam w okno jednego z domów. Okno, a w nim ruch. Ruch znajomej postaci. Niewielkiej, ale charakterystycznej. Nie mogłam się mylić! Przyspieszyłam. Prawie biegłam w kierunku nieznanego mi domu. Moje emocje buzowały, bez wątpienia nie mając w sobie nic pozytywnego. Nie czułam nic prócz wściekłości, jaka mnie ogarnęła na widok kruczoczarnych włosów.

Zapukałam do drzwi. Nie byłam delikatna, nie teraz. Teraz przybrałam postać fatal fatal, czy jak to się tam mówi. Drzwi powoli się uchylały, ukazując za sobą chłopaczka w okularach.

– Gdzie ona jest? – zapytałam, wściekła.

– Kto? – Wydawał się zdziwiony.

– Widziałam ją! Nie kłam, łagarzu.

Chłopak patrzył na mnie w osłupieniu.

– Łgarzu chyba – poprawił mnie z uśmiechem. – Nie wiem, o co pani

chodzi, ale szpital psychiatryczny jest w innej części Warszawy.

Próbował zamknąć drzwi, lecz byłam szybsza i wślizgnęłam się do środka.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo – stwierdziłam stanowczo, lekko przytupując nogą. – Gdzie ona jest?

– Kto?

– Ma pan w domu dzikie zwierzę i nawet pan o tym nie wie? – Lekko zesłam z tonu.

– Proszę pani, nie ma tutaj żadnego dzikiego zwierzęcia – tłumaczył spokojnie. – Niech pani spojrzy na mnie, czy jestem czerwony na twarzy?

Nie zrozumiałam jego pytania, ale może i on miewał czasem prorocze myśli dotyczące wyskakujących krost na twarzy. Spoglądałam uważnie, nie chcąc opuścić nawet milimetra jego twarzy. „Zaufał mi” – pomyślałam, dokładnie oglądając lekko piegowatą, tłustą cerę.

– No, masz trzy krosty, ale na pierwszy rzut oka ich nie widać. Dobry korektor, trochę pudru i będziesz wyglądał... – Zabrakło mi słowa.

– Znośnie? – odpowiedział okularnik, a ja się uśmiechnęłam. – Nie rozumiem, o co chodzi z tym pudrem i czymś tam, ale chodziło mi o to, że gdyby w tym domu było jakieś zwierzę, to na pewno bym je zauważył. Może nie przez wzrok, ale przez uczulenie, które by wyszło na mojej twarzy.

Patrzyłam na niego wielkimi oczami, nie rozumiejąc, co do mnie mówi.

– Mam uczulenie na sierść.

– O ta ropucha ma zdecydowanie dużo sierści – rzuciłam, przypominając sobie, po co tam przyszłam.

Chłopak wciąż nie rozumiał, o co mi chodzi, dlatego chyba niepewnie zaprosił mnie do pokoju. Willowa dzielnica wydawała się dość spokojna, jednak ściany domów na pewno miały uszy, co zauważył także okularnik.

– Może mi pani wyjaśnić wszystko od początku – zaproponował.

– Więc...

– Nie zaczyna się zdania od „więc” – zauważył spokojnie.

– No więc... – Specjalnie podkreśliłam słowo „no”.

– Od „no więc” także.

– Cholera jasna, pozwól mi mówić albo zaraz język i zęby opuszczą na stałe twoją dość brzydką gębę! – Zdenerwowałam się. – Poszłam do sklepu po wino... – Pokazałam mu torbę z dwiema butelkami. – ...wracam, czuję, jak pękają kieliszki dookoła mnie...

– Jakie kieliszki? – ponownie mi przerwał.

Zacisnęłam pięści. Byłam gotowa do ataku, ale sama nie wiem czemu

zrezygnowałam.

– Nieważne – stwierdziłam z niespodziewanym w tej sytuacji spokojem. – Patrzę po domach i widzę ją. Małą, wredną, diabelną ropuchę z tymi jej włoskami.

– Przepraszam, że przerwę, ale to niemożliwe. Ropuchy nie mają włosów, a już na pewno nie skaczą po moim parapecie.

– A kto mówił, że ona, kurwa, skakała?! Nie dopowiadaj sobie, a włosy ma, i to więcej niż ty. – Znow ogarnęła mnie wściekłość.

Chłopak nie wiedział, co powinien zrobić. Stał cicho, czekał najwyraźniej, aż opuszczę jego dom. „Po moim trupie” – pomyślałam i twardo stałam w miejscu. On czekał, ja czekałam, aż w końcu do moich uszu dobiegł zbyt głośny szept: „Ona naprawdę jest walnięta!”.

– Kto tam jest? – zapytałam.

– Moja siostra i jej koleżanka – odpowiedział.

Bez zaproszenia ruszyłam w głąb domu. Minęłam złoty, nawet zbyt złoty hol, prowadzący wprost do salonu, gdzie na wielkim ekranie widać nadętą, żółtą rybkę, przed którą stały dwie postaci.

– Ty wredna ropucho, ty diable wcielony, ty... ty... – Byłam tak zła, że aż zabrakło mi słów na widok Zuzki.

– Znasz ją? – zapytał chłopak.

– Czy znam? To małe paskudztwo zepsuło mi życie. – Spojrzałam wrogo w kierunku dziewczynek.

Chłopak przetwarzał usłyszaną, ode mnie informację.

– To pani sobie wino chce pić, a ja mam się opiekować pani dzieckiem? – wybuchł po chwili.

– Moim? – zdziwiłam się.

– Nie, moim – burknął.

– No przecież, że pana – zgodziłam się z nim.

– Ja nie mam dziecka.

– Ja też – wyznałam.

– To kim ona jest? – Wskazał na „ropuchę”.

Patrzyłam na nią morderczym spojrzeniem, żałując, że jednak jej nie zabiłam wczoraj lub chociaż nie zamknęłam w piwnicy, przykutą łańcuchem do ściany, bez wody i jedzenia.

– To moja miesięczna, a nawet dwutygodniowa siostra. – Staralam się być spokojna.

– Hm... wygląda na znacznie starszą – zauważył okularnik.

– Bo jest, ale ja wiem o jej istnieniu od dwóch tygodni i na dodatek zostawili ją teraz ze mną, niby żebyśmy się lepiej poznały – tłumaczyłam.

– Dziewczyny... – Chłopak palcem zaprosił je bliżej nas. – ...czy ona mówi prawdę?

Dziewczynki patrzyły na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Już widziałam otwierające się usta ropuchy, jednak ja byłam tym razem szybsza:

– Powiedz chociaż jedno słowo, a możesz nie dożyć urodzin.

Diablica zamknęła usta.

– To szantaż, chyba się jej nie boisz? – podburzała ją koleżanka.

– Ona jest niezrównoważona – szepnęła jej do ucha Zuzka, a ta zerknęła na mnie podejrzliwie.

Chłopak wziął głęboki wdech.

– Czyli historia z lotniskiem jest nieprawdziwa?

Dziewczynki przecząco pokręciły głowami.

– Skąd wiedziałyście, że się na to nabiorę? Mogłem przecież zadzwonić po...

– Po pomoc społeczną – skończyła za niego siostra. – Nawet nie wiesz, jak oni się nazywają, a co dopiero do nich zadzwonić.

Chłopakowi wyraźnie zrobiło się głupio. Nie dziwiłam się. Wykiwany przez dwie ledwo od ziemi odrośnięte diablice. Musiał czuć się strasznie, będąc z nimi dwiema w domu. Ja mam dość jednej, a co dopiero dwie. To musiał być najstraszniejszy horror, jaki mógłby sobie wyobrazić, albo i jeszcze straszniejszy, bo taki dość niespodziewany.

– Idźcie oglądać rybkę – powiedział, wciąż jeszcze wzburzony.

– Mówiłam, że ma sierść. – Wskazałam na jego czerwoną twarz.

– To nie alergia, to złość – wytłumaczył. – Przepraszam, że na panią naskoczyłem. Sebastian Poseł. – Podał mi rękę.

– Zosia Majer, z TYCH Majerów. Nie interesuję się zbytnio tą całą potylicą.

Sebastian wbił we mnie nierozumiejące spojrzenie.

– No, tym całym cyrkiem, tam, na Wiejskiej – wytłumaczyłam jaśniej.

– Poseł to moje nazwisko, nie zawód, jeśli to zawodem można w ogóle nazwać. – Zaśmiał się, a ja dopiero zauważyłam dołki w jego policzkach.

– Musimy zadzwonić do rodziców, że się udało. – Naszą rozmowę przerwał szept sprzed telewizora.

Podeszliśmy bliżej, wciąż pozostając niezauważeni.

– Tylko po ślubie mieszkają z wami – mówiła siostra Sebastiana. – Ja już

mam go dość, a ta Zocha wydaje się jeszcze gorsza.

– Mam pomysł! – rzuciła Zuzia. – Wyślemy ich na Księżyc z biletem w jedną stronę.

– Jesteś genialna – pochwaliła diabolicę. – Jak na to wpadłaś?

– Słyszałam, jak mama kiedyś mówiła, że Zośce trzeba kupić bilet na Księżyc, ale tylko w jedną stronę, żeby mieć pewność, że nie wróci.

Ciche „hihi” i „haha” znów doprowadziło mnie do wybuchu. Wybiegłam z kryjówki, łapiąc za włosy obydwie diabolicie. Już miałam nimi rzucać, roztrzaskiwać, kiedy Sebastian chwycił moją dłoń.

– To tylko dzieci. – Jedno zdanie zmieniło moje spojrzenie na sytuację. – Rodzice o wszystkim wiedzą?

Dziewczyny spojrzały po sobie, po czym równo skinęły głowami.

– Chcieliśmy, żebyście się poznali, bo idealnie do siebie pasujecie. A ty cały czas siedzisz tylko w tym komputerze i nawet nie wiesz, jaka piękna sąsiadka mieszka za płotem. Wyjazd w interesach był tylko wymówką. Oni tam w czwórkę na pewno się dobrze bawią, a my musimy tutaj was znosić – powiedziała siostra Sebastiana, a ja poczułam się doceniona.

– I ciocie też wiedziały – dodała Zuzka, ukazując swój niepełny uśmiech.

Ciocie? Znaczący się moje przyjaciółki, które od wczoraj pomagały mi w poszukiwaniu Zuzi? Nie, to niemożliwe. Przecież gdyby wiedziały, to nie byłoby tego całego Górnickiego, telewizji i policji.

– Policjant był sztuczny, a pan Leon też wiedział. – Diablica czytała chyba w moich myślach.

– A telewizja? – zapytałam.

– To znajomi mamy. Niby nagrali wywiad i tyle – powiedziała siostra Sebastiana.

Chłopak tylko wzruszył ramionami, wyraźnie nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Ale był w telewizji – broniłam się.

– Nie w telewizji, tylko na pinwajdzie. – Zuzka popukała się w czoło. – Ciocia Jola miała go włożyć do telewizora, kiedy cię nie będzie obok.

Zdecydowanie zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień, jedno popołudnie. Moje serce krwawiło. Telefon milczał i tak pozostanie. Reżyserzy i scenarzyści nie mogli mnie ujrzyć, na co tak bardzo liczyłam.

– Idźcie do pokoju – rozkazał diabolicom chłopak, a mnie zaprowadził do dużego drewnianego stołu.

– Wina? – Wyjęłam jedną z butelek.

Wstał po kieliszki i korkociąg. Pewnym ruchem otworzył wino, po czym

napełnił nim dwa kieliszki.

– Nie wiem, czy jedno wino wystarczy – stwierdziłam cicho, jednym haustem wychylając swoje szkło do dna.

– Dobrze, że masz jeszcze drugą butelkę. – Ponownie uśmiechnął się, pokazując swoje dołeczki w policzkach.

Wino smakowało inaczej niż zawsze. Cierpkie, bez smaku, jakby pozbawione alkoholu, nie sprawiało, że czułam się lepiej. Moja głowa nie wirowała, a myśli wciąż były bliższe morderstwu diaboliccy niż jej wybaczeniu.

– Wiesz, nie zazdroszczę ci, że byłeś z nimi cały dzień – zaczęłam rozmowę.

– Ja sobie też nie zazdroszczę. – Zaśmiał się. – Jak pomyślę, że moja matka to uknuła, to mam ochotę ją...

– Zabić – dokończyłam za niego i podniosłam kieliszek ku górze, chcąc wznieść toast. – Za wrednych rodziców i Baškę, co diabolicę na świat wydała.

– Kim jest Baška? – zapytał Sebastian.

Wypiłam wino do dna.

– Zacząć od cholchinogi?

Jego spojrzenie ponownie zawierało w sobie miliony znaków zapytania, na które ja miałam odpowiedzieć.

– Od początku... więc była wpierw moją koleżanką z klasy, potem stała się przyjaciółką, sama nie wiem kiedy została partnerką mojego ojca, a na domiar złego jest matką mojej siostry i zamiast wspierać przyjaciółkę, ona zawsze broni tej... – Zaczynałam się denerwować.

– Owłosionej ropuchy – trafnie dokończył za mnie. – Ciekawa historia. – Zaśmiał się. – A myślałem, że to moja rodzinka jest ostro pokręcona w tych całych... hm... stosunkach.

Teraz mój wzrok pytał o ciąg dalszy opowieści. Sebastian dolał nam wina. Widocznie nie tylko ja nie przejdę przez niektóre wydeptane ścieżki na trzeźwo.

– Moja matka pracuje w telewizji, ma własny program o aranżacji wnętrz, w którym zachęca do samodzielnej pracy przy tworzeniu dekoracji...

– *Tori Mori* – przerwałam mu. – To twoja matka mówi o tym, jak ważny w domu jest minimalizm?

Z niedowierzaniem zerknęłam na zbyt złotawy hol. Ostatnie, co przychodziło na myśl, kiedy się na niego spoglądało, to zapewne minimalizm. Ta złota jaskinia była doskonałym przeciwieństwem teorii



wyznawanych w programie, który prowadziła matka chłopaka. Niewiarygodne, że taka kobieta miała tak okropny dom. Przepych w holu nie był jedyną rzeczą, która z pewnością kłuła w oczy gości. Tych, delikatnie mówiąc, błędów aranżacyjnych było w tym domu znacznie więcej.

– Ta sama. – Uniósł ręce ku górze, udając uwielbienie. – Jak widać, nasz dom do minimalizmu się ma nijak, ale ważne, że dzięki programowi mama może cały czas być na topie, jak jej się zdaje.

– Eee... to i tak nic w porównaniu z moją rodzinką – prychnęłam.

– Nic, bo nie wiesz najlepszego. Moja matka zaszła w ciążę, mając osiemnaście lat, urodziła mnie i oddała dziadkom na wychowanie, mimo iż wzięła ślub z ojcem. Okazało się, że ojciec już krótko po ślubie ją zdradzał z wszystkim, co tylko się ruszało. Ona konsekwentnie mu wybaczała... –

Spojrzał na mnie. – ...wiesz, miał kasę. Miarka się przebrała, kiedy nakryła go w łóżku z facetem. Niby trenowali tylko rolę, przynajmniej tak mówił, ale te treningi trwały jeszcze ponad rok od tego wydarzenia. Okazało się też, że efektem jednej z jego licznych zdrad jest również dziecko i... siedź, teraz będzie najlepsze... – Kpiący uśmiech zdobił jego twarz. – ...mój przyszły ojczym jest moim przyrodnim bratem.

Nie rozumiałam, co do mnie mówił. Ojczym, przyrodni? Dla mnie to zbyt skomplikowane powiązania, nad którymi nigdy się nie zastanawiałam.

– Syn mojego ojca z jednej ze zdrad niedługo ma zostać moim ojczymem – sprecyzował.

Podaliśmy mu rękę. Kiedy dotknął jej swoją dłoń, mocną ją ścisnęłam.

– Wygrałeś. – Ukłoniłam się, lekko już wstawiona.

– Co robimy z nimi? – Uniósł oczy ku górze, co przypomniało mi o dwóch diabłach znajdujących się między niebem a ziemią.

– Jestem pijana – wyznałam szczerze. – Jutro pomyślimy. – Dostałam czkawki.

– To ja wyłączę telefony i internet, aby nie miały kontaktu ze światem zewnętrznym, i jutro pomyślimy. – Uśmiechnął się.

– Mam dużą piwnicę, kupię łańcuchy i dam im puste miski – wyliczałam, wciąż czkając.

Sama nie wiem, jak dotarłam do domu. Wiem, że nie dałam rady dowlec się do pokoju i musiała wystarczyć mi sofa w salonie. „Księżniczka na ziarnku popcornu” – pomyślałam, wyciągając spod głowy jedno ziarno, których na pewno było tutaj zdecydowanie więcej.

# 7 stycznia 2016 roku

## 1.

Nienawidzę poniedziałków. Nienawidzę wtorków. Dziś jest czwartek i też go nienawidzę. Dlaczego życie musi być takie trudne? Przecież mogłoby być inaczej, lepiej, znacznie lepiej. Budzik nie musiałby dzwonić, wręcz warczeć, żebym wstała. Mogłabym spać tyle, ile bym chciała, bo przecież to moje życie i mój senny relaks może działać inaczej niż innych. Ale nie! On dzwoni. On wręcz torpedował dźwiękiem moją głowę. „Niepotrzebnie umawiałam się z Sebastianem tak rano” – przypominałam sobie powoli wydarzenia minionego dnia. Ciało jest zbyt ciężkie, aby się podnieść.

Wstałam. Jedyne, co wyciągnęło mnie z łóżka, to chęć zemsty, wymierzenia sprawiedliwości dwóm przypadkom nadającym się wprost dla egzorcystów. Opętanie w oczach i przebiegłość w działaniu już dawno powinny zostać poddane szczegółowym badaniom.

Ubrałam się, lekko wytuszowałam rzęsy i pędem pobiegłam do sąsiada, ratować go z opresji towarzystwa dwóch nieletnich... diabłów. Wierzyłam, że może chociaż on wymyślił dla nich karę. Coś naprawdę bolesnego, rzecz jasna, niecielesnie. Nie jesteśmy potworami, chyba...

Otworzyłam drzwi i nie wierzyłam własnym oczom. Zamknęłam je, by ponownie móc otworzyć. Wciąż tam był. Nie wiem, od kiedy, ale wczoraj go tu nie było. Pamiętałabym puszysty śnieg pod swoimi stopami. Nieważne kiedy, ważne, że jest. Spełnienie dziecięcych marzeń. „Zuzka się ucieszy” – uśmiechnęłam się do siebie, szybko przypominając sobie, że diabliska jest po drugiej stronie mojego wojennego frontu. Nie wywieszam białej flagi! Nawet śnieg mnie do tego nie zmusi. Wojna musi trwać nadal. Żołnierzyki poupadają, amunicja się skończy, a potem nastąpi starcie wodzów.

– Widziałeś? – zapytam zaraz po wejściu do domu sąsiadów.

– Cześć.

– Toć mówiłam cześć, nie zro-zu-mia-łeś?

Sebastian wpatrywał się we mnie z ironicznym uśmiechem, który zdecydowanie mi się nie podobał. „Tak nie uśmiecha się do swojego wodza” – pomyślałam.

– Wymyśliłaś coś? – zmienił temat.

– Hm... – zamruczałam, szukając sensownego sposobu nazwania sytuacji.

– Nie byłam za bardzo w stanie. Tak to nazwijmy – przyznałam się

niepewnie. – A gdzie one są?

Sebastian podniósł oczy ku górze, co mi absolutnie wystarczyło. Diabły wyraźnie wolały być bliżej nieba niż podziemnych piekieł, jakie ja z pewnością bym im zaserwowała. On był zbyt delikatny. Miał do nich serce, mimo iż to on ucierpiał najbardziej. Dwadzieścia cztery godziny z nimi dwiema wydawały się wręcz czymś nierealnym do przeżycia, a jednak jemu się udało.

– Wiedziałem, że nie mam co na ciebie liczyć – odparł, jakby znał mnie od lat. – Ważne, że ja mam pomysł.

– Zabijemy je, zakopimy za domem i będziemy udawać, że to nie my – zgadywałam radośnie, zajądając paluszki leżące na stole.

– W gruncie rzeczy one nie są niczemu winne.

Zakrzusiłam się. Paluszek stanął mi w gardle. Jak można uznać, że one są niewinne?

– Żartujesz?! – wciąż nie dowierzałam.

– One były zmanipulowane przez osoby dorosłe. Są za małe, aby samodzielnie wybierać, co jest dobre, a co złe – tłumaczył.

– Nie sądzę. Zuzka to wcielony diabeł, tylko w ludzkiej skórze.

– No, Julka też aniołem nie jest, ale uważam, że to nie one wymyśliły ten plan, lecz ich popaprani rodzice. Nie możemy ich karać za to, że słuchają starszych.

Skinęłam lekko głową, powoli przyjmując jego argumenty. Może gdyby Zuzka miała inną matkę, to zamiast wcielenia Baśkowego diabła w sobie miałaby zaginioną cząstkę anioła z genów mojego ojca.

– Więc co wymyśliłeś?

– Nie zaczyna się zdania od „więc”.

– Cholera, mów! – krzyknęłam. – Lepiej? – dodałam słodko.

Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że już nigdy nie zwróci uwagi na „więc” na początku zdania.

– One zaginą naprawdę. – Uśmiechnął się, a mnie od razu spodobał się ten plan.

Zaginą naprawdę, udamy, że ich szukamy, a one się nie znajdą i życie będzie piękne. Nikt nie będzie mnie budził rano, nadęta, żółta rybka będzie niepotrzebna, a ojciec znów będzie stawał po mojej stronie. Plan idealny. Tylko jak go wykonać?

– Jest ktoś, kto z chęcią nam pomoże. Wywieziemy dziewczyny do Bożeny, na wieś. One się tam pobawią, nie będą miały dostępu do komórek

czy internetu, a nawet pomyślą, że to nagroda. – Entuzjazm wręcz tryskał z jego słów.

– Spoko, loko, ale kto to Bożena? I czemu miałyby nam pomóc?

– Bożena to matka Artiego, partnera mojej matki, kochanka ojca, o której mówiłem ci wczoraj.

Zaczynam kojarzyć fakty, nie dziwię się pewności Sebastiana, że kobieta zechce nam pomóc.

– A dziewczyny będą u niej bezpieczne? – Sama nie wiem, jak to pytanie zdołało przedrzeć się przez falę złości i żądzy zemsty.

– Julia to jej wnuczka, jak by nie patrzeć, a Zuzka będzie gratisem, z którego na pewno się ucieszy. Bożena kiedyś była nauczycielką w przedszkolu.

– No dobra, a jak interesowcy się dowiedzą o tym zniknięciu?

– Interesowcy?

– No z tego, co pamiętam, pojechali na Dominikanę w interesach – przypomniałam mu. – Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Chyba zacznę spisywać twoje neologizmy.

– Do grobu mi daleko. – Zdenerwowałam się. – Sam sobie spisuj swój neokrologizm, czy jak to tam nazwałś.

Sebastian wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jesteś niesamowita.

Przeczesałam włosy palcami, zastanawiając się, czy podziękować grzecznie za komplement, czy przyznać szczerze, że od dawna o tym wiedziałam.

– Wiem – wybrałam drugą wersję. – To jak ich ściągniemy z tej Dominikany?

– To proste. Zadzwoń do twoich przyjaciółek, że był u ciebie sąsiad, czyli ja... – Wskazał na siebie, jakbym nie zrozumiała. – ...i powiesz im, że nie tylko Zuzka zaginęła. Powiesz, że mojej siostry także nie ma.

– I...?

– I uwierz mi, że resztą zajmą się one. – Zaśmiał się. – Interesowicze, czy jak ich tam nazwałaś, przylecą pierwszym samolotem.

– Interesowcy – poprawiłam go z nieskrywaną dumą w głosie.

– Niech będzie. – Puścił mi oczko. – To co, zaczynamy nasz plan? Resztę obmyślimy, jak je już wywieziemy.

Skinęłam ochoczo głową, a on zawołał diabły na dół.

– Dziewczyny, czy wiecie, że zrobiliście źle, oszukując nas? – zapytał

Sebastian, kiedy obydwie stanęły przed nami.

Anielskie buzie i udawany smutek na ich twarzach mogły zmylić nawet najlepszych.

– Nie udawaj... – zaczęła mówić Zuzka, patrząc na mnie, lecz koleżanka szturchnęła ją łokciem w żebra.

– Tak, wiemy – powiedziała Julka.

– Cieszymy się, że żałujecie swojego zachowania, i mamy dla was nagrodę. Co powiecie na kilka dni u babci Bożki?

– Hura! – wykrzyczała Jula.

Zuzka zdawała się nie wiedzieć, o co chodzi, ale spostrzegłszy entuzjazm Juli, i ona zaczęła skakać z radości.

– Tylko jeden warunek... – Sebastian podniósł palec, jakby chciał im pogrozić. – Macie trzydzieści minut, aby się spakować.

Dziewczyny rzuciły się pędem na schody. Pakowały się, a do nas wciąż docierały ich wesołe śmiechy. „Ciekawe, czy ich rodzice też będą się tak śmiać” zacierałam ręce, chcąc jak najszybciej poczuć smak zemsty.

## 2.

### 4 godziny później

– Dzwon! – nakazał Sebastian, kiedy wróciliśmy do Warszawy.

– Najpierw muszę się przebrać! Śmierzę końskim bagnem – dodałam z przerażeniem.

– Gnojem.

– Sam jesteś gnojem, nie obrażaj mnie, bo nie zadzwonię – zdenerwowałam się.

– Koński gnój, nie bagno.

– Wiesimieszek się znalazł!

– Kto?

– Wiesimieszek, mieszkaniec wsi, baranie – wytłumaczyłam.

Szybka kąpiel, wyrzucenie śmierdzących ubrań do śmieci i nałożenie na siebie czegoś czystego i pachnącego trwało może dwadzieścia minut, góra pół godziny.

– Ale śmierdzisz! – Zatkałam nos, kiedy zeszałam na dół.

– Wiem, ale nie mam teraz czasu się kąpać, bo masz zadzwonić do swoich przyjaciółek. – Rozsiadł się wygodnie na sofie, a ja zastanawiałam się, czy jej nie zasmrodzi.

Wzięłam iPhone'a do ręki, otworzyłam listę kontaktów, by zastanowić się,

do której z nich zadzwonić. Berka była w ciąży, więc automatycznie odpada. Nie chciałabym, aby się niepotrzebnie zdenerwowała, i to wcale nie z troski o nią, lecz myśląc o mojej przyszłości. Jeden żart mógłby kosztować mnie lata wypominania, czego wolałam unikać. Jolka wyczułaby, że coś nie gra, bo nigdy do niej pierwszej nie dzwoniłam z problemem. Monika też musiała odejść w zapomnienie, bo co jeśli telefon odebrałaby wredna „Gęsina”? Została Mari. Poukładana, jak wszystko w jej otoczeniu, wydawała się jedyną sensowną osobą do wprowadzenia naszego planu w życie. Nacisnęłam zieloną słuchawkę obok jej imienia.

– Mari, Mari... – wyjąkałam. – Nie tylko ona zniknęła. Może ją porwali albo jeszcze gorzej...

– Boże, Zocha, o czym ty gadasz? – usłyszałam po drugiej stronie.

– Jezusiu tasmankowski i diable nazareciański, módlcie się za nią – mówiłam dalej.

– Zocha, to Jezus był z Nazaretu, a diabeł z Tasmanii – poprawiła mnie. – Choć nie wiem, dlaczego do nich akurat wznosisz modły... Mów, co się stało?

Przełknęłam ślinę, złapałam kilka szybkich wdechów, aby móc kontynuować.

– Był u mnie sąsiad, ten zza płotu, co jego mama w telewizji pracuje... – Już chciałam opowiadać o ich ohydny holu, kiedy spojrzenie Sebastiana przypomniało mi, po co dzwonię do przyjaciółki. – I on... on też był przerażony, bo jego siostry też nie ma. Zniknęła, tak samo, jak Zuza – dokończyłam.

– Przeszukaliście dom? – Mari była wyraźnie podenerwowana.

– Tak, i piwnicę też. Nie było łańcuchów i pustych misek. – Ostatnie zdanie powiedziałam szeptem.

– Kurwa mać! – rzuciła, zanim się rozłączyła.

Podeszłam do Sebastiana, chcąc przybić mu piątkę na znak wykonania zadania. On jednak był szybszy, obejmując mnie mocno swoimi ramionami.

– Byłaś taka... – Zastanawiał się.

– Genialna – podrzuciłam mu myśl.

– Taka prawdziwa, przekonująca wręcz – pochwalił mnie ochoczo. – Sam bym ci uwierzył, gdybym nie znał prawdy. To ja już pójdę.

– Może wpadniesz później – zaproponowałam, sama dziwiąc się swojej propozycji. – Jak się umyjesz, oczywiście.

Sebastian uśmiechnął się promiennie i wyszedł. Śnieg wciąż zdobił

zewewnętrzny świat, kiedy w moim sercu już budziła się wiosna, spowodowana myślą o zemście.

### 3.

#### 30 minut później

Po smrodzie nie pozostało już śladu. Kanapa najwyraźniej przygotowana była na takie ekscesy. Zresztą nie po to tata dał za nią prawie dwadzieścia tysięcy, żeby przez pierwszy lepszy gnój ją wyrzucać. Nawet Sebastian zdążył się umyć, przebrać i doprowadzić do ładu. Nie wyglądał co prawda jak przystojniak z kampanii Calvina Kleina, nawet do Marshalla było mu dalej niż Ziemi do Księżyca, ale na swój sposób wyglądał... korzystnie.

– Przystojniak, co? – Chyba poczuł na sobie mój wzrok.

– No bez przesady. – Sięgnęłam po dwa kieliszki do wina. – Szału ni ma, dupy nie urwało, jak mawia Jolka.

– A ty jak mawiasz? – Zmarszczył czoło.

– Mawiam, srawiam i potrawiam.

Chłopak wybuchł śmiechem, kompletnie dla mnie niezrozumiałym. Chyba był zdenerwowany, w czym postanowiłam mu pomóc.

– Chlapij sobie. – Podałam mu małą buteleczkę.

– Co to? – zdziwił się.

– Neospasmina, takie małe ziołolecznictwo – wytłumaczyłam.

– Znasz się na ziołach?

– Nie, ale tatuś to zawsze pije, kiedy za dużo wydam na zakupach.

Wino w kieliszkach świeciło swym burgundowym blaskiem. Zachęcało do picia zarówno widokiem, jak i zapachem dojrzałych winogron, który pamiętałam z włoskich winnic. Miejsca, gdzie słońce świeci jaśniej, ptaki uroczo śpiewają, powietrze pachnie słodyczą, a ludzie są wiecznie szczęśliwi. Zupełnie inaczej niż w szarej, skłóconej Polsce. Tutaj każdy kopie pod każdym dołki, chcąc czerpać jedynie dla siebie profity. Brak w nas nieuzasadnionej radości, błysku w oku, spowodowanym czyimś szczęściem, a nie jego porażką.

– Czym się zajmujesz? – Sebastian przerwał moje włosko-polskie rozmyślenia.

– Studiuję seksuologię kliniczną.

– Ciekawie brzmi. – Uśmiechnął się ironicznie. – Który rok?

– Dopiero zaczynam, ale skończę szybciej niż w dziesięć lat.

Sebastian patrzył na mnie z niedowierzaniem, próbując rozszyfrować moje

słowa.

– Nie wiedziałem, że te studia trwają aż tak długo. – Był wyraźnie zdziwiony.

– Bo nie trwają, tylko moje gderliwe przyjaciółki myślą, że będę ponownie wiecznym studentem.

– Gderliwe? Ponownie? – pytał powoli.

– Kwa-kwa-kwa. – Machnęłam rękoma jak kacuszki skrzydełkami. – Dopiero skończyłam kosmetologię.

– Zawsze myślałem, że to kury gdaczą. – Zaśmiał się.

– Na przyszłość nie myśl – poradziłam pewnie, zniesmaczona jego niewiedzą. – A ty czym się zajmujesz?

Sebastian spojrział na mnie uważnie, jakby bał się powiedzieć. „Może to jakieś CIA lub FBI, które wymaga tajności od swych pracowników” – pomyślałam, patrząc na jego niezdecydowaną minę.

– Jestem pisarzem – wyznał z dumą w głosie. – Napisałem dwadzieścia książek, lecz niestety żadna nie ujrzała jeszcze światła dziennego. Moja twórczość jest zbyt innowacyjna na Polskę. Aż strach pomyśleć, jaką prostotą władają współcześni autorzy w tym czymś, co potem nazywają powieścią.

– Piszesz? – zdziwiłam się. – Fajnie. – Nie chciałam, aby zauważył moją niechęć do książek.

Po moich słowach Sebastian jak oparzony wstał z krzesła i wybiegł z domu. Zostawił mnie samą. Bez pożegnania. Ot tak po prostu wstał, i już. Dopiłam wino, czując, że przegrałam walkę na ringu. Sędzia zaczął odliczanie, a ja leżałam, nie mając siły wstać, a trzeba było przecież zmyć kieliszki. Dochodziłam do zmywarki, kiedy na moich plecach poczułam czyjś oddech, a uszy wychwyciły przyspieszone bicie serca i sapanie.

– Proszę, zobacz. – Sebastian podał mi kilkanaście świeżo wydrukowanych kartek.

„Sebastian Poseł *Karykatura życia*” – mówił duży napis na pierwszej stronie.

– Dzięki, przeczytam później. – Odłożyłam kartki, próbując wybrnąć z sytuacji.

– Nie, nie później. Czytaj teraz, a ja nastawię zmywarkę. – Ponownie wręczył mi wydruk.

Uśmiechnął się, pokazując swoje urocze dołeczki, a ja zrozumiałam, że nie ucieknę, że nie uda mi się go oszukać. Usiadłam więc wygodnie na kanapie i przeliczyłam kartki trzymane w mej dłoni. „Jedenaście” – powtórzyłam



w myślach, wiedząc, że to co najmniej o dziesięć stron za dużo.

## PROLOG

Ludzkie życie jest jak chleb kupiony w supermarkecie. Po jednym dniu zbyt twarde nawet na to, aby dać je jakiejś zwierzynie. Po tygodniu spleśniałe i śmierdzące. Tak straszne, że nasze dłonie nie chcą go tknąć. I takie jest też nasze życie. Kiedy z niego nie korzystamy, wpierw twardnieje i prosi o namoczenie w celu ponownej szansy zaistnienia. Jednak po czasie pleśnieje, śmierdzi i niszczy się wraz z wszystkim wkoło.

Moje życie właśnie takie jest. Za późno na namoczenie go wodą. Nie będę się już kąpał jak kaczki w stawie, ciesząc się ze zbawiennego wpływu wody. Mojego życia już nie da się uratować. Żadne zwierzę go nie tknie, bo śmierdzi już na kilometr. Moje życie pokryte jest pleśnią, a ja postanowiłem dać mu jeszcze siedem dni. Ostatnie siedem dni. Na co? Sam nie wiem. Może na małą naprawę, na stłumienie wszechobecnego smrodu, który wprosił się przez szczelnie zamknięte drzwi mojej duszy i serca? A może chcę czegoś innego? Niech pleśń opanuje wszystko, bo moja chlebowa skórka to zdecydowanie zbyt mało. Przecież można zdecydowanie więcej.

O ironio! Siedzę na kanapie i delectuję się chlebem. Jeszcze świeżym, jeszcze pachnącym, mimo iż wypchanym chemicznym gównem. Napompowanym za pomocą piecowej pompki, niezawierającym niczego zdrowego. Wszystko w nim jest sztuczne. Sztuczne jak otaczający nas świat. Politycy zmieniający poglądy co cztery lata, aby tylko wygrać wybory. Sportowcy mówiący to, co chcemy usłyszeć, po czym okazuje się, że stosowali nandrolon czy meldonium. Nawet zwykli ludzie, których codziennie mijam w drodze do pracy, są bardziej sztuczni niż autentyczni. Uśmiechają się, bo wypada, bo tego od nich oczekuje wszechobecny fałsz. Zabrakło w nim jednak czasu na prawdę.

Ja przez moje ostatnie siedem dni, ostatni tydzień, postanowiłem być prawdziwy. Niczego nie ukrywać, nic nie pomijać, nie udawać. To moje sto sześćdziesiąt osiem godzin szczęścia, które muszę w pełni wykorzystać.

Czytałam dalej, otwierając coraz szerzej oczy ze zdumienia. Nie wierzyłam. To jak spotkanie apokalipsy z władcami podziemi i nieba jednocześnie.

– I jak?

– To jest... – Zabrakło mi słów, aby opisać, co czułam po przeczytaniu tych kilku kartek.

– Genialne. – Uśmiechnął się dumnie.

– Tak, tak... – Nie to chciałam powiedzieć. – Może wyślij to ponownie do wydawców?

W mej głowie zrodził się plan. Plan idealnej zemsty, połączony z humanitarną pomocą osobom potrzebującym. W wyobraźni odziana w habit, niczym Matka Teresa, ścisnęłam dłonie na znak zwycięstwa.

– Wysyłałeś do Windy? – zapytałam, zastanawiając się, czy nazwa jest odpowiednia dla wydawnictwa.

Miała to być przerośnia, mówiąca o szybkim i prężnym rozwoju wydawnictwa. Coś jak *Szybcy i wściekli*, co nawet bardziej by pasowało niż jakaś Winda. Przecież nie każda winda jeździ szybko, już nie wspominając o częstych awariach i kosztownych naprawach.

– Wszędzie wysyłałem – rzekł, zasmucony.

– Mam pomysł. – Energicznie wstałam z sofy. – Weź te kartki. – Wcisnęłam mu je w dłonie. – I leć szybko, wyślij im mejla jeszcze raz. – Zaczęłam wypychać gościa w stronę drzwi wyjściowych. – Mam przecieki, że szukają właśnie teraz młodych talentów. – Puściłam mu oczko i zamknęłam drzwi, nie dając nic powiedzieć.

„Zemsta będzie słodka” – pomyślałam, postanawiając poczekać z wykonaniem planu do rana. Zmęczona intensywnym dniem, połączonym z wypiciem zbyt dużej ilości trunku, padłam na łóżko i zasnęłam.

Śniłam o pięknym życiu, w ogóle niepodobnym do chleba z supermarketu ani nawet nie z prawdziwej piekarni. Moje życie było bardziej jak żelki z kwaśną posypką. Słodczy, lekko wyczuwalny kwasek i termin ważności na opakowaniu dłuższy niż na chlebie, mimo iż w ogóle nieprzydatny, bo żelki i tak się nie zepsują.

## 8 stycznia 2016 roku

Poszukiwania laptopa Baśki trwały od rana. Przeczesywanie sypialni Baśki i taty były dla mnie niczym wizyta w Labiryncie Strachu, pomieszanym z Komnatą Śmiechu. Poupychane w szufladach komody przymałe, ciasne zapewne stringi w kolorach tęczy mieszały się z biustonoszami w podobnych kolorach w rozmiarze 75B. „Chyba jak sobie je dobrze wypcha” – pomyślałam, przypominając sobie Baśkowe fistaszki, którym do B zdecydowanie daleko. Kilka nocnych, nawet sprośnych, koszulek bardziej przerażało, niż ekscytowało, mając na uwadze wiek mojego ojca. Pod nimi szczelnie ukryte majtki, ogromne, pasujące zapewne na mojego tatę, jednak serduszka i motylki na nich sugerowały, że należą do kobiety. „Zapewne to tak zwane okresówki” – przypomniałam sobie naszą rozmowę o depilacji, zdając sobie jednocześnie sprawę, że tampon również może być pojęciem tabu. A może Baśka jeszcze z tych od waty i nawet podpaska jest dla niej nowinką?

Druga szuflada to miliony poskładanych w kostkę bokserek, obok których leżały wyprasowane, równo ułożone skarpetki garniturowe. Wszystko miało kolor czarny, ewentualnie granatowy, zero rysunków, jakie są modne w dzisiejszych czasach na męskiej bieliźnie. Zero, absolutnie zero jakiegokolwiek koloru, bo czarnego to kolorem nazwać nie można.

Trzecia szuflada... Zamknęłam ją szybciej, niż planowałam. Pluszowe, różowe kajdanki, które pierwsze rzuciły mi się w oczy, były sygnałem, żeby więcej tam nie zaglądać. „Zapewne to najrzadziej otwierana szuflada” – stwierdziłam, próbując sobie wyobrazić Baškę przypiętą kajdankami do łóżka.

Komoda czysta, laptopa brak. „Gdzie bym położyła komputer, żeby nikt nie znalazł?” – zastanawiałam się, drapiąc się po głowie. Łóżko. Tak, to jest myśl. Kto szukałby czegokolwiek pod łóżkiem? No kto? „Ja!” – odpowiedziałam sobie w myślach, z uśmiechem na twarzy. Zajrzałam pod łóżko, i jest! Stary srebrny samsung leżał pod łóżkiem, jakby tam było jego miejsce. Wyciągnęłam go, otworzyłam i nacisnęłam magiczny guzik włączenia, modląc się skrycie, by nie blokowało go hasło.

„Podaj hasło” – poprosił samsung, chcąc mnie wyraźnie wyprowadzić z równowagi. Gdybym od dziecka wiedziała, że równowaga jest jednym ze zmysłów, zapewne lepiej bym nad nią panowała, chcąc być sprytniejszą i sprawniejszą w działaniu. Pobudzałam swoje niezrównoważone myśli,

próbując znaleźć pomysł na hasło. Wpisałam: Zuza2013, Zuzia13. Komputer wciąż prosił o prawidłowe hasło. „Jeszcze jeden błąd i powinna być podpowiedź” – przypomniałam sobie, wpisując jednocześnie Maks57. Komputer wciąż żądał prawidłowej odpowiedzi, lecz tym razem mi pomógł. „Gdzie pracujesz?” – spytał, bym ja mogła wpisać „Winda”. Laptop jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywitał mnie w swoim świecie (w zasadzie witał Baškę, nie mnie).

Ikonka Chrome znajdowała się na dolnym pasku. Kliknęłam ją, wiedząc, że Baška korzysta jedynie z tej przeglądarki. Tylko ona pozwala jej oglądać seriale na player.pl bez instalowania dodatkowych wtyczek. Okno Chrome otworzyło się, ukazując stronę Google. Weszłam w historię wyszukiwarki i wypatrzyłam to, czego szukałam. Poczta Windy stała przede mną otworem. Głupia Baška miała zapisane login i hasło, myśląc zapewne, że hasło do komputera jest dobrym zabezpieczeniem firmowego laptopa.

Kilkanaście mejli z propozycjami wydawniczymi wyraźnie mnie zaskoczyło. Byłam pewna, że wydawnictwa dostają góra jedną książkę na miesiąc, bo kto normalny czyta książki, a co dopiero je pisze. Pośród dwudziestu dwóch mejli z dnia wczorajszego znalazłam ten od niego. Kliknęłam go, aby wyświetlić treść listu.

Od:seba.krolpisania@op.pl

Temat: Propozycja wydawnicza, Sebastian Poseł „Karykatura życia”

Witam ślicznie,

Po raz kolejny przesyłam moją genialną powieść pt. „Karykatura życia”, którą należy nie tylko przeczytać, ale i wydać, by inni ujrzeli jej blask. Moja przygoda z pisaniem zaczęła się dawno, dawno temu, choć nie za górami i lasami, lecz w stolicy. Jeśli się Pani zastanawia, czy piszę też bajki dla dzieci, bo tak dobrze mi idzie z tym dawno, dawno, to odpowiadam, że jestem otwarty na wszystko. Otwarty niczym sklepy w niedzielę, do których udają się dewoty zaraz po kościele. Tak jak zatem mówiłem, moja przygoda z pisaniem to nie wymysł z wczoraj, na który wpadłem po kilku lampkach wina, to coś, co dotyczy mojego życia od zawsze. Każdego dnia piszę, jednego więcej, drugiego mniej, lecz po tym więcej następuje też dzień, kiedy muszę użyć dłuższej backspace’a.

W załączniku przesyłam plik z książką i informację o mnie wraz ze zdjęciem, na którym, musi Pani przyznać, że wyglądam korzystnie. Zapewne będzie Pani proponowała je na zdjęcie okładkowe i wcale się nie dziwię.

Pozdrawiam,  
Sebastian Poseł

Załączniki:

■ Karykatura życia/Poseł Sebastian

„Pewniaczek” – pomyślałam po przeczytaniu wiadomości. Baśka ma na takich alergię, dlatego też zemsta będzie podwójnie, może nawet potrójnie słodsza niż mamba, którą czasem podjadam diablicy, kiedy nikt nie widzi.

Kliknęłam „odpowiedz”, by przed moimi oczami mogła ukazać się tabela, którą z chęcią uzupełnię o kilka słów ode mnie.

Od: „Barbara Rakoca” <barbara.rakoca@wydawnictwowinda.pl>

Do: seba.krolpisania@op.pl

Temat: Re: Propozycja wydawnicza, Sebastian Poseł „Karykatura życia”

Pani Sebastianie,

Jakże miło mi poinformować, że przez Pana nie mogłam spać całą noc. Czytałam i nie wierzyłam, że taki talent żyje całkiem niedaleko mnie, bo też jestem z Warszawy. Pana książka odpowiada nam i zostanie wydana tak szybko, jak tylko to możliwe. Myślę, że miesiąc, góra półtora i jesteśmy w księgarniach. Wydrukujemy na początek 15000 egzemplarzy, lecz myślę, że to tylko początek. Nawet nie wiem Pan, jak mi miło, że mogłam przeczytać tak dobre coś, czego nazwać w sumie nie potrafię dokładnie. Zapewne zapyta Pan o zarobek, dlatego już dziś mówię, że możemy iść pół na pół od ceny tej z tyłu. Proszę o kontakt, czy decyduje się Pan przyjąć nasze warunki.

Pozdrawiam,  
Barbara Rakoca  
Dyrektor wydawniczy  
Wydawnictwo Winda

Przycisk „wyślij” uśmiechał się do mnie, abym się nie rozmyśliła, nim go nacisnę. Jeden klik i mejl powędrował w cyberprzestrzeń, aby móc dotrzeć do domu obok. Swoją drogą ciekawe, czy mejl do sąsiada idzie tak samo szybko, jak mejl do innego kraju. Przecież to niemożliwe, aby wiadomość przeleciała tysiące, czasem miliony kilometrów, nie męcząc się taką prędkością. Muszą być w niej jakieś braki, typu zły załącznik czy błędy w słowach.

Mejl trafił zapewne do adresata, bo drzwi wejściowe nagle otworzyły się z wielkim hukiem. „Zaczyna się burza” – pomyślałam, zacierając dłonie z radości, jednocześnie zamykając komputer, by schować go pod łóżko.

– Zośkaaa! – Głos Baški nawet z takiej odległości mnie przerażał.

Niespiesznie zeszłam na dół, by powitać interesowiczów z Dominikany. Twarze obojga wydawały się przygnębione, oczy Baški, lekko podkrążone, wskazywały na dużą ilość wylanych łez w niedługim czasie. Zrobiło mi się ich nawet żal i chciałam powiedzieć im prawdę, lecz przypomniałam sobie, jak ja się czułam, kiedy to oni się ze mnie śmiali.

– Czemu nie odbierasz?! – Sama nie wiem, czy to było pytanie, czy bardziej stwierdzenie, jakie opuściło usta Baški.

– Nie było mnie w domu – rzuciłam obojętnie.

– Nie by-ło cię w do-mu? – sylabizowała Baška.

– No nie, a co?

– A co się jeszcze, kurwa, pytasz? – Wściekła się, co uradowało moje serce jeszcze bardziej.

Gdyby w domu był worek bokserski, Baška śmiało mogłaby w niego walić, aby się odprężyć. Złość wpływała niekorzystnie na jej cerę, która nawet po urlopie była poszarzała, z delikatnie wynurzającymi się zmarszczkami. Jeszcze dwa lata i pewnie cała będzie pokryta fałdami zmarszczek, jak rasowa staruszka, nieużywająca kremów.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś, nie powiedziałaś...? – Zaczęła płakać.

– Nie chciałam was martwić – powiedziałam słodko. – Mielście odpocząć, załatwić interesy, a po co was jeszcze dodatkowo stresować?

– To kiedy miałaś nam zamiar powiedzieć? – Do rozmowy włączył się tata.

– Nie wiem. – Spuściłam głowę. – Szuka jej policja, telewizja, radio i inne media pewnie też wiedzą. Powiadomiłam detektywa Górnickiego, a wy i tak niewiele byście dali radę zrobić.

– Ale byśmy byli! – krzyknęła Baška, przytulana przez tatę.

Obejmował ją jak małe dziecko kołysane do snu. Ich widok z jednej strony mnie wzruszał, z drugiej – wynagradzał moje cierpienia. Przypomniałam sobie swoją radość na myśl, że będę w telewizji, o telefonach od producentów, które okazały się fiaskiem i wytworem mojej wyobraźni. Ktoś przekreślił moje marzenia jednym, szybkim ruchem pisaka. Tym kimś byli Baška i ojciec. Litość musiała odejść w niepamięć. Należało ją uśpić, jeszcze zanim na dobre się ukazała. Zalążek nie mógł się rozrosnąć. On musiał

zginąć.

– Zośka, gdzie ona może być? – Baśka trochę się uspokoiła.

Spojrzałam na nią, beznamiętnie wzruszając ramionami.

– Pewnie się cieszysz, że zniknęła! Może ją zakopałaś gdzieś pod domem!

„Były takie myśli” – uśmiechałam się do siebie, wiedząc, że nie mogę powiedzieć tego na głos.

– Marietta mówiła, że przeszukały dom i ogród – przypomniał jej ojciec.

Czułam narastającą we mnie złość. Nawet on we mnie nie wierzył. Zapewne gdyby nie słowa czterech wredot, to sam wzięłby łopatę i kopał wkoło domu, szukając ciała Zuzki.

Sięgnęłam po iPhone'a, aby napisać SMS-a do Sebastiana. Chciałam wiedzieć, ile mu jeszcze czasu potrzeba, aby jego cierpienia zostały wynagrodzone. W końcu to on musiał spędzić z diabłami pod jednym dachem ponad dobę. Nim wcisnęłam „wyślij”, dostałam SMS-a o treści: „Idziemy”.

Łomotanie do drzwi i szybkie naciśnięcie klamki mimo braku słowa „proszę” świadczyły o złym stanie psychicznym ludzi za nimi. Tori i Arti wyglądali zupełnie inaczej, niż ich sobie wyobrażałam. Matka Sebastiana zupełnie nie przypominała osoby, którą z radością oglądałam na ekranie. Była zdecydowanie starsza, brzydsza i lekko pulchniejsza. „A mówią, że telewizja pogrubia” – przypomniały mi się słowa znanych aktorek, które często na Pudelku tłumaczyły kilka kilogramów więcej jako przekłamanie kamery czy aparatu.

– Cześć – wesoło rzucił Sebastian na mój widok.

Zastanawiałam się, czy odczytał już mejla. Czy był szczęśliwy, bo Baśka do niego napisała, czy może faktycznie to mój widok tak go ucieszył? Nie miałam odwagi zapytać. Wydawało mi się to trochę nie na miejscu w sytuacji zaginięcia dwóch wstrętnych ropuch.

– Usiądźcie – zaproponował Sebastian, wskazując dłonią sofę, której cudem nie zasmrodził.

Cała czwórka niczym posłuszne pieski usiadła. W żadnym z nich nie odezwała się buntownicza dusza. Zapewne poproszeni o podanie łapy, wszyscy niczym automat wysunęliby ręce przed siebie.

– Powiemy wam, gdzie są dziewczynki, jak nam wyjaśnicie, po co tak kombinowaliście. – Sebastian od razu zaczął stawiać twarde warunki, czym mi zaimponował.

Piorunujące spojrzenie Baśki trafiło we mnie niczym rakietą.

– Mówiłam... mówiłam, że ona coś wie. – Dwa lata, które jej wróżyłam na opanowanie twarzy przez zmarszczki, to optymistyczna wersja, bardzo optymistyczna.

– Więc? Zgadza się? – dopytywał Sebastian.

Skinęli głowami. Skoki synchroniczne nie są tak perfekcyjne jak ich skinienia.

– Bo my chcieliśmy tylko... – zaczęła Tori.

– Chcieliśmy, byście się poznali, zbliżyli do siebie – dokończył tata.

Sebastian uśmiechnął się i przyciągnął mnie do siebie, składając na moich ustach czuły, długi pocałunek. Ziemia nie wirowała, motyle nie latały, lecz było w tym coś niesamowitego. Coś, co smakowało podobnie słodko jak zemsta.

– Gdzie one są? – zapytała Baśka.

– Baśka, pomyśl, udało się, wyprowadzą się – radował się Arti, prawie podskakując na sofie.

„Wredny, kretyński balon” – pomyślałam o nim, nie mogąc patrzeć na jego wręcz nadmuchane mięśnie, rozdzierające prawie koszulkę.

Sebastian sięgnął po swój telefon i wybrał numer Bożeny. Czekał chwilę, aż w końcu powiedział:

– Daj je do telefonu.

Włączył tryb głośnomówiący, czekając, aż usłyszy głos diabolic.

– Cześć, Sebuś! – krzychała radośnie Julka.

– Kochana... – wzruszyła się Tori.

– Mama, a co ty tam robisz? Mieliście być na Domkikanie – zauważyła Julka.

– Zuziu, jesteś tam? – dopytywała się Baśka.

– Mamusia? – usłyszałam znajomy głos ropuchy. – A wiesz, że ja dziś kuly kalmiłam – chwaliła się.

Baśka wytarła chusteczką oczy, z których wciąż płynęły łzy. Tym razem zapewne były to łzy szczęścia.

– Zuziaku, przecież ty ładnie mówiłaś r, co się stało? – W Baśce obudził się instynkt wychowawczy.

– Babcia Bożena powiedziała, że jestem za mała, żeby mówić tak ładnie r – trajkotała jak najęta – więc zapytałam, jak mówią inni, a ona powiedziała, że mówią l nie r. Zobacz, potłafię nawet powiedzieć twoje imię po dziecinnemu. Bal-ba-la – sylabizowała z dumą w głosie. – Wiesz, mamu, szkoda że tak mało słów ma w sobie to całe r, bo tak fajnie jest z tym l.



Wszyscy uśmiechnęliśmy się mimowolnie, słysząc złote myśli mojej trzyletniej siostry. Aż strach pomyśleć, jaka będzie za kilka lat, skoro już jako trzylatka ma do powiedzenia więcej niż niejeden dorosły.

– Zuziu, tatuś niedługo po ciebie przyjedzie.

– Ja nie chcę! – zaprotestowała. – Babcia mówiła, że będziemy doić kłowy i kalmić klóliki. Tutaj jest tak supelaśnie, że mogłabym tu zostać na zawsze. Te wszystkie zwierz... Babciu, a jak dzieci mówią zwierzęta? – Ostatnie pytanie nie było skierowane do nas. – Te wszystkie zwierzęta są niegłoźne i miłe, chcą się nawet z nami bawić po swojemu.

– Jak to bawić? – zainteresował się tata.

– Na przykład klówka Lóža lubi się bawić w chowanego, ja się chowam za nią, a ona się odwłaca i mnie znajduje, a pies Maksiu apoltuje, on ma takie imię jak tatuś, może są lodziną. – Z głosu Zuzki biła radość.

– To kiedy mamy po was jechać? – zapytała Tori.

Po drugiej stronie słychać było, że dziewczynki się namawiają.

– Za tydzień. Pa – odpowiedziała Julka, rozłączając się pospiesznie.

Dojenie kłowy wygrało z rozmową z rodzicami. Dziewczynki najwyraźniej były szczęśliwe i swoją karę przyjęły jako najlepszą nagrodę.

– Masz szczęście, że nic jej nie jest – rzuciła Baśka, idąc na górę, a ja marzyłam, aby jak najszybciej włączyła swój laptop.

Jej krzyk słyszała cała dzielnica, ale dopiero pół godziny później. Odzieraną ze skóry krokodyl nie wrzeszczałaby zapewne tak głośno, jak ona. Sąsiedzi mogli pomyśleć, że ktoś ją torturuje, zdzierając z niej wpierw naskórek, potem skórę właściwą wraz ze znajdującym się w niej owłosieniem, by dojść do tkanki podskórnej.

– Zabiję ją, zabiję! – słyszałam coraz głośniejsze, co świadczyło o zbliżającej się do mojego pokoju nawałnicy, zwanej Baśką.

– Puka się – zwróciłam jej uwagę, kiedy wpadła z impetem.

– I kto to mówi? Ja mam pukać, a ty pytasz, jak wysyłasz mejle w moim imieniu? Przecież on mnie zabije, jak dam do druku to... to gówno, nie, sorry, do gówna chociaż muchy lecą, a tego nikt nie dotknie. Czytałam jedną stronę i nie da się więcej. Ty wiesz, co ty zrobiłaś?!

Patrzyłam na nią, niewzruszona. Jedna książka w tę czy we w tę nie zaszkodzi wydawnictwu, wręcz pokaże, że są oni otwarci na coś nowego.

– Borek mnie zabije – lamentowała. – Udusi, zadźga nożem, a potem powiesi na suchej gałęzi, bym na pewno umarła.

– Baśka, nie przeginaj.

– Masz rację... – Wypięła dumnie pierś do przodu. – Krystek z grafiki mówi, że powieszenie na suchej gałęzi nic nie da, bo siła grawitacji jest większa niż moc uschniętego drzewa. W takim wypadku mogę się jedynie modlić, aby nie powiesił mnie za wysoko, żeby ewentualnie się tylko połamać, chociaż już i tak będę zabita, bo mnie udusi i zadźga nożem.

Jej składnia była tak niepoprawna, że nawet ja byłam to w stanie dostrzec. Zdenerwowana Baśka łudząco przypominała pijaną Baškę, która gada byle gadać, nieważne co, byle słowa wypływały na zewnątrz i były słyszane przez innych.

– Toć to tylko kilka książek, nawet nie zauważy. – Sama nie wiem, czemu zaczęłam ją pocieszać.

– Kilka?! – Zaśmiała się histerycznie. – Piętnaście tysięcy to nie kilka, to dziesięć razy więcej, niż zazwyczaj oferujemy, a podział pół na pół jest w zasadzie niemożliwy do zrealizowania.

– Przecież i tak zarabiacie na tym pięćdziesiąt procent. – Dziwiła mnie zachłanność wydawnictwa.

– Jakie pięćdziesiąt procent? Musimy opłacić drukarnię, grafika, redaktorów, korektora, dystrybutorów i całą gamę osób, o których nie masz pojęcia, bo nie czytasz książek, a tym bardziej ich nie wydajesz! I jeszcze mamy to zrobić w miesiąc. Ty ogłupiałaś kompletnie.

– Nie ma rzeczy niemożliwych – rzuciłam słodko, przeczesując włosy.

– Ta książka będzie plagą dla wydawnictwa. Zamiast, jak planował Borek, piąć się niczym winda ku górze, my stoczmy się z nią na samo dno.

– Przecież winda jeździ też w dół – przypomniałam jej.

– Nie nasza. – Odwróciła się, wściekła, na pięcie, by wyjść z mojego pokoju.

Słodycz, jaka opanowała całe moje ciało, była bardzo przyjemna. Tak mogłoby smakować życie każdego dnia. Nie potrzeba mi nic więcej, wystarczy ten przyjemny stan, lampka wina i leżak, skierowany wprost do słońca. „Winda jakoś sobie poradzi” – pomyślałam na chwilę o wydawnictwie. Nawet ona czasem musi się popsuć, aby móc ponownie zacząć jeździć ku górze, by znów spaść po kolejne książki. Niech Winda będzie książkowym blokiem, gdzie na każdym piętrze wysiadają książki. Te słabe jako pierwsze lub wolą iść schodami, bo jest im wstyd pokazać się wśród lepszych mieszkańców książkowego bloku. Książka Sebastiana czekała na Windę, lecz do niej nie wsiadła. Nie ze wstydu, nie z powodu rezygnacji. Wolą zostać na parterze lub zejść do piwnicy, bo znała swoje

miejsce. Miejsce, o którym niedługo będzie głośno na pewno w całym wydawnictwie Windy, a może i w całej Polsce.

# 11 stycznia 2016 roku

Od dziś zaczynam swoje nowe życie. Czy lepsze, sama nie wiem, do tej pory nie mogłam narzekać na życie księżniczki z wielkiego domu. Bogatej, szczęśliwej, mającej, co tylko zechce, zanim zdąży pomyśleć, że właśnie tego potrzebuje. Nadszedł jednak czas, aby dorosnąć. Złapać życie w dłonie i nie pozwolić mu się wyrwać, kiedy nie uznam tego za stosowne. Dziś zaczynają się zajęcia na moim wymarzonym kierunku – seksuologii klinicznej. Już teraz wiem, że to strzał, nie pudłowany, lecz, o dziwo, celny. W mojej wyobraźni zaczyna tworzyć się wizja niewielkiego, przytulnego, jasnego gabinetu, gdzie będzie stał wygodny, jasny skórzany fotel, obok którego swoje miejsce zajmie sofa identycznego koloru. Jasne ściany z licznymi dyplomami znakomitej seksuolożki, Zofii Majer.

Oficjalne rozpoczęcie zaplanowano na dwunastą w auli głównej. Zebrani przed wielkimi metalowymi wrotami ludzie byli prawdopodobnie moimi kolegami z roku. Nie było wśród nich większych grup, ewentualnie stali dwójkami, choć większość była samotna.

Drzwi uchyliły się, abyśmy mogli wejść do ogromnej auli, zdecydowanie okazalszej niż sale wykładowe na kosmetyce. Taka dostojna, ze zdobionym sufitem i ścianami w kolorze wytrawnego czerwonego wina.

Zajęliśmy miejsca na kolorystycznie dopasowanych do ścian krzesłach i czekaliśmy na rozpoczęcie. Niska, szczupła kobieta stanęła przy mównicy. Ubrana niespecjalnie uroczyście, z luźno upiętymi włosami, mogła mieć koło pięćdziesiątki.

– Witajcie, kochani – zaczęła wesoło. – Nazywam się Malwina Latko i mam tytuł profesora. W tym roku objęłam stanowisko dziekana, po odejściu na emeryturę profesora Janusza Łukaszewskiego. Plany zajęć zostały wysłane na wasze adresy mejlowe, a także zamieszczone są na stronie internetowej uczelni. Na tej liście... – Podała plik kolorowych kartek kilku osobom z przednich rzędów. – ...macie zapisane podręczniki, na których będziecie bazować. Oczywiście, każdy wykładowca doda coś od siebie, ale te zapisane przeze mnie są absolutnym minimum. Studenci nauk o wychowaniu niech wezmą zielone kartki, psychologii – niebieskie, seksuologii klinicznej – różowe, a pedagogiki – białe. – Nabrała powietrza, by kontynuować. –

Oczywiście wszystkie pozycje dostępne są w naszej bibliotece, ale sądząc po liczbie studentów, należy mieć niesamowite szczęście, aby je dostać. Czy są jakieś pytania?

Rozejrzała się po sali, szukając rąk w górze.

– Proszę. – Wskazała na chłopaka w ostatnim rzędzie.

– Jestem studentem psychologii i widzę, że dużo ładnych dziewczyn zainteresowało się różowymi kartkami, czy będzie możliwość zajęć praktycznych na naszych kierunkach, tak się mieszając – mówił z wymuszoną, poważną miną.

– Kto by chciał z tobą seks trenować. – Zaśmiał się ktoś z tyłu.

– Chyba nigdy nie używał i dlatego taki chętny – skomentował ktoś inny.

– Cisza! – Pani profesor musiała podnieść głos. – Sądzę, że musi pan porozmawiać o zajęciach praktycznych z koleżankami, nie ze mną. – Puściła do niego oczko.

Chłopak usiadł i rozejrzał się za różowymi kartkami. Próbowałam ukryć swoją, lecz nie zdążyłam. Namierzył mnie.

– Jeśli nie ma więcej pytań, to dziękuję i zapraszam jutro na zajęcia. – Dziekan pomachała nam przyjaźnie i wyszła z auli.

Zebrałam się jak najszybciej, aby chłopak od „praktyk” mnie nie dopadł. Pełna chęci do nauki, chłonna zdobywania wiedzy, dzielącej mnie od wymarzonych dyplomów specjalisty, postanowiłam pójść do księgarni i zakupić kilka podręczników z różowej listy. Sięgnęłam po iPhone’a, aby zobaczyć, gdzie znajduje się najbliższa księgarnia. Dwieście metrów, w sumie całkiem blisko, więc mogę pójść pieszo. Dumna z siebie i swojego zapału do nauki, widziałam już oczyma wyobraźni elegancką kobietę w modnych sukienkach, niosącą w dłoniach specjalistyczne podręczniki. Kobieta wyglądała inteligentnie i, co najważniejsze, pięknie. Tą kobietą byłam ja. Ja za rok, może dwa lata.

Napis „księgarnia” była tak duży, że dziwiłam się, że wcześniej go nie dostrzegłam. Nie widziałam nigdy sklepów z książkami, nie licząc empiku, gdzie chodziłam po płyty z muzyką lub gry dla chłopaków. Niewielka księgarnia daleka była od metrażu empiku. Stojąca za ladą młoda pani w okularach czytała właśnie jakąś książkę. Była nią na tyle pochłonięta, że zdawała się nie zauważać mojego przyjścia. Spacerowałam między regałami, nie wiedząc, jak szukać interesujących mnie książek. Przy regale z napisem „Prawo karne” z mojej torebki wydobył się dźwięk telefonu. Okularnica dopiero teraz mnie dostrzegła, piorunując mnie spojrzeniem.

– Gdzie ty jesteś? – zapytała Baśka.

– W księgarni – wyszeptałam, aby okularnica mogła spokojnie czytać.

– Gdzie?!

– Tak, dobrze słyszałaś.

Śmiechowi Baśki wtórowały inne. Musiały z nią być jeszcze jakieś osoby.

– Czyżbyś już szukała książki Pośła? – Zaśmiała się.

– Czyżbyś już dostała ostatnią dawkę tabletek przed śmiercią, że tak ci wesoło? – Odświeżyłam w pamięci jej niedawne lamente o uduszeniu, zadźganiu nożem i powieszeniu na suchej gałęzi.

Baśka z towarzysztwem śmiali się coraz głośniej.

– Pijemy szampana – rzuciła nagle. – Borek mówi, że to doskonały pomysł z tą *Karykaturą życia*, bo liczy się reklama.

– Co? – Zaczęłam mieć problem z rozumieniem jej słów.

– My wydamy Pośła, ludzie go wyśmieją, a nazwa naszego wydawnictwa będzie wszędzie, najpierw będą o niej mówić źle, ale tydzień po Pośle wydamy absolutny hit i Winda znów pofrunie do nieba – bełkotała coraz mniej wyraźnie.

– Aha, fajnie.

– A jak Borek się dowiedział, że jego matką jest ta cała Tori z tego programu, to pomyślał, czy nie zaproponować jej napisania książki o współczesnym designie. – Śmiała się.

– Lepiej nie. – Przypomniałam sobie hol ich domu i doszłam do wniosku, że jej książka mogłaby nawet na piwnicę się nie nadawać w tej ich Windzie.

– Baśka, gdzie znajdę podręczniki?

Cisza po drugiej stronie nie zwiastowała dobrych wieści.

– W księgarni. – Baśka ponownie wybuchła śmiechem.

– Toć wiem, po to tu jestem, ale gdzie dokładnie.

– Za takim czymś zwanym ładą powinna stać pani lub pan, to zapytaj – instruowała mnie.

– Ale ona czyta – powiedziałam tak cicho, jak tylko potrafiłam.

– To jej, cholera, przerwij – rzuciła, rozłączając się.

Schowałam telefon do torebki i wolnym krokiem ruszyłam ku ladzie. Okularnica, zajęta książką, wyraźnie mnie ignorowała. Stałam przed nią, zastanawiając się, kiedy zwróci na mnie uwagę, jednak to nie następowało. Musiałam dać o sobie znać, chrząkając, by łaskawie na mnie spojrziała.

– *Greya* i *Kamasutry* nie sprzedajemy. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – To księgarnia z podręcznikami akademickimi.

– Wiem, ja właśnie takich szukam. – Podałam jej różową kartkę.

– Legalna blondynka tylko z czarnymi włosami – rzuciła cicho, lecz usłyszałam. – Wiele się nie pomyliłam – dodała głośniej, przeglądając listę

podręczników. – Proszę iść tam, czwarty regał po lewej stronie. – Ponownie wróciła do czytania.

Regał z książkami był wyższy niż ja. Jak na złość dwie z zapisanych pozycji znajdowały się właśnie na samej górze. Rozejrzałam się za drabiną lub chociażby krzesłem, na którym mogłabym stanąć, lecz nic takiego nie było w pobliżu. Musiałam je kupić, wystarczyło tylko trochę pogłównkować, jak do nich dosięgnąć. Okularnica i jej pomoc odpadały w przedbiegach. Musiałam wymyślić coś innego. Ustałam na palcach, aby sprawdzić, ile centymetrów mi brakuje do upragnionych książek. „Maksymalnie piętnaście” – oszacowałam i sięgnęłam po duże, ciężkie książki z regałów niżej. Zaczęłam je bezpiecznie układać na ziemi, jedna na drugą. Uzyskując satysfakcjonujący książkowy schodek, ustałam na nim, by sięgnąć po książki.

– Co pani robi? – usłyszałam wściekły głos okularnicy.

– Sięgam po książki, które są zbyt wysoko – wytłumaczyłam spokojnie.

– Pani nie wie, że książki się czyta? Czy-ta! A nie po nich chodzi.

Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc, o co ta cała afera. Zdecydowanie lepiej sprawdzała się, czytając za ladą, niż wtrącając się w życie klientów.

– Jak widzisz, można mieć i jedno, i drugie. – Wzięłam książki i ruszyłam ku ladzie.

Okularnica pobiegła za mną, widząc, że wydam na podręczniki pewnie połowę tego, co ona zarabia tutaj przez miesiąc.

– Pięćset trzydzieści sześć złotych – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Podaliśmy jej kartę.

– Odmowa.

Otworzyłam portfel, by wyjąć drugą kartę.

– Odmowa – powiedziała kolejny raz.

Wytaczając ciężkie działo, wyjęłam ostatni ratunek, kartę kredytową.

– Znów odmowa.

– Chwileczkę, zadzwonię tylko – powiedziałam, nerwowo przeszukując torebkę w poszukiwaniu iPhone'a. – Tato, karty nie działają – powiedziałam od razu, kiedy odebrał telefon.

– Bo je zablokowałem – odparł spokojnie.

– Czemu? – zdziwiłam się.

– Za numer z Zuzką – powiedział. – Musisz zacząć zachowywać się dorośle.

Zesztywniałam, wiedząc, że nie tata był pomysłodawcą mojej kary.

– Właśnie chciałam kupić podręczniki w księgarni – dukałam, wściekła i zarazem smutna.

– Podręczniki? W księgarni? – Tata wyraźnie nie wierzył. – Zaraz ci odblokuję złotą kartę VIP.

Okularnica czekała na wieści ode mnie, wyraźnie zniesmaczona sytuacją. Z najlepszego klienta, jakim byłam przez chwilę, ponownie stałam się dla niej pustą lalką czytającą jakiegoś *Greya*.

– Zaraz zapłacę, karta się zablokowała – tłumaczyłam.

– Sama się zablokowała? – Zaśmiała się, a ja podałam jej ponownie kartę. – PIN proszę.

Wpisałam kod po raz czwarty, bojąc się, że znów usłyszę straszny dźwięk, do którego nie byłam przyzwyczajona. Dźwięk odmowy, o którym nie miałam wcześniej pojęcia.

– Zaakceptowana. – Okularnica podała mi wydruk, a ja spokojnie wypuściłam powietrze z płuc.

Wzięłam moje podręczniki i wyszłam z księgarni, czując, że powoli realizuję swój plan. Elegancka kobieta z książkami w dłoniach to byłam naprawdę ja. Przyszła powierniczka małżeńskich i pozamałżeńskich problemów, doradca w ich rozwiązywaniu i lekarz wypalonych rutyną dusz.



## 21 stycznia 2016 roku

Lata temu czekałam na ten dzień z utęsknieniem. Podróż do babci i dziadka była spełnieniem dziecięcych marzeń. Malowałam dwie laurki, na których obok niewyraźnych rysunków stawiałam koślawe litery. Babcia z dziadkiem się cieszyli, dziękowali, dawali czekoladę, a potem dziadek opowiadał, jak życie wyglądało kiedyś. Uwielbiałam te jego historie. Zapewne lekko koloryzowane, żeby przyciągnąć moją uwagę, jednak zawsze fascynujące. Polowanie na niedźwiedzia, ucieczka przed dzikami czy gaszenie płonącej chałupy to tylko nieliczne z nich. Co roku była nowa opowieść, jedyna w swoim rodzaju, jedyna w ciągu całych trzystu sześćdziesięciu pięciu dni. Rodzice mamy, a moi dziadkowie, niechętnie nas zapraszali. Mimo kilkudziesięciu kilometrów, które nas dzieliły, spotykaliśmy się tylko raz do roku, właśnie w Dzień Babci. Tego dnia nie mogli się wykić spotkaniem z kimś innym. Mieli tylko jedną wnuczkę, której nie chcieli zbyt często oglądać. Byłam dla nich zabójcą. Wtedy tego nie wiedziałam, lecz dziś wiem, że musieli udawać, że się cieszą z mojej obecności. Dla nich byłam problemem, kimś, kto zabrał im ich jedyne dziecko.

Prosto od dziadków jechaliśmy na cmentarz, położony niedaleko ich domu. Tam kupowaliśmy kolorowe znicze i kwiatka w doniczce, u pani w przymentarnym sklepiku. Stawialiśmy je na grobie Jadwigi i Stanisława Majerów, a potem się modliliśmy. Tata nauczył mnie, co mówić w myślach, kiedy pochylałam się nad grobem. Wiem, że wielu dorosłych do dziś, stojąc nad grobami, tylko udaje, że powtarza coś w myślach, nie wiedząc, co to miałyby być. Zawsze odwiedzaliśmy też grób mamy, tata opowiadał, jak bardzo mama mnie kochała i że na pewno patrzy na nas z góry i jest ze mnie dumna. Wtedy nie wiedziałam, czym jest duma. Wiedziałam, że jest czymś schlebającym, więc się cieszyłam.

Teraz Dzień Babci i Dzień Dziadka są kolejnymi datami w kalendarzu, kiedy wypada jechać na cmentarz. Nie został mi już nikt, kto mógłbym raczyć moją głowę ciekawymi opowieściami o życiu. Życiu, które w jednej sekundzie można stracić, zamieniając się później w popiół.

– Pseplasam, kupi pani kwiatka? – zapytała mała Cyganeczka w kolorowej spódnicy.

– Dla kogo?

– Dla kogo pani ce. – Pokazała swój niepełny uśmiech.

– Mogę kupić go dla ciebie?

– Dla mnie nie, ale dla pani ta – powiedziała słodko, kiwając przy tym głową.

Sięgnęłam ręką do torebki, chcąc wyjąć z portfela dziesięć złotych. „Niech kupi sobie coś słodkiego” – pomyślałam, patrząc na wychudzoną śliczną dziewczynkę. Jej ciemne oczy i ciemne włosy idealnie współgrały z typową cygańską urodą. Podałam małej banknot, ściskając przy tym na dłużej jej drobną dłoń.

– Jak ci na imię? – zapytałam.

– Viollca – odpowiedziała i pobiegła w kierunku grupki Cyganów.

Mogła mieć może ze cztery lata. Była prawie w wieku diablity, lecz tak od niej różna. Miła, ułożona, grzeczna. A może to tylko pozory? Zuzka też uznawana była przez moje przyjaciółki za złote dziecko, nawet jej dziadkowie stworzyli w swym domu mały ołtarzyk z jej zdjęciami i laurkami od niej. Pewnie i dziś namaluje kilka niedbałych kresek na białych kartkach i z dumą wręczy dziadkom, słysząc przy tym, jakie są piękne, a ona zdolna. Aż dziw, że dorośli zmuszają się do takich kłamstw, by sprawić radość dziecku. Coś, co nadaje się jedynie do kosza, bo nawet niszczarki na to szkoda, stawiają na honorowym miejscu, by móc podziwiać i pokazywać innym. Bazgroły traktują jak arcydzieło, którego autorem byłby sam Picasso lub Rembrandt.

Dźwięk SMS-a przerwał moje rozmyślenia. Na ekranie mojego ukochanego iPhone'a widniała koperta, a obok niej podpis „Sebastian”:



Co powiesz na obiad lub chociażby kolację, aby zapoznać się w innych warunkach, niż te, które nam zgotowali?

Uśmiechnęłam się sama do siebie, a róża od Viollci wypadła mi z dłoni. Sięgnęłam po nią, wybierając jednocześnie numer Sebastiana.

– Cześć, odczytałam twojego SMS-a – zaczęłam rozmowę. – Co powiesz na obiad w Pasta Mia? Mają tam doskonałe makarony, zresztą jak sama nazwa wskazuje. No, chyba że nie lubisz makaronów, to...

– Lubię. Pasuje ci o czternastej? – przerwał mi.

– Będę na pewno – potwierdziłam.

– Do potem – pożegnał się i rozłączył.

Miałam jeszcze trochę czasu, zatem wybrałam się na spacer do galerii. Złote Tarasy powinny być puste o tej godzinie, a od nich nie jest daleko do Pasta Mia, gdzie umówiłam się z Sebastianem na obiad.

Mohito, New Look, Reserved i koniec czasu na zakupy. Kilka

najpotrzebniejszych ubrań zmieściło się w jedną dużą papierową torbę. Przechodząc obok metra, ponownie zobaczyłam, jak mała Violca sprzedaje kwiaty. Poznaje mnie, posyłając uśmiech w moim kierunku.

Do Pasta Mia dotarłam pierwsza. Byłam przed czasem, choć tego nie planowałam. Zazwyczaj to ja każę na siebie czekać, nie na odwrót. Kelnerka podała dobrze mi znaną kartę dań.

– Czekam na kogoś – zaznaczyłam, kiedy zapytała, co podać.

Sebastian zjawił się punktualnie. Ubrany w koszulę w drobną kratę i granatowe spodnie, wyglądał elegancko i jednocześnie męsko. Wręczył mi różę, kupioną zapewne od małych Cyganów przed metrem, i usiadł naprzeciwko.

– Co polecasz? – zapytał, zdając sobie sprawę, że nie jestem tu pierwszy raz.

– Jak patrzę na ciebie, to mogę ci zaproponować crostini na początek. – Zaśmiałam się.

Zerknął w kartę, aby zobaczyć, co kryje się pod wypowiedzianą przeze mnie nazwą.

– Kocham bekon. A ty pewnie zaczniesz od pasty?

Skinęłam głową. Tagliatelle z nutą czosnku, natką pietruszki, chili i parmezanem było moim stałym wyborem.

– A potem? – zapytał.

– Ja chcę pastę z łososiem. – Zerknęłam w kartę – Pappardelle Auror.

Sebastian ponownie zerknął w kartę.

– Brzmi smakowicie, ale ja zostanę przy bekonie i wybiorę Pappardelle Porcini. – Delikatnie oblizał usta. – Do picia sok?

Skinęłam głową i zamknęłam swoją kartę. Kelnerka, widząc mój gest, podeszła do nas, aby zebrać zamówienie. Sebastian wyrecytował je niczym wiersz w szkole, dodając do niego affogato na deser.

– Jak sytuacja w domu? – zaczął rozmowę.

– Baśce powoli przechodzi, ojciec odblokował mi kartę, a Zuzka jest wdzięczna za pobyt u babci Bożeny. Nadęta, żółta rybka znów pływa w telewizorze, co sprawia, że nie mogę spać w nocy, bo boję się, że ona kiedyś stamtąd wyskoczy – trąkotałam nerwowo.

Sebastian głośno parsknął śmiechem, nie zważając na ludzi wkoło.

– Widzę, że masz u siebie w domu takiego samego wroga jak ja – powiedział wesoło. – Tylko ja nazywam ją napompowaną, sztuczną płetwalką.

- Płetwalką? – Nie znałam takiego słowa.
- No skoro ma płetwy, to może być płetwalką – wytłumaczył.
- A jak u ciebie?

Kelnerka postawiła przed nami szklanki z sokami i przystawki. Sebastian sięgnął po swój tost z bekonem, by ugryźć kawałek.

– Hm... dobry. – Delektował się. – Jak u mnie... sam nie wiem, ja wciąż piszę, a Arti i matka jeżdżą co rano kręcić programy. Zadzwoiłem do ciebie, bo przez ciebie nie mogę pisać...

Zaraz padnie lawina komplementów, które przyjmę, jakbym słyszała je pierwszy raz. Potem wyjaśni, że pocałował mnie nie na pokaz, lecz dlatego, że właśnie tak czuł i tego chciał. Ja udam niedostępną, on będzie się starał, aż w końcu zgodzę się spędzić z nim więcej czasu niż tylko dzisiejszy obiad.

– Nie mogę przez ciebie pisać, bo zostawiłem u ciebie mojego pendrive'a z plikami książek do dokończenia.

Czar prysł.

– Jak to? – Zatkano mnie.

– Kiedy przyniosłem ci ten wydrukowany fragment mojej książki, to rzuciłem go chyba na stolik w salonie... A może to była kanapa? Taki zielony kapsel Tymbarka, wygrałem go za nakrętki kilka lat temu – mówił z dumą w głosie, a ja czułam, jak zapadam się pod ziemię. – Mam zapisane pliki w komputerze, ale jakiś czas temu głośno było o hakerach i zabezpieczyłem je hasłem, którego nie pamiętam. Ostatnio korzystałem tylko z kopii z kapsla.

Niezręczne milczenie przerwała kelnerka, przynosząc nam dania. Widelcem dłubałam łososia, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie rozumiałam czemu, ale ten chłopak fascynował mnie coraz bardziej. Nie, nie podobał mi się jako mężczyzna. Po prostu fascynował.

– Jak tu trafiłaś? – zapytał nagle. – Pierwszy raz – dodał, a ja zrozumiałam, że chodzi mu o Pasta Mia.

– Kiedyś po zakupach z dziewczynami wpadłyśmy tutaj coś zjeść. Był wybór między Kebab Kingiem a makaronem tutaj. Tylko Monika głosowała za kebabem, więc drogą demokracji poszłyśmy na makaron. I tak się zaczęło, a potem stało się wręcz pozakupową tradycją – odpowiedziałam.

– Zazdrość ci.

– Każdy może tutaj wejść, więc nie ma czego zazdrościć.

– Zazdrość ci tych twoich przyjaciółek – wyznał. – Ja nie mam za dużo znajomych, a co dopiero przyjaciół. Został chyba tylko Kordian, wierny

muszkieter, z którym co jakiś czas gadam na Skypie.

– To chyba ja powinnam ci zazdrościć. – Zaśmiałam się, wspominając moje kłótnie z dziewczynami.

Sebastian spojrział na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Dla niego przyjaźń była czymś nieznanym, nie zdawał sobie sprawy, że może ona być czasem męcząca.

– Baškę już znasz, więc o niej nie będę już mówiła, bo wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że częściej mamy inne zdanie niż takie samo. Berka jest teraz w ciąży. Normalnie była roztrzępana i zakręcona, ale teraz przechodzi samą siebie. Ten jej Karol to order od prezydenta dostanie już po roku stażowego, nie musi czekać na pięćdziesięciolecie. Potem jest Mari, cholernie uporządkowana osoba. Czasem mam wrażenie, że w torebce nosi z sobą mały odkurzacz, aby na bieżąco pozbywać się wszelakich okruszków, i żelazko, na wypadek gdyby jej garsonka się lekko pogniotła. Czwarta to Monika, oddany misji ratowania ludzkości pracownik socjalny, która w każdym widzi jakiś deficyt... – Strzelałam oczami. – ...wiesz, psychiczny. No i Jolka, najwredniejsza małpa świata, ale mimo wszystko nasza paczka bez niej byłaby jak w połowie pusta butelka wina. W zasadzie to czym różni się w połowie pusta butelka wina od tej w połowie napełnionej? Jest taka, jaką ją chcemy widzieć, i tyle. – Zamyśliłam się na chwilę. – Zresztą to nieistotne. A najzabawniejsze jest to, że Monia i Jolka są razem od ponad dwóch lat, a my nic nie zauważyłyśmy. – Zaśmiałam się, przypominając sobie noc wyznań, podczas wesela Berki i Karola.

Niby tak różne, kłótniwe, ale nie wyobrażam sobie, że mogłoby ich zabraknąć. Są częścią mego życia, częścią mnie samej. Drugą połówką jabłka, choć raczej w sześć to nie dzielimy się na połówki, tylko takie mniejsze sześcianki.

Jedliśmy, rozmawiając na różne tematy. On opowiadał o samotności, którą wybrał na rzecz kariery, która wciąż nie puka do jego drzwi. Ja o moich planach, związanych z własnym gabinetem i o niepowodzeniu na studiach, które ukończyłam dzięki litości promotora niż z racji wybitnych osiągnięć.

– Czy można nazwać to naszą pierwszą randką? – zapytał, kiedy zapłacił już rachunek i zostawił kelnerce dziesięć złotych napiwku.

– Nie sądzę – burknęłam. – Na randkę nie przychodzi się z różą, kupioną od Cyganów sto metrów dalej.

Sebastian spojrział na mnie, marszcząc przy tym czoło. Puknął się delikatnie w głowę, jakby doznał olśnienia.

– Cholera, zapomniałem! – Zaczął przeszukiwać kieszenie spodni. – Róża to czysty przypadek. Mała ślicznotka tak ładnie się uśmiechała, więc kupiłem. To jest dla ciebie. – Podał mi złożoną kartkę w kratkę. – Całą noc poprawiałem błędy.

Podał mi kartkę, ukazując swój promienny zgrzyz.

– Zadzwoń, jak przeczytasz – rzucił, wychodząc z Pasta Mia.

Stała w drzwiach na dłużej, popatrzył na mnie, by ponownie ruszyć w moim kierunku. „Rozmyślił się, nie chce, bym to czytała” – to pierwsze, co pomyślałam, widząc go idącego pewnym krokiem w moim kierunku. Już chciałam oddać mu zapisaną kartkę, kiedy on mocno przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Z zaskoczenia, bez pytania i pozwolenia. Jego usta były ciepłe, trochę zbyt suche i zadziwiająco zachłanne. Całował mnie namiętnie przez dłuższą chwilę, a ja poddawałam się temu ochoczo. Świat tym razem lekko zawirował, uleciałam ku górze, by spaść z bólem, kiedy on po prostu opuścił lokal. Bez słowa, bez zbędnych wyjaśnień. Odkleił swoje usta od moich, odwrócił się na pięcie, by wmieszać się w tłum idący Marszałkowską.

Zostałam sama. Nie licząc ludzi, którym byłam obojętna. Ponownie usiadłam przy stoliku, aby odczytać trzymaną w dłoni wiadomość od Sebastiana:

*Deszcz nie padał, wiatr nie wiał, a ja, widząc ją, poczułem wyraźny podmuch wilgoci. Moje serce dygotało, równym, dobrze sobie znanym tempem, lecz dookoła niego nie było już pustki. Wyczuwalny podmuch poruszył serce, a niewidzialne krople skruszyły kamień, którym otulony był najcenniejszy ludzki organ. Zdenerwowana, wręcz wściekła, pojawiła się w mych drzwiach i swoją urodą przyćmiła wszystko, co dotychczas było dla mnie najpiękniejsze. Już nic nie mogło być lepsze, nie mogło się z nią równać. Uroda ponoć przemija... Nawet jeśli się tak stanie, to z nią, nawet brzydką, można siedzieć godzinami. Nie jest zwyczajną dziewczyną, jakich wiele na ulicach. Ona jest wyjątkowa. Ona, którą jesteś Ty, moja Zosiu.*

## 23 stycznia 2016 roku

Spotkanie z dziewczynami, mimo iż zaplanowane już tydzień temu, mogło nie dojść do skutku. Wszystko przez Berkę. Ona i jej swędzące podczas ciąży stopy będą się nam śniły po nocach, tak jak odbieranie jej SMS-ów typu: „To dziecko jakies dziwne, że je ciągle swędzą stopy, a ja muszę przez to drapać swoje” lub „Już ono mi zapłaci za te blizny na stopach, jak tylko się urodzi”. Instynkt macierzyński na poziomie minus tysiąc procent, a może i nawet więcej... czy mniej, bo to na minusie. Tym razem stopy znów swędziały, nie mogąc spokojnie donieść jej górnych partii ciała do pobliskiej kawiarni.

– A co na to Karol? – Jedyne Mari odważyła się zadać to pytanie, spoglądając dyskretnie na opuchnięte od drapania stopy Berki, ubrane w letnie balerinki.

– Co na to? Co na to? – przedrzeźniała ją Berka.

Patrzyłyśmy na nią poważnie, nie dając po sobie poznać, że śmiesz nas jej zachowanie. Chciałyśmy poznać odpowiedź, a jedynie powaga mogła nam w tym pomóc.

– No co? Wyniósł się kilka dni temu do drugiego pokoju, bo ponoć go drapię. – Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Po co jego? Toć swoje stopy powinnaś drapać, jak cię swędzą – trafnie spostrzegła Jolka.

– No drapię, ale czasem on obrywa od łapy.

– Jakiej łapy?

– Zakopiańskiej łapy.

Berka, nieświadoma naszej niewiedzy, mówiła do nas uproszczonym językiem, którego nawet ułożona Mari zdawała się nie przetwarzać na język polski popularno-użyteczny.

– Jezusiek, nie mówcie, że nie wiecie, co to zakopiańska łapa? – zdziwiła się, lecz widząc nasze miny, poznała odpowiedź na swoje pytanie. – To taka łapka z pięcioma drewnianymi pręcikami przypominającymi palce. –

Pokazała palce swojej dłoni, zginając je i prostując. – One są takie ostrawe, na dodatek na długim kijku.

– Nieźle się tam bawicie z Karolem. – Jola wyraźnie za bardzo pobudziła swoją wyobraźnię.

– O drapaczkę jej chodzi – sprecyzowała Monika, na co Berka ochoczo kiwnęła głową, jakby właśnie tego słowa jej brakowało.

Zamówiliśmy dwie kawy, trzy herbaty i świeży sok dla ciężarnej, z dodatkiem słodkiego ciasteczka dla wszystkich zebranych. Licząc w tym momencie Berkę razy dwa, oczywiście.

– A wiecie, co jest najgorsze? – zapytała ciężarna, masując się po ledwo widocznym wydęciu w okolicy brzucha.

Zaprzeczyliśmy głowami, bojąc się, czego tym razem dowiemy się o ciąży. Tylko Baśka wiedziała, jak to jest, kiedy ma się w sobie obce ciało, lecz i ona zdawała się nie rozumieć rozterek naszej przyjaciółki.

– Że teraz ze stóp swędzenie schodzi na zęby?

– Zęby? – zdziwiłam się. – Ale jak je drapać? – Aż otworzyłam usta, próbując wykonać tę czynność.

– Swędzenie nie może schodzić na zęby. – Jolka jak zawsze musiała wtrącić swoje trzy grosze. – Może wschodź, bo schodzi się w dół, a poniżej stóp jest... nic nie jest niżej stóp.

– Podeszwa – podsunęła jej Baśka, lecz została zmrożona spojrzeniem pedagożki.

Dyskusja trwała, odpowiedzi nadal jednak brakowało. Jolka wciąż powtarzała, że zęby są wyżej niż stopy, ja próbowałam drapać zęby znalezionej w torebce wykałaczką, Baśka mówiła Berce, że wymyśla, Monia jak zawsze widziała w tym patologię (tym razem padło na patologiczny wzrost kamienia nazębnego), a Mari udawała, że siedzi z nami przy stole zupełnie przypadkiem.

Zębowo-stopowe swędzące tematy się wyczerpały. Jadłyśmy ciastka, popijając je co chwilę tym, co zawierały nasze filiżanki. Stwierdziłam, że to właściwy moment, aby poinformować ich o Sebastianie.

– Muszę wam coś powiedzieć... – zaczęłam niepewnie.

Jolka zaczęła się śmiać, uderzając dłońmi o stół.

– Mówiłam, że zrezygnuje po miesiącu, a tu nawet miesiąc nie minął, a nasza studentka już się będzie żaliła, jak to się nad nią pastwili. – Wciąż się śmiała, jedząc przy tym ciasto.

– Chyba się zakochałam – wyznałam cicho.

Jolka wypłuła całą zawartość ust na Berkę, siedzącą naprzeciw niej.

– Ciężarną atakujesz? – zdenerwowała się Berka, uderzając lekko Jolkę torebką w ramię. – Wybacz, hormony – wytłumaczyła spokojnie po uderzeniu.

– Ty się co? – Marietta chciała usłyszeć ponownie, co powiedziałam, aby włożyć tę wiadomość do jednej ze swoich uporządkowanych mózgowych



szufladek.

Czasami, patrząc na nią i jej poukładany świat, zastanawiałam się, czy odkurzacz jest jednym z mieszkańców jej mózgu, czy może idąc z duchem czasu, zakupiła do niego iRobota, który sam sprzątał każdą, nawet najbardziej pofałdowaną powierzchnię.

– Zakochałam się – powtórzyłam i podałam im list od Sebastiana.

Marietta zaczęła czytać na głos, co chwilę przerywając na parsknięcie śmiechem. „Zazdrośnice” – pomyślałam. Zapewne im nigdy nikt nie napisał listu, a co dopiero listu miłosnego.

– Moi gimnazjaliści lepiej piszą – wypaliła Jolka.

– To kolejne zakochanie na hm... trzy tygodnie? – zapytała Berka.

Najwyraźniej zapomniała, jak rok temu zakochiwała się w każdym, kto zwrócił na nią uwagę. Palant na lekcji tańca, który okazał się mieć żonę, nachalny sprzedawca, udający na pierwszym posklepowym spotkaniu „przyssawkę”, a może facet sprzedawczyk, tyle że nie sprzętu... no może jednak sprzętu, tyle że swojego, dość prywatnego. „Zapomniał muł, kiedy dużo się psuł” – przypomniałam sobie znane porzekadło.

– Oni do siebie pasują – powiedziała cicho Baśka, biorąc mnie w swoją obronę.

„Hieny” spojrzały na nią, jakby chciały ją pożreć. Nikt nie spodziewał się, że Baśka się za mną wstawi. Nikt, zwłaszcza ja.

– Uwierzcie mi, że tych dwoje albo będzie razem, albo do końca życia będą sami – zaczęła tłumaczyć swoją wizję. – On – zadufany w siebie narcystyczny pisarzyna i ona... ją akurat dobrze znacie. Pasują do siebie, mimo iż są tak podobni, to w gruncie rzeczy zupełnie inni, i to jest fajne. Nawet razem uknuli doskonały plan zemsty, a wiecie, że zwykle Zośka nie jest skłonna do realizacji innego planu niż plan nicnierobienia.

Cztery głowy równo skinęły, wykazując podziw względem Baśkowego tłumaczenia. Uznały widocznie, że jako moja przyszła macocha wie o mnie nieco więcej niż pozostałe.

– Macie tampon? – ni stąd, ni zowąd zapytała Berka.

– Po co ci? – zapytałyśmy chórem.

– Jesteś w ciąży – na wszelki wypadek przypomniała jej Jolka.

Berka zerknęła na nas niepewnie, czułam, że w myślach wyzywa nas od najgorszych.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy zacznę rodzić – rzuciła lekko, jakby to było czymś normalnym.

– Bożeszczu, ty chcesz zablokować dziecko tamponem – wyrwało mi się, nieco za głośno, co skierowało uwagę innych na nasz stół.

Zdenerwowana ciężarna z podniesioną głową opuściła kawiarnię. Oddalała się, a my nie wiedziałyśmy, co wypada zrobić. Jedyne Monia, zachowując trzeźwość umysłu, uregulowała rachunek, by móc bez wyrzutów pójść za Berką.

Kawiarniane popołudnie dobiegło końca, nie zmuszając nas do słów pożegnania. Każda ze zdawkowym „pa” udała się w swoją stronę. Chciałam poznać ich zdanie na temat wyznania Sebastiana, lecz tamponowe bloki macicy wszystko zepsuły. Sama musiałam wybrać, co dla mnie będzie najlepsze.

## 26 stycznia 2016 roku

Odwilż?! Kto, do cholery, wymyślił coś takiego? Wpierw pada śnieg, aby kilka dni później wszystko mogło zamienić się w zimną, brudną, przekłętą wodę. I pomyśleć, że musiałam zakochać się akurat teraz. Teraz, kiedy za oknem widać wszelkie dziwactwa pogodowe, powodujące rozpacz w moim sercu. A gdyby tak była wiosna... „Ale nie ma, cholera!” – sprowadziłam sama siebie na ziemię, nie chcąc dalej myśleć, co by było gdyby.

Otworzyłam ogromną szafę, zwaną przez wielu moją garderobą, lecz ten, kto tak mówi, nie wie, że w sąsiednim pokoju znajduje się moja faktyczna garderoba. Szafa ma w sobie zaledwie cząstkę rzeczy, które zazwyczaj nadają się na daną porę roku. Nie żebym była jak Marietta... O nie... Do niej mam całe lata świetlne i jeszcze kilka z wypalonymi żarówkami. Moja szafa jest inna. Prócz tego, że jest wyjątkowa, ma w sobie coś, czego nie mają szafy zwykłych śmiertelników. Są tam najcenniejsze perełki z kolekcji Gucciego, Armaniego, Diora, Chanel, Jacobsa i wielu innych. Moje małe dzieciątka, droższe niż niejeden samochód na ulicach Warszawy. Posegregowane pod względem materiałów ubrania robią wrażenie nawet na mnie. Lubię patrzeć na swoje zdobycze i przypominać sobie chwilę ich zakupu. „To były czasy, jak tatuś nie sprawdzał, ile wydaję pieniędzy” – cofnęłam się myślami o więcej niż miesiąc. Było to jak wehikuł czasu. „A mówią, że przyszłość się zmienia na lepsze” – przypomniałam sobie słowa z kampanii reklamowych, słyszane tuż przed jesiennymi wyborami.

Zimowa stylizacja to największy dylemat szafiarek. Jedynie Maffashion jest w stanie spełnić oczekiwania swoje, fanów oraz zimy jednocześnie. Dziś i ja musiałam sprostać temu wyzwaniu. Przerzucając ubrania, układałam w głowie wizję siebie w tym szczególnym dniu. 26 stycznia miał przejść do historii.

Klasyczne spodnie siedem ósmych idealnie prezentują się przy wysokich szpilkach (może mało zimowych) i pudrowo różowej koszuli w czarne kropki. Na to elegancki biały płaszcz, kupiony za radą ulubionej szafiarki na jednej ze stron, ogromny wełniany szal i mała, czarna kopertówka. „Idealnie” – uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze, wiedząc, że w takiej stylizacji nawet na rozdaniu Oscarów byłabym największą gwiazdą.

„Dwadzieścia minut” – stwierdziłam, patrząc na zegarek. Sięgnęłam po iPhone'a, aby zamówić taksówkę. Nierozsądne byłoby chodzenie w takich szpilkach po ulicy, tym bardziej kiedy panuje odwilż.

Wyszłam przed dom. Taksówki wciąż nie było. Z kopertowej torebki dobiegł sygnał oznajmiający nadejście SMS-a. „Pewnie Sebastian” – pomyślałam, po omacku szukając telefonu.

– Czego? – Natychmiast zadzwoniłam do Jolki, zdziwiona, że wysłała do mnie wiadomość z hasłem SOS.

Zapłakana Jolka nie była w stanie za wiele powiedzieć. Słysząc tylko jej głośne chlipanie, które nie mówiło zupełnie nic o przyczynie wystąpienia.

– Jolka, do ciemnej nędzy, co jest?! – Zdenerwowałam się.

– Przyjeźdź do mnie – poprosiła, na chwilę przestając płakać.

Przetwarzałam informację, nie dowierzając w to, co usłyszałam. Ja mam do niej przyjechać?

– Jesteś pojechana bardziej niż... – Zastanawiałam się, co mogło być gorsze niż jej prośba. – ...niż pojechane może być cokolwiek pojechanego z wszystkich pojechanych rzeczy. – Szczerze powiedziawszy, sama nie bardzo rozumiałam, co mam na myśli.

Po drugiej stronie słuchawki nastąpiła cisza, zakończona kolejnym chlipnięciem.

– Powiesz, o co chodzi? – Próbowałam być spokojna, choć taksówkarz już czekał, aż wsiądę.

– Ona mnie zdradza – wyjąkała Jolka.

– Kto?

– No kto? No ona! – krzyknęła.

– Monika?!

Głośne chlipnięcie po drugiej stronie uświadomiło mi odpowiedź na moje pytanie.

– No, w końcu – rzuciłam mimowolnie. – Niech zazna trochę przyjemności.

– I ty rzekomo jesteś moją przyjaciółką? – Obruszyła się. – A ze mną to co, nie przyjemność?

– Wiesz, co facet, to facet. – wspomogłam Monikę.

– Ty o wszystkim wiesz? – zdziwiła się. – I mówisz to tak spokojnie? Nie bronisz jej?

Taksówkarz macha intensywnie, abym go zauważyła. Obróciłam się plecami, udając, że go nie widzę.

– Nic nie wiem, daj mi spokój, Jolka.

– To skąd wiesz, że to facet? – dopytywała.

– Bo żeby zdradzić kogoś, to trzeba uprawiać seks, a z kobietą to

najzwyczajniej w świecie ciężkie – tłumaczyłam.

– Kobiety też uprawiają seks – oburzyła się. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć... Jesteś tylko ładną, pustą lalką. Ale skoro ty nic nie wiesz, to znaczy, że Monia nie z tobą?

– Ze mną co? – zapytałam, lecz szybko pojęłam, o co jej chodzi. – Że co?! Ja i ona?! Błagam cię! Skąd ci to przyszło do głowy?

Jolka głośno nabrała powietrza.

– Bo Monika mówiła kiedyś, że jesteś w jej typie – wyznała Jolka.

Szok. Niedowierzenie. Niesmak. Jak ktoś mógł pomyśleć, że ja i ona... że my coś razem...

– Jolka, idź do lustra! – rozkazałam, pewna, że w tym stanie zrobi, o co poproszę. – Spójrz i pomyśl, jak ja mogę być w jej typie. Skoro ty jesteś w jej typie, to wybaczone, ale mnie obok siebie nie stawiaj, bo to jak położenie diamentu obok gówna.

Myślałam, że się obrazi, lecz ona podziękowała za wsparcie i rozłączyła się. Może lekką przesadą było to moje porównanie, lecz zdecydowanie gorsze było stwierdzenie, że jesteśmy z Jolką do siebie w jakiś sposób podobne. My? Podobne? Dobrze sobie. Prędzej konie zaczną szczeleć, niż ona mi pięty przerośnie.

Taksówkarz, zmęczony machaniem, wszedł do samochodu. Nie omieszkał doliczyć kilku złotych „za zwłokę”, co wcale mnie nie zdziwiło. „Jolka mi za wszystko zapłaci” – pomyślałam, spoglądając na kwotę widniejącą na liczniku.

– To gdzie? – zapytał, próbując wymusić uśmiech na twarzy.

– Na Różaną dwa, do restauracji – powiedziałam z dumą.

– Zaręczyny w Akademii? To ostatnio nowa moda. – Kierowca ruszył. – Polecam Tomahawk z warzywami i pieczonym ziemniakiem.

– Jadł pan?

– Nie, ale widziałem jego cenę w menu – wyznał. – Jak zapłaci, znaczy, że kocha.

Kierowca jechał przed siebie, śpiewając pod nosem jedną ze znanych mi piosenek. „Tyle było dni...” – słyszałam w myślach głos kierowcy, zastanawiając się, kto był wykonawcą tej piosenki.

– Kto to śpiewa? – Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Ja – rzekł z dumą.

– Mówili, że artyści nie zarabiają za dużo, ale żeby musieli na taksówce dorabiać, to tego się nie spodziewałam. – Byłam oszołomiona jego

wyznaniem.

Jechaliśmy dalej, on wciąż śpiewał, a ja zastanawiałam się, czemu w Polsce jest aż tak źle. Artysta to nie zawód dla każdego, dlaczego zatem nikt ich nie ceni, jak powinien?

Znana wszystkim w stolicy restauracja Akademia wyglądała jeszcze bardziej zjawiskowo niż na zdjęciach w galerii na stronie internetowej. Małe kwadratowe stoliki, pokryte śnieżnobiałym obrusem, dookoła którego stały piękne, nowoczesne, białe krzesła, wyglądały imponująco. Idealnie dobrane oświetlenie, nierzucające się specjalnie w oczy, dodawało klimatyczności, a wiszące na jednej ze ścian lustro sprawiało, że miejsce to było romantyczne i wydawało się dużo większe niż w rzeczywistości.

Sebastian siedział już przy jednym ze stolików. Ubrany w szary garnitur, z krawatem ze SpongeBobem, wyglądał uroczo. Widząc mnie, wstał, kiwnął ręką na jedną z kelnerek, która szybko stanęła obok niego z ogromnym bukietem. Białe róże połączone z delikatnymi frezjami.

– Nie od Cyganów rezydujących sto metrów dalej. – Uśmiechnął się, podając mi kwiaty. – Dla najpiękniejszej – dodał, całując mnie w policzek.

Usiedliśmy, by móc zamówić specjały z karty dań. W menu znalazłam wskazaną przez taksówkarza potrawę, po czym podałam jej nazwę kelnerce. „Jak kocha, to zapłaci” – przypomniałam sobie słowa taksówkarza, uśmiechając się delikatnie. Wino zapełniło kryształowe kieliszki swoją brunatną barwą, czekając, aż nasączy nasze usta swoim wykwintnym smakiem.

– Jak książka? – zapytałam, ciekawa, bo Baśka ostatnio nie była skłonna do rozmów na ten temat.

– Pracujemy nad okładką. Myślałem nam chlebem, z którego wyłania się twarz, co o tym sądzisz?

– Takie...

– Głębokie – dokończył za mnie. – I takie ma być, od debiutu zaczyna się kariera. Potem wydam resztę książek i będę żył z tobą długo i szczęśliwie.

Słuchałam go, nie wierząc w to, co mówi. Znaliśmy się niecały miesiąc, a on już miał związane ze mną plany, dalsze niż moje plany na życie, w których najdalszą myślą było zostanie seksuolożką.

– A mówiłem ci, że wymyśliłem nowy gatunek literacki i jeszcze inni zaczną się ode mnie uczyć?

Zaprzeczyłam, nie mając siły odpowiedzieć.

– Literatura grozy dla najmłodszych – rzekł z dumą. – Będę jak Stefan

Darda, tylko że dla dzieci.

– A jak współpraca z Windą? – zmieniałam temat.

– Czuję, że dzięki mnie wypadną z dźwigu i polecą w przestrzeń kosmiczną – ekscytował się. – Jedna babka powiedziała mi, że będę na pierwszych stronach gazet kulturalnych w kraju.

– No, na pewno. – Przypomniałam sobie plan wydawnictwa, o którym mówiła mi Baśka.

Kelnerka przyniosła dania. Pachnące, gorące i zachwycające swoim wyglądem, kusiły podniebienie. Jeden kęs wystarczył, aby przekonać się, że to, co mówią o Akademii, to prawda, nie żadne wymysły. Romantyzm i smakowitość wkraczały tutaj na jeden wspólny tor.

Zdawkowe pytania i krótkie odpowiedzi między nami wypełniły czas poświęcony na jedzenie. On – zerkający na mnie znad talerza, czule patrzący w oczy, ja – zadowolona z możliwości spędzenia randki inaczej niż zwykle. Zdecydowanie inaczej. Rzadko zdarzało mi się wiedzieć o partnerze więcej niż jego imię, zanim poszliśmy do łóżka, a z Sebastianem... z nim było inaczej. On chciał mnie w sobie rozkochać, aby móc z czasem dawać mi więcej siebie.

– Czy dziś to była randka? – zapytał, odkładając sztućce na talerz.

– Hm... dziś chyba tak. – Zaśmiałam się.

– A co byś powiedziała...?

No tak, czar prysł, jednak nie chciał mnie BLIŻEJ poznać.

– Nie, nie ma opcji. – Wstałam i pewnym krokiem wyszłam z restauracji.

Nie zdawałam sobie sprawy, że tak skończy się przyjemny, romantyczny wieczór we dwoje. Nie myślałam, że on może pomyśleć, że my już dziś... bo on zapłacił za kolację. „Co to, to nie” – uznałam w myślach.

Szłam ulicą, próbując pohamować łzy pchające się do moich oczu, niczym baba na targu. Nie mogłam płakać, nie teraz!

– Dlaczego nie dajesz nam szansy? – Usłyszałam za sobą.

– Szansy? – Parsknęłam. – Też mi szansa.

– Chciałbym z tobą być – powiedział, łapiąc mnie za dłoń.

– Być czy spać, jedno i to samo – rzuciłam, ponownie odchodząc.

– O jakim ty spaniu mówisz? – zdziwił się. – Ja chodzę spać grubo po północy, a jeszcze nie ma dwudziestej pierwszej.

– Spać z sobą – nie dawałam się zwieść.

Sebastian patrzył na mnie, nie wiedząc, o co mi chodzi, lecz ja byłam pewna, że on tylko udaje. „Cwana z niego pestka” – przypomniałam sobie,

jak Berka określała często swoich facetów.

– Ty chciałaś ze mną spać? – zapytał.

Uderzyłam go kopertówką. „No, bezczelny, na mnie zgania” – wściekłam się.

– Ja z tobą? – Prychnęłam. – To ty mi oferowałeś seks.

– Niby kiedy? – zdziwił się.

– Jakies dziesięć pytań temu – rzuciłam obojętnie. – Nie o to ci chodziło?

Wzrok kota ze *Shreka* był mniej błagalny niż mój w tym momencie. On naprawdę nie chciał mnie wykorzystać, on chciał ze mną być, co wydawało się jeszcze bardziej podejrzane, ale warte ryzyka.

– Tak, tak, tak! – Rzuciłam mu się na szyję.

Swoją drogą, nie wiedziałam, że dziś wciąż stosuje się metody podrywu rodem z podstawówki, lecz mnie to nie przeszkadzało. Nie byłam już sama, nie byłam też samotna, jak rozróżniały często dziewczyny.

Staliśmy na ulicy, całując się. Uniosłam ku górze ugiętą w kolanie nogę, jak dzieje się na komediach romantycznych. Brakowało jeszcze deszczu, pośród którego byśmy stali, całując się i udając, że po nas on spływa niezauważalnie.

Deszcz nie spadł, lecz nasza komedia zaczynała się naprawdę.



## 2 lutego 2016 roku

Pierwszy semestr, a ja już spędzałam na uczelni ponad dziesięć godzin dziennie. I pomyśleć, że etat liczy osiem godzin i jest płatny, a my, biedni studenci, gnijemy tutaj dłużej, często musząc za to jeszcze płacić. A gdzie pensje dla nas, zmęczonych słuchaniem nudnych opowieści przemądrzałych wykładowców? Może właśnie tym powinien zająć się Samorząd Studencki, a nie organizacją otrzęsin w podrzędnym warszawskim klubie, gdzie strach usiąść, bo nie wiesz, czy aby czasem nie przykleisz się tam już na stałe.

Jeszcze tylko *Psychoseksualne uwarunkowania zachowań seksualnych*. Półtorej godziny i wolność. „Doktor Juszczuk” – przeczytałam w planie wiszącym obok drzwi, pod którymi się zebraliśmy. Nazwisko niewiele mi mówiło.

– Zapraszam. – Kobieta w dresie Nike i sportowych butach bardziej wygląda, jakby wybierała się na jogging, niż na prowadzenie zajęć ze studentami.

Doktor Juszczuk ważyła maksymalnie pięćdziesiąt kilogramów, które rozkładały się na jakichś stu sześćdziesięciu centymetrach wzrostu. Nienaganna figura, niemająca nic wspólnego z niedowagą, włosy do ramion w kolorze kasztanów i, co najgorsze, była w moim wieku lub co najmniej zbliżonym.

– Ustawcie krzesła w kółku – zarządziła na wstępie, bez zbędnego przedstawiania się. – Na moich zajęciach nie będziecie nic pisać, tutaj trenujecie praktykę waszego zawodu – mówiła, stawiając przy tym krzesła w kręgu.

W sali słyhać było głośne „uuu” spowodowane radością na myśl o praktycznych zajęciach. „Chłopak z auli by się ucieszył” – przypomniałam sobie inaugurację roku akademickiego.

Krzesła stały w czymś, co przypominało trochę koło, ale zdecydowanie nim nie było. Doktor Juszczuk wzięła jeszcze trzy krzesła i postawiła je w środku kręgu.

– Potrzebuję trzech osób – mówiła radośnie, przypatrując się naszym twarzom. – Jednego terapeuty i pary z problemami seksualnymi.

Automatycznie podniosłam rękę. Wiedziałam, że rola terapeuty jest dla mnie stworzona. Przypomniałam sobie wizję mojego prywatnego gabinetu, pomalowanego w delikatnych, świeżych kolorach, z kanapą ze skóry i licznymi dyplomami, na których widniało moje nazwisko. Ta wizja jeszcze

bardziej utwierdziła mnie w przekonaniu, że podniesienie ręki to była jedyna słuszna decyzja.

– Zapraszam. – Spojrzała na mnie, wskazując jedno z krzeseł.

– A para? – zachęcała.

Pierwsza podniosła rękę ładna brunetka z ombre na włosach, ubrana w ogrodniczki z serduszkami i cienki łososiowy sweter. Usiadła naprzeciw mnie, szczerząc zęby w kierunku wykładowczynie. Doktor Juszczuk rozglądała się po sali, trochę zniecierpliwiona. Chłopak z prawej podniósł się nieoczekiwanie. Nic nie mówiąc, zasiadł na jedynym wolnym krześle znajdującym się w kręgu.

– Porozmawiajcie o swoim problemie – zachęcała parę wykładowczynie. –

A ty pamiętaj, że musisz być delikatna i się przedstawić – zwróciła się do mnie.

Parka szeptała coś między sobą, intensywnie przy tym gestykulując. Widząc ich zagorzałą wymianę poglądów, postanowiłam poczekać.

– Witam, nazywam się Zosia Majer i jestem z TYCH Majerów – zaczęłam, widząc, że ich dyskusja jest mniej ożywiona.

– Pani Zofio, nie może pani mówić, że jest z tych czy też innych – skarciła mnie wykładowczynie.

Posłałam jej lodowate spojrzenie, mrozące zapewne całą krew i wodę, którą w sobie miała.

– Z czym państwo do mnie przychodzą? – zapytałam, postanawiając ominąć to całe przedstawianie się.

Dziewczyna spojrzała niepewnie na chłopaka. Skinął nieśmiało głową, po czym ona zaczęła mówić:

– Z mężem nie uprawiamy seksu od ponad roku.

– O ja pierdo... – Nie dokończyłam, czując na sobie wzrok Juszczukowej.

Odruchowo spojrzałam na dłoń „ogrodniczki z ombre”, na której nie zauważyłam lśniącej obrączki. „Może nie chce się przyznawać, że ma męża” – pomyślałam, kątem oka spoglądając na chłopaka.

– Od kiedy jesteście małżeństwem? – zapytałam profesjonalnie.

– Od półtora roku – odpowiedział chłopak, zakładając nogę na nogę.

– Czy wcześniej uprawialiście seks?

Skinęli równo głowami.

– Szacun – skierowałam słowa do dziewczyny. – Przecież seks z nim... –

Wskazałam głową na chłopaka. – ...to musi być istny horror albo i horrorotragediodramat. Ja rozumiem, że mówią worek na łeb i za ojczyznę,

ale wiesz, chyba wolałabym zginąć. Nawet Shrek wydaje się bardziej... męski. On chociaż nie ma tej całej grzybicy na twarzy. – Zmarszczyłam nos, spoglądając na coś czerwonego, widniejącego na jego nosie.

– To pryszcz – zdenerwował się chłopak.

– Taki pryszcz, że półtora roku ona się z tobą kochać nie chce. – Prychnęłam. – Spójrz na siebie, chłopie, wyglądasz jak żul pomieszany z bezdomnym psem...

– Od psów się odwal! – padł głos z koła.

Obejrzałam się, próbując zlokalizować, do kogo należał, jednak miny wszystkich były nieszczególne.

– Wiesz, moja koleżanka miała grzybicę pochwy – powiedziałam do „ogrodniczki z ombre”. – Ginekolog kazał jej namaczać się tam wywarem z herbaty, może i jemu to by pomogło.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Czułam, że jest ktoś, komu pomogłam, i byłam z tego zadowolona.

– Pani Zofio... – zwróciła się do mnie doktor Juszczyk.

– Niech mnie pani posłucha – przerwałam jej. – Ten goguś... – Wskazałam na chłopaka. – ...jest karykaturą mężczyzny. Ani to przystojne, ani męskie. I jak ona ma chcieć się z nim kochać? Przecież zmuszać się nie będzie, to byłby samogwałt czy coś podobnego. – Litościwie spojrzałam na dziewczynę. – I jeszcze ta grzybica. – Z niesmakiem pokręciłam głową.

Grupa zaczęła się śmiać. Tylko Juszczykowa i chłopak mieli niezadowolone miny, lecz się tym nie przejmowałam. Ważne było, że dziewczyna czuje się wyzwolona, śmiejąc się wesoło.

– Oni nie są parą! – Krzyk Juszczykowej ledwo przedarł się przez śmiechy innych.

– Jak to? Mówili, że są małżeństwem – tłumaczyłam jej.

– Wymyślili to, w ramach ćwiczeń.

Telefon znajdujący się w mojej kieszeni zawibrował. Spojrzałam na niego, po czym poderwałam się jak oparzona.

– A pani gdzie? – zapytała Juszczykowa.

– Do kogoś, komu mogę pomóc naprawdę – odpowiedziałam. – A on i tak ma grzybicę na twarzy i nawet wymyślona zabawa na niby poważnych zajęciach tego nie zmieni.

Żegnały mnie zdziwione spojrzenia wszystkich w sali. Nie rozumiałam ich. Spodziewałam się braw i owacji, ale strach przed moją przyszłą karierą, jakiej i oni musieli się spodziewać, był silniejszy.

Co jakieś pięć sekund dostawałam prośby o dołączenie do wideokonferencji, wysyłane przez Berkę. „Musiało stać się coś strasznego” – pomyślałam i czym prędzej dołączyłam do rozmowy. Nie byłam ostatnia. Czekaliśmy jeszcze na Jolkę, która prowadziła swoje fit zajęcia w szkole.

– No co jest? – zapytała Baśka, widząc, że Jola dołącza do konferencji.

Dopiero teraz naszym oczom ukazała się Berka. W zasadzie tylko jej część... ta od szyi w dół. Głowa ciężarnej nakryta była ciemnym workiem na śmieci, w którym widniały trzy niewielkie dziury. Dwie na oczy i jedna w okolicy ust.

– Nie masz Niezbędnego? – zdziwiłam się, patrząc na czarny worek.

– Co ty pleciesz? – odezwała się Jolka.

– W dzisiejszych czasach myślałam, że każdy ma niebieskie worki Niezbędnego Janka, a tu widzę czarne, trupiarskie folie – tłumaczyłam.

– Trupiarskie? Co to za słowo? – zdziwiła się Baśka.

– Bożeszczę, na pewno jest, bo w takich worach się trupy wywozi. – Aż strach pomyśleć, jak ona jest nieobyta w świecie.

Dziewczyny patrzyły na mnie, czekając, aż dokończę swoją wypowiedź. Nie miałam takiego planu, ale skoro chciały mnie słuchać, to nie mogłam im tego odebrać.

– Nie oglądaliście CIA z Miami, Nowego Jorku i Las Vegas? – zapytałam, a widząc ich miny, poznałam odpowiedź. – Dziwię się, że waszych zdjęć na żal.pl jeszcze nie udostępniono, z napisem „Zacofane w cyberprzestrzeni”.

– A co ma cyberprzestrzeń do tego? – oburzyła się Marietta.

– Bożeszczę, bo ten serial to w necie leciał przecież, a co to innego jak nie cyberprzestrzeń?

Miny dziewczyn wyrażały zdumienie. Nie rozumiały, co chcę im przekazać. Jak widać, zbyt mądre słowa w dialogach z nimi nie były najlepszym rozwiązaniem.

– Czuję, że zaraz popełnię cybermorderstwo – ze zdenerwowaniem w głosie powiedziała Jolka.

Cyberrozmowa o cyberrzeczach dobiegła końca. Nie po to była nasza wideokonferencja, abym znów musiała im tłumaczyć nowinki techniczne, na jakie one są widocznie za stare. Hm... za staroświeckie, bo przecież mają tyle lat, co ja.

– Włosy – szepnęła cicho Berka, kiedy już przestałyśmy cyberować, a ja automatycznie przeczesalam palcami moje kruczoczarne piękności, bojąc się, że źle wyglądam w ekranie telefonów przyjaciółek. – Nie twoje włosy,

moje – sprostowała, widząc mój gest.

Berka zaczęła płakać, co przez czarny worek wydawało się bardziej cichym śmiechem aniżeli szlochem. Jedynie drżenie jej rąk ją zdradzało.

– Co z włosami? – zapytała zmartwiona Monika.

– Berki włosami – sprecyzowała Jolka, abym zapewne znów nie przeczesywała swoich.

Nie przejmując się jej wścibstwem, zrobiłam to, co należało zrobić. Patrząc jej w oczy, przeczesalam moje włosy tak, aby na pewno Jolka to zauważyła.

– Wypadły. – Berka używała zbyt krótkich form, abyśmy mogły zrozumieć, o co naprawdę chodzi.

Czekając na wyjaśnienia, milczałyśmy. I nie miało ono nic wspólnego z tym, że mówią o nim jak o złocie.

– Berka, powoli, powiedz nam, co się stało – zaproponowała spokojnie Jolka, udowadniając przy okazji, że na coś te studia kończyła.

„Pedagog, też mi zawód” – pomyślałam, widząc w wyobraźni Jolkę w tym jej obskurnym gabinecie szkolnego pedagoga. Jej gabinet nie mógł ani trochę równać się mojemu gabinetowi. Temu w wyobraźni, oczywiście.

– No były i nie ma – powiedziała, zbyt spokojnie jak na sytuację, jaka ją spotkała.

– Jak to były i ich nie ma? – zdziwiłam się.

Nie mogłam sobie wyobrazić Berki bez włosów, a co dopiero kiedy sytuacja dotknęłaby i mnie.

– To zaraźliwe? – dopytywałam.

Berka zaczęła szlochać, a Jolka popukała się w czoło, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że nie takiego wsparcie potrzebowała od nas przyjaciółka.

– Karol jest? – Baśka, nie wiedząc czemu, zmieniła temat.

– Nie, wyjechał na jakieś szkolenie – odpowiedziała Berka. – Będzie za trzy dni.

Cisza ponownie wdarła się niezauważalnie do naszej konferencji. Nikt jej nie zapraszał, a ona i tak weszła.

– Mam pomysł... – Baśka doznała olśnienia, co mnie zaczęło martwić. –

Jutro rano widzimy się u ciebie i każda z nas niech coś wymyśli, jak temu zaradzić, bo na szybko nie ma co decydować. Berka idzie spać, a my myślimy i działamy, dziewczyny. – Tryskała entuzjazmem.

– To Zośka też może iść w sumie spać – powiedziała Jolka tuż przed opuszczeniem konferencji, nie chcąc najwyraźniej czekać na mój odwet.

„Już ja jej pokażę” – obiecałam sobie, rozłączając się, i miałam już nawet na to pewien plan. Wystarczyło go tylko dobrze zrealizować, a do tego potrzebne były tylko dwie rzeczy: karta płatnicza tatusia i otwarty jeszcze Star My Hair.

Machałam ręką, żeby złapać taksówkę, jeszcze będąc w holu uczelni. Biegłam przed siebie, mając nadzieję, że nie zawiodę Berki, a przy okazji pokażę gęsiej wredocie, kto jest górą w naszej przyjacielskiej szajce. Kierunek na Białołękę miał mi w tym zdecydowanie pomóc. „Gdzie Jolka przegrywa, tam Zośka króluje” – dodałam w myślach nasze imiona do znanego powiedzenia.

## 3 lutego 2016 roku

Misja „Ratuj Berkę” ruszyła wczoraj pełną parą, gębą i innymi otworami, jakie są nam znane. Biorąc udział w misji, czuję się, jakbym „uwalniała orkę” w filmie z lat mojego dzieciństwa. I pomyśleć, że wtedy Jason James Richter, grający zbuntowanego Jesse’ego, wydawał mi się taki dojrzały. Mając sześć lat, widzi się świat zupełnie inaczej, niż on wygląda w rzeczywistości. W niezachwycającej, niestety, rzeczywistości. Dorastając, widzimy więcej lub też inaczej rozumiemy pewne sytuacje, wynikające z istoty dnia codziennego i ludzkiego charakteru.

Przeciągając się jeszcze w łóżku, czekałam na tornado, jakie za chwilę miało zawładnąć domem. Obudzenie się diablicy gwarantowało nie tylko koniec snu dla innych domowników, ale także uprzykrzenie im życia wraz z żółtą, nadętą rybą, fruującą po ekranie. „Ostatnie minuty” – pomyślałam, widząc godzinę wyświetlaną przez zegarek na suficie mojego pokoju. Jedni mają samochody, inni ubrania, a jeszcze inni nowoczesne zegary. Ja mam wszystko i jestem z tego zadowolona.

– Zuziaku, wstawaj. – Usłyszałam radosny głos Baśki, dochodzący z korytarza. – Pani Anielka zaraz przyjdzie.

Biedna pani Anielka, niania diablicy i najbardziej nieszczęśliwa kobieta na świecie. Gdyby meteorolodzy oznajmili w telewizji, że piorun uderzy dziś w jedną osobę, to w ciemno obstawiałabym właśnie ją. Nawet najlepsi magicy i iluzjoniści z *Britain’s Got Talent*, nie byliby w stanie temu zapobiec. Pani Anielka była chodzącym pechem, a nawet więcej niż pechem. Ona miała widocznie taki dar, dar niefortunnych zdarzeń. Gdyby odliczyć te wszystkie jej nieszczęścia, to mogłaby być z niej fajna kobietka po czterdziestce, lecz wnikając w jej przeszłość, lepiej się od niej trzymać z daleka. Tylko ona przechodząc przez ulicę, może wpaść we wcześniej niezidentyfikowaną dziurę. Tylko ona potrafi przypalić ryż i makaron, bo zapomniała, że je wstawiła. Tylko ona, idąc obok warszawskiego akademika, może dostać pustą butelką po piwie w głowę, otrzepać się i zrobić studentom taką awanturę, że do dziś jej zdjęcie wisi w każdym obiekcie uniwersyteckim z podpisem: „Tej pani nie wpuszczamy”. I na dodatek tych wszystkich nieszczęść musi jeszcze opiekować się istnym diabłem, zwanym przez wielu moją siostrą.

– Naleśniki, ja chcę naleśniki! – krzyczała dopiero co obudzona diablica, jakby nie spała co najmniej od dwóch godzin.

Baśka odeszła od jej drzwi, schodząc ponownie do kuchni, zapewne smażyć naleśniki dla córki. Odwróciłam się w stronę okna, by jeszcze na chwilę móc zamknąć oczy i powrócić do cudownych chwili ładowania akumulatorów podczas snu.

– Zocha! – dobiegło z dołu. – Za dziesięć minut wychodzimy do Berki.

Dziesięć minut? To niemożliwe! Czyżby ich rano było inne niż moje? Wyskoczyłam z łóżka, podbiegłam do szafy, by włożyć na siebie którąś ze starannie przygotowanych stylizacji. Przeczesałam włosy różową szczotką, podkreśliłam rzęsy tuszem i nałożyłam błyszczący na usta. Najbardziej pracowite dziesięć minut w historii mojego życia.

Zbiegłam na dół. Widząc siedzącą jeszcze przy stole Baśkę, zaczęłam się denerwować. „To ja tu się spieszę, a ty w dupę sobie jedzenie wpychasz?” – irytowałam się w myślach, widząc, jak Baśka gryzła kolejny zapewne już kęs naleśnika.

– Masz? – zapytała z pełnymi ustami.

– Co? – Nie chciałam jej już zwracać uwagi, że jak kura je, to gęś nie gęga.

– No, pomysł na ratowanie Berki – przypomniała mi.

Wróciłam pędem do pokoju, wiedząc, że nawet polskie pociągi pospieszne przegrałyby ze mną w biegu na sto metrów. Zabrałam białą reklamówkę, leżącą na toaletce, i ponownie zeszłam na dół. Baśka przełknęła ostatni kęs naleśnika, ucałowała diabolicę i już była gotowa do drogi.

Taksówka przyjechała dość szybko. Zawiozła nas do mieszkania Berki i Karola, gdzie jeszcze nikogo nie było. Nikogo prócz ukrytej w łazience ciężarnej. Dopiero pojawienie się całej naszej piątki zmusiło Berkę do opuszczenia swojej kryjówki.

Siedząc na dużym sypialnianym łóżku, nie musiałyśmy padać z wrażenia. Już czułyśmy się padnięte, cisnąc się w pięć na tak małej powierzchni. Widok Berki w kwiecistym, kolorowym czepku, rodem z sanatorium w Ciechocinku, robił wrażenie.

– O ja pier... – Mari jakoś się powstrzymała od dokończenia zwrotu, który jako pierwszy przyszedł jej do głowy.

– Wyglądasz jak... – zaczęła Monia.

– Jak z ciechocińskiego sanatorium – dokończyłam.

– Skąd masz to coś? – odważyła się zapytać Jolka.

– Babcie przywiozły z podróży – odpowiedziała spokojnie. – Mówiły, że tam to był hit.

Spojrzałyśmy po sobie, zastanawiając się, czy to my nie znamy się na



modzie, czy miejsce, w którym były staruszki, to czasami nie jest jakaś prehistoryczna wioska, rodem z kamienia łupanego, gdzie mieszkańcy używają maczug, jak w *Prehistorik*.

– Co wymyśliłyście? – z nadzieją w głosie zapytała Berka.

– Zaczniemy od najgłupszej – zarządziła Jolka. – Zocha, co masz?

Wysypałam z mojej reklamówki kilkanaście pasm naturalnych włosów, w kolorze dobranym do włosów Berki, z najmodniejszymi zapięciami sezonu, clip in. Nie niszczą włosów, bez użycia kleju i innych chemicznych mieszanek. Sama natura na niewidocznych klipsach.

– Niby do czego ma sobie to przyczepić, jak jest łysa? – Szkoda że Jolka była spostrzegawcza tylko w sytuacjach dotyczących moich niepowodzeń.

– To co ty masz, mądralo? – odburknęłam, wściekła.

Jolka otworzyła swoją okazałą czarną torebkę, kupioną zapewne za marne grosze na jakiejś wyprzedaży. Z uśmiechem wyjęła z niej dość spore pudełko czarnego koloru. Spojrzałam na twarze dziewczyn, lecz i one najwyraźniej nie wiedziały, co to jest i do czego ma służyć łysej Berce.

– Dercos Neogenic Vichy. – Jolka z dumą podniosła pudełko do góry – Tysiąc siedemset nowych włosów w dziewięćdziesiąt dni.

– Wow, w rok będzie miała sześć tysięcy osiemset nowych włosów, z czego trzy czwarte i tak wypadnie, jak będzie je czesać – wyliczyła Marietta.

– To nie będzie czesać. – Jolka nie lubiła przegrywać.

Dwie propozycje, dwie odrzucone. Twarz Berki wydawała się jeszcze bardziej zrezygnowana niż przed naszym przyjściem.

– Ja mam tabletki na wzmocnienie włosów – cicho wyznała Baśka, a my nie skomentowałyśmy jej pomysłu.

– No, widzę, że jak zawsze najlepiej idzie mi myślenie – mówiła Mari z wyższością w głosie, szukając czegoś w wielkiej papierowej torbie. – Peruki na każdy dzień – powiedziała, wyjmując blond kudły. – Zawsze coś się znajdzie. – Pokazała brązowe, kręcone „coś”, mające być włosami.

Berka rozplakała się. Przestała najwyraźniej wierzyć w powodzenie akcji „Ratuj Berkę”, przypuszczając, że tym razem orka samotnie zatonie.

– Jak zawsze na mnie spada cały obowiązek ratowania świata – zaśmiała się Monika. – Dobrze, że miałam w domu numer do pani Stasi, ona zna mikstury na wszystko.

– Do babci Stasi? – Berka wyszczerzyła oczy.

– Najciemniej pod latarnią. – Monia puściła oczko do ciężarnej. – Zośka,

przynieś miskę i zaczynamy działać.

Pobiegłam do kuchni po miskę. Nie wiedząc, ile składników ma mikstura, postanowiłam zabrać z sobą tę o większej pojemności.

– Żółtko. – Monika rozbiła jajko, które wyjęła z torebki. – Mieszamy z trzema. – Wyciągnęła butelkę Okocimia Radlera. Wzięła łyk, po czym wypłuła go do miski.

– Co ty robisz? – zapytała Baśka.

– Odmierzam łyki – wyznała, nabierając kolejną porcję piwa do ust.

Patrzyłyśmy na nią z podziwem, gdyż nie każdy potrafiłby oddać piwo z powrotem, zamiast je przełknąć.

– A w przepisie na pewno było piwo smakowe? – zdziwiła się Berka.

– Nie było określone, a piwo to piwo. Nie napisali, że smakowe być nie może, więc zapewne może być, bo jakby nie mogło, toby napisali, a tego nie ma, więc na pewno może być. – Zgubiłam się już na początku jej wypowiedzi.

– Zdejmuj czepek – rozkazała Monika. – Teraz musisz to nałożyć na głowę na trzydzieści minut.

Berka niepewnie ściągnęła kwiecisty czepek, a naszym oczom ukazała się... nie łysina, lecz włosy. W mniejszej ilości niż ostatnim razem, lecz wciąż w ilościach większych niż sześć tysięcy osiemset sztuk, jakie proponowało po roku kuracji Vichy.

– Masz włosy. – Jolka nie kryła zdziwienia.

– To? – Berka dotknęła swoich włosów. – To nazywasz włosami? To są jakieś trociny, przeorane siano albo i lepiej – popękane niteczki.

Ze zdumieniem patrzyłyśmy na zasmuconą twarz Berki. Już sama nie wiem, co lepsze. Brak włosów czy też posiadanie takich dziwactw na głowie, jak przyjaciółka.

– Berka, nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. – Monika przywykła do roli naszej pocieszycielki w sprawach beznadziejnie beznadziejnych.

– Karol widział cię w gorszych sytuacjach. – Jolka postanowiła najwyraźniej pomóc Moni w pocieszaniu przyjaciółki.

– Jakich? – zaciekała się Berka.

Jolka rozpaczliwie spojrzała na nas, szukając pomocy. Nie znając gorszych sytuacji w życiu Berki, odwróciłyśmy wzrok ku drzwiom, zostawiając Jolce pole do popisu.

– Berka, daj spokój. – Jolka tym razem musiała się poddać. – Było za mało czasu, aby się nad tym zastanowić. Nie zadawaj tak szczegółowych pytań,

jakbyśmy w *Milionerach* byli.

– W *Milionerach* są cztery warianty odpowiedzi, a ty nie powiedziałaś żadnego. – Marietta najwyraźniej chciała pogrążyć Jolkę.

Jolka posłała jej zabójcze spojrzenie, szczelnie ukryte pod zębatą zasłoną.

– No dobra, zatem proszę, podpowiedz a: Mari ci powie, b: Baśka ci powie, c: Monia ci powie i d: Zośka ci powie, choć to w sumie możesz wykluczyć od razu – wymyślała na poczekaniu Jolka. – Którą odpowiedź wybierasz?

– Masz jeszcze telefon do przyjaciela, pół na pół i pytanie do publiczności – przypominałam sobie teleturniej z Urbańskim.

– Z takimi kołami ratunkowymi prędzej zatonie, niż się uratuje – szepnęła Baśka.

Słowne przepychanki skończyły się małymi fochami każdej z obecnych. Z preparatów i gadżetów towarzyszących akcji „Ratuj Berkę” najwłaściwsze okazały się nieskomentowane w swojej nieużyteczności tabletki na wzmocnienie włosów od nasady aż po same końce. Nawet moje clip in dostały kilka pozytywnych ocen końcowych, mimo iż wcześniej okazały się jedną, wielką klapencją, jakich wśród klap jest mało.

## 7 lutego 2016 roku

Nic nie mogło zepsuć leniwego niedzielnego poranka. Nic prócz jej. Skacząca po moim łóżku diablica widać doskonale się czuła w godzinach porannych, kiedy to słońce niechętnie zerkało zza chmur, mając jeszcze nadzieję na chwilę drzemki. Odwróciłam się na drugi bok, chcąc udać, że jej nie widzę. Diablica była szybsza. Jednym dużym susem przeskoczyła przeze mnie, jakby była wytrenowanym wierzchowcem, a nie dziecięcym rozbójnikiem. Zdjęła nałożoną chwilę wcześniej na głowę kołdrę, by radośnie wyczołchać moje włosy. „Tego już za wiele” – pomyślałam, czując małe palce na nasadzie mojej głowy.

– Spadaj stąd! – krzyknęłam, zdenerwowana.

Zuza zdawała się nie słyszeć moich słów, wciąż tarmosząc moje włosy, z krótkimi przerwami na ich całowanie. Zachowanie diablicy było co najmniej podejrzane. Bezinteresowna czułość z jej strony była tak niemożliwa, jak zdobycie przez Polaków mistrzostwa świata w piłce nożnej. Chociaż i to wydawało się bardziej możliwe, mimo iż nierealne. Zakochany w sobie diabeł nie mógł kochać nikogo, prócz siebie oczywiście.

– Zabiję cię, jak nie przestaniesz skakać – syknęłam przez zęby.

– Nie opłaca ci się, tatuś cię wydziedziczy i przekaże pieniądze na kościół.  
– Wciąż skakała po łóżku.

– A skąd ty to możesz niby wiedzieć?

Mała wzruszyła ramionami, na chwilę przystając.

– Nie mogę odpowiedzieć, mam być dla ciebie miła. – Uśmiechnęła się słodko swoim szczerbatym zgryzem.

Usiadła na łóżku, dokładnie przy mojej głowie. Patrząc na mnie uważnie, czekała na moją reakcję. Nie widząc niechęci, przytuliła się do mnie, co dało mi jeszcze więcej powodów do myślenia niż jej miły ton.

– Mów, czego chcesz? – zapytałam, wrywając się z jej objęć.

Kilka trzepotań rzęsami, nauczonymi najwyraźniej w czasie obserwacji moich lustrzanych prób, które widocznie nie były tak prywatne, jak myślałam.

– To w sumie mamusia i tatuś mają splanę, ale ja się baldzo cieszę, bo jesteś moją siostrą i baldzo cię lubuję – trajkotała wesoło.

– Lubujesz?

– Lubię to mało, a kocham jeszcze za dużo, ale idziesz w dobrym kielunku. Nie skłęczaj tylko – poprosiła.

Zaśmiałam się, słysząc to jej l zamiast r, którego nauczyła ją pani Bożena. Baśka wymyślała coraz to nowe sposoby powrotu trudnej dla innych dzieci literki, lecz diablica była nieugięta. Nawet przekupstwo nie pomagało, a to był chyba ostatni z możliwych argumentów, jakie mieli Baśka z ojcem. Diablica była twarda, skała mogłaby uczyć się od niej twardości, lecz ona od skały też by mogła pojąć kilka rzeczy, między innymi skalne milczenie.

Łóżko zawibrowało. Widocznie iPhone, znajdujący się gdzieś pod kołdrą, odebrał SMS-a.

– Gadasz czy idziesz sobie? – ponagliłam ją, ciekawa, od kogo dostałam wiadomość.

Wyobraźnia już splatała z sobą szczęśliwe sytuacje, jakie mogły mnie spotkać w najbliższym czasie. Skrzydła uniosły mnie na chwilę ponad łóżko, abym mogła doszukać się w niej tego, czego chciałam. Sebastian. Byłam maksymalnie pewna, że to on jest nadawcą czekającej pod kołdrą wiadomości.

– Jutro idę do przedszkola – była wyraźnie podekscytowana.

„Biedna pani Anielka nie wytrzymała” – pomyślałam ze smutkiem, wiedząc, że diablica do aniołów, niestety, nie należy.

– A co z Anielką? – chciałam się upewnić.

– Stłaszne rzeczy. – Teatralnie spuściła wzrok, jakby się przejęła sytuacją opiekunki. – Szła, szła i nie doszła. Padła na chodnik i jej noga zlobiła wielkie tlach, takie, że nawet ciężarówka się zatrzymała, żeby zobaczyć, co to za słoń upadł, a to tylko ona. Lozumiesz? Ona nie ma nogi! – Kiwała, załamana, głową.

– Oj tam, ma, tyle że lekko złamaną. – Zaśmiałam się, chcąc wyobrazić sobie sytuację.

Nieszczęścia chodzą po ludziach, ale u pani Anielki one wyraźnie zamieszkały na dobre. Kobieta nie potrafiła przeżyć tygodnia bez dodatkowych atrakcji. Aż dziw, że opiekując się diablicą, nie mogła i na nią trochę tego pecha przenieść. Nie, nie życzyłam siostrze źle, ale jakby na kilka dni straciła mowę, to nikt by się nie pogniewał. Na pewno nie ja.

– I tak się cieszysz, że idziesz do przedszkola? Super. – Próbowałam wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu, lecz z marnym skutkiem.

– Ale to nie koniec. – Ponownie się do mnie przytuliła. – Ty mnie odprowadzasz.

Uścisk małych rąk parzył bardziej niż chwilę temu. Dotyk diabła palił niemiłosiernie, a słowa wydobywane z piekieł wprost wypalały przewód

słuchowy. Płonęłam, paliłam się żywcem, nie mogąc nic zrobić. Opętana przez zło, czekałam, by ruszyć do ucieczki. Od piekła do nieba droga wcale nie była tak daleka. Wystarczyło jedynie wyzwolić się z diabelnego uścisku.

Zuza odpuściła. Poluzowała uchwyt, by zbiec radośnie na śniadanie. Widocznie odprowadzenie jej do przedszkola było rzeczą priorytetową, dopiero po tym nastąpi spalenie mnie do cna, czego dziś nie zdążyła dokończyć. Diablica opuściła mój pokój, a ja wciąż czułam jej piekielny ogień. Chcąc zapomnieć o próbie uduszenia mnie, sięgnęłam po iPhone'a, leżącego w okolicach moich stóp. Wcisnęłam znak koperty, po czym odczytałam:



Z okazji naszej dwunastodnicy musimy dziś zrobić coś szalonego i niezapomnianego. Obiecuję, że dziś doznasz rozkoszy, jakiej nikt wcześniej ci nie dał.

Moje ciało ponownie zapłonęło. Tym razem jednak płomień mnie nie zabijał, lecz rozgrzewał poszczególne partie mojego ciała do czerwoności. Jeden SMS działał więcej niż kaloryfer w pokoju. Sebastian doskonale wiedział, jak podgrzać atmosferę między nami, a uczczenie w ten sposób naszej dwunastodnicy był wręcz słodyczą dla sprośnych myśli.

Zamknęłam oczy, chcąc wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał ten moment. „On pchnie mnie na łóżko, rzuci się na mnie nienasycony, głodny, spragniony...” – puściłam wodze fantazji, mając jednocześnie nadzieję, że nazwany przeze mnie moment wcale momentem się nie okaże.

– Nie jesteś zła? – Usłyszałam cichy głos Baśki, dopiero teraz zauważając, że stoi w drzwiach mojej sypialni.

Wyobraźnia została wyłączona czerwonym przyciskiem. Widząc Baśkę, nawet przycisk pauzy nie chciał zadziałać, co wcale mnie nie dziwiło. Ona i jej sprośność to schowane w pudełku kajdanki, zapewne o kilka rozmiarów za małe.

– A powinnam?

– Wiem, że z Zuzką trudno wam się dogadać, ale ja muszę iść jutro do pracy, a Maks wyjeżdża dziś wieczorem do Katowic i na pewno nie wróci do tego czasu – tłumaczyła. – Chciałabym odprowadzić ją tego pierwszego dnia, ale przez tę twoją książkę muszę spotkać się z kilkoma osobami z kręgu blogerskiego, żeby nakłonić ich do patronowania książce, która na to nie zasługuje. – Spojrzała na mnie z wyrzutem, dając do zrozumienia, że to moja wina.

– Nie może być tak źle – próbowałam się bronić.

– Źle nie jest – powiedziała dość spokojnie. – Jest gorzej niż źle.

Rzekłabym, że gorzej być nie może.

– Na pewno może. – Chwycił mnie odruch pocieszenia, który nie był mocno rozwinięty, co łatwo dało się zaobserwować.

– Gorzej być może. – Zaśmiała się ironicznie. – Gdyby ten twój Sebastian zaczął sam z nimi rozmawiać, prezentując swoje dzieło, które nawet do podcierania tyłka jest za twarde.

Znając opinię Baśki na temat książki Sebastiana, nie chciałam wchodzić z nią w dłuższą dyskusję na ten temat. Sama byłam zmuszona przeczytać „to coś”, czego do dziś inaczej nazwać nie potrafiłam. Baśka i tak była dzielna. Ona nazwała „to” książką, czego ja wciąż próbowałam unikać.

– Odprowadzę ją, ale przestaniesz mi wypominać, że to ja jestem winna twojemu marnemu żywotowi w wydawnictwie – zaznaczyłam. – Nie moja wina, że on nie potrafi pisać tak, jak ty byś tego chciała.

– Jeżeli to grafomaństwo w ogóle można nazwać pisaniem – syknęła, wściekła, wychodząc z pokoju.

Nie interesowało mnie jej zdanie. Chciała pracować w wydawnictwie, to musiała się liczyć z tym, że taki Sebastian wyśle im swój manuskrypt. Zresztą gdyby sama miała talent pisarski, to może byłaby dziś znaną pisarką, a nie narzekającą wciąż poprawiaczką.

Dzień był piękny i taki miał pozostać. Nic nie mogło go zepsuć. Mogło być tylko dobrze.

Starannie wybrana koronkowa, czarno-czerwona bielizna nie mogła się zmarnować. Czekala już kilka dni na swój wielki dzień. Siódmego lutego wszystko miało się zmienić. Świat miał wirować szybciej niż dotąd, gwiazdy miały świecić jaśniej, niż człowiek mógłby od nich oczekiwać, a dzikie zwierzęta miały jeszcze bardziej zdziżyć z wrażenia. Nie tylko mój i Sebastiana świat miał stać się innym. Wraz z nami zmienić się miał dziś bieg wszelkich zdarzeń. Nic nie było w stanie przebić rangą naszego pierwszego intymnie-rozkosznego zbliżenia.

Godzina zero wybiła w moim sercu radosny rytm. Sebastian stanął w drzwiach mojego domu, lecz nie wszedł do środka. „Woli u siebie” – pomyślałam, rozumiejąc, że każdy ma inne zwyczaje. Dla mnie miejsce nie miało znaczenia, dla niego widocznie było inaczej.

Nałożyłam jedynie cienki płaszcz, wiedząc, że droga do domu Sebastiana nie będzie długa. Pokonywałam ją już setki razy. Powitalny całus, nie nachalny, jak u stęsknionych kochanków, raczej krótki, szybki, jak u staruszków, którym jedynie to z czułości zostało. Sebastian wziął moją

dłoń, otulając ją swoją. Prowadził w stronę otwartej furtki, lecz nie skręcił w prawo. On w ogóle nie miał w planie skręcić. Zatrzymał się, spojrzął na zegarek i przytupywał nerwowo nogami. Był zniecierpliwiony, lekko zdenerwowany, ale wciąż uśmiechnięty. Najwyraźniej on też czuł, że to będzie wyjątkowy dzień.

Podjechała taksówka. Sebastian niczym dżentelmen otworzył przede mną drzwi, abym wsiadła do środka. „Romantycznie, w hotelu” – uśmiechnęłam się do swoich myśli, czując się przy tym ważna dla swojego chłopaka. Sebastian podał taksówkarzowi nieznaną mi adres. Całą drogę nerwowo pocierał dłońmi o spodnie, chcąc wytrzeć z nich cały pot. Gdyby ich materiał był sztywniejszy, bez wątpienia przez swoje tiki zdarłby sobie skórę dłoni.

Kiedy taksówka się zatrzymała, Sebastian wręczył zielony banknot kierowcy, dodając na końcu słowo „dziękuję” na znak zatrzymania przez niego reszty. Facet z wąsem dziękował pewnie w duchu, że trafił mu się kurs z takim napiwkim.

– To tutaj. – Pokazał mi niewielki domek, stojący przy ulicy. – Marzyłem o tym, od kiedy dowiedziałem się, że on istnieje. A teraz... teraz wiem, że jesteś jedyną właściwą osobą, by ze mną spędzić te niezapomniane chwile.

– Tutaj? – zdziwiłam się. – Może wewnątrz jest piękniejszy niż z okładki.

Podekscytowany Sebastian prowadził mnie po starych schodach do drzwi domku. Dopiero teraz moim oczom ukazał się wielki napis: DOM ZAGADEK, który wprowadził w moje myśli jeszcze więcej tajemniczości.

– Witam serdecznie. – Chłopak mniej więcej w moim wieku podał nam dłoń na powitanie. – Nazywam się Jarek i w razie pytań proszę kierować się do mnie. Pan Sebastian, dobrze pamiętam? – chciał się upewnić.

– Tak, we własnej osobie, a to Zosia. – Wskazał na mnie.

– Wchodzicie we dwoje? – zapytał.

Sebastian skinął głową, a ja doszukałam się właśnie rozwiązania zagadki. „Do swingersów!” – „krzyczałam” w myślach. Myślałam, że pierwszy raz spędzimy tylko we dwoje, ale skoro on lubi takie rozrywki, to nie mogę pokazać, że jestem gorsza.

Jarek zapisał na samoprzylepnych kartkach nasze imiona, po czym przyczepił je do naszych ubrań. Nie przypuszczałam, że w środku będzie aż tyle ludzi, żeby była potrzeba zapisywania imion, ale może takie tu mają zwyczaje.

– Zapraszam po schodach do góry. – Wskazał kierunek. – Ja zaraz otworzę pokój, tylko wypiszę godzinę wejścia.



Ruszyliśmy po schodach, zatrzymując się przed zamkniętymi drewnianymi drzwiami. Przystawiłam ucho bliżej, chcąc usłyszeć odgłosy dobiegające ze środka, lecz odpowiedziała mi cisza. „Szczelnie wyciszyli” – pomyślałam z uśmiechem, w wyobraźni tworząc wizję tego, co znajduje się za drzwiami.

– Od teraz macie godzinę. – Jarek przekręcił klucz w drzwiach. – Powodzenia.

Weszliśmy do ciemnego pomieszczenia, szukając po omacku kontaktu, by zapalić światło.

– Gdzie oni są? – zapytałam w końcu.

– Kto?

– Oni – odpowiedziałam, nie chcąc wymówić tego słowa.

– Kto gdzie jest?

– Swingeri – wydusiłam z siebie. – Gdzie się podzieli?

Sebastian zamilkł na chwilę. Widocznie dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w pokoju jest nie tylko ciemno, ale i cicho. Najwyraźniej byliśmy tutaj sami.

– To escape room – powiedział. – Nie żaden swing room czy jak to się tam nazywa.

– Ale mówiłeś, że dziś nadszedł ten dzień, kiedy doznasz rozkoszy...

– I nadszedł. – W ciemności słyszałam jego wesoły głos. – Marzyłem, żeby tu przyjść i rozwiązać te zagadki.

Nie rozumiejąc sytuacji, postanowiłam nie brnąć dalej w tę rozmowę.

– Dziwne masz marzenia – dodałam cicho.

– Nie bardziej niż ty.

Ciemność zdawała się jaśnieć. Oczy powoli przyzwyczajały się do zastanej sytuacji i niczym sowa wyteęzały swe moce, aby ujrzeć wroga. Sebastian trzymał mnie dzielnie za rękę, stawiając małe kroczki, przybliżające nas jedynie o milimetry do znajdujących się wewnątrz zagadek.

– Musimy się rozdzielić i poszukać lampy – zarządził, puszczając moją dłoń w nieznaną. – Tylko skup się, bo nawet ułamek sekundy może nam pomóc to wygrać.

Po omacku szukałam dłońmi przedmiotów przypominających w dotyku lampę. Kłódka, maska, rama, latarka, piasek, ale gdzie jest lampa?

– Masz? – Sebastian przerwał ciszę.

– Lampy nie ma, tylko jakaś kłódka, maska, ramka, latarka i coś piaskowego – wyliczałam. – Po lampie ani śladu.

– Zośka, łap latarkę, o to przecież chodziło! – krzyknął. – Czemu ty mnie

nigdy nie słuchasz?

Pospiesznie wykonałam polecenie, choć byłam nieco naburmuszona z powodu jego tonu.

– Kazałeś szukać lampy, nie latarki – sprostowałam, świecąc mu prosto w oczy.

Sebastian nie skomentował mojej wypowiedzi, uznając najwyraźniej swój błąd w tłumaczeniu zadania. „Jak dobrze, że nie zostałam nauczycielem” – cieszyłam się w duchu, wyobrażając sobie biedne dzieci, którym tłumaczyłby wzór Prometeusza na matematyce.

Latarka ułatwiła zadanie. Dzięki jasności, jaką nam dawała, mogłam z całą pewnością stwierdzić, że nie jesteśmy w pokoju swingersów, lecz w jakimś starym piramidycznym muzeum. Otaczały nas egipskie gadżety, kupione zapewne za grosze na stadionie, u Turków, którzy mają wszystko.

– Jest. – Sebastian trzymał w ręku niewielką kłódkę. – Musimy odgadnąć szyfr. Spróbuj go znaleźć.

Polecenie Sebastiana było co najmniej dziwne. Po co mam szukać jakiegoś szyfru? Przecież jest tylko jeden szyfr, który otwiera wszystko.

– Pięć, pięć, osiem, siedem – podyktowałam dumnie.

Sebastian przekreślał ochoczo cyfry na kłódkę, aż powstał podany przeze mnie numer. Kłódka nie ustąpiła.

– To nie ten. – Zrobił kwaśną minę. – Skąd wzięłaś ten szyfr.

– To moja data urodzin – wyznałam. – Otwiera wszystko, Facebook, Instagram, pocztę, Twitta, a nawet do USOS-a pasuje.

Sebastian spuścił głowę, lekko nią machając, raz w prawą, raz w lewą stronę.

– Zosiu, Tutenchamon nie mógł wiedzieć, kiedy się urodzisz, gdy zamykał tę kłódkę. – Pogłaskał mnie po głowie, jak kiedyś miał w zwyczaju robić to tata.

Nie chcąc go zawieść, intensywnie pobudziłam moje głęboko ukryte komórki. Wiedziałam, że właśnie teraz nadeszła ich kolej na działanie. Ileż można przecież odpoczywać.

– To może wpisz datę urodzin tego całego Tutechama – zaproponowałam.

– Tutenchamona – poprawił mnie, lecz nie zwróciłam na to zbytnej uwagi.

„Po co się uczyć jego imienia, jak i tak prezentu na urodziny mi nie da” – dedukowałam. Sebastian ponownie kręcił liczbami na kłódkę, wpisując nieznaną mi datę. Jeden, trzy, cztery, dwa.

– Pierwszy marca czterdziestego drugiego – rozszyfrowałam zapis liczb.

– Tysiąc trzysta czterdziesty drugi przed naszą erą – wyjaśnił.

Kłódka ustąpiła, pozwalając nam dostać się do wnętrza sejfu. Sebastian włożył rękę do środka, lecz nic tam nie znalazł.

– Oszukał nas Tutecham jeden! – zdenerwowałam się.

Sebastian spojrział na mnie, chcąc najwyraźniej coś powiedzieć, lecz się powstrzymał.

– Musi coś tu być. – Klęknął przed sejfem.

Stałam nad nim, czekając na dalsze instrukcje. Przeczesałam włosy palcami, wylizałam paznokcie, aby się idealnie świeciły i poprawiłam usta błyszczkiem, kiedy do mych uszu dotarł radosny dźwięk:

– Jest, mam go!

Niechętnie kucnęłam obok niego, chcąc zauważyć, co takiego odkrył w pustym sejfie.

– Co to za bazgroły? – zapytałam, widząc na jednej ze ścian sejfu dziwne rysunki.

Byłam pewna, że nawet diabllica (cokolwiek bym o niej sądziła) rysuje lepiej niż autor tych bazgrołów. Sebastian wpatrywał się w napis, szukając w nim większego sensu, niż był zapisany.

– Gdzie masz tę ramkę? – zapytał nagle.

– Leży gdzieś tam. – Wskazałam niechętnie ręką miejsce, w którym wcześniej po ciemku wymacałam ramkę.

Sebastian podszedł do ramki, wziął ją w dłonie i delikatnie obracał, przypatrując się jej dokładnie z każdej strony. Był niczym Malanowski, którego czasem dla zabicia nudy oglądałam na Polsacie. „Ile można obracać ramkę?” – zastanawiałam się, patrząc na chłopaka. W prawo, w lewo, pod spód, na wierzch, znów w prawo, i tak kilkanaście razy.

Dźwięk przekręcanego klucza wyraźnie nie zadowolił Sebastiana. Jarek wszedł do pokoju, z udawaną smutną miną. Byłam pewna, że chwilę wcześniej prowadził radosną rozmowę ze swoją ukochaną.

– Przykro mi – zaczął. – Dziś się nie udało, ale byliście dzielni.

Podał nam kolejno dłoń, by po chwili znów zostawić nas samych w pokoju. Jednak tym razem nie zamknął drzwi. Tym razem było tu widno i nawet światło latarki zdawało się niknąć w tych jasnościach.

Wyszliśmy z domu po kilku minutach. Sebastian wciąż z miną zamkniętego w klatce goryla, ja z radością w sercu, że to już koniec. „Gra wstępna zakończona” – pomyślałam.

– To gdzie teraz? – zapytałam słodko. – Do mnie czy do ciebie?

Postanowiłam przejąć sprawy w swoje ręce, aby nie zostać dziewczyną związkową do ślubu. Sebastian posłał mi uśmiech i rzekł:

– Do mnie!

Cieszyłam się jak dziecko. Koronkowa bielizna miała jednak ujrzeć światło dzienne, nie zostając zapomnianą w natłoku innych ubrań. Taksówka zawiozła nas pod doskonale znany mi adres, abym mogła przypieczętować ważność związku z Sebastianem. Dwunastodnica miała przejść do historii i wszystko było na dobrej drodze.

Nie czekając na ruch Sebastiana, pociągnęłam go ku górze, gdy tylko przekroczyliśmy próg domu. Nie opierał się. Cieszył się, że przejęłam kontrolę. Całując go namiętnie, weszłam do jego sypialni. Pchnęłam na łóżko, zaczynając rozpinać guziki jego koszuli, nie przestając go przy tym całować. Sebastianowi udzielił się mój nastrój. Poczulałam pod sobą, że jest gotowy do działania. Zdjęłam z siebie ubranie, pozwalając mu chwilę popatrzeć na seksowną koronkową bieliznę, kupioną specjalnie na ten dzień.

– Mmm... – mruknął tylko, podekscytowany.

Czas patrzenia na bieliznę dobiegł końca. Zgrabnym ruchem pozbyłam się z siebie wpierw stanika, potem stringów. Zamknęłam oczy, pozwalając myślom wrócić do znanych mi ze snów chwil. Sebastian uniósł mnie, by po chwili położyć plecami na łóżku. „Wolisz u góry” – uśmiechnęłam się do swoich myśli, czekając na kulminacyjny moment złączenia naszych ciał...

Cisza. To jedyne, co nastąpiło. Otworzyłam oczy, lecz Sebastiana nie było w pokoju. Nałożyłam niezgrabnie na siebie jego koszulę, aby iść go poszukać. Nie miałam pewności, że jesteśmy sami, dlatego wolałam uważać.

– Gdzie jesteś? – zapytałam, pewna, że bawi się ze mną w chowanego.

Każdy lubi jakieś zabawy, więc może on lubi akurat chowanego.

– Tutaj.

Poszłam za jego głosem, zauważając na swojej drodze przymknięte drzwi. „A więc tu jesteś, kocie” – pomyślałam, pchając delikatnie drzwi stopą. Sebastian siedział wygodnie w biurowym fotelu, jaki widziałam w przyszłości przy biurku w swoim gabinecie. Nagi, tyłem do mnie, zapisywał coś, szybko klikając na klawiaturze. Podeszłam bliżej, chcąc zobaczyć, co pisze, lecz widok napisu Sebastian Poseł u góry ekranu wystarczył mi do zrozumienia, że dziś nici z seksu. Zapewne nie tylko dziś.

– Nie skończyliśmy – zauważyłam, mało delikatnie.

– Jakby się uprzeć, to nawet nie zaczęliśmy – sprecyzował, nie odrywając oczu od monitora.

Przegrałam. Ja, Zosia Majer, przegrałam z komputerem i jakąś durnowatą książką. Zostałam porzucona. Naga, samotna i spragniona. Nie miałam sił walczyć z weną. Tym razem musiałam się poddać, ale następnym razem pokażę jej, kto rządzi w tym związku.

Niezauważona wyszłam. Wcale nie dlatego, że byłam cicho. Wcale nie dlatego, że się kryłam z wyjściem. Nie zauważono mnie, bo na mnie nie spojrzano. Mogłabym być najpiękniejszą kobietą na ziemi, a on i tak nie zwróciłby na mnie uwagi. Chwila... przecież jestem najpiękniejsza. „Tym bardziej go nie rozumiem” – pomyślałam, idąc w stronę swojego domu.

Miałam cichą nadzieję, że chociaż tam ktoś zauważy moje istnienie, choćby poprzez zatruwanie mi życia odgłosami nadętej, żółtej ryby.

## 8 lutego 2016 roku

Załamana wczorajszymi wydarzeniami najchętniej przeleżałabym cały dzień pod kołdrą, czekając na znak od Sebastiana. Niestety... Diablica już od kilku minut skakała po moim łóżku, wesoło krzycząc: „Zośka, wstawaj do przedszkola”, jakby to miał być mój pierwszy dzień w nowym środowisku. Aż dziw, że się nie bała. Ja na jej miejscu siedziałabym od rana w toalecie lub na wszelki wypadek założyłabym pampersa. Taki charakter nie mógł przynieść pozytywnej socjalizacji z otoczeniem rówieśników.

Diablica od najmłodszych lat miała wszystko. Nie zdążyła powiedzieć, a już taca leżała tuż przed nią, wystarczyło jedynie wziąć i nawet nie dziękować. Rosnąc w poczuciu bycia najpiękniejszą, ciężko jest potem nawiązywać poprawne kontakty z dziećmi. Wiem coś o tym, tyle że ja faktycznie byłam piękna. I wciąż jestem. A ona? Kilka małych zębów, pokazywanych zbyt często, czarne, może i ładne włosy, ale spięcie ich w te dwa kuce musiało być pomysłem staromodnej Baśki. Aż strach pomyśleć, co będzie potem.

– Zośka, bo się spóźnimy – denerwowała się diablica, cały czas radośnie skacząc po moim łóżku.

– Już wstaję – powiedziałam niechętnie.

Wygrzebałam się z łóżka, z nadzieją, że jak tylko odprowadzę Zuzkę, to wracam tu, pod ciepłą, zakrywającą mnie i moje emocje pościel. Narzuciłam na siebie pierwsze lepsze ubrania, wiedząc, że i tak nie wyglądam w nich najgorzej. Zeszłam na dół i już chciałam zakładać buty, kiedy obok mnie ponownie znalazła się mała.

– A śniadanie? – zapytała, zdziwiona.

Byłam pewna, że Baśka ją chociaż nakarmiła, żeby nie miała z nią żadnych niemiłych przygód, a tu już na wstępie problemy.

– Kupię ci coś w Maku – rzekłam szybko. – Tylko ani słowa matce.

Zuza z radosnymi iskierkami w oczach położyła palec wskazujący na swoich małych ustach na znak zawartego paktu milczenia. Wyszliśmy. Ja – załamana, zmęczona wydarzeniami ostatnich dni i ona – podskakująca radośnie, z małym pluszowym plecakiem na plecach.

Szybkie zakupy w Maku: zestaw Happy Meal dla diablicy i duża kawa na rozbudzenie dla mnie.

Przedszkole mieściło się w małym, ładnym pałacyku, obok którego pełno było kolorowych huśtawek, domków do zabawy, kilka trampolin z siatką

i ogromna piaskownica.

– Ty jesteś Zuzia? – zapytała młoda blondynka, kiedy tylko przekroczyłyśmy próg przedszkola.

Mała entuzjastycznie skinęła głową.

– A to pewnie twoja mamusia. – Spojrzała na mnie.

– Nie, ja...

– Tak, mamusia jest pisarką. Pisze opowieści dla dzieci – przerwała mi diablica. – Żeby mi było łatwiej, to chciała dziś opowiedzieć dzieciom swoją bajkę.

Błagalne spojrzenie Zuzy wystarczyło, aby nauczycielka z sympatią zerknęła na mnie i zgodziła się na jej propozycję. Tylko co ja miałam mówić? Przecież pisarką nie byłam, a ta mała diablica musiała już od dawna knuć ten plan. Nie mogłam pozwolić dać jej wygrać. O nie, nie dziś.

– Dzieci, to jest wasza nowa koleżanka, Zuzia – blondynka przedstawiła diabolicę. – Cieszę się, że chce pani pomóc córce się zintegrować w grupie. Jestem Joanna. – Podała mi rękę. – Czy nie będzie problemem, jeśli pójdę na chwilę do dyrekcji i zostawię panią samą z naszymi aniołkami?

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z sali. „Może to i lepiej” – pomyślałam, przerażona możliwością kompromitacji. Wesole dzieciaki biegały ochoczo po pomieszczeniu, w którym pełno było kolorowych zabawek. Lalki, samochody, domki, patelnie, klocki i inne dziecięce gadżety zdawały się nie radować ich tak, jak zaczepianie siebie nawzajem.

– Siad! – krzyknęłam, postanawiając zacząć szopkę.

Dzieci jak na komendę przestały biegać. Stały w miejscu, patrząc na mnie zdziwionym wzrokiem.

– My nie jesteśmy piesami – zdenerwował się jeden z chłopców.

– Wy nie, ale ja dziś właśnie o piesach chciałam wam opowiedzieć – starałam się brzmieć naturalnie i wymusić uśmiech.

Dzieci zebrały się przede mną. W tureckim siadzie, z rękoma na kolanach, czekały na moje opowieści. Tylko jedna, czarna diablica, wyróżniała się z grupy. Ona nie czekała na bajkę, ona czekała na moją przegraną. „Po moim trupie” – dodałam sobie w myślach odwagi.

– Drogie dzieci – zaczęłam – nazywam się Zosia i chciałabym opowiedzieć wam bajkę o psie Puchaczu, który utknął w rynnie. A więc jakiś czas temu, ale nie tak dawno jak w bajkach o księżniczkach, był sobie pies o imieniu Puchacz. Puchacz był puszysty, nie tylko z owłosienia, ale z zalegającego w nim tłuszczu – plotłam, rozglądając się po minach dzieci.

– Tak jak u ciebie, chłopczyku. – Wskazałam dłonią na otyłego chłopca w koszulce w paski.

Chłopiec posmutniał, ale lepiej, aby za młodu dowiedział się takich rzeczy, niż w przyszłości miałby być wyśmiewany, dlatego że spaśli go rodzice i dziadkowie.

– Więc pies Puchacz był pulchny i pewnego dnia...

– Głupia! – krzyknął chłopiec w pasiastej koszulce.

– Nie, ta bajka nie jest głupia – tłumaczyłam.

– Ale ty jesteś! – krzyknął ponownie.

Nie wytrzymałam. Podniosłam się z krzesła, by ruszyć w jego stronę. W wyobraźni już widziałam grubaska zaczepionego majtkową gumą o drzewo za oknem. Chłopiec, dostrzegając moje lodowate spojrzenie, wstał i zaczął uciekać. Miotał się po sali, rozrzucając leżące zabawki, abym miała trudność w dorwaniu go. „Aż dziw, że taki grubasek, a taki jest szybki” – pomyślałam, nadeptując przy tym na duży klocek. Pasiasta koszulka oddalała się ode mnie, lecz wiedziałam, że diabllica wszystko widzi i nie przestanie się ze mnie nigdy śmiać, jeśli nie dorwę grubasa. Biegłam, omijając domki, lalki i pluszaki, leżące na ziemi. Krzyczałam coś, dzieci się śmiały, grubas uciekał. Jak opętana biegałam za nim, nie rozumiejąc, dlaczego tak mnie obraził. Mnie, Zosię Majer.

– Co tu się dzieje? – krzyknęła blondynka, na którą prawie wpadłam podczas gonitwy.

– Ja, ja... – Nie wiedziałam, co powiedzieć. – ...ja właśnie opowiadałam bajkę o koniku, który biegał w wyścigach i chciałam im pokazać, jak to wygląda.

– Kłamie! – krzyknęła jedna z dziewczynek. – Chciała pobić Lolka, bo nazwał ją głupią, ale ona powiedziała wcześniej, że jest grubasem.

Nauczycielka spojrzała na mnie pytająco. Mój wzrok wszystkiemu zaprzeczał, lecz dzieci nie dawały spokoju. „Już ja was dorwę i wszystkich na gałęzi powieszę na tych brudnych gaciach” – pomyślałam mściwie, ale nie mogłam dać po sobie poznać, że się denerwuję.

– Zuziu... – blondynka zawołała diabllicę. – Jak było?

Patrzyłam na siostrę błagalnym wzrokiem. Ona uśmiechnęła się. Wiedziałam, że nasza siostrzana miłość zwycięży i kiedy będzie potrzeba, ona stanie po mojej stronie.

– Dzieci mają lację – powiedziała. – Mamusia goniła tego chłopca i tak stłasznie mówiła o nim: „Glubas, glubas”.



Nauczycielka zdawała się wierzyć diablity. Skarciła mnie spojrzeniem, lecz gdyby mogła, na pewno użyłaby broni, aby mnie co najmniej rozstrzelać za zdenerwowanie jej „aniołków”.

– Przepraszam, pani Asiu, to nie tak miało być – próbowałam wybrnąć z sytuacji. – Musiał zjeść mnie stres i w dodatku nie pogryzł mnie, tylko od razu połknął, aby bardziej doskwierało.

Joanna patrzyła z lekką niechęcią, ale musiała wiedzieć, że mój ojciec jest dziany, więc zostawiła to bez komentarza.

– Czy mogę się jeszcze tylko pożegnać z córką? – zapytałam grzecznie.

Kobieta zostawiła mnie z Zuzką przy drzwiach, dając możliwość krótkiej rozmowy.

– Jak nie powiesz matce o tym, co się stało, to kupię ci tę wstrętną Elbę, na którą zbierasz. – Przekupstwo od zawsze było najlepszą metodą pracy z dziećmi.

Zuzka rzuciła mi się na szyję, całując przy tym obydwie moje policzki. Odklejając się ode mnie, pomachała jeszcze przyjaźnie dłonią i poszła bawić się z dziećmi. „Wygrałam!” – pomyślałam, wychodząc z przedszkola. Z diablity poszło łatwo, oby z Sebastianem było podobnie.

Wróciłam do domu i, tak jak zamierzałam, wskoczyłam do łóżka. Leżąc pod kołdrą, myślałam o Sebastianie. O tym, czy mnie jeszcze kocha, czy może kariera jest dla niego najważniejsza. Nie wiem, kiedy zasnąłam. Pamiętam tylko, kiedy nastąpiła burza, która przebudziła mnie ze snu.

– Wstawaj, do cholery, i już na dół! – Baśka była wściekła. – Masz dziesięć sekund, inaczej zablokuję ci kartę.

Wyciągnięcie armaty było dobrym pretekstem do wyjścia z łóżka. Nawet trochę się cieszyłam, że Baśka tak bardzo martwiła się moim stanem, że nie chciała, bym dłużej rozpaczała.

W tym, w czym spałam, zesłam na dół. Legginsy i szary top nie były moim stałym image’em, z jakim kojarzyli mnie inni. Zesłam do salonu, gdzie na kanapie siedziało pięć kobiet. Pięć moich przyjaciółek, które przyszły do mnie, najwyraźniej ratować moje samopoczucie. Uśmiechnęłam się lekko, czując, że nie jestem sama w tak ciężkiej sytuacji porzucenia.

– Siadaj – zarządziła Baśka. – Dzwoniła do mnie Joanna Kwarc. Mówi ci coś to nazwisko?

Pokręciłam przecząco głową. Nie znałam kobiety o takim nazwisku.

– To nauczycielka Zuzi z przedszkola. Opowiedziała mi kilka historii, które nawet jak na ciebie są niewiarygodne. – Patrzyła na mnie tym swoim

wściekłym spojrzeniem. – Zebrałyśmy się tutaj, aby pomyśleć, co dalej zrobić z sytuacją i mamy pewien pomysł – kontynuowała. – Zrobimy posiedzenie sądu.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Jeszcze przed chwilą myślałam, że chcą mi pomóc, a one przyszły mnie sądzić. I to za co? Przecież ja nic złego nie zrobiłam.

– W ramach sprawiedliwego wyroku masz prawo wybrać, która z nas ma być sędzią – odezwała się Marietta. – Baśka będzie oskarżycielem, a niestety żadna nie zgodziła się zostać twoim obrońcą.

„Przyjaciółki” – pomyślałam z niechęcią. Którą wybrać na sędziego? Berkę? W niej buzowały hormony i nigdy nie wiadomo, z czym może wyskoczyć, tym bardziej że sama była na etapie „będę mamą, muszę chronić dziecko”. Jolka odpadła w przedbiegach, z racji negatywnego postrzegania mojej osoby na co dzień. Monika? Z nią mógł być problem, bo była za blisko związana z negatywistyczką Jolką, mimo iż ona sama jest naprawdę fajną babką jedynie w pojedynkę. Została Mari, ułożona, schludna Mari, która nie pozwoli skrzywdzić swojej przyjaciółki.

– Chcę, żeby Marietta była sędzią – wyznałam. – A wy kim będziecie? – Spojrzałam na pozostałą trójkę.

– Ławą przysięgłych, koordynującą proces – odpowiedziała Monika.

Po podziale ról nastąpił podział salonu. Ława przysięgłych siedziała na kanapie, sędzia miał krzesło z małym stolikiem przed sobą, oskarżyciel, podobnie jak w sądzie dorobił się i krzesła, i biurka, dla mnie, oskarżonej, biurka nie przewidziano, a na wprost Mari ustawiono barowe krzesło z kuchni, najwyraźniej mające być miejscem dla świadka. „Też im się zachciało” – wyzywałam je w myślach od najgorszych.

Każda z nas zajęła swoje miejsce, przybierając przy tym poważną minę.

– Otwieram pierwsze posiedzenie sądu koleżeńkiego, zwołanego na potrzeby rozpatrzenia sprawy niepoprawnego incydentu w przedszkolu, wykonanego przez oskarżoną Zofię Majer, obecną na sali. – Mari naoglądała się za dużo *Sędzi Anny Marii Wesołowskiej*. – Czy oskarżyciel chciałby zabrać głos?

Baśka wstała z krzesła, oparła się o stolik przed sobą i zaczęła mówić:

– Oskarżam Zofię Majer o dopuszczenie się haniebnego czynu pobicia małoletniego Lolka w przedszkolu, do którego miała odprowadzić swoją siostrę. Oskarżona dnia ósmego lutego dwa tysiące szesnastego roku odprowadziła swoją siostrę Zuzannę do przedszkola, po czym podstępem

wdarła się do sali, skutecznie pozbywając się z niej nauczycielki, aby móc pobić nieletniego Lolka. – Wizja Baśki odbiegała znacząco od prawdziwej wersji wydarzeń.

– Co na to oskarżona? – zapytała Marietta.

– To nie...

– Proszę wstać, kiedy zwraca się pani do Sądu – pouczyła mnie Mari.

Wstałam.

– To nie tak, było inaczej. Mogę powiedzieć – zaproponowałam.

Marietta spojrzała na ławę przysięgłych, w której siedząca Jolka przecząco kręciła głową.

– Niestety, nie mamy czasu na wyjaśnienia – rzekła Mari, a twarz Jolki się rozpromieniła.

„Ława przysięgłych od siedmiu boleści”.

– Proszę o powołanie pierwszego świadka, Zuzanny Majer – odezwała się Baśka.

Marietta zawołała diablicę, która już po chwili znalazła się przed barowym stołkiem. Uśmiechnięta, z dwoma czarnymi warkoczami, wydawała się szczęśliwa z możliwości uczestnictwa w procesie.

– Czy Zosia naprawdę pobiła tego chłopca? – Baśka zrezygnowała chwilowo z oficjalnego tonu.

– Pobiła? Mamo, ona go splątała na kwaśne jabłko albo i coś baldziej wyciśniętego. Biegała za nim po dywanie w samochody, machając lękami, o tak. – Zuzia zaczęła energicznie machać rękoma, jakby zabijała muchy. – Przewlacała wózki, tablice, wszystko...

Baśka rzuciła mi lodowate spojrzenie.

– A dlaczego nic nie powiedziałaś mamie?

– Bo ona powiedziała, że jak nie powiem, to kupi mi Elbę, więc powiedziałam cioci Asi z przedszkola, a ona zadzwoniła do ciebie. – Uśmiechnęła się. – A żebyś wiedziała, co ona mówiła!

– Powiedz, a nie dostaniesz żadnej Elsy ani nic innego – syknęłam, przypominając sobie słowa rzucane w pogoni za pasiastym grubasem.

Diablica spuściła głowę.

– Kupisz jej Elbę, Olafa, pluszową rybkę Mini, taką jak ma Julka, a na dodatek zamówisz adidasowrotki z AliExpress – nie dawała za wygraną Baśka.

Mała uśmiechnęła się promiennie i pobiegła przytulić Baśkę. „Cwaniara” – pomyślałam, widząc, jak tuli się do matki tylko po to, aby coś ugrać.

– A i tak powiem cioci Asi, to ona zadzwoni do ciebie i przekaże wszystko – rzuciła na odchodnym.

Przesłuchanie świadków mieliśmy już chyba za sobą. Nie sądziłam, żeby wzywały do tego śmiesznego procesu panią z przedszkola, co byłoby bardziej ośmieszeniem. Świadek diaboliczny został zwolniony i mógł ponownie wrócić do pokoju, bawić się swoimi zabawkami.

– Czy są jeszcze jakieś wnioski? – zapytał Marietta.

Pokręciłam głową, nie mając pomysłu na obronę, chcąc, aby proces jak najszybciej się zakończył.

– Dziękuję stronom, jutro zostanie ogłoszony wyrok w sprawie. – Marietta wstała i udała się do wyjścia.

Dziewczyny zaczęły zakładać swoje płaszcze. Nie zwracały uwagi na mnie, bojąc się pytań z mojej strony.

– Dlaczego dopiero jutro? – rzuciłam w powietrze, chcąc, aby ktoś jej złapał.

– Musimy zobaczyć, w jakim więzieniu jest wolne miejsce dla ciebie. – Łapaczem była niestety Jolka.

Dziewczyny wyszły, pozostawiając mnie z mnóstwem myśli. Więzienie? Za gonienie grubasa, żeby schudł, powinnam dostać medal, a nie jakąś karę. Cały czas nie mogłam zrozumieć zaistniałej sytuacji. Postanowiłam wrócić do łóżka, bojąc się, że może to być ostatnia noc w moim pokoju. Nawet nie wiedziałam, jak wygląda więzienie ani co tam się robi. Widziałam je kilka razy w filmach, ale nie prezentowały się zachęcająco.

# 12 lutego 2016 roku

Wyrok zapadł w piątek Uniknęłam więzienia, lecz myśl o pięćdziesięciu godzinach prac społecznych w domu dziecka nie napawała optymizmem. Rozkapryszona banda dzieciaków z pewnością nie jest moim wymarzonym towarzystwem. Znacznie bardziej podobałoby mi się odpracowanie kary w jakimś barze, gdzie mogłabym po kryjomu sączyć przez słomkę smakowite drinki. Cosmopolitan pity przez Sarah Jessica Parker w *Seksie w wielkim mieście* brzmiał nie tylko dobrze, ale i smakował wyśmienicie z dodaną do niego skórką pomarańczy. Whiting Sunset, zwany przez wielu Zachodem Słońca, aż prosił o wypicie go do dna, a podawany w warszawskich klubach Adios Motherfucker ostatnimi czasy robił furorę nie tylko swoim błękitnym kolorem, ale też doskonałym połączeniem pięciu alkoholi, których smak trudno odróżnić. No i Mojito – najdoskonalszy spośród drinków, z którym mogłabym spędzić całe swoje życie. Połączenie rumu, mięty i limonek, z dodatkiem cukru trzcinowego i wody gazowanej, powali na kolana nawet najwybredniejszych. Kubki smakowe wprost pękają z rozkoszy, delikatnie chłodzone przez skruszony w drinku lód.

„Nie będzie drinków, będą dzieciaki” – pomyślałam, niezadowolona, dając możliwość zatopienia się cudownym wizjom alkoholowego odpracowania godzin społecznych. Wciąż czułam zapach mięty. Mojito nie chciało się poddać. Nakłaniało mnie do myślenia o sobie, lecz ja wiedziałam, że to nie pomoże. Zapach mięty uleciał. Jedyne sygnał SMS-a pozwolił mi wrócić do rzeczywistości.



Kolacja z matką, dziś o 18.00.

Krótką wiadomość była pierwszą od prawie tygodnia. Bez zbędnego „przepraszam”, bez wyjaśnień zapraszał mnie na rodzinną kolację. Kolację z potencjalną przyszłą teściową. Spojrzałam na zegarek. Pozostały dwie godziny. Tylko dwie godziny na staranny makijaż, umycie i uczesanie włosów, pomalowanie paznokci, wybór odpowiedniego stroju i zakup wina do kolacji. „Przecież to niemożliwe” – kalkulowałam w głowie, zastanawiając się, czy z czegoś mogę zrezygnować.

Nie marnując czasu, zaczęłam od włosów. Szybkie mycie, rozczesywanie, nałożenie odżywki, suszenie i już jeden punkt z listy był wypełniony. Sięgnęłam po kosmetyczkę, aby zrobić delikatny makijaż. Fluid, trochę różu na policzki, tusz do rzęs i błyszczczyk musiały wystarczyć, na nic więcej nie

miałam czasu. Paznokcie. Tutaj nie można było przyspieszyć, ale zawsze zamiast hybryd pod maszynką mogłam pomalować je zwykłym lakierem. Wybrałam beżowy, będzie doskonale pasował do zbyt złotego holu w domu Sebastiana. Ubranie – zarazem najłatwiejsze, jak i najtrudniejsze z wyzwania. Nie może być zbyt seksowne, ale też nie luźne, żebym nie wyglądała jak wieloryb. „Stonowane kolory czy odważne połączenia?” – zastanawiałam się, szybko dochodząc do wniosku, że Tori musi lubić odwagę, patrząc na jej dom.

„Siedemnasta czterdzieści pięć” – odczytałam z zegara. Nie zdążę kupić wina. Zbiegłam po schodach, pewna, że w piwnicznej winiarni znajdę coś odpowiedniego na dzisiejszy wieczór. Spośród setek win z całego świata wybrałam hiszpańskie, wytrawne Eléctrico Toro Albalá, którego butelka ma kształt żarówki. „Może uzna to za designerski pomysł ozdoby domu” – pomyślałam, biorąc butelkę pod pachę.

Pewnym krokiem ruszyłam do sąsiadów. Drzwi otworzył Sebastian. Uśmiechnięty, ogolony, w koszuli i krawacie w pionowe pasy.

– Skończyłem – powiedział, całując mnie czule w usta.

– Nie odzywałeś się prawie...

– Tydzień – dokończył spokojnie. – Ale pracowałem, intensywnie pracowałem nad nową książką. Przeczytałem twoje wiadomości. Tak mi przykro z powodu prac społecznych...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz wchodząca do holu Tori skutecznie mu przeszkodziła, podchodząc do mnie i całując mnie w... powietrzu. Dosłownie w powietrzu. Jedyne po cmokach wydawanych przez nią można było stwierdzić, że się ze mną wita. Nie dotykając moich policzków, cmokała trzy razy, jak w Polsce przystało.

– Zapraszam, zapraszam. – Gestem ręki zaprosiła mnie do środka.

Zasiedliśmy przed znanym mi już doskonale ogromnym stołem, nakrytym kremowym, wytłaczanym kwiatami obrusem. Po wyglądzie stołu widać było, że Tori długo się przygotowywała do mojego przyjścia. „Zapewne miała więcej niż dwie godziny” – pomyślałam, patrząc na stojące w wazonie białe róże, doskonale pasujące do białych, kwadratowych talerzy z delikatnym złotym zdobieniem oraz materiałowych serwetek dobranych kolorystycznie. Wszystko wyglądało elegancko. Nawet widziany z mojego miejsca zbyt złoty hol nie był już tak przerażający w tej scenerii.

– Sebastian mówił, że jesteś wolontariuszką w domu dziecka – zaczęła rozmowę Tori, a ja gratulowałam Sebastianowi bogatego słownika wyrazów

bliskoznacznych, dzięki któremu wymienił „karne prace społeczne” na „wolontariat”.

– Od jutra zaczynam. – Zmusiłam się do uśmiechu.

– Pamiętam, jak sama spędziłam tydzień w sierocińcu. – Tori wydawała się odpłynąć we wspomnieniach. – Moi rodzice wylecieli na kilka dni na wczasy, a ja byłam zbędnym bagażem, który pozostawili w domu. Sąsiadka zauważyła, że zostałam sama, a miałam wtedy raptem osiem lat, i powiadomiła policję. Oni zabrali mnie do domu dziecka, a moi rodzice po powrocie nie mieli problemów, żeby mnie stamtąd zabrać.

Jej historia była poruszająca. Znana celebrytka i dizajnerka nie miała najwyraźniej łatwego dzieciństwa.

– Naprawdę? – to jedyne, co przyszło mi na myśl.

– Żartowałam. – Zaśmiała się, a Arti razem z nią. – Muszę mówić takie łązawe historie, aby ludzie mnie kochali. Wiesz, lepiej się wtedy sprzedam. – Puściła do mnie oczko.

Podano kolację. Głównie lekkie sałatki, pomiędzy którymi ukryto kilka mało widocznych dań. Krewetki, ślimaki i ostrygi zdecydowanie nie należały do mojego ulubionego menu.

Tori, zwolenniczka czarnego humoru i zamiłowana gawędziarka, cały czas raczyła nas swoimi opowieściami z planu i życia. Arti zdawał się nadawać na tych samych falach, zaczynał się śmiać często przed zakończeniem opowieści, co ewidentnie denerwowało Sebastiana. On nie pasował do tej dwójki. Był poważny, stonowany, w przeciwieństwie do matki i jej partnera wydawał się okazem normalności, jeśli można zdefiniować jakoś to słowo.

– A wiesz, co było najlepsze? – zapytała mnie w pewnym momencie.

Pokręciłam przecząco głową, nie chcąc się przyznać, że nie wiem, o czym mówi.

– Najlepsze było to, że wcale nie byłam chora, tylko wykupiliśmy sobie lot na Arubę.

Zaśmiewali się we dwójkę. Sebastian zerkał na mnie po każdej wypowiedzi kobiety, chcąc zobaczyć moją reakcję. Faktycznie nie miał wesoło. Mała ropucha, zwana jego siostrą, matka wariatka i przyrodni brat, mający zostać w przyszłości jego ojczymem.

– Mogę prosić o szklankę wody? – Przerwałam ich śmiechy.

Arti niechętnie wstał z krzesła. Kiedy wrócił, był jeszcze bardziej niezadowolony, jakby uszło z niego powietrze. Spojrzałam na jego mięśnie i byłam pewna, że powietrze nadal się w nich znajduje, musiało najwyraźniej

ulecieć z czegoś, co znajdowało się w miejscu mózgu.

– Pamiętasz, jak kręciliśmy program u tej góralki z Małego Cichego, co miała akurat aparat na zębach od dnia naszej metamorfozy? – skierowała pytanie do Artiego.

Chłopak zaśmiał się, najwidoczniej przypominając sobie wydarzenie.

– Słuchaj, słuchaj, to będzie dobre – zwróciła się do mnie. – Pojechaliśmy na miejsce, a to taka pipidówa, że prędzej wodę na pustyni znajdziesz niż tam człowieka na ulicy. Pukamy do drzwi. Otwiera młoda, nawet ładna kobieta w ciąży, w twoim wieku. – Przyjrzała mi się dokładnie. – Więc pytam, co by chciała za zmianę, a ona mówi ciągle: „Nić, tylko żurowy”. Patrzę na Artka, on na mnie i nie wiemy, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nikt nie miał takich wymagań. Kobieta pojechała do babki, a my zaczęliśmy projektować. Wiesz, ile miałam roboty, robiąc ażurowe lampy, cotton ballsy i inne dekoracje z nitki, sznurka i kordonka. – Obejrzała swoje dłonie, jakby miała na nich znaleźć jeszcze ślady swojej ciężkiej pracy. – Ale udało się. Wszystko, co mogło być ażurowe, było ażurowe. Kobieta przyjechała, weszła do pokoju i zaczęła płakać. Cieszyłam się, taki widok raduje. To ich wzruszenie, podziw... – Zamyśliła się. – Ale ona nie przestawała płakać. To już nie było wzruszenie, to był dziki szloch. Wyłączyliśmy kamery, podchodzimy do niej i pytam, co się stało, a ona wrzeszczy, że miało być wszystko różowe. – Tori wybuchła śmiechem.

– Ale jak to? – zdziwiłam się.

– Przez te kilka dni nauczyła się mówić w aparacie i okazało się, że „nić, tylko żurowy” znaczyło „nic, tylko różowy”, bo miał to być pokój dla jej córki, która miała przyjść na świat za dwa miesiące.

Tori i Arti śmiali się w najlepsze, a ja marzyłam tylko o tym, by ten wieczór się zakończył. Na świecie istnieją dziwni ludzie, ale ta dwójka przejęła wszystkie dziwne dziwactwa od wszystkich dziwaków. Sebastian spuścił głowę. Było mu wyraźnie wstyd za matkę wariatkę i napakowanego Artiego. On też najchętniej zwinąłby się stąd niezauważalnie, lecz nie wypadało.

Śmiechy przerwał dźwięk telefonu. Tori podniosła się jak oparzona, chwytając za komórkę.

– Tak... Rozumiem... Już jedziemy... – Odłożyła telefon na stół. – Arti, musimy jechać. Jakieś pilne wezwanie. – Mówiła rozkazującym tonem, co wyraźnie podobało się „balonowi”.

Marzenie spełniło się. Dziwaczna para wyjechała, a my zostaliśmy sami.



Sami z małą ropuchą, siedzącą w swoim pokoju.

– To co robimy? – zapytał Sebastian, kiedy zamknęły się drzwi za Tori i Artim.

– Skończyłeś już książkę? – postanowiłam się upewnić.

Skinął głową. Podeszłam bliżej niego, aby złożyć na jego ustach namiętny pocałunek. Odwzajemnił go. Postanowiłam działać. Chwyciłam dłoń za jego męskość, dając mu wyraźny znak, na co mam ochotę.

– Może dokończymy to, co zaczęliśmy ostatnio – zaproponowałam, zastanawiając się pospiesznie, jaką bieliznę mam na sobie.

Nie każda nadawała się przecież na „pierwszy raz”. „Różowe koronkowe stringi i czarny stanik” – przypomniałam sobie. Lekko niezadowolona, że bielizna nie tworzy kompletu, zawahałam się. Jednak myśl, że następna okazja może nie nadarzyć się zbyt szybko, przywołała mnie do porządku.

– Nie tutaj – powiedział, ciągnąc mnie za rękę w stronę schodów.

„Déjà vu” – pierwsze, co przyszło mi na myśl, kiedy weszliśmy do jego sypialni, cały czas namiętnie się całując. Pchnęłam go na łóżko, zaczęłam rozpinać koszulę. On odpiął zamek mojej sukienki i położył mnie na plecach. „Znów to samo” – przypomniałam sobie naszą ostatnią próbę, jednak tym razem Sebastian wciąż był obok. Leżałam na plecach, a on lizał moje nogi, poczynawszy od stóp aż ku górze.

– Sebastian! – Obydwoje usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk.

Sebastian zszedł ze mnie, aby zobaczyć, co się stało. Julka siedziała w swoim pokoju, wpatrując się beznamiętnie w chrapiącą rybę na ekranie.

– Co jest? – zapytał spokojnie.

– Poszła spać. – Pokazała ręką na nadętą, żółtą rybę. – Włącz mi YouTube.

– Ona poszła spać i ty też idź, Juleczko – zaproponował, najwyraźniej mając nadzieję na dalszy ciąg naszych zabaw.

– Nie chcę spać, chcę rybkę! – zaczęła krzyczeć.

Sebastian pobiegł po laptop, aby spełnić jej zachciankę. Wpisał w wyszukiwarkę: „rybka minimini”, co dało mu kilkanaście tysięcy wyświetleń. Włączył pierwszą z nich, stawiając laptop przed Julką, a mnie pociągnął ponownie do sypialni.

W pośpiechu zdejmowaliśmy z siebie ubrania, całując się jak szaleńcy. Sebastian zrezygnował z lizania moich nóg na rzecz pieszczot palcami. Byłam rozgrzana, gotowa na kolejny ruch...

– Sebastian! – Znów przerwał nam głos Julki. – Skończyło się.

Ubierając się w biegu, skierowaliśmy się do jej pokoju, rozumiejąc, że

filmiki z rybką są zbyt krótkie. Kolejna nieudana próba tym razem nie zepsuła mojego nastroju, jak ostatnio. „Widocznie tak miało być” – pomyślałam, lekko się uśmiechając. Ważne, że miałam nadzieję. Nadzieję na lepsze jutro, które musiało kiedyś nadejść.

# 1×5

Szary, brzydki, stary budynek, jakich pełno w serialach kryminalnych i horrorach, a wszystkie przypominają mroczne szpitale psychiatryczne. Sama nie wiem czemu, ale akurat szpital psychiatryczny jest jednym z bardziej przerażających miejsc dla człowieka. Dla mnie również. Nienawidzę opowieści Moniki, związanych z tym miejscem. Ona z entuzjazmem mówi o postępach w leczeniu podopiecznych, a ja widzę tylko łóżko i przypiętego do niego pasami pacjenta. Szary budynek, przed którym stałam, również przerażał. Odrapane okna z kratami, jakbym miała przed sobą więzienie, a nie dom dziecka. „I to ma się nazywać domem?” – pomyślałam, że osoba używająca tego sformułowania wobec budynku, który miałam przed sobą, raczej kpiłaby z ludzi, niż traktowała ich poważnie.

Weszłam do środka. Przywitała mnie cisza. Dziwna, niepokojąca... Wiedziałam, że w budynku było pełno dzieciaków, dlatego czekałam na nadchodzącą burzę, bo to było nieuchronne. Powoli ruszyłam wąskim korytarzem przed siebie, szukając gabinetu dyrektora. Tabliczka na białych, wieki temu malowanych drzwiach oznajmiła mi, że znalazłam – YREKCJA. D mogło się przecież zmyć od ostatniego malowania.

Nałożyłam sweter na dłonie, aby pukając nie zedrzyć sobie skóry przez odchodzącą płatami farbę, pod którą widać nierówno oszlifowane drewno. „Jeszcze drzazgi mi brakuje” – pomyślałam, po czym załomotałam w drzwi.

– Proszę!

Nacisnęłam klamkę, by wejść do gabinetu yrekcji. Oczom nie wierzyłam. Pokoik dwa na dwa, w którym ledwo mieściły się dwa krzesła i biurko, zdecydowanie nie zasługiwał na miano gabinetu.

– Zapraszam. – Kobieta za biurkiem wskazała dłonią krzesło.

Coś jeszcze pisała w grubym zeszycie, a ja miałam chwilę, aby się jej przyjrzeć. Zmęczona życiem – takie było pierwsze wrażenie. Mogła mieć maksymalnie czterdzieści lat, lecz jej twarz wyglądała dużo starzej. Zmarszczki, podkrążone oczy, szara cera i włosy, których od wieków chyba nie widział fryzjer. Ubrana w niemodną garsonkę, siedziała ze spuszczoną głową.

– Pani jest Zofia Majer? – postanowiła się upewnić.

Przytaknęłam cicho, nie mogąc oderwać wzroku od jej zniszczonych,

suchych dłoni.

– Ma pani u nas spędzić pięćdziesiąt godzin. – Czytała z małej kartki przed sobą. – Do pani zadań będzie należało to, co do innych pracowników: sprzątanie, mycie, odrabianie lekcji, wychodzenie z dziećmi na spacer, wydawanie posiłków, pranie oraz prasowanie.

Coraz szerzej otwierałam oczy ze zdumienia. Myślałam, że będę miała oglądać z dziećmi telewizję lub buszować po Facebooku, a tu takie zaskoczenie. Negatywne, niestety. Wiedziałam, że muszę wytrzymać. Porzucenie prac społecznych wiązało się z zablokowaniem karty płatniczej, o czym poinformował mnie ojciec.

– Proszę zapoznać się z regulaminem i podpisać. – Kobieta podała mi kartkę A4. – O tutaj. – Wskazała palcem miejsce obok mojego imienia i nazwiska.

Nie wgłębiając się za bardzo w regulamin, podpisałam zapoznanie się z nim. Kobieta podała mi rękę i życzyła powodzenia, co wcale nie brzmiało dobrze.

Moje kroki skierowałam do świetlicy, gdzie podobno o tej godzinie jest największy ruch. Przed niewielkim telewizorem siedziało kilkanaścioro dzieciaków w różnym wieku. Na mój widok mała dziewczynka, w wieku podobnym do diablity, podbiegła do mnie i uściskała mnie. Inne dzieci patrzyły z rezerwą, czekając na mój krok.

– Cześć, jestem Zosia i będę do was przychodziła przez jakiś czas. – Próbowałam być wesoła, chociaż wcale nie było mi do śmiechu, zważając na listę obowiązków, które były mi równie obce jak fizyka kwantowa.

– Jak każdy – zauważył chłopak w poplamionym dresie. – Na jakiś czas, a potem w pizdu.

Dzieci zaczęły się śmiać. Tylko siedzący przy stoliku chłopak próbował opanować sytuację. „Pewnie to wychowawca” – pomyślałam, widząc jego starania.

– Pójdiesz z nami na plac? – zapytała dziewczynka, która chwilę wcześniej mnie tuliła. – Jestem Dżesika, mówią Dżesi.

– Ale jest zimno – tłumaczyłam, nie wiedząc, co robić.

– Leniwa – rzucił chłopak w dresie, co ponownie wywołało śmiech pozostałych.

– Marcel, przeproś! – rozkazał wychowawca.

– Chyba śnisz – zakpił „dresiarz”. – Dziunia myśli, że jest lepsza, i tyle.

– Ma rację. – Sama nie wiem, jak to możliwe, że słowa wypadły z moich

ust bez mojego pozwolenia. – Do pracusiów nie należę, ale na spacer pójdę.

Dziewczynka aż podskoczyła z radości.

– Muszę to zobaczyć – zaśmiał się Marcel.

Dzieci chętne na spacer poszły założyć na siebie kurki oraz buty. Wychowawca – Patryk, jak się przedstawił – zapytał, czy jestem pewna swojej decyzji, lecz nie mogłam się poddać. „Niech Marcel zobaczy, kto tutaj rządzi” – postanowiłam w myślach. Marcel miał iść ze mną, aby pomóc okiełznać dzieciaki. Dziesięcioro dzieci, ja i Marcel to zdecydowanie za dużo, ale nie dałam po sobie poznać, że mi się to nie podoba. „To tylko pięćdziesiąt godzin” – powtarzałam sobie.

Wyszliśmy z budynku, kierując się przed siebie. Dziewczynka trzymała mnie mocno za rękę, jakby bojąc się, że ucieknę. Powietrze było zimne, ale przyjemne. Nad grubymi szalikami widziałam roześmiane oczy dzieciaków. Po raz pierwszy w życiu czułam, że robię coś dobrego dla innych. Nie tylko dla siebie.

– Zosia! – Usłyszałam za sobą krzyk.

Odwróciłam się i ujrzałam leżącego na ziemi Marcela, nad którym pochylało się dwóch innych chłopców. Podbiegłam do nich, nie wiedząc, co mam robić w takiej sytuacji. „Może było to napisane w regulaminie?” – karciłam się w duchu, że nie przeczytałam tej głupiej kartki.

– On nie żyje? – zapytał jeden z chłopców.

– Wielkiej szkody by nie było – powiedziałam tak cicho, aby dzieci nie słyszały. – Co teraz? – zapytałam głośniej.

Kłęczałam nad leżącym Marcelem, gorączkowo zastanawiając się, co robić. „Jeśli nie żyje, to na marne kłęczę na zimnej ziemi, a jeśli żyje, to chyba powinnam coś zrobić” – dedukowałam w myślach.

Chwyciłam dłoń Marcela, chcąc wyczuć puls, jak to robią w filmach, lecz nie miałam pojęcia, jak to się robi. Postanowiłam nachylić się nad nim, aby sprawdzić, czy oddycha. Przypomniałam sobie zdjęcia wiszące w tramwajach, na których pan przykłada ucho do ust poszkodowanego, tak blisko jak tylko to możliwe. Nie zastanawiając się dłużej, postanowiłam wykonać tę czynność.

– Auuu... – syknęłam, czując ugryzienie w ucho.

Spojrzałam na twarz Marcela. Otwarte oczy i szeroki uśmiech wyraźnie świadczyły o jego powrocie do świata żywych.

– Słyszałem – szepnął mi do ucha, kiedy wstał. – Dobra robota, dzieciaki.

– Przybił piątkę innym.

– Wiedziałam, że udajesz – rzuciłam. – Grałam na zwłokę, mając nadzieję, że zamarzniesz.

Marcel uśmiechnął się szeroko, a ja poczułam, że zdałam jego test. Nie patrzył na mnie już z góry, chciał się zakumplować. „Dziunia i dresiarz” – zaśmiałam się w myślach.

*Pierwsze 5 godzin*

*Liczba wpadek: chyba 0*

*Liczba dzieciaków do opieki: zdecydowanie za dużo*

*Dziwnych sytuacji: 1 (śmierciowo-Marcelowa)*

*Lekcja na dziś: robienie czegoś dla innych też może być trochę (dosłownie troszeczkę) fajne.*

# 14 lutego 2016 roku

Cały świat kupuje dziś czerwone serduszka, kwiatki i tuczące czekoladki. Kawiarniane stoliki wprost uginają się od tego, co się na nich znajduje, a znalezienie wolnego miejsca w restauracji graniczy z cudem. Walentynki. No tak, bo miłość należy okazać właśnie dzisiaj. Nie trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku lub trzysta sześćdziesiąt sześć, jak to mamy w 2016, tylko akurat 14 lutego. Romantyczne seanse w kinie, specjalne pizze w kształcie serc i inne serduszkowo-romantyczne gadzety napędzają polską gospodarkę. Kto by pomyślał, że mając swoje święto zakochanych, będziemy woleli to amerykańskie. Jak wszystko, co przychodzi do nas z Zachodu.

Szłam ulicą, kiedy zadzwonił mój telefon.

– Kochanie, mam niespodziankę – ekscytował się, jeszcze zanim zdążyłam powiedzieć „słucham”.

– Ma to coś wspólnego z tym całym serduszkowym sajgonem? – zapytałam.

– Z czym? – Sebastian najwyraźniej nie zrozumiał.

Właśnie to roztrzepanie kochałam w nim najbardziej.

– Z walentynkami, świętem zakochanych czy jak to inaczej można by nazwać – tłumaczyłam.

– Nie, nie. A kiedy to?

Zaśmiałam się.

– Dobra, mów. – Ucieszyłam się, że potrafi robić niespodzianki bez okazji, co u większości mężczyzn jest zdecydowanie rzadkością.

– Niespodzianka! – wykrzyknął radośnie. – Będę po ciebie za piętnaście minut.

– Ale nie ma mnie w domu. – Chciałam zdążyć, nim się rozłączy. – Jestem na Krasińskiego.

– Stój w miejscu, nie ruszaj się! Będę za dwadzieścia minut.

Stałam, jak rozkazał. Czekałam cierpliwie, nudząc się już po kilku minutach. „Jak dobrze, że damska torebka ma tyle skarbów” – ucieszyłam się na myśl o lakierze do paznokci, znajdującym się na dnie torebki. Kucnęłam. Wysypałam zawartość torby na chodnik, szukając małej, pistacjowej buteleczki. Pośród maseczek nawilżająco-odświeżających, zapasowych podkolanówek w trzech różnych kolorach, kilku błyszczków i sterty innych najpotrzebniejszych rzeczy udało się odnaleźć małą buteleczkę.

Biorąc do serca nakaz Sebastiana, klęknęłam na chodniku na jedno kolano,

drugą nogę zaginając wygodnie i robiąc z niej nogostolik. Pięć paznokci prawej ręki, zmiana klęcznika i nogostolika, aby pomalować pięć palców lewej dłoni. Należę do unikatowych kobiet, które malowanie paznokci zaczynają od gorszej dłoni. Ponoć praworęczni zaczynają od lewej, a leworęczni zawsze od prawej. Ja jestem przeciwnikiem tej naukowo-głupiej teorii manicure'u.

Sebastian nie ma problemu ze zlokalizowaniem mojej osoby. Widzi mnie, jeszcze klęczącą, mijaną przez ludzi, którzy dość dziwnie mi się przyglądają.

– Pomóc? – Podał mi rękę, chcąc pomóc wstać.

Skorzystałam z propozycji, podając mu dłoń. Jednym ruchem przyciągnął mnie do siebie, aby złożyć na mych ustach pocałunek.

– Dokąd mnie porywasz? – zapytałam.

– Niespodzianka! – wykrzyknął, tak samo radośnie, jak trzydzieści minut wcześniej. – Wsiadaj, jedziemy.

W milczeniu pojechaliśmy do wyjątkowego według Sebastiana miejsca (tylko tyle udało mi się od niego wyciągnąć).

– Tadam! – Wskazał na mały, żółtawy budynek w jakiejś szemranej uliczce.

Wysiadłam niepewnie. Bojąc się, że wdepnę w coś lub, co gorsza, w kogoś, leżącego na ziemi. Sebastian zdawał się niczym nie przejmować, popędzał mnie, nie rozumiejąc moich obaw.

Budynek nie budził sympatii, nie mogło w nim być nic ekscytującego, chyba że mowa o pluskwach, prusakach i karaluchach, żywiących się brudem i smrodem.

– Jesteś pewny, że to tutaj? – odważyłam się zapytać.

Sebastian energicznie skinął głową, pociągając mnie jednocześnie za rękę do wnętrza budynku. Jak myślałam, spa to nie było, hotelem tym bardziej. Było brudną, starą i chyba nawet już nieczynną piekarnią. Tak, piekarnią. Rozglądałam się dookoła, próbując zrozumieć ekscytację Sebastiana tym miejscem. Jego ochy i achy były dla mnie zupełnie bezpodstawne. Czułam się, jakbym była ślepa, jakby on patrzył przez różowe okulary, widząc więcej niż ja. „A mówią, że mężczyźni rozróżniają tylko czarny i biały” – pomyślałam nerwowo, zazdroszcząc mu w duchu, że potrafi dostrzec w tej spelunie coś pięknego.

Pozwoliłam mu nawzdychać się, tyle ile chciał. Dopiero po ostatnim wydanym „wow” postanowiłam zadać nurtujące mnie pytanie:

– I co my tu robimy?



– Jak to co? Nie widzisz? – dziwił się, pokazując rękoma na stojące dookoła stare piece. – Tu jest historia, nasze dziedzictwo.

Chciałam wydobyć z siebie wymuszone „wow”, ale nie byłam w stanie. Struny głosowe odmówiły współpracy, czując najwyraźniej wstrętny zapach.

– Rozmawiałem z Bašką... – Zaczęło się groźnie. – ...i ona zapytała mnie, co powiem ludziom, kiedy zapytają, jak się wypieka chleb w prawdziwej piekarni, a jak w hipermarketach. – Mówił, a ja wiedziałam, że przyjazd do tej nory był jej dodatkową karą dla mnie. – I wtedy zrozumiałem, że nie wiem, co mam im powiedzieć. A przecież *Karykatura życia* odważnie ukazuje porównanie życia do chleba.

Poczułam, że zostałam wpędzona do narożnika, jakbym była na ringu. Atakującym nie był Sebastian, to Baška atakowała z uniku, taka niewidoczna, ale jakże obecna. Uderzała mnie, nie pozwalając, abym uciekła. Znała mnie od zawsze i wiedziała, że syf, brud i robale, znajdujące się zapewne za starymi piecami, są moją największą zmorą.

– Czy to ona poleciła ci to miejsce? – Chciałam mieć pewność.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Mówiła, że jest tu cudownie, tak klimatycznie, ale nie przypuszczałam, że aż tak.

Miałam już pewność. Ciosy zadawane przez przeciwnika piekły, czułam, że zaraz upadnę, nie będąc w stanie ponownie się podnieść, by walczyć. „Tym razem wygrałaś” – pomyślałam, wiedząc, że zemsta będzie słodsza niż wszystkie słodczyce w naszej willi zjedzone naraz.

– Zatem wygooglowałam przepis, kupiłem składniki i oto jesteśmy. To będzie ostatni chleb w tej piekarni. W przyszłym miesiącu ma tu powstać solarium – rzekł smutno.

– Solarium w piekarni?

– W przyszłym tygodniu nie będzie tu już nic, po prostu null, tylko puste ściany gotowe na remont.

„Oj, przyda się” – pomyślałam.

– No dobrze, możemy zacząć – zaproponowałam, zrezygnowana.

Szybciej zaczniemy, szybciej skończymy, a ja zmiażdżę Baškę tym cholernym świeżym chlebem i nie będzie mogła porównać swojego życia już do niczego.

Sebastian z podekscytowaniem wyjmował i mieszał ze sobą składniki. Moją rolą było czytanie przepisu i koordynowanie pracy rąk Sebastiana. Koordynowanie to jedno z tych zajęć, jakim mogłabym się oddać, gdybym nie została znakomitym, światowej sławy seksuologiem.

– Piętnaście gramów świeżych drożdży – zaczęłam czytać, a Sebastian wziął do ręki małe zawiniątko i ukroił z niego kawałek. – Skąd wiesz, że to piętnaście? – zapytałam, zdziwiona.

– Bo tu jest dwadzieścia. – Wskazał palcem na kreskę narysowaną na opakowaniu. – A tu dziesięć. Więc w połowie jest piętnaście, to proste.

– A skąd wiesz, że to jest akurat prawdziwa połowa? Nie żadna mniejsza czy większa, tylko taka prawdziwa? – dopytywałam.

– Bo mam dobry wzrok – wyznał na odczepnego.

– Właśnie widzę. – Spojrzałam na jego okulary, postanawiając pozostawić jemu mierzenie składnika na tak zwane oko, w jego wypadku ślepe oko.

Ze skupieniem na twarzy kruszył drożdże w dłoniach, zsypując je na srebrny, metalowy blat.

– Jedna, dwie łyżki cukru – czytałam dalej, widząc, że pierwszy składnik jest już gotowy.

Sebastian spojrzał na mnie dziwnie, nie rozumiejąc najwyraźniej przepisu, jaki miałam w dłoni.

– To jedna czy dwie? – zapytał, zdziwiony.

Podalam mu kartkę, by z udawaną obrazą odrzucić włosy na plecy. „Jak można mnie nie zrozumieć?” – denerwowałam się.

– To jest jedna druga, czyli pół łyżki, a nie jedna lub dwie – tłumaczył, wskazując na liczby.

Postanowiłam zignorować jego przytyk i kontynuować dyktowanie przepisu, przypominając sobie o pełzających wkoło śmieciożercach.

– Pięćset pięćdziesiąt gramów mąki pszennej typu pięćset pięćdziesiąt lub sześćset pięćdziesiąt. – Zmarszczyłam czoło. – Nie wiedziałam, że jest tak wiele rodzajów mąki. – Zdziwiłam się szczerze.

Sebastian odmierzył swoim ślepym okiem pięćset pięćdziesiąt gramów, dosypując je do cukru i drożdży. Dziwiłam się, zazwyczaj w programach kulinarnych sypali najpierw mąkę, potem dodając mniejsze porcje, ale widocznie chleb ma swoje prawa.

– Jedna łyżka soli – czytałam dalej – pięćdziesiąt gramów oleju – mówiłam, widząc, że dodał już sól.

– Pięćdziesiąt gramów to tyle samo co pięćdziesiąt mililitrów? Chyba coś źle zapisałem...

Wzruszyłam ramionami, nie znając odpowiedzi na jego pytanie. „Czy ja wyglądam jak Gesslerowa?” – pomyślałam o mojej ulubionej znawczyni kuchni.

– Trzysta mililitrów letniej wody – przeczytałam dalej, co pomogło Sebastianowi znaleźć odpowiedź na wcześniejsze pytanie.

– Teraz wymieszać i na blachę – powiedział bardziej do siebie, wykonując zadanie.

Delikatnie mieszał leżącą na blacie papkę, która już niedługo miała stać się chlebem. Na jego twarzy malowało się wiele pozytywnych uczuć, których szczerze mu zazdrościłam, nie widząc sensu we wspólnym wypiekanu chleba.

– Ile w piecu?

– Dziesięć minut na dwieście dwadzieścia i czterdzieści pięć na dwieście – podyktowałam z kartki.

Zadowolony z siebie Sebastian włożył chleb do pieca, cały czas mu się przyglądając. Nawet na sekundę nie odszedł od brudnej szyby, wyczekując pierwszych uniesień w blasze. Mogłabym paradować przed nim nago, tańczyć do tego i robić wszystkie seksowne pozy kręcące normalnego faceta, a on i tak patrzyłby na chleb. Teraz nie liczyło się nic innego, tylko mała blacha z ohydą mazią.

Godzina dłużyła się niemiłosiernie. Wyczekujący chlebowych wzlotów Sebastian nic sobie nie robił z moich uwag na temat śmieciożerców, których zapewne było pełno w tamtym pomieszczeniu. Te wszystkie karaluchy, pluskwy i prusaki przerażały mnie bardziej niż noc pod namiotem, gdzie wkoło roi się od krwiopijczych komarów i wędrujących cichutko mrówek. Na świecie nie było chyba gorszych stworzeń niż te śmietnikowe potwory.

Wybiła godzina zero. Sebastian otworzył piec, by wyjąć z niego swój pierwszy własnoręcznie zrobiony chleb. Duma niemal unosiła go ponad ziemią.

– Zadanie wykonane.

Przytuliłam go mocno, ciesząc się razem z nim. Może nie z chleba, lecz z możliwości opuszczenia potwornej piekarni, co dla niego nie miało żadnego znaczenia.

– Prawdziwy facet podobno musi zrobić chleb, spłodzić syna i zarobić pierwszy milion na rozgrzewkę – przypomniało mi się.

– Znam inną wersję, ale niech będzie i ta. – Zaśmiał się. – Czuję, że *Karykatura życia* zaprowadzi nas na sam szczyt.

„Sam szczyt wieżowca, aby z niego skoczyć” – pomyślałam, nie chcąc, aby myślał, że nawet ja nie wierzę w sukces jego książki. Dla niego musiała być ona naprawdę ważna, skoro był gotów w takich patologiczno-

spartakusowych warunkach piec chleb.

## 2×5

Schody przed nami wydają się często wyższe, niż są w rzeczywistości. Moje schody miały pięćdziesiąt pięter. Wierzyłam, iż zamiast coraz większego wysiłku z każdym krokiem będzie łatwiej. Dziś mój „wieżowiec” zapraszał mnie do pokonania kolejnych pięciu pięter.

Budynek wygląda równie brzydko, jak ostatnim razem. Nawet kapitalny remont nie zdołałby chyba wymazać tego wrażenia. Jedynie wyburzenie i ponowne postawienie budynku dawało nadzieję na lepszą prezencję tego miejsca. „I pomyśleć, że trzeba to nazywać domem?” – pomyślałam z kpina. Biedne dzieci, nawet takie jak Marcel, nie zasłużyły, by mieszkać w takich warunkach. W miejscu, gdzie dzieci na metr kwadratowy jest więcej niż ludzi w galerii handlowej.

– Zosia! – Jako pierwsza przy moich nogach znalazła się mała Dzesika, która jako pierwsza podopieczna zobaczyła we mnie dobrego człowieka.

Przytuliłam ją odruchowo, dopiero potem zastanawiając się nad tym, czy dobrze zrobiłam. Nie mogłam pozwolić, aby się do mnie przyzwyczaili, przecież byłam tam tylko na chwilę. Trochę dłuższą, ale wciąż chwilę. Ja odejdę, a oni wciąż tu zostaną. Sami w brudnych, chłodnych murach domu dziecka.

– Gdzie wszyscy? – zapytałam ją.

Dziesi pociągnęła mnie za rękę, prowadząc do świetlicy, która była mi już znana. Tam grupka dzieciaków energicznie dyskutowała o jakiejś zabawie, przekrzykując się i śmiejąc co chwilę. Patrzyłam na nich, stojąc w drzwiach. Byłam dumna. Po raz pierwszy nie z siebie, lecz z innych. Byłam dumna z tych obcych mi dzieciaków, które mimo że los ich nie rozpieszczał, potrafiły śmiać się i korzystać z życia. Jakie by ono nie było.

– O, Zosia – zauważył Marcel, uśmiechając się lekko.

Odwzajemniłam uśmiech, ciesząc się, że nasze stosunki wciąż były kumpelskie.

– Bawisz się z nami? – zapytał jeden z chłopaków.

– Ona? – zaśmiał się Marcel. – Ona nie potrafi...

Chciał powiedzieć więcej, ale mu nie pozwoliłam.

– Chcę, a w co?

Dzieciaki spojrzwały porozumiewawczo na Marcela. Widać było, że to on

był tam przywódcą, co zapewne dodawało mu jeszcze więcej pewności siebie.

– Bawimy się w naszego ulubionego Włóczykija – zakomunikował dumnie. – W pudełku mamy zapisane imiona tych, którzy biorą udział w zabawie. Teraz dorzucimy twoje imię. – Wskazał na jedną z dziewczyn, a ona posłusznie zapisała na kartce moje imię i wrzuciła je do innych. – A potem wybrana osoba losuje rzeczy, które będzie miała na sobie podczas wędrówki Włóczykija.

– A macie kij? – zapytałam, zastanawiając się, skąd wzięła się nazwa tej gry.

Dzieciaki wyśmiały mnie, dziwiąc się zapewne, że nie znam tej zabawy. W mojej głowie istniało tylko połączenie dwóch słów, „włóczyć” oraz „kij”, ale jak było naprawdę, to nawet Muminki zapewne nie wiedzą.

– Pomieszaj i wyjmij jedną z kartek. – Marcel podał mi pudełko.

Zamieszałam, po czym zdecydowanym ruchem wyjęłam jedną z karteczek. Podałam ją Marcelowi, który, trzymając nas w napięciu, czekał, zanim odczyta imię.

– Zosia – oznajmił w końcu, a dzieciaki jak jakiś chórek wykrzyczały: „Nieeee”.

Było mi ich szkoda. Nie dość, że odtrącone przez ludzi, to jeszcze los z nich zakpił. Jednak skoro wybrał mnie, musiałam się z nim zgodzić.

Marcel z niezadowoleniem podał mi kolejne pudełko, nakazując wylosowanie trzech rzeczy. Włożyłam rękę do środka, powodując zwolnienie maszyny losującej. Wierzyłam, że i tym razem los będzie dla mnie łaskawy, pozwalając mi włóczyć się w pięknym i nowoczesnym stroju. Wyciągnęłam trzy małe kartki i podałam je Marcelowi.

– No, no, to się będzie działo. – Chłopak zaśmiał się pod nosem. – Majtki, buty i kapelusz.

Spojrzałam na niego, próbując sobie przypomnieć zasady zabawy. Nie pamiętałam już, czy owe rzeczy miałam z siebie zdjąć, czy nałożyć.

– Nie będziemy chamscy i pozwolimy ci mieć jeszcze stanik – wspaniałomyślnie uprzedził Marcel.

– Ale gdzie się włóczyć? – Wiedziałam, że nie mogę się poddać.

– Piętnaście minut przed budynkiem, ale cały czas musisz chodzić, bo przecież jesteś Włóczykijem – dyktował reguły.

Pewna siebie, zaczęłam zdejmować kolejne części garderoby, mając cichą nadzieję, że dzieciaki się opamiętają, widząc mój zapał. „Jeszcze poproszą,

abym zaczęła się ubierać, jak zobaczą moją gotowość do działania” – pomyślałam, pewna, że tym ich zaskoczę bardziej niż oni mnie. Niestety. Im mniej miałam na sobie, tym radośniejsze okrzyki wypełniały świetlicę domu dziecka. „Piętnaście minut to w sumie nie jest wieczność. Pewnie szybko minie” – pocieszałam się. Bielizna, buty oraz pożyczony kapelusz były jedynymi okrywającymi mnie częściami garderoby. Wciąż pewna siebie, z iPhone’em w dłoni, ruszyłam ku wyjściu. Nie mogłam pozwolić dzieciakom wygrać. Nie tyle dzieciakom, co konkretnie Marcelowi. On wypominałby mi to do ostatniego piętra mojej wędrówki po schodach.

Wyszłam. Zamknęłam za sobą drzwi. Odruchowo spojrzałam na zegar w komórce, aby móc dokładnie odmierzyć czas. Czułam na sobie spojrzenie dziecięcych oczu wpatrzone we mnie zza świetlicowych okien. Nie przeszkadzało mi to. Tylko jedno z nich mnie jednocześnie parzyło, jak i mroziło. To było na pewno jego spojrzenie.

Piętnaście minut mijało znacznie wolniej, niż podejrzewałam. Zamarzałam. Moje ciało prosiło o ciepłą kąpiel lub chociażby kubek gorącej herbaty. Powoli zaczynałam rozumieć, że to nie mogła być ulubiona zabawa dzieciaków. „Musieli mnie zrobić” – czując sople w nosie, byłam już tego bardziej niż pewna. „Co ja im takiego zrobiłam, że się mszczą?” – zastanawiałam się, próbując powstrzymać łzy napływające do moich oczu. Wiedziałam, że tusz jest wodoodporny, ale czy mrozoodporny, to pewności już nie miałam. Nie mogłam się teraz poddać i wrócić. Jedyne, o czym marzyłam, to uciec stąd i nigdy nie wrócić. Telefon do Baški wydawał się ostatecznością. Jednak kiedy czujesz, że majtki przymarzają do twojego ciała, nie mając bezpiecznej możliwości bezbolesnego zderzenia ich, jesteś gotów nawet na krok ostateczny, taki jak telefon do Baški.

– Baška, zabierz mnie stąd – błagałam. – Oni mnie nienawidzą.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza. „Pękła” – byłam pewna.

– Zabiorę cię za jakieś... cztery godziny z małym hakiem.

Rozłączyła się, nie dając mi możliwości przedstawienia sytuacji. Nawet krok ostateczny, jak widać, może pociągnąć nas bardziej na dno, niż uchronić od złego. Baška okazała się bezdusznym potworem, za jakiego miałam ją już od jakiegoś czasu. „Widać był mi potrzebny taki kubek zimnej wody, żeby mnie otrzeźwić” – pomyślałam smutno.

Zamarzałam coraz bardziej. Moje ciało już nie czuło chłodu, ono najwyraźniej zaczęło już przyzwyczajać się do mrozu, szykując się na odejście. Mięśnie nie drżały, serce też wydawało się zamarznąć, nie będąc

przykryte sweterkami i płaszczem. Odchodziłam...

„Berka” – majaczące myśli nie pozwalały mi pogodzić się z najgorszym. Myśli chciały walczyć z dzieciakami, przywołując ponad chłodem imię Berezki, mojej jedynej możliwej wybawczynie.

– Tak? – zapytała, odbierając telefon.

– Berka, Berunia, Berezka... – Nie wiedziałam, jak zacząć.

– Berunia, srerunia – przedrzeźniła mnie. – Co jest? Jak nic pilnego, to zadzwoń za godzinę, bo medytuję.

Nie! Nie mogła się rozłączyć.

– Za godzinę może mnie już nie być na tym świecie, jeśli mi nie pomożesz. – Łkałam, mając nadzieję, że łzy nie zamarzną na pomalowanych drogim tuszem rzęsach.

– W co się znowu wpakowałaś? – Wyraźnie się zmartwiła.

Cieszyło mnie to. Wiedziałam, że już mam ją po swojej stronie i tylko kwestią czasu jest jej przyjazd pod wskazany przeze mnie adres.

– Te dzieciaki zamknęły mnie na dworze w samej bieliźnie. – Nagięłam trochę fakty.

– Zamknęły? Przecież dworu się nie zamyka, tylko budynki – zauważyła słusznie. – Chwała, że dziś akurat założyłaś bieliznę, bo z tego, co wiem, dosyć często nie pasuje ci do stroju, więc z niej rezygnujesz. Teraz chociaż trochę ciepła w sutkach masz.

– Berezko, proszę, przyjeźdź po mnie – wróciłam do mojej sprawy. – Oni chcą mnie zabić. Chcą, abym zamarzła, a oni od wszystkiego umyją ręce tym okropnym mydłem bez aloesu, stojącym w ich łazienkach.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza, która jednak mogła zwiastować coś pozytywnego.

– Zocha, błagam, rozłącz się, bo nie mogę ci czegoś powiedzieć, a bardzo chcę. – Wyraźnie posmutniała.

Tajemnice. To najgorsze, co można mieć przede mną. Ja zawsze musiałam wszystko wiedzieć, a brak wiedzy (oczywiście nie tej lekcyjnej) był dla mnie wprost nie do zniesienia.

– Liczę do trzech – uprzedziłam ją. – Raz, dwa, dwa i pół, dwa i trzy czwarte i ostatnie moje słowo...

– Dobra, powiem ci, ale jak coś, to wiesz to od kogoś innego. – Zmiękła.

Czekałam, aż nabierze powietrza, by zacząć dzielić się ze mną swoją tajemnicą.

– Bo te dzieciaki robią to specjalnie... – zaczęła, ale to już sama zdołałam



odkryć. – One chcą, żebyś sobie poszła i nie wypełniła kary.

„To nawet dobrze. Chcą, to pójdę” – moje serce otuliła radość, by mogło znów na chwilę zacząć żyć.

– To idę. – Ruszyłam pewnym krokiem przed siebie. – Chcą, żebym zniknęła, to będą to miały. Dla mnie nawet lepiej, mam przecież przyjemniejsze rzeczy do roboty – trajkotałam. – Muszę zaliczyć swój pierwszy raz z moim chłopakiem, a nie bawić się w głupie zabawy dzieciarni.

– Nie rób tego! – krzyknęła. – Jeszcze z sobą nie spaliście?

Żałowałam, że jej to powiedziałam, lecz nie było odwrotu. Zmiana tematu wydawała się najsensowniejszym rozwiązaniem.

– Dlaczego mam niby nie iść? Przyjedziesz po mnie? – Ucieszyłam się.

Berka ponownie zamilkła na chwilę.

– Twój ojciec zawarł pakt z dziećmiakami – rzuciła smutno. – Zasponsoruje im kolonie, jeśli dadzą ci popalić, a jeśli nie wytrzymasz pięćdziesięciu godzin z nimi, to pieniądze na kolonie idą z twojej lokaty, a dzieciaki dostają gratis od twojego taty, ale nie wiem jaki.

– Mojej co? – Nie dowierzałam w to, co usłyszałam.

– Dobrze słyszałaś. Jeśli nie wytrzymasz pięćdziesięciu godzin, to tak – wytłumaczyła.

– Po moim trupie! – syknęłam, czując, że mimo mrozu cała się gotuję.

Moje ciało momentalnie się rozgrzało. Roztopił się wszechobecny dotąd lód, pozostawiając miejsce na płomień. „Moja lokata? Jak on mógł?” – zadawałam sobie w myślach pytania. Powrót do dzieciaków wydawał się teraz jedynym rozsądnym wyborem. Musiałam z nimi pogadać. Wycisnąć z nich wszystko, co wiedziały, choćbym miała wyrwać każdemu wszystkie kudły z głowy.

Spojrzałam na iPhone’a. Piętnaście minut minęło. Pewnym, dumnym krokiem ruszyłam w stronę budynku. Już nie naga, nie zmarznięta – okrywała mnie i rozgrzewała żądza zemsty.

– I jak było, Włóczykiju? – Jako pierwszy przywitał mnie Marcel.

– Cudownie, takie zabiegi powinny być stosowane we wszystkich spa – skłamałam, a on patrzył na mnie, jakby zobaczył ducha. – Gdybym wiedziała, że to tak przyjemne, to z moimi przyjaciółkami bawiłybyśmy się w to, a nie w jakieś durne postanowienia noworoczne. One są takie typowe, a chodzenie nago, no prawie nago, jest takie...

– Poniżające? – zgadywał Marcel.

Spojrzałam na niego kpiąco.

– Pomyśl, Marcel, jaki piękny byłby świat, gdyby więcej ludzi chodziło tak nago po dworze. Oszczędzilibyśmy na płaszczach, swetrach i szalach, mogąc wysłać to wszystko do tych biednych afrykańskich dzieci.

– Przecież w Afryce jest ciepło – zauważył.

– Nie sądzę – stwierdziłam. – Wiesz, co ja myślę? I dziś zrozumiałam, że mam rację.

Chłopak skinął głową, chcąc poznać moje przemyślenia. Nachyliłam się ku niemu, aby myślał, że są to tajne informacje.

– Oni w Afryce sobie tylko wkręcają, że jest im ciepło, bo nie mają na ubrania – szeptałam. – Zobacz, my sobie wmawiamy, że teraz jest zimno, choć ja byłam praktycznie nago na zewnątrz i czuję się jak skowronek z rana.

Marcel patrzył na mnie, nie wierząc w to, co mówię.

– Może ci mózg zamarł – syknął.

Złapałam go za bluzę i z całych sił uniosłam do góry. Był niewiele niższy ode mnie, ale wewnętrzna złość pozwalała mi działać więcej, niż mogło się wydawać, patrząc na mnie. Przerażony wzrok chłopaka jedynie podsycał moją chęć zemsty. Wiedziałam, że to on gra główną rolę w tej całej szopce i to z nim muszę się rozprawić. Nie miałam jeszcze pomysłu jak. Jedyne, co wiedziałam, to że muszę działać natychmiast.

Przyciągnęłam Marcela do siebie, chcąc pokazać, że teraz ja jestem tu szefem. Nie protestował, nie próbował się wyrwać, co bardzo mnie cieszyło. Zapewne jeden jego ruch wystarczyłby, aby wyzwolić się z moich szponów.

– Gdzie obiecał wam te kolonie? – Byłam pewna, że wiedział, o czym mówię.

Wciąż patrzył na mnie z przerażeniem. Monia uznałaby to zapewne za wzrok wbity w psychopatę, lecz mnie to nie interesowało. Mogli mnie brać nawet za Shreka, byle tylko zostawili moją lokatę.

– Gran Canaria – wydusił z siebie.

Robił się coraz bardziej czerwony. Brakowało mu powietrza, lecz musiałam się jeszcze chwilę nad nim pastwić. „Niech się cieszy, że nie piętnaście minut” – tłumaczyłam sobie.

– Nawet nie wiesz, gdzie to – zauważyłam wyniośle.

– Już wiem, sprawdziłem.

I w tej chwili odpuściłam i rozluźniłam uścisk. Był tylko młodym, głupim dzieciakiem, wciągniętym w porachunki dorosłych. Nie mogłam go karać. On nie był zły, chciał jedynie nagrodę, a ja postanowiłam mu w tym pomóc. Przedstawiłam mu swój plan, a on kiwał tylko głową, bojąc się odpowiadać.

„Jeszcze Baśka zobaczy, co ja potrafię” – pomyślałam, pewna, że to ona była pomysłodawcą nikczemnego planu.

Kumpelskie układy z Marcelem zdecydowanie się zacieśniły. Musiałam mu pomóc spełnić marzenie jego i innych dzieciaków, a przy okazji i sobie oczyścić twarz. Przecież może być tak, że kot jest głodny, a myszy wciąż biegają.

*Drugie 5 godzin*

*Liczba wpadek: 1, dość naga*

*Dziwnych sytuacji: 1, ale mająca rangę miliona (Zabiję Baśkę, by ojciec znów został wdowcem, choć wcale nie są małżeństwem. I chwała!)*

*Lekcja na dziś: układy rodzinne są warte tworzenia relacji, tylko jeśli zaistniały więzy krwi, bo bez nich nawet chemia jest nieprzydatna*

*Cel: zemścić się na Baśce za wykorzystywanie mojej lokaty bez mojej wiedzy i zgody.*

*PS Cel 2: spełnić marzenie dzieciaków o Gran Canarii.*

## 23 lutego 2016 roku

Wtorek. Niby zwyczajny, lecz inny niż poprzedni. Zajęcia na uczelni zostały odwołane z powodu telefonu o podłożeniu bomby na jednym z pięter. Ekipa strażaków przyjechała po chwili, a nas dziekan Latko zwolniła do domów, przepraszając za problem. Problem? Dobre sobie. Wypuszczenie dziczy studentów wydawało się najpiękniejszą rzeczą, jaka mogła mnie dziś spotkać. Bo co jeszcze mógłby przynieść zwykły lutowy wtorek.

Szłam ulicą, przyglądając się mijającym mnie ludziom. Patrząc na nich, głęboko w sobie odczułam ich problemy natury seksualnej. Szatynka z refleksami na włosach, po czterdziestce, dawno zapomniła, jak to jest kupować ciuchy w galerii, gdzie maksymalny rozmiar to czterdzieści cztery, i to tylko w nielicznych sklepach. Na pewno o „jeźdźcu” może już tylko pomarzyć, bo żaden „koń” nie będzie w stanie sprostać jej wymogom. Chłopak z rękoma ukrytymi głęboko w kieszeniach dresowych spodni wydawał się pewny siebie, ale podejrzewałam, że nie ma się czym pochwalić pod tymi za nisko usadowionymi spodniami. „Już ja takich znam” – przypomniałam sobie jednego z dresiarzy, z którym przypadkiem poszłam kiedyś wspólną drogą. Jak się okazało, bardzo krótką drogą.

Sygnal nadejścia SMS-a przywołał mnie do rzeczywistości, kończąc moją seksualną analizę przechodniów. „Wykładowcy powinni być ze mnie dumni. Zajęcia odwołane, a ja zachowuję się, jakbym ciągle w nich uczestniczyła” – pochwaliłam sama siebie, szukając po omacku iPhone’a w torebce.



Zepsuł Ci się samochód – żaden problem, naprawimy

Zdziwiona, przeczytałam wiadomość raz jeszcze. „Skąd oni wiedzą takie rzeczy?” – zastanawiałam się, czując, że w firmie musi pracować jakiś wróżbita czy jasnowidz. Wysłana z normalnego numeru, nie mogła być kłamstwem. Nie żadne 7265 czy inne podobne bzdury. To nie mogła być pomyłka. Nie wiedząc, co robić, postanowiłam poradzić się przyjaciółek. Zwoływanie konferencji wydawało się zbyteczne ze względu na Baśkę, która wszędzie węszyła podstęp. Pominięcie jej mogłoby być źle zrozumiane, a na pewno któraś z dziewczyn „życzliwie” by jej o tym doniosła. „Konferencja odpada, trzeba chwycić motyla, póki leci” – uznałam w myślach. Analizując wszystkie za i przeciw, mój wybór padł na Berkę. Kto miał sobie najlepiej poradzić z samochodową zagadką, jak nie kobieta o dwóch mózgach. Albo może z dwoma mózgami, chwilowymi.

– Zepsuł mi się samochód – zakomunikowałam, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Przecież ty nie masz samochodu – przypomniała mi.

– Wiem, ale dostałam SMS-a, że się zepsuł!

Przeczytałam wiadomość, jaka przyszła do mnie kilka minut wcześniej.

– Cholera, i co teraz?

– Właśnie nie wiem – odpowiedziałam. – Przypominam, że to ty masz dwa mózgi.

Berka chwilę analizowała moją wypowiedź.

– Wiesz, ja bym do nich zadzwoniła, bo może coś wygrałaś i nawet o tym nie wiesz.

– Ale co mi po zepsutej nagrodzie?

Z niecierpliwością wsłuchiwałam się w rytmiczne oddechy przyjaciółki, czekając, aż coś powie.

– No, nie wiesz, ile u nich stał, bo zapomniałaś odebrać albo, co najgorsze, nawet nie wiedziałaś, że miałaś to zrobić – mówiła jak nakręcona katarynka.

– Bożeszczu, Berka, ty to jesteś łebster – zauważyłam, nie chcąc się przyznać, że nie do końca rozumiem wywody nad „lepszym” i „gorszym”.

– Kto to łebster?

Smutne, nawet dwa mózgi nie pozwalały jej rozszyfrować prostego sformułowania.

– To taka osoba, która dobrze steruje swoim łbem, znaczy się głową, ale głowoster byłoby głupie, więc mówię łebster. Fajnie, co? – Postanowiłam się upewnić co do swojej innowacyjności.

– Jesteś niezwykła – rzuciła, chyba wciąż nie wierząc w moją genialność.

Rozłączyłam się, zdając sobie sprawę, że stoję na środku chodnika, jakbym się zagubiła. Nie chcąc zostać uznana za turystkę, ruszyłam przed siebie, próbując wybrać numer, z którego wysłano mi SMS-a o wygranej.

– Ślepa jesteś?! – wrzasnął jakiś facet, lecz dopiero kiedy wjechał we mnie rowerem, zrozumiałam, że mówił do mnie.

Oglądam swoje ubranie, szukając na nim zabrudzeń. Facet stał obok, wyraźnie zniesmaczony. Czekał najwyraźniej, aż skończę te swoje oględziny.

– Masz szczęście – rzuciłam, stwierdzając, że wyszłam z wypadku bez szwanku.

– Ja mam szczęście? – zdziwił się. – Ty, kobieto, ślepa jesteś?

Zmierzyłam go wzrokiem, żałując, że nie jestem magikiem, który wbiłby facetowi nóż w plecy, nie brudząc sobie przy tym rąk.

Wdech, wydech, wdech, wydech...

– Naucz się jeździć, a potem obrażaj porządne młode damy – zauważyłam.

– Jeździć potrafię, gorzej z twoim chodzeniem. A co do młodej, to już chyba czas przeszły w twoim wypadku – rzucił. – Na porządną to też mi raczej nie wyglądasz w tym czymś. – Wskazał na mój beżowy, futerkowy kardigan.

Odruchowo spojrzałam na swoje odbicie w witrynie pobliskiego sklepu, wciąż nie rozumiejąc, o co chodzi, pożałuj Boże, rowerzyście.

– W szlafroku chodzi się po domu, nie po ulicy. – Wciąż patrzył na mnie kpiącym wzrokiem.

Szlafrok? Mój kardigan został nazwany domowym szlafrokiem. Nie, tego nie można było wybaczyć.

– Słuchaj... – Podeszłam bliżej niego. – ...ten, jak to powiedziałeś, szlafrok kosztował więcej niż twój zapchlony rower i ty razem wzięci. A jeśli jeszcze raz nazwiesz go szlafrokiem...

– To? – Zaśmiał się. – Mam się bać?

Jeszcze chwilę temu człowiek cieszył się z wygranej w konkursie, a teraz musi użerać się z głupkowskim rowerzystą. „Jaki ten świat niesprawiedliwy” – pomyślałam.

– To znajdę cię i na twojej brzydkiej, umięśnionej dupie wytatuuję napis KARDIGAN – dokończyłam.

Zaczął głośno się śmiać. Aż dziw, że nie płakał ze śmiechu. Odwrócił się tyłem do mnie, wypinając pośladki w moją stronę.

– To jak się nazywał ten szlafrok? – zakpił ponownie.

Torebka poszła w ruch. Nie myślałam, czy zrobię krzywdę moim perełkom, które się w niej znajdują. Liczyło się tylko to, aby uderzyć faceta tak mocno, że będzie bolało. Okładałam go, uderzając gdzie popadnie.

– Pomóc pani? – Obok zjawiała się młoda kobieta.

– Niech go pani zdzieli torebką, tak mocno jak się da! – rozkazałam.

Kobieta, nie myśląc długo, wykonała moją prośbę, dodam, że z dużym zapalem. Cieszyłam się. Aż rosłam z dumy, że taki ze mnie przywódca.

– Wariatki! – rzucił facet z rowerem, kiedy udało mu się uwolnić.

Odjechał. Patrzyłyśmy na niego w milczeniu, sapiąc ze zmęczenia.

– A co on właściwie zrobił? – zapytała kobieta.

– Nazwał mój kardigan szlafrokiem – oburzyłam się ponownie.

Spojrzeła na mnie bykiem, czekając, aż powiem coś jeszcze. Nie wiem, czego się spodziewała. Wyjaśniłam jej sytuację, najlepiej jak się dało.

– Wariatka! – powiedziała po chwili, odwracając się na pięcie i odchodząc. „Nic nie zepsuje mi humoru” – obiecałam sobie, sięgając po telefon. Wybrałam numer, z którego nadszedł SMS o zdobytej nagrodzie, i czekałam na połączenie.

– Tak?

– Witam, nazywam się Zosia Majer, z TYCH Majerów, i dzwonię dowiedzieć się, co wygrałam.

– A skąd mam wiedzieć, co pani wygrała? – zdziwił się mężczyzna, z którym rozmawiałam.

– No, jak to, dostałam SMS-a o wygranej i chcę wiedzieć, co to takiego – dążyłam.

Mężczyzna zamilkł na chwilę.

– Nic pani nie wygrała – rzucił, zdenerwowany.

– Proszę pana, dla pana może to być nic, a dla mnie może to być coś. Pańskie „nic” nie musi być jednoznaczne z moim nicem, lecz z moim cosiem – tłumaczyłam.

Mężczyzna ponownie zaniemówił. Słyszałam jedynie cichy śmiech.

– Pani Zosiu – zebrał się w sobie, aby to powiedzieć – moje nicem jest przeciwieństwem cosia, więc, jak mówię, „nic”, to znaczy nic, absolutnie nic, wręcz pustka. My tu nagród nie rozdajemy. Ja jestem jedynie mechanikiem.

Załamana jego tłumaczeniem sytuacji, musiałam przetworzyć w myślach te wszystkie nice i cosie, o których mówił. „Pusto to ty masz w głowie” – pomyślałam o mężczyźnie.

– Widzę, że pan nie rozumie... – Postanowiłam nie dać za wygraną. – Dostałam SMS-a z tego numeru, że zepsuł mi się samochód, a wy go naprawicie. Ja nie mam samochodu, więc jeśli chcecie mi naprawić samochód, to musiałam go u was wygrać, i tyle, to proste.

Nie widziałam mężczyzny po drugiej stronie słuchawki, ale byłam pewna, że pokładał się ze śmiechu, sądząc po decybelach, jakie dochodziły do moich bębenków.

– To był SMS reklamowy naszych usług, nie wiedziałem, że pani nie ma samochodu.

– Czyli, że nic nie wygrałam?

– Absolutnie nic! Nic, co nie jest nawet dla bezdomnych cosiem. Nic, nic i jeszcze raz nic. – Rozłączył się.

Stałam na chodniku i czułam, jak zapadam się pod płytki, tworzące chodnik. Moja pierwsza wygrana okazała się prawdziwym nicem. Ogrom

szczęścia uderzył w wielką górę i rozsypał się w drobny mak.  
Dziś nic nie było cosiem.



## 3×5

Wydawało mi się, że trzeci dzień odpracowywania kary nie może mnie zaskoczyć. Po ostatnich wydarzeniach byłam gotowa na każdą wiadomość. Cieszyłam się, że dzieciaki były tym razem po mojej stronie. Przecież obiecałam im te kolonie w Gran Canarii, tyle że nie za moje pieniądze. Pozostało jeszcze jedno – zorganizować odwet na Baŝce, za pomysł, jaki podrzuciła ojcu. Sam nie wpadłby na tak radykalne posunięcie, jakim było ruszenie mojej lokaty.

Już od progu skierowałam swoje kroki do świetlicy, wiedząc, że to właśnie tam znajdę całą gwardię roześmianych dzieciaków, siedzących przed telewizorem. Przywitali mnie ciepło. Szczególnie Dzesika wydawała się cieszyć z mojej obecności. Nie odstępowała mnie na krok. Przytulała mnie, całowała, głaskała po włosach i powtarzała wciąż, że jestem „siczna”.

– Zosieńka! – zawołała jedna z kucharek, kiedy Dzesika czesała moje włosy. – Chodź do nas prędko.

Podniosłam się i pobiegłam za nią, pewna, że coś się stało. Gotowa na ratunek światu, gnałam w stronę kuchni. „Może jakaś kucharka ucięła sobie palec, a ja mam ją reanimować?” – zastanawiałam się. Ostatnia prosta, dziesięć schodów w dół i jesteśmy. Kuchnia wyglądała zupełnie inaczej niż ta znajdująca się w moim domu. Tutaj nie było elegancji, stylu, tutaj nie było praktycznie nic ładnego. Odrapane ściany w kolorze szkolnej żółci, jakie pamiętałam z czasów podstawówki, dwie wielkie kuchenki gazowe, ogromna lodówka – pamiętająca zapewne czasy wojny – przydługi blat kuchenny i pełno starych plastikowych misek, jakie kiedyś zdobiły łazienki w domach, by wrzucać do nich mokre pranie. Szybki rekonesans uzmysłowił mi, że w pobliżu nie było żadnej krwi. Byłyśmy tylko ja i pani Wiesia, dwie w bezludnej kuchni domu dziecka.

– Pani Wiesiu, a gdzie ranni? – postanowiłam zapytać.

Kobieta przeżegnała się.

– O Matko Święta, Jezusie najpiękniejszy, jacy ranni, Zosieńko?

– No, ci bez palca, których miałam reanimować – zauważyłam.

Kucharka dokładnie przyjrzała się swoim dłoniom, na wszelki wypadek spojrzała też na palce u stóp, jednak wszystkie były całe i żadnego nie brakowało.

– Wszystkie są, musiało ci się coś przywidzieć. – Uśmiechnęła się. – Zosieńko, Krysia jest chora, a Janka ma jakąś sprawę w sądzie, chyba o alimenty, bo ten krętacz siedzi za granicą, a na dzieciaka łoży marne dwieście złotych miesięcznie. Janka mówiła, że sam podróżuje i na tym całym portalu społecznym... Jak mu tam...?

– Facebook.

– No właśnie, że na tym całym Facebooku to dodaje zdjęcia z Paryża, Madrytu czy jakichś wysp, gdzie wypoczywa z tą swoją flądą, która na pewno rybą nie jest, ale tak ją Janka nazywa.

Nie rozumiejąc dokładnie, o co chodzi, kiwnęłam głową. Pani Wiesia słynęła z gadulstwa, o czym słyszałam już od dzieciaków. Aż dziw, że posiłki były na czas, kiedy ona tyle paplała.

– Rozumiem, ale co ja mam z tym wspólnego? – Wciąż nie wiedziałam, po co kazała mi biec za sobą do kuchni.

– No jak to? Obiad za dwie godziny, a ja jestem w proszku i sama nie zrobię tego, nawet gdyby przesunąć to na kolację – tłumaczyła. – Dobrze, że przyszłaś, to mi pomożesz. To trochę tak, jak ratowanie dzieci od głodu, kochanieńka. – Podała mi nóż. – Tam są ziemniaki. Zacznij obierać, jak skończę z zupą, to ci pomogę, bo musimy je wstawić najpóźniej za... – Zerknęła na zegarek. – ...dwadzieścia siedem minut.

„Przerażenie” to zbyt mało, żeby opisać, jak się czułam. Do tej pory jedyne, co gotowałam w domu, to woda w czajniku elektrycznym i tosty na śniadanie. Od innych posiłków była gosposia, a kiedy miała wolne, jedliśmy na mieście. W życiu nie obierałam ziemniaków, a dziś musiałam, aby ocalić ludzkość, a konkretnie obiad.

– Gdzie rękawiczki? – Postanowiłam się nie poddawać i zacząć jak najprędzej.

Kucharka zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jakie rękawiczki, kochanieńka? – Zaśmiała się. – Na gołe łapki, żeby do skóry witaminy z ziemniaków trafiły.

– Ale wczoraj robiłam świeże hybrydy – zauważyłam nieśmiało.

– Wy, młode, aż nie dziw, że męża znaleźć macie problem, jak tylko wygląd wam w głowach. A facet to wyglądem się nie naje, schaba trzeba mu zrobić, ziemniory i jakąś mizerię, żeby żołądek był szczęśliwy. Bez tego nawet najpiękniejszą się znudzi.

Spojrzałam na nią, zdziwiona. „Jak można przekładać jedzenie ponad wygląd?” – nie rozumiałam tych niestworzonych teorii.

– Zobacz. – Wskazała na siebie, łapiąc za swoje fałdy na brzuchu. – Do pięknych dawno nie należę, ale mąż ze mną już trzydzieści pięć lat siedzi i wciąż powtarza, że kocha.

– I to tak jedzenie wystarczy? – zdziwiłam się.

Kobieta zaśmiała się i poszła doprawiać zupę. Miałam chwilę, aby dokładnie jej się przyjrzeć. Mogła mieć jakieś pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat, niska, pulchna, z cienkimi blond włosami spiętymi w kucyk. Gdzieś widać było siwy przebłysk, lecz ona wyraźnie się tym nie przejmowała. Cieszyła się życiem, o czym mówił jej nieschodzący z twarzy uśmiech.

Sięgnęłam po ziemniaki. Nie wiedząc, jak się za nie zabrać, przez chwilę obracałam jeden z nich w dłoni, po czym energicznie wbiłam w niego nóż, próbując pozbyć się skóry. Wydawało się łatwe, lecz wcale takie nie było. Ziemniak z jajowatego kształtu zmienił się w krzywy klocek.

– No, no, nie jest najgorzej. – Kucharka podejrzała moją pracę, a ja poczułam, jak szeroki uśmiech pojawia się na mojej twarzy.

Kto z nas nie lubi komplementów? Tym bardziej takich, których się nie spodziewa. Może obieranie ziemniaków nie było szczytem moich marzeń, ale uznanie rekompensowało poniszczone dłonie.

Pani Wiesia, zgodnie z obietnicą, dołączyła do mnie i ziemniaków, kiedy skończyła doprawiać pomidorową. Zapach zupy unosił się w kuchni, pobudzając nie tylko kubki smakowe, ale i żołądek, który wydawał z siebie głodowe odgłosy. Jak się okazało, dwadzieścia siedem minut z nawiązką starczyło, aby wstawić obrane i umyte ziemniaki na gaz.

– To teraz schabowe, ale takie nietypowe, bo z kurczaka – zakomunikowała pani Wiesia. – Dzieciaki nie lubią gryźć schabu, więc trochę ich oszukuję, choć drożej to wychodzi. – Puściła do mnie oczko.

Otworzyła starą lodówkę, z której wyjęła ogromny wór bladuróżowego mięsa. Rzuciła go na blat, a sama poszła szukać ostrych noży w szufladzie.

– Kroimy na mniejsze kawałki, żeby każdy miał przynajmniej po jednym. – Podała mi długi nóż i deskę.

– Myć? – zapytałam.

– A ty chciałabyś być myta, zanim ktoś by cię zjadł?

– Tak – powiedziałam, nie rozumiejąc, czemu ktoś miałby mnie chcieć zjeść.

Kobieta zaśmiała się, pokazując niezauważone przeze mnie wcześniej dołki w policzkach. „Przypomina mi mojego Sebastianka” – pomyślałam, na

chwilę odpływając myślami do ukochanego. Zastanawiałam się, czy pani Wiesia miała rację z tym całym gotowaniem i postanowiłam kiedyś to sprawdzić. Ziemniaki potrafiłam już obierać, z kotletami zaczynałam sobie radzić, więc może nie będzie tak źle.

– Kurczak też wolałby być umyty. – Przerwała moje rozmyślenia.

Umyłam filety pod zimną wodą, po czym zaczęłam je kroić na mniejsze kawałki, jak pokazała kucharka. Ogromny wcześniej blat, wydawał się maleć z każdym położonym na nim kawałkiem mięsa. Kilka kilogramów filetów dla mnie było zaskoczeniem, lecz dla kucharki codzienną normą. „Aż strach pomyśleć, ile pierogów muszą lepić dla armii dzieciaków” – zastanawiałam się.

– Gotowa na kolejną lekcję? – zapytała, kiedy skończyłyśmy.

Skinęłam głową. Kobieta podała mi drewniany młoteczek, nazwany przez nią tłuczkiem. Przez chwilę pokazywała, co należy robić, abym mogła potem wiernie ją naśladować. Włożyłam kawałek fileta do woreczka, ułożyłam na desce, po czym z całej siły zaczęłam w niego uderzać tłuczkiem. Raz, drugi, trzeci, czwarty.

– Jakie to przyjemne – rzuciłam w stronę pani Wiesi.

– Wyobraź sobie, że ten kurczak to ktoś, na kogo jesteś zła – zaproponowała.

Nie myślałam długo. Baśka była idealną kandydatką do wyżycia się. Nawet była trochę podobna do kurczaka. Była tak samo blada, bo nie zdążyła nabrać koloru na Dominikanie, co oczywiście było moją winą.

– A masz, a masz! – krzyczałam, tłukąc zajadle.

„Baśka” robiła się coraz większa wszerek, co sprawiało mi niezwykłą frajdę. „Gdybyś tak się rozlazła, to nawet mój ojciec by cię nie chciał” – pomyślałam, lecz szybko pożałowałam swoich myśli. Przecież byliśmy przyjaciółkami...

– Przepraszam – szepnęłam, gładząc „rozlanego” na desce kurczaka.

– Nie bądź taka delikatna. – Usłyszałam głos pani Wiesi. – Jak nie ty, to inni by go ubili. Taki już jego los.

Spojrzałam na nią, ciesząc się, że nie rozumie, czemu przepraszam nieżywego kurczaka. Było mi wstyd, że choć przez chwilę wzięłam go za Baškę. Bo może i ona była wredna, ale była matką mojej siostry, a co najważniejsze, jedną z moich przyjaciółek, za które oddałabym życie, kończąc nawet jak ten kurczak. „Ciekawe czy mięśnie też można ubić?” – zastanawiałam się, dotykając swojego uda, w którym trudno byłoby się

dopatrzeć tłuszczu.

Kurczaki robiły się coraz bardziej płaskie, co świadczyło o końcu pracy. Byłam z siebie dumna. Przyczyniłam się do ratowania obiadu i nawet tego nie zepsułam. Zadowolona z siebie, czekałam na pochwały i polecenie powrotu na górę, do dzieciaków, lecz pani Wiesia miała dla mnie jeszcze jedno zadanie.

– Kochanieńka, ja lecę po talerze i sztucce, a ty pilnuj makaronu. Już go wrzuciłam. – Wskazała na jeden z garnków na kuchence gazowej. – Pilnuj, a jak będzie miękki, to odcedź go i wrzuc do miski.

– A skąd będę wiedziała, że jest miękki? – zapytałam.

– Zobaczysz to. – Uśmiechnęła się i już jej nie było.

Stałam nad garem, zastanawiając się, jak wygląda miękki makaron, czy daje jakieś szczególne tego znaki, czy też muszę uważnie go obserwować. Nagle usłyszałam dźwięk swojego telefonu. „Cholera, nie teraz” – pomyślałam, wciąż wpatrując się w bulgoczącą wodę. Telefon zadzwonił po raz kolejny. Musiało się coś stać. Opuściłam na sekundę swoje stanowisko przy kuchence.

– Co jest? – zapytałam, kiedy już odebrałam połączenie od Mari.

– Zośka, czy ja jestem sztywna?

Nie podobało mi się to pytanie. Było zbyt podchwytliwe. Znając Mariettę, była na nie jedna możliwa odpowiedź i to na pewno inna, niż ja chciałam powiedzieć.

– Czemu pytasz? – Wybrałam bezpieczną opcję.

– Pytałam, czy jestem sztywna? – Nie dała się oszukać.

Zastanawiając się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, wyobrażałam sobie zdenerwowaną Mariettę po drugiej stronie. Już jej głos był przerażający, a co dopiero jej widok, nawet ten w wyobraźni.

– No, wiesz, to trudne pytanie...

– A więc ty też myślisz, że jestem sztywna? – Przerwała mi w połowie. –

Już ja wam pokażę, że nie jestem sztywniarą. I ty mi, Zocha, w tym pomożesz.

Teraz naprawdę zaczęłam się bać. Pomoc brzmiała niczym groźba, rzucona największemu wrogowi.

– Od marca będzie inna Mari, wyluzowana Mari – zakomunikowała. –

Teraz nie będzie sztywnej, poukładanej Marietty. Wyjmij kalendarz i zapisz sobie, że pierwszego marca, czy się będzie paliło, waliło, czy inne tego typu, ty idziesz ze mną na zakupy, o osiemnastej w Arkadii. – Byłam pewna, że

sama zapisuje informację w kalendarzu.

– Mari, to było sztywne! Wyluzowani ludzie nie zapisują notatek w kalendarzu – zauważyłam.

– Luźniej od marca, teraz jeszcze mi wolno – rzuciła, a potem opowiedziała mi o nowym praktykancie w ich firmie, który nazwał ją „zesztywniałą ropuchą”.

„Odważny” – pomyślałam o nim, nie wróżąc mu kariery w firmie Teodora. Marietta nie przywykła do krytyki, szczególnie tej, na którą nie miała wpływu. Mogła być perfekcyjna w swojej pracy, w ubieraniu się, ale jej charakter daleki był od perfekcjonizmu. Stanowcza, zawsze mająca rację, nie mogła być dobrą szefową. Zapewne sądziła, że nowy czy nie nowy musi wiedzieć wszystko na takim poziomie jak ona lub chociażby ktoś pod nią.

– Cholera, psia kurka mać! – Usłyszałam przeraźliwy głos kucharki, przypominając sobie nagle o gotującym się makaronie.

Odruchowo spojrzałam na telefon, który mówił o trzydziestu dwóch minutach przegadanych z Mari na temat jej „poluźnienia”. Podbiegłam do garnka, w którym pozostała tylko brudna maź, przypalona do dna garnka.

– No, to będzie pomidorowa bez makaronu – zaśmiała się pani Wiesia.

– Przepraszam. – Przytuliłam ją.

– Dosypię do zupy trochę ryżu i nikt się nie zorientuje. – Próbowała ratować sytuację. – Ale będziesz musiała następnym razem odkupić ten makaron, żeby się zgadzał na stanie, bo dyrekcja mnie często sprawdza. – Puściła do mnie oczko.

– Odkupię z nawiązką. – Ucieszyłam się, że nie zepsułam jednak misji ratowania obiadu.

Punktualnie o czternastej w jadalni zebrała się większość dzieciaków, które już zdążyły wrócić ze szkoły. Dla pozostałych pani Wiesia odłożyła kilka porcji, plus trochę w przypadku chęci dokładki. Dzieciaki jadły, aż uszy im się trzęsły. Mnie trzęsło się jedynie serce. Wirowało z radości, napawając się ich widokiem. „A pani Wiesia mówiła, że wygląd to nie wszystko” – przypomniałam sobie, będąc pewną, że widok tych dzieciaków w zupełności mi wystarcza, abym czuła się szczęśliwa.

*Trzecie 5 godzin*

*Liczba zabitych kurczaków: setki... chwila, przecież ja ich wcale nie zabiłam, tylko trochę utłukłam ich piersi.*

*Liczba obranych ziemniaków: dotykając szorstkich dłoni – zbyt wiele. Kilkadziesiąt obranych na kształt klocka, a jakieś trzy przypominające*

wcześniejszą wersję ze skórą.

Liczba wpadek: 1 (przypalona)

Dziwnych sytuacji: żadna, chyba że liczyć mnie pracującą w kuchni, czego nawet najwięksi naukowcy się nie spodziewali, a pani Wiesia to uczyniła.

Lekcja na dziś: jeśli jedzenie sprawia innym radość, to zrób coś, aby tę radość wywołać (złota myśl à la pani Wiesia).

Cel: zrobić obiad dla Sebastiana (kiedyś tam, nie mówię, że już).

Cel 2: nauczyć się nie odbierać telefonów przy gotującym się makaronie, bo ktoś może z tego nie wyjść cało.

## 29 lutego 2016 roku

Co cztery lata kalendarz daje nam dodatkowe dwadzieścia cztery godziny. Jedni leniuchują, inni pracują jak opętani, mając nadzieję, że ktoś ich za to hojnie wynagrodzi, a jeszcze inni, tak jak ja, knują plan zdobycia faceta. Może nie do końca zdobycia, bo przecież byliśmy już razem ponad miesiąc, ale zdobycia go w seksualnej kwestii, która do tej pory jakoś nam nie wychodziła.

Dodatkowy dzień nie może się zmarnować. Miałam wrażenie, iż skoro wypadł on właśnie w 2016 roku, był to znak, abym mogła wykorzystać ten czas dla Sebastiana. Romantyczna kolacja w jego domu wydawała się jedynie początkiem pięknego wieczoru, a może i nocy. Nieobecność Tori, Artiego i Julki na pewno w tym pomoże.

Już od kilku dni planowałam ten wieczór. Miałam nadzieję, że przerodzi się w obfitą w doznania noc, połączoną ze śniadaniem do łóżka. Oczyma wyobraźni widziałam siebie w jego koszuli, robiącą tosty w ich domu. Widziałam dżem truskawkowy, którym smarowałam chrupiące pieczywo, wyjęte dopiero z tosterka, oraz uśmiech Sebastiana po przebudzeniu, gdy zobaczy, co dla niego zrobiłam.

Wiedziałam, że tę dobę należy wykorzystać do maksimum, dlatego też postanowiłam nie marnować czasu i zrezygnowałam z zajęć. Z samego rana ruszyłam na łowy. Moja lista zakupów nie była długa, ale należało dokładnie wybrać każdą z rzeczy. „Pierwszy raz nie zdarza się co dzień” – tłumaczyłam sobie.

Pierwszy przystanek – Galeria. Nie żadne Złote Tarasy, znane każdemu w Polsce, lecz Arkadia, słynąca z obecności największych polskich gwiazd kina i muzyki. „Zacniemy od bielizny” – postanowiłam i ruszyłam ku dobrze znanym mi sklepom. W jednym z nich młoda pani wyraźnie nie rozumiała znaczenia pierwszego razu, proponując mi mało seksowny biały komplet.

– Biały? – zdziwiłam się. – A co ja do komunii idę?!

– No, na komunię trochę pani...

– Za stara? – wyręczyłam ją i odwróciwszy się na pięcie, wyszłam ze sklepu.

„Niby ładna, ale na trendach sypialnianych się nie zna” – pomyślałam, idąc w kierunku następnego sklepu z ekskluzywną bielizną. Pani po czterdziestce wydawała się mieć za sobą swoje wszystkie pierwsze razy, więc mogła być



doskonałym doradcą. Wytłumaczyłam powagę sytuacji i czekałam na jej propozycje. Rozglądała się chwilę po sklepie, jakby była klientką, a nie ekspedientką. Najwyraźniej sama nie wiedziała, czego szuka, tylko bała się to powiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili podeszła do mnie, niosąc kilka halek z kolorowymi, odpustowymi kokardkami. Już widząc je z daleka, wiedziałam, że nie były w moim typie, a co dopiero w typie Sebastiana, który miał mnie pragnąć.

Postanowiłam się nie poddawać. Musiałam kupić coś wyjątkowego. Kolejny sklep, kolejna młoda sprzedawczyni, która nie sprawiała wrażenia sympatycznej. Wyrecytowałam formułkę na temat wyjątkowości okazji i znaczenia bielizny, a ona przewracała tylko oczami. Czekałam na jej sugestie, choć szczerze wątpiłam w ich trafność.

– Czy ma być to coś... – Zastanowiła się. – ...sprośnego, znaczy się niegrzecznego?

Z radości ją ucałowałam. Sama nie nazwałabym lepiej tego, czego szukałam. Zadowolona moją reakcją, poszła po odpowiednie zdobycze. Przyszła po kilku minutach, trzymając cztery wieszaki.

– Proszę się rozebrać, a ja będę podawała górą wieszaki. – Wskazała przymierzalnię.

Po chwili stałam już nago, czekając na pierwszy model. „Idealne” – pomyślałam, widząc koronkowo-lateksowy komplet.

– Wow, jest pani genialna. – Odsłoniłam kotarę, a sama spojrzałam w lustro i nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Czarny koronkowy biustonosz i stringi, połączone lateksowymi wstawkami, wydawały się zarazem kuszące, jak i odważne. Sebastian musiał mnie w nich pragnąć, lecz czy nie były zbyt wulgarne?

– To co, następna? – zapytała ekspedientka, a ja skinęłam głową.

Kobieta zasłoniła kotarę, bym mogła zdjąć z siebie koronki. „Piękny” – pomyślałam, zakładając komplet z powrotem na wieszak. Bielizna była cudowna, lecz potrzebowałam czegoś mocnego, wręcz władczego. I wtedy moim oczom ukazała się ona. Halka, ale nie taka jak w poprzednim sklepie. Ta nie miała kiczowatych kokardek, ta była lateksowa, z wiązaniem z przodu, ciągnącym się od pępka prawie po szyję.

Odsłoniłam kotarę, spojrzałam w lustro i wiedziałam, że to jest to. Moje piersi dumnie stały, przytrzymywane przez cieniutkie sznureczki, które musiały zadziałać na wyobraźnię Sebastiana.

– Proponowałabym do tego zakupić pończochy. Naprawdę działa. –

Sprzedawczyni puściła do mnie oczko.

Poprosiłam o spakowanie halki oraz pończoch. Zapłaciłam za zakupy, pozostawiając sprzedawczyni spory napiwek za pomoc. Pozostało wybrać coś na wierzch, by zakończyć galeryjne łowy. „Tylko co pasować będzie na halkę?” – zastanawiałam się, przypominając sobie sytuację z głupim rowerzystą. Kardigan. To jedno słowo było odpowiedzią na wszystkie moje rozterki. Doskonały zamiast płaszcza, musiał się sprawdzić w roli sukienki. Skierowałam swoje kroki do ukochanego Mohito, pewna, że znajdę tam coś idealnego. Kilka przejść między wieszakami wystarczyło, aby moim oczom ukazał się czerwony kardigan z wiązaniem. Bez przymierzania wybrałam swój rozmiar i skierowałam się do kasy. „Galeria zaliczona. Pora na drugi etap” – postanowiłam i ruszyłam w stronę Śródmieścia.

Bez trudu odnalazłam kolorowy sklep ze słodyczami. Pchnęłam mocno drzwi, aby wejść do środka. Rozglądałam się dookoła, zastanawiając się, co wybrać. Wszystko cieszyło oczy swoim wyglądem i radowało nos owocowym zapachem. „Żelki” – postanowiłam, zajmując miejsce w kolejce. Nie od dziś przecież wiadomo, że żelki są najśłodszym, idealnym sposobem, aby okazać uczucia. Dziadkowie i rodzice kupują je małym pociechom właśnie po to, aby wzbudzić w nich miłość. Niekoniecznie taką, jaką ja chciałam wzbudzić w Sebastianie. „Broń cię, Zośka, od tych myśli” – skarciłam siebie w duchu. Ale w obu przypadkach wspólnym mianownikiem była miłość. Nieważne jaka, ważne, że miłość.

Rozpromieniona blondynka za ladą wydawała się trochę zmęczona. Przyklejony do jej twarzy uśmiech był najwyraźniej jednym z punktów jej umowy o pracę. Z tego swojego „najśłodziej u nas” oraz „słodkiego dnia” mogła zrezygnować, lecz specjaliści od marketingu pewnie i te sformułowania wpisali jako obowiązkowe punkty w jej zakresie obowiązków.

– Najśłodziej u nas, co dla pani? – Nadeszła moja kolej.

– Poproszę żelki dla mojego chłopaka – powiedziałam, zadowolona ze swojego genialnego pomysłu.

– A jakie żelki on lubi?

– A skąd mam wiedzieć? – Zdziwiło mnie jej pytanie. – A pani chłopak jakie lubi?

Dziewczyna patrzyła na mnie, wciąż się szczerząc, jakby zamontowana w rogu kamera miała zacząć strzelać, kiedy z jej twarzy zniknie uśmiech.

– Nie mam chłopaka – odpowiedziała po chwili.

Spojrzałam na nią z niesmakiem. Była starsza ode mnie i była samotna. „Nic tylko staropanieństwo” – stwierdziłam i trochę posmutniałam na myśl, że ten świat słodczy to jedyna przyjemność, jaka ją w życiu spotka.

– A były chłopak? – zapytałam.

– Pogaduszki sobie będziecie potem urządzać. Porządni ludzie chcą żelki! – krzyknął jeden z facetów z kolejki, lecz się tym nie przejęłam.

– Był cukrzykiem – szepnęła. – Nie mógł jeść żelków.

– Nie uprawialiście seksu z bitą śmietaną, truskawkami i polewami?

Przecząco pokręciła głową.

– Cholera, ale szit!

– A twój nie jest cukrzykiem? – Spojrzała na mnie pytająco.

Przełknęłam głośno ślinę. Sebastian cukrzyk? Nie, to niemożliwe.

– Widzisz, jak wyglądam? Gdyby był cukrzykiem, to już by nie żył od samego patrzenia na mnie, a co dopiero od pocałunków – stwierdziłam.

– To po cholerę ci żelki! – krzyknął mężczyzna z kolejki.

Spojrzałam na niego uważnie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Masz pan rację, świętą rację, bez żelków się obędzie. – Przybiłam mu piątkę i wyszłam ze sklepu.

Drugi etap mojego planu miał pozostać niezrealizowany ze względu na zbyt słodką pomysłodawczynię. Trzeba było wymyślić coś nowego, mniej słodkiego. „Wino” – przyszło mi do głowy. Plan B był gotowy do realizacji, wystarczyło jedynie odwiedzić osiedlowy sklep, który w naszej willowej dzielnicy był zaopatrzony w drogie i dobre alkohole.

Ubrana i pachnąca, z butelką wina w dłoni, wyszłam z domu. Wyglądałam zjawiskowo i tak też się czułam. Marzenia o karierze aktorskiej i Festiporze musiałam zostawić za sobą. Teraz liczyła się miłość, choć ukradkiem do moich myśli docierały wizje Marshalla odbierającego nagrodę w moim imieniu. Może nie mogłam tam być fizycznie, ale duchowo wspierałam całą produkcję.

Sebastian otworzył mi drzwi, zanim zdążyłam w nie zapukać. Ubrany w błękitną koszulę, wydawał się przystojniejszy niż ostatnim razem. Przywitał mnie czułym pocałunkiem, prowadząc do stołu. Moja wyobraźnia już tworzyła scenerię mnie w jego błękitnej koszuli, stojącej rano przy tosterze.

Kolacja czekała na stole. Makaron z łososiem i sosem śmietanowym z kurkami z pewnością został kupiony w mojej ulubionej restauracji, do której często chodzę z dziewczynami. Nie chcąc psuć atmosfery, zostawiłam

uwagę dla siebie, z radością pałaszując.

Sebastian włączył muzykę i kiedy do mych uszu dobiegł głos Ellie Goulding, postanowiłam działać niczym w filmie, z którego była ta piosenka. Wstałam od stołu, podeszłam do niego i opierając szpilkę na krześle, między jego udami, zaczęłam płynnie się poruszać, powoli zsuwając z siebie kardigan.

– Na-jad-łem się – jękał się, kiedy wtuliłam piersi w jego twarz.

Zwinnym ruchem wziął mnie na ręce i zapominając o kolacji, zaniósł na górę, aby kawałek po kawałku się mną rozkoszować. Przed nami cała noc, nie musieliśmy się spieszyć. Sebastian najpierw całował mnie delikatnie, potem coraz gwałtowniej, wbijając mi zęby w skórę. Wiłam się pod nim z podniecenia. Czekałam, aż nasyci się mną, by pozwolić mi zadbać o niego. Sebastian rozwiązał supeł, znajdujący się na moich piersiach, aby je wyswobodzić. Masował i całował na zmianę, coraz bardziej gwałtownie. Kiedy pocałował mnie w usta, wiedziałam, że nadeszła moja kolej. Rozpięłam pasek jego spodni, zaczęłam je zdejmować, kiedy do mych uszu dotarł ponownie głos Ellie. Nie zastanawiając się, jak to możliwe, że wciąż słyszę tę piosenkę, działałam dalej.

– Tw... ó... jjj teee... le... fooo... n – jęknął Sebastian.

Wciąż zdejmując jego spodnie, zerknęłam na wyświetlacz iPhone'a. „Baśka” – przeczytałam. Położyłam palec na ustach Sebastiana, po czym odebrałam telefon. Sebastian, nie chcąc tracić czasu, położył mnie na łóżku, po czym zaczął pieścić intymne miejsce palcami.

– Co jest? – Próbowałam nie dać po sobie poznać, że właśnie jest mi dobrze.

– Zośka, wracaj – zakomunikowała Baśka, a ja w tym momencie wydałam z siebie głośny jęk. – Maks jest w szpitalu.

Jęknęłam ponownie, dopiero po czasie rozumiejąc jej słowa.

– Ale jak to? Co się stało? – Sebastian nie przerywał pieszczot.

– Nie wiem, ma mieć operację. Tyle mi powiedzieli – żałośnie wyznała Baśka.

Podniosłam się i narzucając na siebie kardigan, wybiegłam z pokoju Sebastiana, nie mówiąc mu ani słowa. Biegłam co sił w nogach do domu, żeby dowiedzieć się, że mam zostać z Zuzką, bo to Baśka jedzie do taty. „Seks zamieniony na wieczór z Zuzką, to się dopiero nazywa szczęśliwy traf”. Zapominając zadzwonić z wyjaśnieniami do Sebastiana, zajęłam się diabolicą, która miała iść właśnie spać. Poprosiłam Baśkę, aby dzwoniła,

kiedy się czegoś dowie i poszłam do pokoju siostry.

– Idź spać – rozkazałam i zgasiłam światło.

– Przeczytaj mi bajkę! – przeraźliwie krzyknęła Zuzka.

Zapaliłam światło, sięgnęłam po pierwszą z książeczek leżących na nocnym stoliku i zaczęłam czytać.

– ...pan kucharz kaczkę starannie, piekł, jak należy, w brytfannie, lecz zdębiał, obiad podając, bo z kaczki zrobił się zajac. W dodatku cały w buraczkach, taka to była dziwaczka. – Skończyłam czytać bajkę Brzechwy, a Zuzka zaczęła się śmiać. – Jakie to głupie: wkładasz kaczkę, wychodzi zajac. Te bajki to żenada – skwitowałam.

– Bo to była Kaczka Dziwaczka, wszystko robiła na opak – tłumaczyła diabolicznie.

– No, rozumiem te dwa złote, co miała oddać potem, bo wiesz, co zjesz, to dołem powróci. – Pokazałam na jej pupę.

Zuzka ponownie ryknęła śmiechem.

– Ty, taka głupia to jesteś nawet fajna. – Przytuliła się do mnie.

Od komplementu było to dalekie, ale postanowiłam się z nią nie kłócić. Wierzyłam, że jak zaśnie, będę mogła choć na chwilę wyrwać się cichaczem do Sebastiana i dokończyć to, co zaczęliśmy chwilę temu.

– Dobranoc.

Byłam tak spragniona seksu, że aż pocałowałam ją w czoło, aby szybciej zasnęła. Zgasiłam światło i wyszłam z pokoju. Postanowiłam odczekać pięć minut, sądząc, że tyle wystarczy, aby zasnęła, by na kilka chwil powrócić w ramiona Sebastiana.

Po chwili do mych uszu dobiegło jej ciche pochrapywanie. Szybkim krokiem udałam się do sąsiadów. Niczym gazela wbiegłam po schodach, kierujących do pokoju Sebastiana. Pospiesznie zdjęłam z siebie kardigan i pewnym ruchem pchnęłam drzwi pokoju. Pchnęłam i... zamarłam z wrażenia. On spał. Spał, niczym zaspokojony, a ja wciąż czułam, że płonę. Przykryłam go kocem, pocałowałam w czoło i zakładając kardigan, wyszłam do domu. „A miało być tak pięknie” – pomyślałam.

Dodatkowy dzień roku skończył się, jakby był zwykłym dniem. Związane z nim plany okazały się niemożliwe do realizacji. I pomyśleć tylko, że wszystko to wina jakiegoś głupiego wyrostka, który rozłożył mego tatę na łopatki, a mnie razem z nim. Tata przeszedł operację, a ja wiedziałam, że nie mogę czekać na kolejny dodatkowy dzień roku, aby nasz pierwszy raz mógł wejść w fazę praktyczną, a nie teoretyczną.

„Trzeba obmyślić dodatkowy plan” – postanowiłam, kładąc się samotnie spać do swojego łóżka.

# 1 marca 2016 roku

Internet uznaje 1 marca za Światowy Dzień Walki z Otyłością, lecz dla mnie miał on zupełnie inne znaczenie. Ja, Zosia Majer, z tych Majerów, uznałam 1 marca za Światowy Dzień Odsztywniania, bo „rozluźnianie” to za dużo powiedziane w przypadku Mari.

Ten dzień miał zmienić życie Marietty. O umówionej godzinie czekałam na nią w galerii, chcąc jak najszybciej uporać się z zakupami. Wybiła osiemnasta, a jej wciąż nie było. „To do niej niepodobne” – pomyślałam, pewna, że coś musiało się stać. Dopiero jakieś dziesięć minut później oczom moim ukazała się znana sylwetka, w nieznanym dla mnie opakowaniu. Różowe airmaxy wręcz gryzły się z żółtymi spodniami i kanarkową bluzą w wielkie, jeszcze bardziej rażące plamy, w różnych kolorach. To nie mogła być ona!

– O jesteś – rzuciła, bez zbędnego „przepraszam”.

„A jednak to ona” – stwierdziłam. Niemożliwe stało się możliwe. Aż strach pomyśleć, co będzie dalej.

– Co ty masz na sobie? – odważyłam się w końcu zapytać.

Marietta zmierzyła mnie wzrokiem, nie będąc pewną, czy ją chwale, czy wręcz przeciwnie.

– Najnowsze modele w najmodniejszych, neonowych kolorach. – Prawie skakała z radości.

Jej zachowanie było bardziej sztuczne niż piersi Dody, ledwo ściśnięte w gorset. Po jej dopasowanej do pory roku garderobie nie było śladu. Połączenie, które miała na sobie, gryzło się bardziej niż dzikie zwierzęta w Afryce. Ten róż, kanarek i zieleń powodowały... co najmniej chorobę oczu.

– No, może i najmodniejsze, ale nie tyle naraz – próbowałam tłumaczyć. – Fajnie połączyć jakiś neonowy akcent z innym... mniej gryzącym.

– Że niby tak jest źle? – zdziwiła się.

– Przeluźniłaś się – skwitowałam smutno, pociągając ją za rękę w stronę sklepów.

Na pewno wyglądałyśmy zabawnie. Ona – miss rażącej kiecki i ja – skromna bogaczka. Nikt normalny nie nazwałby nas przyjaciółkami. Kroczyłyśmy dumnie po galerii, zastanawiając się, od którego sklepu zacząć.

Nie mogło być inaczej – napis „Mohito” aż prosi o wejście. „Tutaj na pewno coś znajdziemy” – pomyślałam i pociągnęłam Mari w kierunku

kanapy, znajdującej się przy przymierzalniach, aby dowiedzieć się więcej o jej „odsztywnieniu”.

– To jak bardzo chcesz się rozluźnić? – zapytałam, zdając sobie sprawę, że przegięciem była już jej dzisiejsza stylizacja, i bojąc się, że zechce więcej.

– Chcę wyglądać na luźną babkę, ale wciąż podobać się Teosiowi. – Zarumieniła się. – I żeby ten kretyn wiedział, że ja rządę w firmie. – Zapewne dotyczyło to praktykanta, o którym ostatnio dużo słyszałam.

Kaząc jej siedzieć, ruszyłam między wieszaki na łowy. Marietta musiała wyglądać zarazem ładnie i nowoczesnie, co wymagało nie tylko zmiany garderoby, ale i odwiedzin u fryzjera i kosmetyczki. Buszowałam po sklepie, jak opętana. Zdejmowałam kolejne wieszaki i bez słowa kładłam je obok Mari. Góra ubrań rosła, już prawie zakrywała Mariettę, kiedy uznałam, że na razie wystarczy. Posegregowałam ubrania w komplety, po czym wyrzuciłam przyjaciółkę do przymierzalni.

– Masz granatowe spodnie siedem ósmych, z lekkim kantem, i do tego koszula w mopsiki. – Podałam jej wieszaki.

– Mam być chodzącą reklamą Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej? – zapytała.

– Odsztywnij się, mopsy to takie małe pieski, takie ty-ci-ty-ci.

W przymierzalni nastała cisza, widać było jedynie niechlujne ruchy wszystkich części ciała. Nagle kotara się odsłoniła.

– I do tego czerwone szpilki, i gites majonez, nawet ketchup w gratisie. – Z radości klasnęłam w dłonie.

Mari patrzyła w lustro, badając czujnie każdy profil, przód oraz tył swojego nowego ja. Jej mina wskazywała, że nie była przekonana, ale potrzebowała jej akceptacji. Ważne, że mnie się podobało, ona miała się jedynie dostosować.

– I to niby jest luźne? – Zmarszczyła czoło, co ewidentnie nie pasowało do eleganckiego luzu, jaki sobą prezentowała.

– Tak właśnie ubierają się antysztywniary. Elegancki luz jest fantastyczny, szczególnie jeśli ma się takie prace jak nasze.

– Masz pracę? Jasna cholera, gratuluję! – Uściskała mnie tak mocno, że poczułam wgryzające się we mnie mopsy.

– No, nie do końca mam, lecz będę miała – uściśliłam.

– Gadaj! Kiedy?

– Hm... jak skończę studia i otworzę gabinet, w którym będę przyjmowała klientów. – Uniosłam dumnie głowę.



Marietta patrzyła na mnie, oczekując dłuższej wypowiedzi.

– Za dziesięć lat to te całe drosy nie będą już modne – burknęła cicho, ale ja słyszałam.

– Mopsy – poprawiłam ją, podając jednocześnie następny zestaw ubrań.

Cartoonowa spódnica z jasnożółtą bluzką idealnie pasowały nie tylko do luźnego stylu, jaki chciała prezentować Mari, ale i do naszyjnika, który znalazłam przy kasie.

– Co to jest? – usłyszałam zza kotary.

– Kolejny komplet na dziś – zaszcebiotałam wesoło.

Marietta trochę wiła się za kotarą, zapewne mając problem z założeniem lekko piankowej spódnicy za kolano, w której trudno było dostrzec, gdzie ma przód, a gdzie tył.

– Wyglądam jak potwór z kreskówki. Ktoś to w ogóle nosi?

Spojrzałam na nią z politowaniem. „Jak można tak mało wiedzieć o modzie?” – zastanawiałam się. Ta spódnica była idealna, nie widziałam nigdy lepszej. Aż dziw, że dałam ją Marietce do przymierzenia, a nie sama kupiłam. Cartoonowe wzory były absolutnym hitem sezonu. Zdecydowanie większym niż te całe neonki, o których czytała Mari.

– Kobieto... – Chciałam, aby się opamiętała. – ...już niedługo zobaczysz, jak polskie aktorki w serialach będą nosiły takie spódnice.

– Nie oglądam seriali – burknęła. – Nie mam na to czasu.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem – sam wygląd nie mógł zmienić człowieka. Musiałam wymyślić coś innego.

Kotara ponownie oddzieliła mnie od Mari. Postanowiłam wykorzystać chwilę na myślenie i przypomniałam sobie mojego byłego, bardzo byłego chłopaka, który każdemu opowiadał historię o parasolu.

– Mari! – zawołałam ją.

Stała przede mną w samej bieliźnie.

– Musisz zamknąć parasol – rzuciłam błyskotliwie, pękając z dumy.

– Jaki, kurwa, parasol?

Pokręciłam głową, dziwiąc się, że podobno inteligentna kobieta a nie rozumie dresiarzkiego slangu.

– Ten, co się w twojej dupie otworzył – wytłumaczyłam. – Dlatego jesteś taka sztywna – dodałam ciszej.

Marietta wybałuszyła oczy. Zapewne chciała wbić we mnie parasol, aby zadać mi maksymalnie dużo bólu, lecz jakoś się powstrzymała. Wyluzowani ludzie się nie denerwują. Marietta doskonale o tym wiedziała, a ja byłam

wdzięczna za to losowi.

Kotara zasłoniła się. Ruch za nią świadczył o tym, że Mari się ubiera. „Tylko w co, jak jej nic nie dałam?” – zastanawiałam się chwilę, dopóki nie wyłoniła się Marietta w tych paskudnych ciuchach, w których przyszła do galerii.

– Bierzemy to. – Wskazała na przymierzone ubrania.

– A...?

– A teraz idziemy szukać dresów, bo zacznę biegać – postanowiła.

– Z parasolem w dupie?

Mari wzięła głęboki wdech. Temat parasola widocznie jej nie leżał.

– Przyda się, jak zacznę padać – rzuciła, idąc w kierunku kasy.

Pierwsze torby wypełniły się bardzo kolorowymi jak na Mariette ubraniami. Mogłyśmy ruszyć na poszukiwanie stroju biegacza, o którym mówiła chwilę wcześniej przyjaciółka. Są takie chwile w życiu, że nie wiadomo, czy mamy się bać, czy też cieszyć. Moja chwila zwątpienia właśnie nadeszła. Nadeszła wraz ze spokojnym przyjęciem przez Mari wiadomości o parasolu.

Sklep sportowy jakich wiele w galeriach. Pełno wszystkiego, co nijak ma się do elegancji, nawet tej luźnej.

– Zobacz, jaki piękny. – Marietta trzymała w ręku kanarkowy T-shirt do biegania.

Była nim zachwycona. Gdyby nie obecność ekspedientek, zapewne całowałaby zdobycz, pokazując dumnie, że to ona ją znalazła. Teraz mogła jedynie się uśmiechać. Inaczej niż zawsze, ale wciąż sztywno. Widząc jej wybór, cieszyłam się, że spodnie do biegania są zazwyczaj czarne, dzięki czemu nie będzie straszyla Warszawy, niczym dyskotekowa lampa.

Kanarkowy T-shirt, czarne spodnie za kolano oraz pomarańczowo-zielone buty stały się od teraz Mariettowym strojem sportowym. Zazdrościłam Teodorowi, że przed jutrzejszym joggingiem będzie mógł zobaczyć Mari w całej okazałości. To połączenie musiało wyglądać paskudnie i, co najważniejsze, śmiesznie, lecz Mari się uparła, że tak biegają „luzacy”.

– Wyglądasz jak kontuzjowana truskawka – rzekłam, widząc ją w tym zestawie.

– Kontuzjowana?

– Ani dobrze wygląda, ani smaku nie ma – wytłumaczyłam.

Zakupy zakończyły się powodzeniem. Przynajmniej w oczach Marietty, bo ja stroju biegowego nie mogłam uznać za dobry wybór. Pozostało mi jedynie

cieszyć się jej szczęściem i czekać na pierwsze wiadomości z zewnątrz, które już niedługo do mnie napłyną od dziewczyn. „Skoro ja nie mogę uwierzyć w „odsztynioną” Mariette, to jak one sobie z tym poradzą?” – zastanawiałam się. Przecież to zawsze ja byłam tą total tolerance all inclusive.

## 4×5

Nigdy nie byłam orłem z matematyki. Ba, nawet jaskółką czy kanarkiem z tego przedmiotu nie byłam. Tatuś jakoś wspomagał szkołę, a ja zdawałam z klasy do klasy mimo poważnych braków wiedzy z tej całej Królewny Śnieżki wśród nauk. Mimo małych, wręcz niewidocznych braków potrafię stwierdzić, że dziś będę po dwudziestu godzinach prac społecznych.

Kolejne wyjście do dzieciaków musiało wiązać się z następnymi niesamowitymi przygodami, o których nawet bohaterowie gier mogli pomarzyć. Było już „ożywianie Marcela”, zabawa w Włóczykija i zabijanie martwych już kurczaków. Aż strach pomyśleć, co z nami robią po śmierci, kiedy już nikt nie patrzy.

Dżesika przywitała mnie już w drzwiach. Najwyraźniej czekała na moje przyjscie. Trzymając za rękę, prowadziła do świetlicy, gdzie zazwyczaj wszyscy oglądali telewizję. Tym razem dzieciaki siedziały przy stołach z zeszytami i książkami, odrabiając lekcje.

– Przerwa – zdecydowałam wesoło.

Poczułam na sobie spojrzenia dzieci, lecz tylko jedno charakterystycznie piekło moją skórę. „Marcel też tu jest” – stwierdziłam. Próbowałam wysledzić go między dzieciakami, co okazało się dosyć trudne. Nie był taki jak zawsze. Dziś siedział cicho, z podręcznikiem od języka polskiego w dłoni.

– Musimy się uczyć – powiedział jeden z chłopców.

– Tak nagle? – zdziwiłam się.

– Wychowawcy powiedzieli, że na wycieczkę może jechać tylko ten, kto będzie miał lepsze oceny. Cieniasy nie jadą.

Zaśmiałam się. Motywacja do nauki przednia, ale jak im wystarczyła, to nie będę jej negowała. Skoro za wycieczkę są skłonni się uczyć, to nie dziwię się, że za kolonie na Gran Canarii byli w stanie zrobić mi kilka świństw. Sama pewnie bym tak postąpiła.

– To może przyjdę innym razem. – Już przed oczyma miałam witryny sklepowe z najnowszą kolekcją.

– Pomożesz mi? – cicho poprosił Marcel.

„Ten gówniarz prosi mnie o pomoc?” – nie dowierzałam. Naprawdę musiało mu zależeć na tej wycieczce.

Chcąc okazać swoje wielkie serce i miłosierdzie, postanowiłam trochę poudawać, że coś robię. „Kilka prostych rad mnie nie zabije” – pomyślałam, przypominając sobie czasy liceum, kiedy to nauczyciele wzywali mnie do tablicy, chcąc poprawić sobie humor. Szczególnie chemiczka dawała mi popalić. Dziwnym trafem – raz w miesiącu, zapewne za sprawą PMS.

Podeszłam do Marcela, chcąc dowiedzieć się, jak mogę mu pomóc. Usiadłam na wolnym krześle obok niego i cierpliwie czekałam, aż zacznie mówić.

– Mam napisać rozprawkę na polaka... – Zmarszczył czoło, wyraźnie nie wiedząc, jak się do tego zabrać.

– Masz szczęście. – Uśmiechnęłam się, by dodać mu otuchy. – Byłeś kiedyś w sądzie?

Marcel zaprzeczył.

– Wszystko przed tobą, jak będziesz takie numery wywijał, jak mi ostatnio. – Postanowiłam wykorzystać sytuację na prawienie morałów. –

W sądzie prowadzi się rozprawy i właśnie taką rozprawę masz napisać na polaka, tylko tutaj musisz się zadeklarować, kim chcesz być – tłumaczyłam, niepewna tego, co mówię. – Jesteś albo oskarżycielem, albo adwokatem. Nie możesz być oboma.

Marcel wciąż mało rozumiał, ale uznałam, że tyle powinno mu wystarczyć do wykrobania kilku zdań na kartce. Czasy liceum były tak dawno, że nawet nie pamiętałam, jak pisało się tę całą rozprawę.

– To ja będę sędzią – stwierdził po chwili.

Zbił mnie z tropu. Tego się nie spodziewałam, lecz musiałam działać szybko.

– Sędzia jest inteligentny, a ktoś, kto nie potrafi nędznej rozprawy napisać, na pewno taki nie jest. – Sprowadziłam go na ziemię.

Spuścił głowę. Zapisał kilka zdań na papierze kancelaryjnym, po czym odłożył długopis i stwierdził:

– Polaka dokończę potem, teraz pomóż mi jeszcze w fizyce, bo dla mnie to czarna magia. – Wyjął zielony podręcznik i położył przede mną.

„Nie tylko dla ciebie” – pomyślałam, przypominając sobie sprawdziany z fizyki, u Karczocho. Chwała, że miał słabość do kobiet. To jedyne rozsądne wytłumaczenie mojej czwórki z tego przedmiotu. Na każdy sprawdzian zakładałam bluzkę z głębokim dekoltem, po czym szłam do niego, prosząc o wytłumaczenie kilku rzeczy w zadaniu, a on sam wszystko rozwiązywał. Aż dziw, że nie miałam piątki. Na to też jest rozsądne wytłumaczenie: sam

Karczoch popełniał błędy i niestety, oceniając nasze sprawdziany z rozwiązaniami wypisanymi jeszcze w zeszycie ze studenckich czasów, napotykał kilka różnic w obliczeniach.

Mimo czwórki na maturalnym świadectwie fizyka była dla mnie czymś niepojętym. Była wręcz iluzją wśród nauk, niewytłumaczalną, jak sztuczki Dynamo.

– Co tam masz? Miałam czwórkę z fizyki. – Nie omieszkałam się pochwalić.

Marcel po raz pierwszy, od kiedy się znamy, spojrzął na mnie z podziwem. Spodobało mi się to uczucie, pragnęłam doświadczać go częściej.

– Chodzi o przetwarzanie tego wzoru. – Wskazał na nic niemówiące mi litery:  $v = s/t$ .

„Żeby ja chociaż wiedziała, co one znaczą?” – próbowałam uporządkować szufladki w mojej głowie.

– A ty jaki masz pomysł? – zapytałam podstępnie.

– No skoro prędkość jest równością dzielenia drogi przez czas, to czas powinien być mnożnikiem dwóch pozostałych? – bardziej pytał, niż twierdził.

Iluzja działała, otaczając mgłą tajemnicze rozwiązanie. Postanowiłam trochę inaczej wytłumaczyć Marcelowi teorię tych wszystkich równości i mnożników. Bardziej życiowo. Ręką poprosiłam, aby wstał i poszedł za mną. Nie wypadało mówić mojej teorii przy dzieciakach. One były jeszcze za młode na życiowe tłumaczenia fizycznych dylematów.

– Jesteś prawiczkiem? – zapytałam, kiedy byliśmy już na uboczu.

Marcel się zarumienił.

– Cholera, a nie wyglądasz – stwierdziłam, co on odebrał chyba jako komplement. – No dobra, słuchaj mnie, bo dwa razy powtarzać nie będę. Facet i kobieta spotykają się z sobą...

– Wiem, na czym polega seks, ale nie wiem, jak on się ma do fizyki – przerwał mi.

– Właśnie chcę ci wytłumaczyć. – Oburzyłam się. – Jesteś facetem i masz wacka, on i jego kilka centymetrów to nasza droga, czyli to  $s$ . Dochodzi do połączenia... – Włożyłam palec w koło stworzone z dwóch innych palców, aby pomóc mu lepiej zrozumieć. – ...i zaczyna się dziać. Wacek nabiera prędkości i w zależności od niej dochodzi do wytrysku. No, wiesz, czas fizyczny tutaj to czas faktyczny całego stosunku.

Marcel patrzył na mnie z niedowierzaniem. Zaciekawiałam go swoją

opowieścią, lecz wciąż nie wypłynęły z niej żadne wnioski. Musiałam pomyśleć. „Co jest najważniejsze podczas seksu?” – zastanawiałam się.

– Ale jak to się ma do wzoru?

– No jak to jak? – Zdziwiło mnie jego pytanie. – Najważniejszy jest wacek, znaczy się jego długość. Im dłuższy, tym... zresztą nie będę cię wprowadzała w kompleksy. Skoro wacek, znaczy się droga jest najważniejsza, to właśnie ona jest wierzchołkiem naszej piramidy fizycznej. – Klasnęłam w dłonie, dumna z siebie. – Prędkość i czas są tu mniej ważne, ale wciąż ważne, pamiętaj o tym.

Chłopak wybuchł śmiechem. Nie szyderczym czy wrednym. Szczerym i zaraźliwym, aż sama zaczęłam się śmiać.

– Jak ty, Zocha, zdałaś maturę? Bo chyba nie można wszystkiego tłumaczyć na seksie. – Tym razem nie kpił.

– Jestem Giertychowym rocznikiem. Była amnestia na jeden przedmiot, a dwa zawsze łatwiej tłumaczyć na seksie niż trzy. – Puściłam mu oczko.

Śmialiśmy się jeszcze chwilę, po czym wróciliśmy do świetlicy, zapisać piramidę fizyczną. Wzory zostały rozszyfrowane, a rozprawa dokończona. Odrabianie lekcji nie okazało się jednak tak złe, jak przewidywałam.

*Czwarte 5 godzin*

*Liczba rozwiązanych zadań: chyba 2 (mam nadzieję, że zaliczą mi i rozprawę, i tabelkę z fizyki); gdyby miał zajęcia z Karczochem, to poleciłabym dekolt, ale przecież Marcel jest facetem.*

*Liczba obróconych tabel: jedna, prawdziwie fizyczna. Aż dziw, że mówią, iż w związku musi być chemia, przecież to fizyka ma więcej do gadania w tych sprawach.*

*Liczba wpadek: 0. Chwila... naprawdę zero. Jedno piękne okrągłe (no, może bardziej jajowate).*

*Dziwnych sytuacji: 17-letni prawiczek w XXI wieku to zdecydowanie dziwna sytuacja.*

*Lekcja na dziś: Nawet iluzję da się zrozumieć!*

## 12 marca 2016 roku

Sobota. O tak, wolna sobota. Najlepszy dzień na regenerację zarówno dla ciała, jak i umysłu. Fryzjer, kosmetyczka, a na deser... będzie prawdziwy deser. To dziś musiało dojść do naszego złączenia, dłużej nie wytrzymam. Miałam plan. Sebastian będzie wniebowzięty. Nawet klawiatura i monitor nie miały dziś szans ze mną wygrać. Strój pielęgniarki wisiał w mojej garderobie. Nie byle jaki: seksowny, przykrótki i bardzo obcisły kostiumik to moje wyjście ewakuacyjne. Będę czekać, aż Tori i Arti pojedą na nagranie, a potem wezmę Sebastiana z zaskoczenia. Tak będzie lepiej.

Uradowana, poszłam do fryzjera, podciąć delikatnie moje piękne włosy. Fryzjerka zaoferowała regenerującą maseczkę, co przyjąłam z entuzjazmem. Uwielbiam, kiedy inni dotykają moich włosów. Z zazdrością. Młoda fryzjerka sama nie miała za dużo na głowie. W głowie zapewne też niewiele, czego można się domyślić po krótkiej rozmowie z nią. Ja mówiłam, a ona chichotała jak nastolatka, niewiedząca, co należy odpowiedzieć. Nawet trochę mi jej żal. Jeszcze się biedy naklepie, jak zacznie się chichotać z czyjejś tragedii. Dwie godziny w salonie śmiało można nazwać pobytem w zakonie milczenia.

Kosmetyczka była bardziej rozmowna. Gdyby nie Berkowa ciąża, to zapewne w jej salonie bym teraz siedziała, popijając kawkę, kiedy ona oczyszczałaby moją twarz. Nie z żadnych pryszczycy. Broń cię, Panie Boże. Broń cię, opiekunie wypryskowy. Moja twarz potrzebowała oczyszczenia z toksyn. Tyle tego cholerstwa teraz wkoło, że regularnie muszę robić zabiegi. Człowiek już nigdzie nie może czuć się bezpiecznie. Idziesz ulicą, a tam spaliny z tych samochodów, dymy z kominów. W szkole pełno bakterii, jakie przenoszą się metodą skoczkową. Najlepiej nie zbliżać się do innych na odległość dwóch metrów, ale w ciasnej sali jest to wręcz niewykonalne. Ponoć metr uznaje się jako bezpieczny, żeby bakterie i inne żywotniki się nie przeniosły, ale ja wolę być ostrożna. Tyle się słyszy o niedozwolonych substancjach, dopingu, sterydach, że lepiej uważać. Nawet bakterie muszą mieć wśród siebie tajemniczego dilera.

Oczyszczanie twarzy i manicure zajęły mi kolejne dwie godziny. „Ile czasu kobieta musi stracić, aby czuć się piękniej niż zawsze” – pomyślałam, wychodząc od kosmetyczki. Ze mną nie było wielkiego problemu. Jestem naturalnie ładna. Pfff... piękna wręcz. Ale co z tymi, co nie mają takiego szczęścia? Mają widoczne piegi, cienkie włosy, nie daj Boże – krzywy nos.



Co z nimi?

Kiedy wróciłam do domu, założyłam swój pielęgniarzki strój i postanowiłam czekać. Przyklejona niczym przyssawka do okna, oczekiwałam na pojawienie się dwóch osób. Minuty ciągnęły się niczym godziny.

Byłam już nieco zrezygnowana, gdy zobaczyłam ich wsiadających do samochodu. Pędem pobiegłam do domu obok. Drzwi jak zawsze stały otworem, wręcz zapraszając złodziei do środka. „Aż dziw, że ich jeszcze nikt nie okradł” – zastanawiałam się, przypominając sobie kolekcję biżuterii Tori, leżącą w jej sypialni.

Optymistycznie skierowałam swoje kroki do sypialni Sebastiana. Niestety. Pudło. Ruszyłam dalej. W zasadzie to mogłam tam skierować swoje pierwsze kroki, ale żyłam bajką, zakładając, że mój ukochany będzie na mnie czekał i wszystko pięknie się ułoży. On miał być moim królewiczem, ja jego księżniczką i mieliśmy żyć długo i szczęśliwie. W zasadzie to „mieliśmy się kochać długo i żywiołowo” lepiej by brzmiało.

Drzwi zamknięte. „Znowu pisze” – zrozumiałam, że misja przybrała status trudnej do wykonania, a może i nawet mission impossible. Zapukałam. Odpowiedziała mi cisza. Uchyliłam drzwi, obserwuję rytmiczne stukanie jego palców w klawiaturę. Otwarty dokument tekstowy świadczył o faktycznym nadejściu weny, którego się spodziewałam po ciszy panującej w pomieszczeniu. Jego wena była moim huraganem, zmiatającym wszystko na swojej drodze.

Niezauważona, nie czułam się dobrze. Postanowiłam działać i nie poddawać się, póki nie dopnę swego. Ze zwinnością kota zbliżyłam się do niego, siadając na nim okrakiem. Zaczęłam całować jego szyję, lecz on wciąż niewzruszenie uderzał w klawisze, próbując wychylić swoją głowę zza mojej, aby widzieć ekran. Nie poddawałam się. Nie pozwolę zmieść się przez huragan weny. Muskałam jego usta, co jakiś czas się w nie wgrzyzając. Słodka romantyczka nie dała rady, więc pora na kobietę wampa.

Zdecydowanym ruchem sięgnęłam po jego męskość. Sztywno. On chciał współpracować. „Mam cię” – ucieszyłam się w myślach. Sebastian najwyraźniej powoli godził się z faktem, że jego samozaparcie i ambicja przegrały z męską naturą. Dał spokój klawiszom, zajmując się ściąganiem ze mnie kostiumu.

– Może zastrzyk? – kokietowałam.

Całując mnie, odpiął spodnie, zdjął bokserki i jednym pewnym ruchem

zdobył mnie całą. Nasze ciała poruszały się jednostajnym tempem jadącego, dyszącego pociągu. „Dyszy i sapie” – przypomniał mi się wiersz z lat młodości, rodząc w mojej głowie milion pytań, czy autor aby na pewno miał na myśli lokomotywę. Odrzuciłam je, chcąc cieszyć się swoją wygraną.

– Yyy... wiecie, to ja już będę leciał. – Do moich uszu dobiegł nieznajomy głos.

Rozejrzałam się po pokoju. Byliśmy sami, tylko my dwoje i ten jego zasrany komputer. „Wstrzemięźliwość seksualna spowodowała u mnie omamy” – tłumaczyłam sobie, wspominając słowa Moni, rzucone podczas jednego z sylwestrów.

– Daj znać, Seba, jak już będziesz. – Usłyszałam, mając pewność, że to jednak nie omamy.

– Ktoś tu jest! – krzyknęłam, zeskakując z Sebastiana.

– To tylko Kordian – powiedział spokojnie, przyciągając mnie do siebie.

– Ko... co?!

– Ty pewnie jesteś Zośka – wesoło odparł nieznajomy, niemal jakbyśmy się spotkali przy filiżance kawy. – Wyglądasz lepiej, niż słyszałem.

– Kim on, kur...?

Sebastian zakrył mi usta dłonią. Zminimalizował okno dokumentu na komputerze, a mym oczom ukazała się twarz uśmiechniętego rudzielca.

– Czy on nas...? – zapytałam, patrząc mu w oczy, jednocześnie próbując się okryć kostiumem, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że miałam do dyspozycji paski materiału grubości sznurówek.

– Spoko, nie takie rzeczy się widziało – śmiał się rudzielec. – Nie chciałem przeszkadzać, ale zagłuszaście mi już muzę tym sapaniem, więc wolałem się rozłączyć. Sorry, ale Coldplay jest mi bliższy niż te wasze „aaa”, „ooo” czy jak tam to leciało.

Chłopak cały czas się uśmiechał, nie zdając sobie najwidoczniej sprawy z powagi sytuacji. Zażenowana, wybiegłam z pokoju, słysząc w oddali, że Kordian dodaje: „Pewnie poszła się ubrać”. Zawróciłam, zdenerwowana bardziej niż kilka chwil temu.

– Nie poszłam się ubrać. – Ponownie stanęłam naga w drzwiach pokoju. – Ja odchodzę, Sebastian – dodałam poważnie.

Wolna sobota dała wolność i mnie. Nie cieszyłam się jednak, było mi z tym źle. Tak wiele miałam planów, a dziś wszystkie wysypały się z worka pragnień. Przez chwilę zwycięska, znów stałam się przegraną. Byłam jak Armstrong pozbawiony tytułów. Tylko on je stracił przez siebie, ja nie

miałam na moje żadnego wpływu. Plan uwodzicielskiej pielęgniarki pozwolił mi doznać czegoś niezwykłego, lecz nieskończonego. Był jak znaczek przewróconej ósemki, zawieszony na mojej szyi.

## 13 marca 2016 roku

Korzystając z nieobecności ojca, zwołałam sabat w naszym domu. Musiałam z kimś pogadać, wyżalić się, opowiedzieć o tym, co mnie spotkało. Dziewczyny przyszły punktualnie. Mari wciąż trwała w swoim „odsztynianiu”, co widać było po jej zbyt kolorowych ubraniach. Berka rosła w tak zastraszającym tempie, że zastanawiałam się, czy na następne spotkanie nie powinnam poszerzyć futryn, aby się czasem nie zaklinowała już przy wejściu. Baśka zeszła tylko po schodach, choć i to spowodowało u niej zły humor. „Okres” – dzięki wizycie w jej łazience dziś rano wiedziałam, jaki jest powód jej rozchwianego nastroju. Monika i Jolka, niby razem, ale jakby trzymając się na dystans. „Pewnie się pokłóciły” – znałam doskonale wredny charakter Jolki i wiedziałam, że to ona jest winna każdej ich kłótni.

– Co się stało tym razem? – zapytała Jolka, wygodnie usadowiwszy swój tyłek na kanapie.

Tym razem? Jola mówiła, jakbym zwoływała zebrania co najmniej raz w tygodniu. „Już ja jej pokażę!” – obiecałam sobie.

– Mam doła – przyznałam bez ogródek.

– Co masz? – Marietta mimo swojej metamorfozy nie opanowała najwidoczniej współczesnego slangu.

– Mam doła, jest mi źle, czuję się przygnębiona – wyliczałam.

Dziewczyny patrzyły po sobie, zastanawiając się, która pierwsza ma podjąć temat.

– Widzę, że nocami czytasz ukradziony od Baśki słownik synonimów. No, no, nie przypuszczałam, że potrafisz poskładać literki w jeden wyraz, a co dopiero się czegoś nauczyć. – Wredny charakter Jolki dawał znać o sobie w każdej sytuacji.

Przełknęłam ślinę, nie chcąc się kłócić. Miałam już wystarczająco dużo swoich problemów, aby jeszcze dokładać sobie nowe.

– Sebastian... – Nie dałam rady powiedzieć więcej, bo się rozplakałam.

Po kobiecie wampie nie został ślad. Pozostała zraniona romantyczka, zawiedziona postawą królewicza.

– Rzucił cię? – Baśka poważnie się zmartwiła.

Pokręciłam głową.

– Ufff... – dobiegł mnie dźwięk uchodzącego z niej powietrza.

– Ja go rzuciłam – sprecyzowałam.

Baśka wbiła we mnie morderczy wzrok. Jej plan się nie powiódł. Ja i Sebastian najwidoczniej nie byliśmy sobie pisani. Nie byłam jego kartką, a on moim długopisem. Wybrał komputer, zapominając, że system czasem siada, a zeszyt wciąż będzie działał. On jednak nie pozwolił na moje działanie. Podarł moje kartki, wyrzucając potem na śmietnik.

– Opowiedz, jak to się stało? – Głaszcząc się po brzuchu Berka chciała mieć pełen ogląd sytuacji.

– Od początku? – dopytywałam się.

Skinęły równo głowami. Czułam, że są po mojej stronie, że się mną zaopiekują.

– Mieliśmy problemy, no, wiecie, takie, jakich ze mną nie powinno być...

– Bałam się nazwać rzeczy po imieniu. – Próbowaliśmy, lecz zawsze coś nam przeszkadzało. Wyobraźcie sobie, że nawet we mnie nie wszedł przez dwa miesiące. – Sama w to nie dowierzałam.

– Może bez takich szczegółów. – Jolka zmarszczyła brwi.

Zmroziłam ją spojrzeniem, nie chcąc powiedzieć nic przykrego. Była jaka była, ale z Moni była naprawdę fajna dziewczyna.

– I wczoraj się udało. – Uśmiechnęłam się.

Marietta energicznie zaczęła bić brawo.

– Ma za małego czy nie sprostął zadaniu? – dopytywała Berka.

Sama, biedna, pewnie seksu nie zaznała dłużej niż ja, przez ten brzuch, co musi go nosić.

– Nie wiem, w sumie nie. Nie o to chodzi... – Próbowaliśmy wybrnąć z opresji.

– Ktoś nas podglądał – szepnęłam.

Dziewczyny spojrzały po sobie, szukając logicznego rozwiązania przedstawionej przeze mnie zagadki.

– Jego walnięta matka! – Baśka nie wytrzymała.

– Nie obrażaj walniętych, oni są na pewno od niej lepsi – broniła uciśnionych Monika.

Pokręciłam przecząco głową.

– Arti – zgadywała dalej Baśka. – Nie, Arti nie, on jak pies na smyczy chodzi za tą walniętą wywłoką.

Monika jedynie kręciła głową, wiedząc, że zbędne są jej pouczenia o normalności i walnięciach.

– O Maryjko ze złóbeńka! – Baśka odruchowo się przeżegnała. – Biedne dziecko, będzie miała koszmary nocne, a niesmak pozostanie w niej na

zawsze.

– Julka jest u Bożeny. – Domyśliłam się, że to o to biedne dziecię jej chodzi.

Nie mając więcej pomysłów, Baśka ucichła.

– W komputerze nas ktoś podglądał – sprecyzowałam.

Jolka aż klasnęła z radości, jakby odkryła coś niesamowitego.

– No tak, moje uczennice mi mówiły, ile można zarobić na takich lajkach w internecie. Ponoć niektórzy to mają z tego kokosy – trajkotała. – Ten twój Sebuś widać chciał zarobić, a że wie, że nie masz problemu z pokazywaniem tego i owego szerszej publiczności, to cię wykorzystał.

Moje spojrzenie wbiło się w nią jak siekiera w pień. Ona była niewzruszona. Wciąż z tym swoim uśmiechem kiwała głową, dumna, że odkryła tajemniczy plan biznesowy Sebastiana.

– On nic nie wie – syknęłam, wściekła.

– Nie wie, że sypia z gwiazdą porno? – zdziwiła się Berka.

– Toć słyszałaś, że właśnie nie sypia – poprawiła ją Mari.

Zaczęły dyskutować o tym, jak nazwać inaczej nasz związek, jeśli wspólne sypianie to za dużo, a zwykłe bycie to za mało. Niczym kobiety sprzedające kaczki na bazarze były skłonne zaraz się pobić, aby to ich kaczka znalazła nabywcę.

– Nie powiedziałam mu o filmie – przerwałam ich burzliwą dyskusję.

– Ty się wstydzisz? – nie dowierzała Jolka. – Ja pierdolę, tego jeszcze nie grali! Dajcie popcorn, bo się nieźle zapowiada.

Monika dała jej kuksańca, chcąc, abym zapewne tego nie widziała. „Ona zawsze chce dobrze dla innych” – wzruszył mnie jej gest.

– Nie chciałam mu mówić – wyznałam. – On jest taki delikatny, wrażliwy, jak to pisarz.

– A skąd ty wiesz, jaki jest pisarz? – burknęła Baśka. – Ostatnia książka, jaką przeczytałaś, to pewnie instrukcja obsługi iPhone’a, jeśli chociaż ją przeczytałaś.

Spuściłam głowę, rozumiejąc jej aluzję. Nie każdy przecież musi czytać książki, tak jak ona. Tym bardziej że jej za to płacą. Ja boję się o wzrok, dlatego unikam literek, druk mnie męczy.

– A jak się dowie i będzie zły, że to zataiłaś? – ciekawiło Berkę.

Sama chciałam znać odpowiedź na to pytanie, lecz łatwiej było je usunąć z dysku twardego w mojej głowie. Pierwsza zasada życia Zośki brzmi: „Nie przejmuj się tym, czego nie ma” i należy się jej trzymać. Nie ma pytania, nie

ma problemu z odpowiedzią na nie, udałam więc, że nie słyszę.

– Niedawno nam o Pornoporze mówiłaś, a teraz co? – drwiła Jolka.

– Festiporze – poprawiłam ją.

Jeszcze trzy miesiące temu występ w filmie porno był dla mnie powodem do dumy. Cieszyłam się, mogąc patrzeć na siebie i swoje nazwisko na ekranie. Chciałam zdobyć nagrodę, lecz potem wszystko uszło ze mnie, jak powietrze z balonu. Nie, nie trzeba było mnie przebijać, wystarczyło, że się zakochałam.

– Mam swoje powody, i już – rzekłam.

– Dobra, dobra... – Monika próbowała rozgryźć zagadkę. – To skąd ten twój dół, jak go nazwałaś?

– Zerwaliśmy. – Spuściłam głowę. – Ale ja go kocham...

W pomieszczeniu rozległo się głośne westchnienie, jak podczas oglądania romantycznej sceny w filmie.

– To czemu z nim zerwałaś? – zapytała Baśka.

– Bo Kordian nas podglądał, a Sebastian nic sobie z tego nie zrobił – zauważyłam, zdenerwowana.

– Może jest bardziej wyluzowany, niż myślisz – zasugerowała Marietta.

– Na pewno nie bardziej niż ty. – Jolka zmierzyła ją wzrokiem.

Słuchałam ich i docierało do mnie, że mogą mieć rację. Każda z rzuconych w powietrze hipotez była wiarygodna: „Zapomniał, że Kordian jest po drugiej stronie”; „Tak na niego działałaś, że nie myślał rozsądnie” czy „Chciał się tobą pochwalić przed kumplem”.

Już nie chciałam, by ktoś mnie chronił. Teraz byłam Królowną Śnieżką, obudzoną ze złego snu przez pocałunek królewicza. „Tylko gdzie ten pocałunek?” – zapytałam sama siebie i pobiegłam do domu obok.

## 5,6×5

Zapowiadał się ciężki dzień. Podwójna dawka odpracowania godzin w domu dziecka, w dodatku z dala od Warszawy. Kto to wymyślił, żeby zwiedzać atrakcje poza stolicą, skoro tutaj był ich miliard, albo i więcej.

Wyjazd o ósmej był jak złowrogi sen, z którego lepiej było się obudzić, niż trwać w nim dalej. Kierunek: Toruń. Dzieciaki radosne, jakbyśmy wybierali się co najmniej do Paryża, ale co się im dziwić. „Pewnie siedzą tylko w tej Warszawie i innego świata nie znają” – pomyślałam z przykrością.

Trzy godziny drogi plus dwa przystanki na siusiu. Jakby nie można było wstrzymać potrzeby, żeby szybciej dotrzeć na miejsce!

Pierwsza stacja została wybrana bardziej z powodu sąsiedztwa z McDonaldem niż z potrzeby zrobienia siusiu, ale wychowawca nie miał szans negocjacji. Nawet mała Dzesika „aktorzyła”, aby zjeść happy meala, a jeszcze bardziej dostać zabawkę w nim schowaną. Szczęśliwe dzieciaki wyskoczyły z autokaru wprost do McDonalda, zapominając o wszystkim innym. „Jakby w Warszawie mało było Donaldowych stacji” – pomyślałam z przekąsem. Nie lubiłam tego śmieciowego jedzenia. Upiorne filmiki z YouTube’a skutecznie przekonały mnie, że wszystko, co tam się znajduje, jest złem większym, niż ktokolwiek myśli. Opowieści o wychodzących z bułek robalach, których nazw nie sposób powtórzyć, wydają się czarną plagą Donaldowo-kaczorowego biznesu. „Swoją drogą, czy Kaczor od Mickiego jadał takie świństwa?” – zastanawiałam się chwilę, patrząc ze zdziwieniem, jak dzieciaki zajadają się masą dziwnych, sztucznie pompowanych bułeczek. Po jakiejś półgodzinie opchane milionem kalorii i toną cukru i wyposażone w masę tandetnych chińskich zabawek dzieciaki władowały się w końcu do autokaru i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie chcąc wyjść na niedokształconą, wcześniej sprawdziłam w Wikipedii kilka podstawowych informacji na temat Torunia, odnajdując przy okazji ciekawy toruński portal – Dzień Dobry Toruń, który dostarczył mi kompletnej wiedzy na temat miasta, począwszy od jego historii, a skończywszy na remontach drogowych. „Ten Toruń to nawet nie jest taki zły” – stwierdziłam po obejrzeniu galerii.

Zatrzymaliśmy się na dużym, prawie pełnym parkingu pod mostem. Jak widać, nie tylko my przyjechaliśmy odwiedzić tego, co się słońcem poparzył,



próbując je wstrzymać w ruchu. „Może chciał być jak policjant w Święto Zmarłych?” – pomyślałam, przypominając sobie kierujących ruchem stróżów prawa, którzy w ten jeden dzień wyrabiali chyba swoją roczną normę pracy, by móc się potem objąć.

Podekscytowane dzieciaki wręcz nie mogły doczekać się zwiedzania miasta i atrakcji, jakie zostały dla nich przygotowane. Idąc Bulwarem Filadelfijskim, może nie czułam się jak w jednym z amerykańskich miast, gdzie pełno drapaczy chmur, ale było mi przyjemnie, cieszyłam się wyczuwalną w powietrzu magią tego miejsca.

Krzywa Wieża była pierwszym przystankiem w naszej wyprawie do grodu Kopernika. Wychowawca, przygotowany z historii zabytków miasta, opowiadał o przyczynach zapadnięcia się jednej ze stron budowli. Dzieciaki najbardziej zainteresowała jednak legenda o sprawdzeniu niewinności poprzez próby ustania z wyciągniętymi rękoma przy wieży. Każde z nich chciało się wykazać.

– Zosia, chodź do nas! – wołali.

Niepewna swojej niewinności, wołałam nie próbować walki z wieżą. Niby skrzywiona, a mogła wyjść zwycięsko z tej walki. Przecież miałam na swoim koncie kilka niewinnych grzeszków w przeszłości. Nawet nie tak odległej przeszłości.

– Boi się! – krzyknął Marcel, wiedząc już, jak należy mnie zachęcić czy wręcz zmusić do działania.

Podeszłam pewnie do wieży, próbując przy niej ustać, tak jak kazał wychowawca. Nigdy nie byłam mistrzem w sferze równowagi, ale dziś ewidentnie przesadziłam, chwiejąc się jak chorągiew podczas huraganu.

– To się nazywa grzesznik – zaśmiał się Marcel.

– Nie większy niż ty – burknęłam.

Podniósł rzuconą przeze mnie rękawicę i dumnie ruszył w kierunku wieży. Oparł się wygodnie, wyciągnął ręce i... i ani drgnął. Jakby przykleił się do ściany. „Wygrał” – przyznałam z niechęcią, jednak głośne wypowiedzenie tej kwestii wróżyłoby kłopoty.

Zmagania niewinnych przy Krzywej Wieży dobiegły końca, mogliśmy ruszyć dalej. Wychowawca spojrział na zegarek, po czym, pospieszając co rusz, kierował nas w stronę ruchliwego deptaku.

– Mamy za pięć minut być w Domu Legend Toruńskich. – Machał intensywnie ręką, abyśmy przyspieszyli kroku.

Delektowanie się wąskimi toruńskimi uliczkami musiało poczekać.

Wychowawca najwyraźniej nie doceniał ich uroku. Polacy skłonni są jeździć do Pragi czy Wenecji, nie wiedząc, że w ojczyźnie mogą znaleźć podobne. Wąskie, klimatyczne kamienice aż prosiły się o renowację.

Dom Legend okazał się niczym innym jak ciemnym piwnicznym pomieszczeniem z licznymi atrakcjami. Budowanie wieży czy zamykanie w lochach spodobało się dzieciakom. Nie bez przyczyny Marcel zgłosił mnie na ochotnika do wejścia do lochu, prosząc ukradkiem przewodnika o zgubienie klucza.

– Aż taka zła? – zapytał przewodnik. – Wygląda na ładną.

„Wygląda na ładną” – aż powtórzyłam to stwierdzenie w swoich myślach, rozkładając potem na czynniki pierwsze każde słowo. Co w tym dziwnego, że wygląda się na ładną, skoro po prostu jest się ładnym? Nie rozumiałam.

Zamknięta w lochu, obmyślałam plan zemsty. Ten, który miał mi pomagać, wcale nie robił tego w delikatny sposób. Owszem, był po mojej stronie, wierząc, że dotrzymam słowa z Gran Canaria, ale nie omieszkał dodawać w swym wsparciu uszczypliwości, która zarówno mnie denerwowała, jak i fascynowała. Był odważny, byłam tego pewna. Nie znałam jego historii, ale wyobrażałam sobie, że życie dało mu popalić.

Zabawy z lochami, układaniem wieży i innymi toruńskimi niespodziankami dobiegły końca. Kolejny punkt zwiedzania – Muzeum Piernika. „Aż dziw, że pierniki mają swoje muzea” – zaśmiałam się lekko w myślach.

– Cukielki, cukielki. – Na głównej ulicy słyhać było jedynie głos Dzesiki.

– Wow, chodźmy tutaj – ekscytował się niewiele starszy chłopiec.

Spojrzałam w stronę kolorowej witryny, od której nie można było oderwać wzroku. Wszystko, co tam się znajdowało, było takie kolorowe, słodkie na odległość. „Manufaktura Słodyczy” – głosił napis nad różowymi drzwiami. Lizaki w przeróżnych kształtach, wata cukrowa, cukierki w pudełkach – wszystko to wyglądało smakowicie.

– Ile mamy czasu? – zapytałam wychowawcę.

– Prawie godzinę, ale tu jest drogo, jak dla tylu dzieciaków – odpowiedział smutno.

Postanowiłam się nie poddawać. Ruszyłam w kierunku drzwi, po czym pchnęłam je z całej siły.

– Dzień dobry. – Pani za ladą uśmiechała się zapewne do każdego, kto przeszedł magiczny próg przesłodzonego sklepu.

– Witam, witam. – Próbowałam się uśmiechnąć równie promiennie jak

ona. – Jestem tutaj na wycieczce z dziećmi z domu dziecka z Warszawy. Idziemy sobie, a tu takie kolorowe słodycze na nas patrzą, więc postanowiliśmy do pani zajrzeć.

– Zapraszam.

– Nie rozumie mnie pani... Te dzieciaki nie mają pieniędzy na to, co pani tutaj oferuje. Cały fundusz wycieczkowy został już rozdzielony i nie mamy nic więcej – tłumaczyłam.

Dziewczyna spojrzała na mnie dziwnie, dopiero teraz zauważyłam, że żuje gumę, dość głośno mlaskając.

– Zatem niech pani zapłaci – rzuciła, mierząc mnie wzrokiem. – Pani torebka na pewno kosztuje więcej niż pokaz i słodycze do niego.

Odrzuciłam, zdenerwowana, włosy przez ramię.

– Moja torebka to jedyny egzemplarz z najnowszej kolekcji znanego projektanta z Chin – mówiłam dumnie. – Jedyny egzemplarz – powtórzyłam.

– Zatem co to dla pani te czterysta pięćdziesiąt złotych za pokaz dla takich słodkich stworzeń, jak te za oknem?

– Ile? – zdziwiłam się. – Czterysta pięćdziesiąt, ale każdy dostaje też wate cukrową, i to dużą.

Dziewczyna za ladą uśmiechnęła się słodko. „Wygrałam” – pomyślałam triumfalnie.

– Sześćset złotych za pokaz, cukierki i wate dla każdego – negocjowała.

Machałam głową, nie wierząc, że ta niewdzięcznica chce na mnie żerować. Na mnie!

– Niech będzie, ale oni mają myśleć, że dostają tutaj wszystko dlatego, że są wyjątkowi – zażądałam.

Dziewczyna w różowym fartuchu nie miała nic przeciw temu. Podła mi numer konta, na który miałam wysłać pieniądze, i zaprosiła dzieciaki do środka. Pokaz tworzenia cukierków i lizaków wydawał się idealnym zajęciem dla zabicia czasu. Promienne twarze dzieci i błysk w ich oczach były warte każdej wydanej złotówki, a i dziewczyna za ladą dała się poznać jako miła osoba. Potrafiła dogadać się z dziećmi, zachęcała ich do wspólnego tworzenia słodyczy i chwaliła za wszystko, co zrobili.

Muzeum Piernika okazało się ciekawszym miejscem, niż wydawało się po samej nazwie. Wszyscy mogliśmy uczestniczyć w procesie pieczenia prawdziwych toruńskich pierników, które później dostaliśmy w pięknych pakunkach.

– To teraz obiad – wesoło zakomunikował wychowawca, kiedy wyszliśmy

na zewnątrz.

Z ust dzieciaków wydobyło się radosne „jupi”. Zwartą grupą ruszyliśmy w kierunku restauracji, w której mieliśmy zarezerwowany posiłek.

– Leo, skąd tak dobrze znasz to miasto? – zapytałam wychowawcę.

Mężczyzna zaśmiał się szczerze.

– Tymek. – Podał mi rękę. – Dzieciaki mówią na mnie Leo, bo zawsze, kiedy oglądamy mecze, kibicuję Messiemu.

– To ten niemiecki Polak?

– Ani nie niemiecki, ani tym bardziej Polak. – Ponownie się zaśmiał. – Studiowałem tutaj pięć lat i szczerze tęsknię za tym miastem. Ma swój klimat i ludzie tutaj są inni niż w stolicy.

Klimat? Klimat prowincji, można by rzec. Jak można porównywać dwustutysięczne miasto z Warszawą, i to na plus dla mniejszości. Ja rozumiem te całe mniejszości narodowe i poparcie dla nich, ale żeby zaraz były one lepsze od Warszawy, to się wręcz w głowie nie mieści.

– To czemu wyjechałeś do stolicy?

Tymek nie zdążył odpowiedzieć. Wskazał nam drewniane drzwi, nad którymi widniał napis „Metropolis”. Weszliśmy do restauracji, która zdecydowanie różniła się od gotyckich kamienic, jakie mijaliśmy po drodze. Wystrój tutaj był nowoczesny, wręcz zachwycający. Dzieciaki zajęły miejsca przy stolikach, my z Tymkiem usiedliśmy w rogu, aby mieć na nich oko. Radosne kelnerki zaczęły roznosić pizzę.

– Moja dziewczyna chciała robić karierę, a Toruń wydał jej się za mały – powiedział Tymek, kiedy już nałożył sobie kawałek pizzy z kurczakiem, ananasem i rodzynkami.

– Powinieneś być szczęśliwy. Przecież rozwój osobisty jest ważny – przyznałam.

Tymek przełknął głośno kawałek pizzy.

– Już nie jesteśmy razem. Zerwała ze mną, kiedy dostałem pierwszą wypłatę. – Spuścił wzrok. – Stwierdziła, że ja też powinienem być ambitny i chcieć więcej, a mi dobrze z dziećmi.

– Mój chłopak też zarabia mniej niż ja – próbowałam go pocieszyć.

– Przecież ty nie pracujesz.

Niby słuszna uwaga, ale trochę mnie zabolęła.

– Ale dostaję kieszonkowe od tatusia. – Przeczesałam włosy palcami. – Marne pięć tysięcy, ale zawsze coś.

Tymek zaczął kaszleć, najwyraźniej się zakrztusił. Przypomniałam sobie

sceny z filmów, w których przydarzały się podobne sytuacje. Wstałam, podeszłam do niego i z całej siły uderzyłam go w plecy. Raz, drugi i trzeci, żeby na pewno zadziało.

– Pięć tysięcy to ja w dwa miesiące zarabiam. – Nie dowierzał. – I to brutto.

Ekspertem z matematyki nigdy nie byłam, ale pięć podzielić na dwa potrafiłam bez problemu. Całe to brutto nie miało znaczenia. Połowa mojego kieszonkowego to stanowczo za mało, żeby przeżyć z zakupami, a gdzie wynajem mieszkania, rachunki czy jedzenie.

– Za co dostałaś karę? – zapytał, kiedy już kończyliśmy jeść. – No, tę, że musisz do nas przychodzić...

Zdziwiłam się. Byłam pewna, że Baśka rozgadała wszystkim o moim małym incydencie w przedszkolu, podejrzewałam nawet, że wynajęła billboardy, aby na pewno wszyscy wiedzieli, jaka jestem straszna.

– Rzuciłam się na dzieciaka w przedszkolu, który nazwał mnie głupią.

Tymek ryknął śmiechem.

– Dżes, chodź do nas – zawołał dziewczynkę.

Dżesika niechętnie odeszła od stolika, by podejść do nas.

– Nie jedz już więcej – powiedział do niej Tymek.

– Jesteś gupi! – krzyknęła, odwracając się na pięcie.

Mały eksperyment, a mnie wystarczyło, abym zrozumiała, że dzieci już takie są. „Gupują na okrągło, kiedy im coś nie pasuje” – stwierdziłam w myślach.

Wycieczka okazała się lepsza, niż przypuszczałam. Jechałam na nią z niechęcią, modląc się, aby dzień jak najszybciej się skończył, a tu taka niespodzianka.

*Piąte i szóste 5 godzin*

*Liczba dobrych uczynków: na pewno 1, w słodczarni*

*Liczba osób, które chciałam zabić: biedny Marcel, znów on!*

*Dziwnych sytuacji: jak można tak mało zarabiać i być szczęśliwym z tego, co się robi?*

*Lekcja na dziś: Dzieciaki bezmyślnie gupują, a my potem cierpimy.*

## 25 marca 2016 roku

Świat dookoła przeżywa, że wreszcie zapanowała wiosna, zapominając o tym, że mróz panujący na dworze wcale na to nie wskazuje. Ale kalendarz mówi inaczej! Ludzie wyszukują tych wszystkich krokusów i innych przebiśnieżnych kwiatów, mając nadzieję, że dzień po ich pojawieniu się i wiosna zapuka do naszych drzwi. „Naiwniacy” – mówiłam w myślach, widząc w parku tłumy ludzi z aparatami, wpatrujących się w ledwie zieloną trawę.

– Zosia, zaczekaj! – Usłyszałam za sobą znajomy głos, którego w pierwszej chwili nie potrafiłam dopasować do osoby.

Odwróciłam się, próbując odnaleźć twarz osoby, która mnie woła. Marshall. „No tak, kontakt się urwał, bo były inne priorytety” – pomyślałam szybko, zanim zdążył rzucić mi się na szyję, gorąco obcałowując moje policzki.

– Nie sądziłam, że tu cię spotkam – zauważyłam, nie wiedząc co innego miałabym powiedzieć.

– Ty moja seksowna landryneczko – mówił, dotykając moich pośladków. – Dlaczego nie pojechałaś z nami? Było niezmiernie. Nagrywaliśmy porno group, to taki nowy rodzaj filmów dla dorosłych, gdzie zamiast parki czy trójkąta ma się do czynienia z całą chmarą ludzi.

– Super – powiedziałam bez przekonania.

Marshall zdawał się nie zauważać mojego oschłego tonu i z przejęciem mówił dalej:

– Tutaj niedaleko kręcimy nowy film, jak chcesz, możesz do nas dołączyć, bo ta mała cizia to za nic się nie zna. Próbuje udawać, stęka, ale jakoś tak sztucznie. Ty byłaś taka naturalna w tej roli, widać było, że ci się podoba, a ona nie czerpie z tego żadnej przyjemności.

– Wiesz, Marshall, muszę już iść, jestem umówiona – pożegnałam się czym prędzej, zanim mógłby zobaczyć nas Sebastian.

Marshall wyczałował mnie równie gorąco, jak chwilę wcześniej, witając się ze mną. „Jak dobrze, że Sebastian nas nie zobaczył” – cieszyłam się w duchu, bojąc się jego pytań. No cóż, Marshall był specyficzny. Już z daleka było widać, czym się zajmuje. Chętnie eksponował swoje atuty... szczególnie poprzez przyciasne spodnie. Marshall lubił to, co robił, i dla niego był to powód do dumy. „Dla mnie kiedyś też” – pomyślałam smutno, przypominając sobie swoje beztróskie życie, zanim poznałam Sebastiana.

Czy mi tego brakowało? Jeśli chodzi o całokształt, to nie, jeśli o sam seks, to owszem.

– Zgadnij kto to? – zapytał, zasłaniając mi dłońmi oczy.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, złożył na mych ustach pocałunek. Niby zwykły, ale już po nim mogłam spodziewać się, że coś się wydarzyło.

– Co się stało? – zapytałam, kiedy tylko się ode mnie odkleił.

– Zabieram cię do hotelu na kolację i małe co nieco – mówił, uradowany. –

Wiem, że ostatnio ciągle ktoś lub coś nam przeszkadzało i że cię trochę zaniedbałem w tych sprawach, ale obiecuję poprawę i przyjmę każdą karę, jaką mi wymierzysz.

– Trochę? To zdecydowanie za mało powiedziane. – Zaśmiałam się lekko.

– Przede wszystkim musisz mi obiecać, że w hotelu nie ma komputera.

Sebastian pociągnął mnie za rękę, prowadząc do wyjścia z parku. Hotel znajdował się nieopodal, doszliśmy do niego w kilka minut. Sebastian powiedział coś miłej pani w recepcji, po czym ta podała mu klucze, nie omieszkując zmierzyć mnie wzrokiem. „Niech myśli, co chce” – powtarzałam sobie radośnie, czując, że dziś moje marzenie się spełni.

– Może zrezygnujemy z kolacji? – zaproponowałam kusząco. – Nie jestem głodna.

Sebastian skinął głową. „Może on też marzył o tym od dawna, lecz sytuacja nam nie sprzyjała?” – pomyślałam, patrząc na błysk w jego oczach.

Już od progu poniosła nas żądza. Całowaliśmy się, jednocześnie zdejmując z siebie poszczególne części garderoby. Nie wyglądaliśmy na pewno jak zakochani w tych wszystkich komediach romantycznych, wyglądaliśmy raczej komicznie, wciąż płacząc się w nogawki czy inne fragmenty odzieży. „Udało się” – ucieszyłam się, kiedy w końcu oboje byliśmy nago. On niczym dżentelmen zaniósł mnie i położył na łóżko, dając chwilę na wygodne ulokowanie się. Skinieniem palca zaprosił go bliżej. Wszedł we mnie delikatnie, poruszając się powoli. Nabierał tempa, przyspieszał i już zbliżał się do osiągnięcia prędkości niczym z autostrady, kiedy... opadł obok mnie. Szczęśliwy, spełniony.

– Już? – zdziwiłam się.

Czułam się oszukana. Liczyłam na seks z dziką bestią, a obok mnie leżał... pluszowy miś, z którego już nie będzie pociechy. Tyle czekania, tyle myśli w głowie i wszystko tylko po to, by trwać tak krótko. Krótko, wręcz ty-ci-tyci lub jeszcze mniej.

– Było cudownie. – Pocałował mnie w ramię.

– Przecież... przecież... – Próbowałam znaleźć odpowiednią myśl w mojej głowie. – ...to nie trwało nawet minuty, no, może półtorej.

Sebastian leżał obok mnie, błogo wpatrując się w sufit hotelowego pokoju.

– Ale było cudownie, to jest najważniejsze. – Spróbował mnie przytulić.

– Nawet nastolatki potrafią dłużej... – denerwowałam się. – Czekałam dwa miesiące na sześćdziesiąt sekund czegoś, co nawet trudno nazwać uniesieniem, to nawet trudno seksem nazwać.

Sebastian podniósł się gwałtownie.

– Chcesz mi powiedzieć, że sypiasz z nastolatkami?

– Nie, ja nie... – zaprzeczyłam, lecz jego wzrok mówił mi, że Sebastian nie uwierzył. – Po prostu w programach tak mówią. Na przykład u tej, no, u Drzazgi.

– U Drzyzgi – poprawił mnie.

– Nawet prostytutki nie opłacałoby ci się wynająć – zakpiłam. – U nich się płaci za godzinę, a ty byś jej góra na pięć minut potrzebował, i to z grą wstępną włącznie.

Spuściłam głowę, było mi wstyd, że znów szybciej mówię, niż myślę. Nie chciałam go urazić.

– Musisz dać mi czas, żebym doszedł do siebie – przekonywał. – Dawno tego nie robiłem.

Skinęłam głowę, ukradkiem zerkając na jego członek. Wyraźnie budził się do życia, co napawało mnie nadzieją. „Będziemy krócej, a częściej” – postanowiłam, siadając okrakiem na Sebastianie. Dwa miesiące czekania nie mogły odejść w zapomnienie, ot tak. Musiałam je nadrobić, chociażby w kilku minutówkach. „Przecież Jolka mówiła nieraz, że Choda każe robić kilka treningów kilkuminutowych” – przypomniałam sobie słowa przyjaciółki. Tak doświadczona trenerka musiała wiedzieć, co mówi.

Skończyłam myśleć, aby na chwilę znów oddać się rozkoszy. Sformułowanie „chwila” miało tu zasadnicze znaczenie. Ujeżdżałam go, jak najlepszego konia w stajni, kiedy do moich uszu dobiegł błogi odgłos rozkoszy, po którym bestia znów zasnęła. „I pomyśleć, że śmiałam się z bajki o Kopciuszku, a teraz sama mam raz dynię, raz karete” – pomyślałam, wpatrując się w uradowanego Sebastiana.

Powtórzyliśmy bajkę kilkakrotnie, za każdym razem kończąc ją szybciej, niż się w sumie zaczęła. W moim Kopciuszku wróżka ledwie zdążyła zamienić dynię w karete, a za moment czar prysł. Moja kareta nie zdążyła odjechać na bal, a co dopiero z niego powrócić. A gdzie tam do północy...



– W niedzielę mam przyjść do was na obiad – powiedział Sebastian, kiedy już się ubieraliśmy.

„Rodzinny obiadek” – pomyślałam z niesmakiem, bojąc się, co tym razem wymyśli moja przyszła macocha. Jej zaproszenie nie mogło być formą grzeczności, coś musiało się za tym kryć, a ja miałam jedynie dwa dni, aby dowiedzieć się co.

– Mówiła po co? – zapytałam, mając jeszcze ciut wiary w dobroć Baški.

– Mówiła, że to niespodzianka. – Uśmiechnął się. – A ja się już nie mogę doczekać, jestem taki podekscytowany.

– Obyś dłużej wytrzymał w tym stanie niż dziś – szepnęłam sama do siebie.

– Coś mówiłaś?

– Że cię kocham, głuptasie mój. – Rzuciłam się mu na szyję.

Najwyraźniej to wystarczyło, aby nie pytał więcej, a przy okazji urósł w swojej dość małej męskości. „Z seksem sobie poradzimy” – pomyślałam, dodając jednocześnie w myślach, że z Bašką może być trudniej.

Niczym dwoje spełnionych i zakochanych w sobie ludzi, opuściliśmy hotel. Recepcjonistka, wciąż bacznie się mi przyglądając, mamrotała coś pod nosem. Jednak ja miałam większe problemy. Mój problem miał sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ważył pięćdziesiąt osiem kilogramów i miał na imię Baška.

## 7×5

Siódmy z dziesięciu pięciogodzinnych maratonów czas zacząć. Znany budynek nawet po kilkudziesięciu godzinach spędzonych w jego wnętrzach nie wydawał się bardziej przyjazny niż pierwszego dnia. Co prawda, dzieciaki nie były tak straszne, jak te w Zuzkowym przedszkolu, ale do roli profesjonalnej opiekunki stanowczo mi daleko. Mój instynkt macierzyński był uśpiony. Snem tak głębokim, że jedynie płukanie żołądka mogłoby usunąć tabletki nasenne z mojego organizmu.

– O, dobrze, że pani jest. – Już od progu zaczęła mnie pani yrektor.

– Miałam być, to jestem – burknęłam. – Zostało mi jeszcze dwadzieścia godzin, licząc z dzisiejszą wizytą.

Kobieta spojrzała na mnie niepewnie.

– Wiem, ile jeszcze będzie tu pani przychodzić. – Jej głos nie był tak wesoły, jak chwilę wcześniej. – Mam dla pani misję specjalną na dziś. I to w trybie PILNE!

– Czekam z niecierpliwością. Co dziś? Mycie garów, gotowanie, a nie, gotowanie już było, więc może...? – zastanawiałam się.

– Pojedzie pani z Dżesiką do dentysty – przerwała mi.

– Przecież ona nie ma...

– Zębów – dokończyła za mnie. – I właśnie dlatego pojedziecie do dentysty. Dżesika panią lubi, więc nie powinno być źle. Tymek miał z nią jechać, ale cóż... problemy żołądkowe. Zadzwoił i polecił, aby panią posłać z tą misją.

– Ale...

– Nie uważam, żeby to był dobry pomysł, ale w sumie jest jedno pocieszenie... – Uśmiechnęła się.

– Jakie?

– Dżesi zębów nie straci – dokończyła swoją myśl. – Jest w swoim pokoju, tu jest adres i bilety do metra. – Podała mi kartkę i kilka kartonowych biletów ZTM.

– A nie możemy jechać...?

– Nie wszystkich stać na taksówki, panno Majer. – Przerwała mi, jakby czytała w moich myślach.

Ze spuszczoną głową, poszłam do pokoju dziewczynki. Bałam się

dentysty, a teraz miałam zachęcić małe dziecko do pójścia do gabinetu strachu. Prawdziwego gabinetu strachu. Te, które dostępne są w wesołych miasteczkach, są niczym w porównaniu z gabinetem dentysty. Ohydny zapach, dźwięk wiertła i ta nieprzyjemna twarz dentysty, kiedy nachyla się nad nami. My, bezbronni, z wacikami w ustach, jesteśmy zdani na łaskę prawdziwego potwora. Bo kto wie, czy on nie jest psychopatą? Już samo jego zainteresowanie zębami jest podejrzane. Normalni ludzie interesują się modą, muzyką, filmem, no, nawet książkami, ale zębami... kto to widział.

Dżesika wydawała się nie wiedzieć, że jej życie jest zagrożone. Była radosna, wręcz fruwała po pokoju, jak lekki motylek na dworze.

– Gotowa? – zapytałam.

– Zosia, Zosia... – cieszyła się. – Idziesz ze mną do detynsy.

– Dentysty, kochanie – poprawiłam ją, lecz ona zdawała się tym nie przejmować.

Wyszliśmy z budynku domu dziecka, kierując się w stronę metra. „To tylko trzy przystanki” – pocieszałam się w myślach, trzymając mocno dłoń dziewczynki.

Tłum w metrze był zapewne czymś zwyczajnym dla ludzi, którzy na co dzień się nim poruszają. Mnie on jednak przerażał. Przypomniałam sobie, jak zakończyła się moja opieka nad diablicą, kiedy byłyśmy same w domu, a co dopiero upilnować dziecko, kiedy wkoło są setki, a może i tysiące ludzi. Nigdy nie lubiłam tłumów. Tych w miejscach publicznych innych niż kluby czy koncerty. Musiałam mieć ludzofobię, choć nie do końca rozwiniętą.

Podziemny tramwaj (czy pociąg, jak kto woli) podjechał. Posadziłam Dżesikę na jednym z wolnych siedzisk, sama zajmując miejsce stojące. Zajęci czytaniem, rozmowami przez telefon czy słuchaniem muzyki pasażerowie zdawali się nie kontrolować mijanych przystanków.

Maszyna pędziła. Pozostały jeszcze dwie stacje, kiedy moja komórka zaczęła wesoło wygrywać melodię.

– Tak? – Odebrałam.

– Cześć, kochanie, co robisz? – Wesoły głos Sebastiana natychmiast poprawił mi humor.

– Jadę metrem do dentysty – wyjaśniłam.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Boli cię ząb? Nic nie mówiłaś. Moja bestia mogłaby cię uleczyć.

– Nie mnie boli, tylko Dżesi – wyjaśniłam. – A twoja bestia niech się lepiej mną zajmuje w innych partiach mojego ciała.

„Cholera” – pomyślałam, żałując swoich słów. Ludzie w metrze nie byli chyba odpowiednim towarzystwem do takich rozmów, nawet jeśli wydawali się nie zauważać mojej obecności. Szybko pożegnałam się z Sebastianem, obiecując, że zadzwonię po wizycie.

Miła pani oznajmiła nazwę naszego przystanku. Ponownie złapałam dziewczynkę za rękę i ruszyłam ku ruchomym schodom.

– Zosiu, a o jakiej bestii mówiłaś w metse? – zapytała Dżesika, kiedy już wyszliśmy z podziemi.

„A jednak, ktoś mnie słuchał” – stwierdziłam, zawstydzona.

– Wiesz, bo ja bardzo lubię Kopciuszka i mój chłopak też go lubi... – zaczęłam, jeszcze nie wiedząc, jak zakończy się ta opowieść.

– Ja też lubię te małe myszki, co pomagają Kopciuskowi – ucieszyła się. – Tylko, że tam bestii nie było, pomyliłaś bajki. – Dziewczynka zrobiła smutną minę.

– Dziś jej nie zauważasz, ale jak będziesz w moim wieku, to znajdziesz bestię w tej bajce. – Puściłam do niej oczko.

Niby niewiele, lecz wystarczyło. Dżesika przestała drażnić temat „bestii z metra”, wesoło podskakując w drodze do gabinetu dentysty.

„Jarosław Ząbek” – przeczytałam na tabliczce przed wejściem. „Fanatyk zębów z zębowym nazwiskiem” – pomyślałam, popychając drewniane drzwi. Poczekałnia była pusta. Widocznie dom dziecka inaczej wybierał dentystów niż ja. Ja zawsze wybierałam tych z kolejką, żeby można było przepuścić innych, tłumacząc się ważną rozmową telefoniczną, lub po prostu zwiąć, niezauważalnie.

Pani w rejestracji spytała o nazwisko, po czym oznajmiła, że lekarz już na nas czeka. „Zapraszamy do jaskini strachu” – zakpiłam w myślach, wchodząc z Dżesi do gabinetu.

– O, jakie piękne dziewczyny, zapraszam, zapraszam. – Niski, grubawy mężczyzna przywoływał nas, machając ręką. – Co was tutaj sprowadza?

– Dżesika nie ma zębów – powiedziałam.

– Nie tylko ona. – Uśmiechnął się, ukazując braki w swoim uzębieniu.

– Pan Ząbek bez zębów. – Dziewczynka podskakiwała radośnie.

„Już rozumiem, czemu takie pustki w poczekalni” – pomyślałam, tłumacząc sobie przy okazji, że szczerbaty dentysta nie zachęca do dbania o uzębienie.

– Nikt mi nie dał znaczka dzielnego pacjenta. – Udawał smutek.

– Ale ja będę dzielna. – Dziewczynka ochoczo zajęła miejsce na fotelu

dentystycznym.

Doktor Ząbek wyjmował z białych szuflad potrzebne mu sprzęty. Nalał do kubeczka po lewej stronie świeżej wody, po czym usiadł przy Dżesi i włożył jej waciki do ust. Gestem wskazał fotel z drugiej strony, na którym miałam zasiąść ja, aby podtrzymywać dziewczynkę na duchu.

Lampa oślepiła światłem, doktor sięgnął po lustro, delikatnie pukając czymś metalowym w dziąsła dziewczynki. Kilka razy podrapał się po głowie, intensywnie nad czymś się zastanawiając. Dżesi wydawała się wniebowzięta. Była zbyt mała, aby pojąć uczucie strachu, jakie powinno jej towarzyszyć. dzielnie trzymałam ją za rękę, ściskając co chwilę. Chciałam, aby czuła się bezpiecznie. A może tu bardziej o moje bezpieczeństwo chodziło?

Dentysta sięgnął po wiertło. Zbliżał je do ust dziewczynki powoli, jakby chcąc stworzyć nastrój grozy, niczym w horrorach, jakie oglądałam za młodu.

– Auaaa! – Zamknęłam oczy i zaczęłam głośno krzyczeć, jeszcze zanim wiertło znalazło się w ustach dziewczynki.

– Zochiu, to nic ne boi – pocieszała mnie mała, z ustami pełnymi wacików.

Doktor Ząbek (bez własnych zębów) spojrział na mnie porozumiewawczo, czekając, czy jestem gotowa na ponowne włączenie wiertła. Skinęłam głową, mocniej zaciskając dłoń. Wiertło kręciło się szybko, zbliżając się ponownie do małych usteczek. Dżesika się nie bała.

– Auaaa! – krzyknęłam ponownie, słysząc dźwięk rozwiercanego szkliwa.

Sięgnęłam po leżący obok kubeczek z wodą, wypijając jednym haustem jego zawartość.

– To da mie – oburzyła się Dżesi.

Dentysta sięgnął po nowy kubeczek i nalał do niego wodę. Podał dziewczynce, po czym poprosił o wyplucie wacików. Dżesika wykonała posłusznie polecenie, mierząc mnie wrogim wzrokiem. Najwyraźniej bała się, że przez moje zachowanie nie dostanie naklejki, po którą tu przyszła. Bezzębny doktor dał małej nalepkę, prosząc, aby poczekała na mnie chwilę przed gabinetem.

– Jak będzie jej pan wielcił, to ja mogę potzymać ją za lękę i nie będę kzyceć, jak ona – oznajmiła z dumą w głosie, wychodząc z gabinetu.

Lekarz zaśmiał się szczerze, gładząc się przy tym po brzuchu. Zostaliśmy sami. Ja i psychopatyczny, bezzębny dentysta. „Czego on ode mnie chce?” – zastanawiałam się, w myślach tworząc scenariusz ucieczki.

– Niech się pani nie boi. – Bez dwóch zdań zauważył w moich oczach

strach. – Leczenie zębów małej będzie dość poważne. Trzeba będzie pod narkozą wyrwać jej zęby, które są pod dziąsłami, ale nie mogą się przebić, bo są jedne na drugich. A żeby wyrosły zęby stałe, to muszą wpierw wypaść mleczaki, które tutaj nie chcą się przebić. Zabieg nie będzie bolał, narkoza, znieczulenie, a potem ciach...

Nie pamiętam, co mówił dalej. Pamiętam pochyloną nade mną panią z rejestracji, nakładającą na moją głowę zimny okład. Doktor Ząbek stał za mną, podtrzymując mnie na swoich ramionach, a Dżesi... wydawała się w końcu przerażona wizytą u dentysty.

– Witam wśród nas – uśmiechnął się Ząbek.

– Zosiu, Zosiu, zemdląłeś – panikowała Dżesika.

– To był chwilowy sen, aby nabrała mocy na drogę powrotną – wytłumaczył małej Ząbek, puszczając przy tym do mnie oczko.

Wizyta u dentysty zakończona istną katastrofą. Nie dało się uciec, zatem organizm sam wybrał drogę ewakuacyjną, jaką było omdlenie. Myśl o tych wszystkich narkozach, znieczuleniach i wyrywaniu wciąż była dla mnie przerażająca, jednak dumna Dżesi z naklejką dzielnego pacjenta na piersi wydawała się niczego nieświadoma. Pilna misja od yrektorki, okazała się grobową misją. „Jeszcze kilka słów o planowanym zabiegu, a na pewno nie odzyskałabym przytomności” – tłumaczyłam sobie w myślach.

*Siódme 5 godzin*

*Liczba wpadek: 1, bestiowa w metrze*

*Liczba upadków: 1, trochę bolesny*

*Liczba naklejek: moich zero, przez duże Z*

*Planowane wizyty u dentysty: w najbliższej przyszłości planuję omijać przychodnie, gdzie jest gabinet stomatologiczny.*

*Rada na dziś: zmienić ginekologa (teraźniejszy sąsiaduje z dentystą)*

*Lekcja na dziś: Bezzębny dentysta jest jeszcze bardziej przerażający niż ten z zębami.*

## 27 marca 2016 roku

Rodzinny niedzielny obiad. Baśka od rana podśpiewywała, krzątając się radośnie między kuchenką, lodówką a zlewozmywakiem. Już sam jej zapach zwiastował zagrożenie, ale dawałam jej czas, aby naładowała swoją broń. Nie chciałam walczyć z marnym żołnierzykiem. Szykowała się ostra wojna.

Zapach rosółu ogarnął cały dom. Otulił go, niczym najcieplejszy koc, powodując w sercu przyjazne uczucie rozpalanego domowego ogniska. Ziemniaki bulgotały w wodzie, schabowe smażyły się na złocisty kolor, a stojąca obok mizeria jakby prosiła się o nałożenie na talerz.

Stół nakryty dość zwyczajnie, wręcz prowincjonalnie, bez zbędnych świecidełek. Tylko talerze, sztucce i kremowe serwety z Ikei.

Sebastian przyszedł punktualnie. Ubrany zbyt elegancko jak na zwykły niedzielny obiad. Garnitur musiał go wręcz uwierać, kiedy patrzył na mojego ojca, wesoło przechadzającego się w dżinsach i polówce. Dla niego garnitur był strojem roboczym, strój odświętny to zestaw, jaki ma właśnie na sobie.

– Zapraszamy do stołu. – Baśka uśmiechnęła się, zbyt szeroko. – Zuza, obiad! – zawołała potwora na dół.

– Luszam, będę za trzy, dwa... – słyhać jej głos i tupot małych stóp, uderzających o schody.

Zasiedliśmy w piątkę do stołu. Baśka nalewała pachnący rosół, pytając, czy nałożyć także marchewkę. Pochylała się nad nami niczym prawdziwa gospodyni. Aż dziw, że na co dzień specjalizowała się tylko w naleśnikach.

Milczenie – to szósta osoba towarzysząca nam przy stole.

– Po co ten śmieszny obiad? – zdecydowałam się zapytać, nabierając starannie ostatnią łyżkę rosółu.

– Chcieliśmy, aby było rodzinie. – Tata zerknął na mnie bacznie. – Przecież dziś Wielkanoc.

„Cholera, zapomniałam” – skarciłam się w myślach, zaczynając powoli wierzyć, że obiad nie zwiastuje katastrofy.

Baśka wstała od stołu, aby zebrać brudne talerze. „Czas na drugie danie, a potem pewnie deser” – myślałam z kpiną, czując, że nic w życiu nie dzieje się przypadkowo i, co najważniejsze, bez powodu. Złe myśli wróciły wraz z drugim daniem. Tajemniczy uśmiech Baśki krył za sobą intrygę. „Znam ją!” – usprawiedliwiałam się przed samą sobą, tłumacząc tę podejrzliwość.

– Panie Sebastianie... – zaczęła Baśka, kiedy ten zaczął kroić schabowego.

– Wystarczy „Sebastian”. – Uśmiechnął się, prezentując panierkę

zalegającą na zębach.

„No to teraz się zacznij” – pomyślałam, przerywając z zaciekawienia jedzenie.

– Mam dla pana... znaczy się ciebie dobre wieści. – Usiadła prosto, odkładając przy tym sztućce. – Wiem, że to nie miejsce i pora, ale chciałam, żeby było tak rodzinnie, prawda, Maksiu?

Poklepała tatę po udzie, a on skinął lekko głową.

– Wyznaczyliśmy już dzień premiery twojej książki...

– Naprawdę? – przerwał jej.

– Tak, książka osiemnastego maja ukaże się na półkach księgarni w całej Polsce – zakomunikowała.

– Osiemnastego? Maja? – nie dowierzał.

Baśka skinęła głową.

– O Boże, o jejuśku, przecież wtedy swoją premierę ma Remigiusz Mróz i ta znakomita blogerka z Przeglądu Czytelniczego... Majcher... Majcher Magdalena – ekscytował się.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc jego podniecenia. „Data jak data, też mi coś” – pomyślałam.

– Według naukowców osiemnasty maja to najszczęśliwszy dzień roku – zauważyła Baśka.

– Jejuśku, zaraz padnę ze szczęścia!

– To lepiej jeszcze zaczekaj, bo to nie koniec dobrych wieści – ciągnęła Baśka. – Grafik ostatnimi czasy pracował intensywnie nad okładką twojej powieści i stwierdziliśmy, że motyw chleba musi być motywem przewodnim. Chcesz zobaczyć projekt?

Sebastian energicznie skinął głową. Bałam się myśleć, jak czuje się wewnątrz, skoro z zewnątrz wyglądał jak najedzony pies, który znalazł dodatkową wędzoną kość. Baśka wstała od stołu, by pójść po laptop. Ten sam, z którego wysłałam mejla do Sebastiana, że wydawnictwo chce z nim nawiązać współpracę. Kliknęła kilka razy, po czym postawiła laptop przed Sebastianem.

– Ja pierdzielę, jaki odlot! – zachwycał się. – Nie wierzę, naprawdę nie wierzę...

Sebastian przyglądał się ekranowi, wciąż będąc zdecydowanie bliżej nieba niż ziemi. Chcąc poprunąć ku niebu, wstałam z krzesła, aby ujrzyć to, na co wciąż patrzył mój chłopak. Prostokątna kartka z napisem „Sebastian Poseł. Karykatura życia” ozdobiona była przełamany chlebem, z którego



wyłaniały się dwie postaci. Jedna dość wyraźna, z zaznaczoną linią oczu, brwi, a druga – rozmazana, nieukazująca dokładnie żadnej z cech ludzkiej twarzy.

– Grafik się za bardzo nie napracował – stwierdziłam, chyba jako jedyna zauważając braki w drugiej twarzy.

Spojrzeli na mnie badawczo, czekając, aż powiem coś więcej, jednak ja wskazałam tylko na rozmazaną twarz dłonią.

– To zamierzony efekt, taka metafora – tłumaczyła Baśka. – Jeśli wiesz, co to znaczy, oczywiście.

– Jak ci zaraz pometafermuję, to się zdziwisz – zagroziłam jej, zdenerwowana zwróceniem uwagi.

Baśka zaśmiała się, chcąc pokazać, że się mnie nie boi. Jednak ja wiedziałam, że to było jedynie na pokaz. „Będziesz mi skakała, jak ja ci skakanką machnę” – postanowiłam.

– Cieszę się, że chociaż ty doceniasz prawdziwą sztukę. – Baśka zmierzyła mnie ostro wzrokiem, kierując swoje słowa do Sebastiana. – To wciąż nie koniec dobrych wieści. Maksik postanowił objąć twoją książkę mecenatem i zapłaci za twoją reklamę w telewizji śniadaniowej i kilka billboardów z twoim zdjęciem – opowiadała. – Dodatkowo mamy pomysł, abyś był autorem otwartym na czytelników i żebyś w dniu premiery rozdawał chleb przed księgarniami w galeriach, zachęcając do kupna książki.

– Mam być marnym piekarzynie? – zdziwił się.

– Nie, skądże znowu! – broniła się Baśka. – Do tych małych chlebków dołączone będą wykałaczkami z kartonikami, na których będzie motyw okładki.

– Wow, ale czad. – Sebastian aż wstał z wrażenia. – To będzie taki trochę morderczy chleb.

– Ale tylko trochę – sprecyzowała Baśka.

Sebastian podskakiwał radośnie, jak dziecko, które dostało ogromny zestaw LEGO pod choinkę, mimo iż było niegrzeczne.

– Tylko najlepiej jakbyś miał z sobą jakąś ładną hostessę, która pomagałaby ci z tym chlebem – kontynuowała Baśka. – Myślę, że Zosia byłaby do tego idealna.

– Znakomicie. – Sebastian znów podskoczył z entuzjazmem.

Zerkałam czujnie na Baśkę, czekając na jej atak. Musiała mieć jakiś plan B do swojej idealnej opowieści o promocji książki.

– Nawet mamy dla niej taki metaforyczny strój, pasujący do okładki.

„I tu cię mam” – pomyślałam dumna z siebie, że nie udało się Baśce

zwieść mnie na mylną ścieżkę pokoju.

– Płócienny worek z wypalonymi dziurami, oczywiście z miejscem na głowę i ręce – tłumaczyła.

– Mam założyć na siebie worek? – Nie mogłam w to uwierzyć.

Wygląd był dla mnie ważny, jak nie najważniejszy, a teraz miałam pokazać się w galeriach w worku i to na dodatek z dziurami. „Jak jakaś bezdomna” – pomyślałam smutno, nie mogąc stworzyć w myślach wizualizacji stroju. Nawet najbrzydsza rzecz w mojej szafie była niczym perełka z najnowszej kolekcji przy tym całym parszywym worku.

– Ty we wszystkim wyglądasz pięknie, kochanie. – Sebastian ucałował mnie w policzek.

Nie mogłam odmówić. Wiedziałam, że to jej plan zniszczenia mnie, a na to nie mogłam pozwolić. Musiałam wygrać tę rozgrywkę.

– I powiozą mnie windą do nieba... – ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać Sebastian.

– Tylko ta winda nie dojechała za daleko – zauważyła Baśka, lecz Sebastian zdawał się tego nie słyszeć, wciąż śpiewając ten sam wers.


Winda ruszyła. Wiozła mnie do góry, lecz zanim dotrę do nieba, muszę stoczyć walkę z matką diabła, czyli Baśką. Moje niebo było zbyt wysoko dla windy, musiałam ostatnie piętra przejść schodami i byłam pewna, że to zrobię, nawet zakładając na nogi zbyt małe szpilki. „Nie odpuszczę! – postanowiłam. – To za worek”.

## 3 kwietnia 2016 roku

Kwiecień zawitał do kalendarza, ale w sercach wciąż tkwiła zima. Mimo zakochania czułam, że niska temperatura nie służy mojej skórze. Nawet najlepsze kremy używane zbyt długo przestają przynosić zamierzone efekty.

Pogoda za oknem nie zachęcała do niczego. Chyba że liczyć leżenie pod ciepłym polarowym kocem, który okrywał moje łóżko. Ludzie, ubrani w wiosenne płaszcze, trzęśli się z zimna, idąc chodnikiem. Pozbycie się zimowych okryć nie pomogło pozbyć się najdłuższej z pór roku w Polsce. Tej, która przyszła w październiku i nadal gościła w kwietniu, nie chcąc ustąpić miejsca wiosnie.

Sygnał nadchodzącego SMS-a wyrwał mnie z transu klimatycznych rozważań.

 Jesteś w domu?

Szybko odpowiedziałam Sebastianowi:

 Jestem i nie ruszam się stąd do lata.

W odpowiedzi dostałam wesołą emotikonkę, niewiele wyjaśniającą sens zadanego pytania.

Powróciłam do moich rozmyślań, wściekając się, że w Polsce nie było cały rok ciepło, ale ciesząc się, że nie jest też cały rok zimno.

Dzwonek do drzwi niemal zadudnił w moich uszach. Nie byłam maniaczką ciszy, ale popołudnie pod kocem oznaczało błogi spokój, który chciałam jak najdłużej zatrzymać przy sobie. Dzwonek wciąż jednak wrzeszczał, więc zwlekłam się z łóżka, okrywając ramiona kocem.

– No, nareszcie! – W głosie Sebastiana prócz radości dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Ciesz się, że otworzyłam, bo wcale nie miałam takiego zamiaru – wyznałam szczerze. – Pod kocem było mi wyjątkowo...

– Ciepło – dokończył za mnie. – Mam dla ciebie coś, co na pewno spowoduje, że opłacało się wstać i zejść na dół.

Patrzyłam na niego, czekając na prezent, o którym mówił, lecz Sebastian wciąż tylko się szczerzył. Po chwili dał mi spóźnionego buziaka, jakby dopiero sobie przypomniał, że się ze mną nie przywitał.

– Zaproś mnie wpierrw na herbatę, bo na zewnątrz ziąb, że lepiej zaszyć się w domu...

– Nikt nie kazał ci przychodzić – burknęłam pod nosem.

Nie usłyszał. Albo udawał, że nie słyszy.

Zaprosiłam go do jadalni, włączając wodę na herbatę. Przyszykowałam dwa kropkowane kubki z najnowszej kolekcji Ambition, które Baśka kupiła na jakiejś promocji.

– Zrób mi kawę! – krzyknął z jadalni.

– Z tego, co pamiętam, przyszedłeś na herbatę. – Zdenerwowałam się, sama nie wiem czemu. – Od fusów zapycha się zmywarka.

– Ale ja chcę rozpuszczalną.

– Żebyś ty się tak puszczał, jak ta kawa – mruknęłam.

– Słyszałem.

Jego wesoły głos wręcz nie pasował do pogody za oknem. Zamiast popadać w depresję, jak większość spragnionych słońca i ciepła ludzi, Sebastian był zadowolony i pełen chęci do życia.

– Witaj, moja księżniczko – rzucił, kiedy postawiłam kubki na stole.

– Już się widzieliśmy – przypomniałam mu.

– Ale tak się stęskniłem, kiedy byłeś w kuchni.

Nie dowierzałam. Jacyś kosmici musieli podmienić mojego ukochanego, podkładając na ziemię swojego „człowieka”, będącego idealną kopią Sebastiana, tylko w wersji „niepoprawny optymista”. Mój Sebastian był wiecznie zajęty. Nie miał czasu na tęsknotę za mną, a co dopiero tak szybką tęsknotę. Zaczynałam się martwić. On spokojnie pił gorącą jeszcze kawę, kiedy ja doszukiwałam się w nim obcego.

– Tak pięknie dziś wyglądasz – wyznał po chwili.

Spojrzałam na swoje legginsy i T-shirt z Małą Mi, zastanawiając się, czy naprawdę to jest najlepszy zestaw ubrań, w jakim mnie widział. Wstałam od stołu, by położyć swoją dłoń na jego czole.

– Dziwne, zimne – stwierdziłam, zawiedziona.

Przyczyna jego zachowania musiała zatem być inna. Wyznanie tęsknoty jeszcze tak nie dziwiło, ale nazwanie mojego stroju pięknym, kiedy miałam na sobie „leżakowe” ubranie, to istna kpina. „Owszem, zawsze wyglądam pięknie, ale jak wyglądałam lepiej niż teraz, to nie powiedział słowa” – pomyślałam, naburmuszona.

Sebastian gładził moją dłoń, patrząc mi czule w oczy. Byliśmy parą od kilku miesięcy, a nigdy przesadnie nie okazywał czułości, co budziło coraz większe wątpliwości. „Zdradził mnie!” – jedna z pierwszych myśli kobiety, której mężczyzna nagle zachowuje się, jakby chciał pokazać, że mu zależy, naszła i mnie. Nie mogłam mu popuścić. Będę twarda... i niedostępna, co

wydawało się znacznie trudniejsze.

– Może już pójdziesz, jestem zajęta. – Zdobyłam się na powiedzenie tego tonem wręcz rozkazującym.

– Ale... kochanie... przecież dopiero...

– Przyszedłeś i wyszedłeś – dokończyłam za niego tym razem. – Wybacz, przyszedłeś i wychodzisz, dokładniej rzecz ujmując.

Sebastian wstał niepewnie. Zdecydowanie nie chciał opuszczać mojego domu. Posmutniał, lecz mój wzrok był chłodny, stanowczo mówił: „Wyjdz!”.

– Proszę, to dla ciebie. – Podał mi książkę, której dotąd nie zauważyłam. – Otwórz ją w wolnej chwili i pamiętaj, że cię Kocham – dodał z uśmiechem.

– Nie wiem, czy będę miała czas...

– Zosiu, Zosieńko... – Próbował mnie pocałować.

Zbyłam go unikiem, po czym wyszedł ze smutkiem na twarzy, lecz błyskiem w oczach. Teoria podrzucenia przez kosmitów legła w gruzach. Zdrada to nie była sprawka obcych, to była jego wina.” Jeszcze myśli, że da mi jakąś durnowatą książkę i będzie po sprawie” – stwierdziłam kpiąco, wyrzucając podarunek do śmieci. Musiałam być twarda i nawet zaczynało mi się to podobać.

## 4 kwietnia 2016 roku

Pogoda z powodu kilku dodatkowych stopni na plusie awansowała ze stadium „ponuraka” na „nawet ujdzie”. Niby niewiele, ale znacząco wpływa na nastrój ludzi takich jak ja. Ludzi, którzy nienawidzą nakładania na siebie tony ubrań w obawie przed fikcyjnym pogrubieniem. Grubasy się radują, chudzielce też tryskają szczęściem, tylko ci idealni mają problem z akceptacją siebie w ogromnych zimowych worach.

Legginsy i bluzka z ulubienicą z dzieciństwa nie będą potrzebne. Koc także można zwinąć, aby móc zacząć żyć na nowo. „Może zakupy?” – zastanawiałam się. Zakładałam na siebie ubranie, kiedy zadzwieczał telefon.

– Czego? – rzuciłam, zdenerwowana, przez przypadek wciskając głowę w rękaw bluzki.

– Zosieńko, kochanie... – Wyraźnie ucieszył się, słysząc mój głos. – Czy zobaczyłaś już mój podarunek dla ciebie?

„Tak, pewnie już jedzie na wysypisko” – powiedziałam do siebie w myślach.

– Tak, przeczytałam już, ale bez szału – skłamałam.

Nastąpiła cisza. Sebastian albo nie dowierzał, albo był aż tak dumny ze mnie, że odebrało mu głos.

– Nie otworzyłaś tego. – W jego głosie słychać było wyrzut.

– Wiesz, że nie czytam książek – broniłam się.

– To nie była książka DO CZYTANIA – zaakcentował dwa ostatnie słowa.

– Na obrazki to ja już jestem za stara – oburzyłam się.

Jeszcze tego brakowało, żeby dawał mi książkę dla dzieci. Może czytać nie lubiłam, ale żeby robić ze mnie... No właśnie, kogo?! Nie każdy musi lubić to, co on. Ja jestem wyjątkowa i mam wyjątkowe upodobania... „Niech no pomyślę jakie?” – zastanawiałam się przez chwilę, lecz stres nie pozwalał mi prawidłowo funkcjonować.

– Zosieńko, trzeba było otworzyć książkę i tam był prezent, naprawdę wyjątkowy prezent – mówił powoli. – Czekałem, aż przybiegniesz, jak go ujrzysz, a ty go nawet nie otworzyłaś. Pewnie schowałaś do szafy albo sama nie wiesz gdzie.

– Zaraz zobaczę – postanowiłam, dopiero po chwili, kiedy dotarło do mnie, że śmieci odbierają w poniedziałki, środy i piątki.

„Dziś jest poniedziałek” – przypomniałam sobie. Rzuciłam telefonem i pobiegłam na dół z nadzieją, że zdążę. Kosz był pusty. „Musi być jakiś

sposób...” – zastanawiałam się i w jednej chwili podjęłam decyzję, że znaję podarunek, którego wczoraj się tak łatwo pozbyłam. Potrzebne było mi tylko wsparcie. Jedynym idealnym rozwiązaniem wydawała się Berka i właśnie do niej zadzwoniłam z informacją, że będę po nią za dziesięć minut. „Choćbym miała z taksówkarzem złamać wszystkie przepisy, to zdążę” – postanowiłam, wybiegając z domu.

\* \* \*

Taksówkarz zatrzymał się przed wysypiskiem, na które, jak zdążyłam się już dowiedzieć, wywieźli moje śmieci.

– Czemu zadzwoniłaś z tym do mnie? – W głosie Berki wyczuwalne było rozgoryczenie.

Już jej mina, kiedy podawałam taksówkarzowi adres, była obłędna, a może bardziej – straszna.

– Szczerze? – wołałam się upewnić.

Skinęła ochoczo głową. Nie wiem, czego się spodziewała, ale na pewno była ciekawa mojego wytłumaczenia.

– Wiedziałam, że jako jedyna nie będziesz przeżywała tego jak Berka okres, bo przecież ty nie masz okresu.

Spodziewała się chyba innej odpowiedzi. Zamilkła na chwilę, żeby zebrać myśli.

– Ale mogę rzygać – rzuciła z lekkim uśmiechem.

– To będzie nas dwie. – Odwzajemniłam uśmiech. – Kiedy myślę, jak tam będzie śmierdzieć, to już mi źle. Trzy dni było mi słabo, jak raz wyniosłam śmieci, bo nie było Lili. – Zrobiłam kwaśną minę.

Berka wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Sama pewnie też nie czuła się komfortowo, nosząc pełne wory śmieci, kiedy nie miała męża, a co dopiero sprzątaczkę.

– Nigdy nie wyrzucałaś śmieci? – Była jeszcze bardziej zdziwiona, niż przypuszczałam.

– Przecież mówiłam, że raz wyniosłam – przypomniałam jej. – Dobrze, że tatuś nie chciał, żebym to robiła.

– Dlaczego?

– Bo może właśnie wtedy, kiedy niosłabym te ohydne wory, spotkałabym mojego księcia z bajki.

– I co ci to dało? – zapytała. – Nawet gdybyś go spotkała ze śmieciami w dłoni, to i tak by cię nie polubił.

Zmierzyłam ją wzrokiem.

– Yyy, bo ty zyskujesz dopiero przy bliższym poznaniu... Wiesz, ludzie nie lubią ładnych... są zazdrośni.

Ucieszyło mnie jej tłumaczenie. Wiedziałam, że ma rację. Nawet z workiem pełnym śmieci musiałam prezentować się wyjątkowo dobrze, wręcz wspaniale.

– Może i by nie polubił, ale za to na pewno bym mu się spodobała. –

Wykrzesalam z siebie resztki ukrytej skromności i przeczesalam włosy palcami. – A śmierdzącej mógłby nie wpuścić do domu.

Berka zamilkła. Wyraźnie brakowało jej mocnych argumentów do dalszej rozmowy ze mną.

– To co, wskakujemy? – Wskazałam na najbliższą, wydającą się „najświeższą” podług innych górę śmieci, sądząc, że właśnie tam znajdzie książkę.

Berka niechętnie ruszyła za mną. Gdyby mogła, siedziałyby wygodnie w bujanym fotelu, który dostała od Karola, aby dziecko mogło już w brzuchu doznać przyjemnych, kołyszących ruchów. Podobno nawet w brzuchu dzieci muszą zaznawać odpowiedniej porcji ruchu na każdy dzień. „Ciekawe, czy mają tam wewnątrz krokومتر?” – zastanawiałam się przez chwilę.

– Jakiego worka szukać? – zagadnęła Berka, wchodząc między śmietnisko.

Nie wytrzymałam i zwymiotowałam.

– To ja miałam rzygać. – Zaśmiała się. – Widać ja i dzidzia jesteśmy przyzwyczajeni do smrodu ze zsypu. – Pogłaskała się delikatnie po okrągłym brzuchu.

Wytarłam usta rękawem, chcąc pozbyć się niechcianego smaku w ustach.

– Może guma? – Wyjęła z torebki zielone orbitki. – To jakie worki macie w domu?

Spojrzałam na nią błędnym wzrokiem, nie wiedząc, o czym do mnie mówi. „Kto normalny wie, jakie ma w domu worki na śmieci?” – byłam pewna, że żartowała, zadając to pytanie.

– Zośka, ty naprawdę nie wiesz! – Odczytała to z mojej miny. – No, mogą być niebieskie z Niezbędnego, fioletowe o zapachu truskawki z Biedronki, a może i czarne z grubej lub z cienkiej folii – wyliczała.

Perfekcyjna Pani Domu przy Berce była nikim. „Ona nigdy nie wyliczała rodzajów worków do śmieci w programie” – stwierdziłam z uznaniem. Berka, widząc moją minę, sięgnęła po telefon. Kliknęła kilka razy, po czym zadała komuś po drugiej stronie pytanie o rodzaj worków.



– Szukaj niebieskich – rozkazała, chowając telefon do torebki.

Bez wątpienia odrzucenie z góry worków innego koloru ułatwiło szukanie. Spośród miliarda kolorowych worków musiałyśmy przeszukać tylko setki tych niebieskich. „Też mi różnica” – pomyślałam z niechęcią, otwierając pierwszy worek. Smród ryby ewidentnie wykluczał możliwość pochodzenia z naszego domu. „U nas nikt nie je ryby z puszki” – cieszyłam się, że chociaż tyle wiedziałam o domownikach.

Berka intensywnie przeczesywała wory, jakby robiła to już wcześniej. Co jakiś czas rzucała jedynie uwagi dotyczące znajdujących się wewnątrz rzeczy. „A jak nie znajdziemy?” – zastanawiałam się.

– Szukaj, Zocha, zaraz będzie. – Berka wydawała się czytać w moich myślach – Nie mogą być daleko. Góra kilka metrów dalej.

– Metrów czego?

– Metrów śmieci w przód przed nami – tłumaczyła, wciąż przeszukując niebieskie worki.

Zmotywowana jej słowami, zabrałam się ochoczo za kolejny pakunek. Dziurawe skarpety frotté i pusta paczka po L M’ach nie były z naszego domu. Zamknęłam worek, odrzucając go na niewielką kupkę tych przeszukanych.

– Jakiego koloru była ta książka? – Berka była już dużo przede mną.

Próbowałam przypomnieć sobie wczorajsze spotkanie z Sebastianem. SMS, jego przyjście, zaparzenie kawy, zdradzieckie komplementy i zielono-pomarańczowa książka w mej dłoni.

– Połączenie pomarańczowej papryki ze starym, dojrzałym liściem – tłumaczyłam jej.

– Stary? Dojrzały?

– No taki późno-zielony, ale nie kolorowy. – Dziwił mnie jej brak wyobraźni.

Berka rzuciła mi znaczące spojrzenie, jednocześnie podnosząc jedną rękę do góry.

– Mam! – krzyknęła radośnie.

Moje oczy widziały tylko ją. Nie Berkę, lecz książkę w kolorze pomarańczowej papryki i dojrzałego liścia. Nie zważając na podłoże pod stopami, podbiegłam do przyjaciółki, by odebrać moją własność. Przytuliłam książkę do serca, kilkakrotnie ją całując. Nie przeszkadzał mi jej smród. Najważniejsze było, że się odnalazła, wraz z niespodzianką, jaką przyszykował dla mnie Sebastian. Otworzyłam książkę i oniemiałam.

– O ja pier...

– Nie przy dziecku – uspokajała mnie Berka, wskazując na swój brzuch. Uśmiechnęłam się lekko, po czym zwymiotowałam.

\* \* \*

– Nie boisz się, jak to będzie jutro czy za tysiąc lat? – zagadnęłam Sebastiana, kiedy wpadłam do jego domu.

– Jestem pewien, że znajdą się zawsze gorsze chwile niż „wczoraj” i piękniejsze niż „jutro”, a ty jesteś tego przykładem – mówił, patrząc mi w oczy. – Wczoraj myślałem, że jutro nie może być lepsze, lecz dziś wiem, że nie miałem racji. Moje jutro ocalało, wprost zakwitło, dzięki tobie.

Przytuliłam się do niego.

– Kto to napisał? – Musiał się tego nauczyć na pamięć z jakiejś książki, pewien, że będę zadawała pytania.

– Sebastian Poseł. – Uśmiechnął się. – We własnej osobie.

Uklonił się przede mną niczym aktor po teatralnym przedstawieniu.

– To jaka decyzja? – zapytał niepewnie, łapiąc moją dłoń.

Długo zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Przecież byliśmy z dwóch różnych światów. On – zapalony, średnio obiecujący pisarz i ja... a ja to ja. Piękna, z perspektywami, przyszła seksuolog, do której już dziś powinny ustawiać się kolejki. Tak wiele nas dzieliło, jednak w tym wszystkim odnaleźliśmy siebie i chyba to właśnie jest miłość. Dodając do tego dłuższy seks oczywiście, ale ponoć to przyjdzie z czasem. Przynajmniej tak pisali na forum.

– TAK! – krzyknęłam radośnie. – Tylko obiecaj mi, że po naszych obrączkach nie będą chodziły jakieś glisty, dżdżownice, karaluchy i inne ohydne stworzenia.

– Obiecuję. – Położył rękę na sercu. – A pierścionek zdezynfekuję jeszcze kilka razy, żebyś miała pewność, że nie ma na nim już żadnego obcego.

„Obcego” – uśmiechnęłam się do swoich myśli. Jeszcze wczoraj sądziłam, że to w nim siedzi kosmita lub inny obcy. A dziś... dziś byłam zaręczona! „Naręczona, jak dumnie to brzmi” – pomyślałam, zadowolona.

## 8×5

Gdyby moją dzisiejszą niechęć do wszystkiego można było zamienić w chęć, świat byłby znacznie piękniejszy. Nie nazwałabym tego lenistwem... raczej trudnym dniem, który lepiej przespać w domu. O spaniu należało jednak zapomnieć, bo kolejna karna wizyta u dzieciaków nie mogła czekać. Szczególnie teraz, kiedy tak mało dzieliło mnie od zemsty na Baśce i ojcu za pomysł nadszarpnięcia mojej lokaty. „Niech zapamiętają, że moich pieniędzy się nie rusza” – powtórzyłam w myślach po raz milionowy od czasu planowania odwetu.

Marzyłam jedynie, aby dzisiejsze zadania w domu dziecka nie były zbyt wymagające. „Żadnych kurczaków, makaronu i bezzębnych dentystów” – planowałam w myślach, wierząc, że tym razem pięć godzin obędzie się bez dodatkowych zleceń.

Ponury budynek nie robił na mnie takiego wrażenia jak na początku. „Widać do wszystkiego można się przyzwyczaić” – pomyślałam, popychając jednocześnie drzwi. Cisza na korytarzu nie wróżyła nic dobrego. Szczególnie w miejscu, gdzie pełno jest hałaśliwych, rozbrykanych dzieciaków.

– Zosieńka, dobrze, że jesteś. Pani dyrektor cię szuka od godziny. – Zza rogu wybiegła pani Krysia z kuchni.

– Przecież miałam być o dziesiątej i jest dziesiąta. – Spojrzałam na zegarek, aby się upewnić. – A nawet za siedem dziesiąta.

Pani Krysia pokiwała głową, z sobie tylko znanego powodu.

– Przyjechali z urzędu i ktoś musi jechać zobaczyć to mieszkanie dla Milenki – mówiła. – A nas jest za mało i oni chcą, abyś ty jechała, bo na pewno nie pozwolisz jej wysłać do byle czego, a ostatnio Krzysiovi to zaproponowali taką rudere, że chłopak prawie się załamał. A ten nasz wychowawca powiedział jeszcze, że od czegoś trzeba zacząć, i dziś Krzyś mieszka w jedenastu metrach kwadratowych z toaletą na korytarzu. Biedaczysko...

Słuchałam jej, próbując wyobrazić sobie klitkę, o której mówiła. Nawet moja garderoba była zdecydowanie większa niż te jedenaście metrów, o jakich wspomniała. Nie kojarzyłam Mileny, ale wiedziałam, że muszę jej pomóc. Skierowałam kroki do pokoju yrekcji, lecz nie musiałam wchodzić do środka. Dyrektorka czekała przed drzwiami, bacznie spoglądając na

zegarek.

– Wiem, słyszałam, zgadzam się – odpowiedziałam, mimo iż nie zdążyła zadać pytania.

Uśmiech przełożonej wystarczył, abym poczuła się pewnie. Niby nie chciałam zadań specjalnych, ale czułam, że dzisiejsza misja jest czymś w rodzaju ratowania świata (a na pewno Mileny) przed bestiami z urzędu. Podwinęłam rękawy, gotowa na przyście urzędników, kiedy zza drzwi gabinetu dyrektorki wyłoniła się dziewczyna w blond włosach sięgających do pasa. „Milena” – nazwałam ją w myślach. Znałam ją, a nawet pamiętałam z kilku moich wizyt w domu dziecka. Szara myszka, siedząca zwykle w kącie. Byłam jej jedyną nadzieją, musiałam jej pomóc.

Milena spuściła wzrok, wyraźnie speszona moim spojrzeniem. Podeszłam więc do niej. Chcąc dodać otuchy, objęłam ją ramieniem. Uśmiechnęła się lekko, a ja czułam, że przełamałyśmy pierwsze lody.

– Dzień dobry, Dariusz Kowal. – Mężczyzna w garniturze podał rękę każdej z nas. – I moja koleżanka, Ewa Wójcik.

Kobieta w garsonce skinęła jedynie głową w geście powitania. Dopasowana spódnica za kolano, którą miała na sobie, musiała być niewygodna, wystająca z niej koszula wydawała się sprana. Jakże biednie wyglądała przy swoim koledze, który garnitur kupił w jednym z firmowych sklepów dla mężczyzn.

– Gotowa? – Ewa Wójcik spojrzała na Milenę, nie unosząc nawet na milimetr kącików swoich ust.

Milena skinęła posłusznie głową, po czym spojrzała na mnie.

– Jestem Zosia Majer, z TYCH Majerów – zaczęłam tradycyjnie. – Będę oglądała z Mileną mieszkanie w celu zapoznania się z warunkami tam panującymi. Przypominam, że mieszkanie musi spełniać jej potrzeby psychologiczno-bytowo-mieszkalne.

Skleciłam kilka słyszanych na wykładach słów, mając nadzieję, że urzędnicy nie będą ciągnąć tematu. Zdawałam sobie sprawę, że splot wyrazów może być mało sensowny, ale najważniejsze było robienie pozytywnego wrażenia, a to potrafiłam jak nikt inny. Urzędnicy spojrzeli po sobie, nie zadając żadnych pytań. „Mam was” – pomyślałam, uradowana, ciągnąc Milenę za rękę.

Wsiedliśmy do starego volvo, którym przyjechali urzędnicy. Ewa włączyła radio, co wyraźnie nie spodobało się jej koledze, który szybko je wyłączył.

– Nie teraz – syknął. – Mileno, jak to jest kończyć osiemnaście lat i móc

wynieść się na swoje?

Speszona Milena spuściła jedynie głowę.

– Jakie swoje? – zakpiłam. – Własność miasta, a ona będzie musiała przy okazji opłacać horrendalny czynsz, na który ledwie ją będzie stać, jak znajdzie pracę.

– Pani Zofio, proszę się uspokoić. – Kobieta odwróciła się w moją stronę. – Nie jest tak źle. Państwo pomaga w takiej sytuacji. Jeśli Milena będzie chciała się uczyć, dostanie stypendium, jeśli zechce pracować, to pomożemy jej znaleźć jej wymarzoną pracę.

– Sranie w banie – skwitowałam jej słowa.

Wymarzona praca bez wykształcenia? Nawet ja wiedziałam, że jest to niemożliwe do zrealizowania, więc żadne obietnice mnie nie interesowały. „Muszę jej pomóc” – powtarzałam w myślach, jak mantrę.

Samochód zatrzymał się. Dariusz wyjął ze stacyjki kluczyki, po czym wysiadł dumnie z volvo. Odpięliśmy pasy, aby móc opuścić auto. Naszym oczom ukazał się drewniany domek, podobny do tych stawianych przez ludzi na działkach, aby mieć gdzie umieścić narzędzia.

– Ja pierdołę...

Dopiero czujny wzrok moich towarzyszy uświadomił mi, że wypowiedziałam te słowa na głos.

– Wejdźmy do środka – zaproponował urzędnik.

Milena spojrzała na mnie błagalnie, wyraźnie bojąc się tego, co może tam zastać. Złapałam ją za rękę, chcąc pokazać, że jestem po jej stronie. Wnętrze domu niewiele się różniło od zewnętrznego wyglądu, o ile nie było gorsze. Grzyb nad oknem, odpadający ze ścian tynk i obdrapana mozaika na parkiecie to pierwsze, na co zwracało się uwagę po wejściu. Może i nie było to marne jedenaście metrów, jak w przypadku niejakiego Krzyśka, ale na pewno nie był to dom na „nowy początek”, jaki miała rozpocząć niedługo Milena.

– To jakaś kpina – zaczęłam. – Żart jakiś.

– Nie mamy nic innego – powiedziała twardo kobieta. – Trudno o mieszkania z miasta i trzeba brać, co dają.

„Żmija” – nazwałam ją w myślach, stwierdzając jednocześnie, że Marietta przy niej to luźna babka, nawet przed „odsztynowaniem”.

– W takim razie niech pani sobie tu zamieszka, a my wpadniemy na kawę, zobaczyć, jak się pani tu urządziła – rzekłam. – Milena tu nie zostanie ani minuty dłużej, nie mówiąc już o zamieszkaniu.

Pociągnęłam dziewczynę w stronę wyjścia.

– I jeszcze jedno... – Odwróciłam się do urzędników. – Zadzwońcie, jak będziecie mieli coś, w czym da się nie tylko mieszkać, ale i żyć. – Żałowałam, że nie mogę nagrać ich min. – Wrócimy taksówką, bo to wasze volvo to może daleko nie zajechać.

Wyszliśmy z drewnianej chatki. Urzędnicy zapewne stali wewnątrz jeszcze chwilę, nim doszli do siebie. Kiedy byliśmy dość daleko, Milena zatrzymała się i rzuciła mi się na szyję.

– Dziękuję – usłyszałam wprost do ucha.

Uśmiechnęłam się. „Punkt dla mnie” – pomyślałam, dumna z siebie.

*Ósme 5 godzin*

*Liczba wpadek: o dziwo 0*

*Liczba zwycięstw: 1, urzędnicze*

*Profity: zyskanie w oczach osiemnastolatki – bezcenne!*

*Rada na dziś: nie zaczynaj z Zosią Majer.*

*Rada na dziś (2): noś z sobą kamerę, nigdy nie wiesz, kiedy się przyda.*

*Lekcja na dziś: bycie dobrym człowiekiem nie jest tak trudne, jak się wydawało.*

# 11 kwietnia 2016 roku

Zajęcia na uczelni trwały zdecydowanie za długo. Na miejscu wykładowców powiedziałabym to samo w szybszym tempie, aby móc wcześniej skończyć, lecz oni nieugięcie trzymali się półtoragodzinnej gadaniny. Skończenie chociażby minutę szybciej wydawało się wręcz niemożliwe, jakby niewykonalne. Oni byli jak zaprogramowane roboty, mówiące idealnie dziewięćdziesiąt minut.

Ostatni wykład zakończył się punktualnie o siedemnastej, jak było zapisane w planie. Szybkie nałożenie płaszcza i mogłam ruszyć do mieszkania Berki, gdzie umówiłyśmy się z dziewczynami. Nasza ciężarna odwołała obiad na mieście, twierdząc, że dziecko się czymś ostatnio zatręło, bo wciąż biegała do łazienki. Jolka próbowała wytłumaczyć jej, że tak to bywa na początku ciąży, ale ona dzielnie broniła teorii, że drugi trymestr nie polega na rzyganiu.

– Cześć, dziewczyny. – Dotarłam do mieszkania jako ostatnia.

Wszystkie pięć siedziało na nowo kupionej przez Berkę i Karola szarej sofie. Dla mnie pozostał szary fotel z Ikei, który idealnie komponował się z wnętrzem mieszkania młodego małżeństwa. Aż strach pomyśleć, że musieli zaciągnąć kredyt na mieszkanie, które miało niecałe sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Oszczędności Karola pokryły sporą część kapitału, jednak to nie wystarczyło, a i urządzić wszystko wypadało.

– Zośka, ale zrobiłaś z Mari dzagę – zaśmiała się Monia, będąc pod wrażeniem nowego image'u przyjaciółki.

Marietta, ubrana w szarą sukienkę z flamingami, wyglądała wręcz kwitnąco. Zupełnie inaczej, niż dała się nam zapamiętać przez lata.

– Taaa... wygląda jak słoń w składzie porcelany – zakpiła zazdrosna Jolka. – Albo jak flaming na Syberii w pasiastym szaliku.

Zgromiona wzrokiem przez Mariettę, nie zaśmiała się ze swojego nieudanego żartu. Dla niej przyjaciółka projektantka była zawsze największą konkurencją. Zawsze doczepiała się do jej posegregowanej na pory roku garderoby, co mogło teraz się skończyć, ze względu na wprowadzone w wyglądzie Mari zmiany.

– Ustaliliście już datę? – Monia postanowiła zmienić temat na bezpieczniejszy, pytając mnie o ślub.

Skinęłam entuzjastycznie głową.

– To kiedy? – zapytały, praktycznie jednocześnie.

- Drugiego lipca – wyznałam z dumą.
  - Lipca? – zdziwiła się Berka, głaszcząc się po brzuchu.
  - Tak, lipca, dru-gie-go – powtórzyłam wolniej.
- Spojrzały po sobie, wyraźnie zdziwione.
- Przecież w lipcu nie ma r – zauważyła Baśka.
  - I...? – Nie rozumiałam.
  - To przynosi pecha – doinformowała mnie.

Zaśmiałam się pod nosem, zdziwiona ich wiarą w jakieś stare zabobony, które dawno temu wyszły z mody. „Ileż to ich było? – zastanawiałam się. – Niebieska podwiązka, coś starego, nowego i pożyczonego, głupie r w miesiącu...”. Ilu ludzi się rozwiodło, mając wszystko, co miało zapobiec katastrofie.

- Z nią już gorzej nie będzie, więc i bez r może być – skwitowała Jolka.

O dziwo nie odebrałam jej słów jako ataku, choć zapewne to miały na celu. Ona miała rację. Przeszliśmy już tyle, że brak r może nam jedynie pomóc. „Przecież w seksie też nie ma r! Ewentualnie g, jak punkt G” – pomyślałam.

– Jak dopiszesz kreskę do p, to będzie r – obmyśliłam sprytnie, aby Baśka dała spokój swoim zabobonnym zwyczajom.

- Ale wtedy to nie będzie lipiec, tylko liriec – zauważyła sprytnie.
- To w takim razie ślubuję drugiego lirca – powiedziałam wesoło.

Przyjaciółki roześmiały się. Nawet negatywnie nastawiona do lipca Baśka zdawała się zrozumieć, że nie zmienię zdania co do daty ślubu.

- Olej lipiec, ale czemu drugi? – zapytała Marietta.

Wszystkie wydawały się ciekawe mojej odpowiedzi, co sugerowały ich spojrzenia w moim kierunku.

- Chcę być szybsza.
- Szybsza niż...? – dopytywała Berka.
- Niech niebo roziskrzy się drugiego lipca, a nie tego tam potem w Ameryce – odpowiedziałam.

Dziewczyny zaśmiały się, tylko Baśka była poważna.

– Będą fajerwerki i masa innych atrakcji, których jeszcze wam nie zdradzę – wyznałam tajemniczo.

– Maks się nie zgodzi – rzekła poważnie Baśka. – Nie wysadzisz nam domu fajerwerkami.

Spojrzałam na nią litościwie, wiedząc, że nie ma racji. To mój ślub i będzie tak, jak ja tego zechcę. Nawet jeśli zechcę zrobić ognisko na środku salonu, to tak się stanie, i nic nikomu do tego. A co dopiero Baśce, która była przy



rozmowie z tatą, podczas której powiedziałam, że chcemy z Sebastianem pobrać się w naszym ogrodzie. „Mam większe prawo do ogrodu niż ona” – pomyślałam, przypominając sobie przerażony wzrok taty, kiedy usłyszał o planach Sebastiana na przyszłość. Może nie był on najlepszym kandydatem w oczach taty, ale moje serce było w tym wypadku lepszym drogowskazem.

– Chyba mamy już zwycięzcę w jednej z sylwestrowych kategorii... Żenada roku – zakpiła Jolka.

Zmierzyłam ją wzrokiem, chcąc pokazać swoją wyższość. „Nie będę z nią dyskutować!” – postanowiłam dumnie, co wyraźnie zdziwiło nie tylko Jolkę, ale i całą resztę.

Podjadając chipsy, dziewczyny rzucały pomysłami, które według nich były idealne na mój ślub: począwszy od białych storczyków w donicach, wyznaczających miejsce do tańca, a skończywszy na basenie z kulkami dla dzieci, zaproponowanym przez Baśkę z myślą o diablicy. Słuchałam ich, wpuszczając wiadomości jednym uchem, aby móc wypuścić drugim. „To mój ślub i tylko ja będę decydowała o tym, jak będzie wyglądał” – postanowiłam. „Ewentualnie posłucham trochę uwag Sebastiana” – dodałam, przypominając sobie, że mój ślub jest w sumie naszym ślubem.

# 14 kwietnia 2016 roku

Organizację ślubu czas zacząć, jako że zostało nam mało czasu. Ludzie planują ślub latami, Berce i Karolowi zajęło to niespełna pół roku, a my mamy niecałe trzy miesiące. Tak, trzy, nie trzynastie czy trzydzieści, jak by innym się wydawało.

Punkt pierwszy naszej listy to ksiądz. Wyprawa do kancelarii w celu zaklepania terminu wydawała się tylko formalnością. Skoro ludzie tak patrzą na to całe „święte” r w nazwie miesiąca, to już mieliśmy pewność, że cały lipiec jest nasz. Znaczy się – do naszej dyspozycji.

W kancelarii pusto. Dotarliśmy przed czasem. Księdza jeszcze nie było, zatem zajęliśmy miejsca na starych krzesłach z wytartymi obiciami i cierpliwie czekaliśmy.

– Niech będzie pochwalony... – Ksiądz skinął głową, kiedy nas zobaczył. Otworzył drzwi i gestem zaprosił do środka. – W czym mogę pomóc?

– Chcieliśmy zaklepać sobie ślub – wyznałam, żałując, że użyłam słowa „zaklepać”.

– Termin znaczy się – poprawił mnie Sebastian.

Ksiądz sięgnął po wielką księgę, która stała na jednym z regałów.

– Kiedy miałyby być ślub?

– Drugiego lipca – odpowiedziałam.

– Którego roku?

– Tego roku Pańskiego – usłyszałam z ust narzeczonego.

Duchowny spojrzał na nas niepewnie, zastanawiając się zapewne, czy żartujemy. Kiedy uznał, że to nie żart, otworzył księgę na interesującej nas dacie.

– Drugiego lipca mam już niestety komplet. – Pukał palcem w wypełnione rubryki. – Śluby od czternastej do dwudziestej z przerwą na mszę o osiemnastej.

„Nikt nie zepsuje moich planów” – pomyślałam.

– To niech zapisze nas ksiądz na dwunastą. – Wskazałam wolne miejsce w terminarzu kapłana.

– Ta godzina przeznaczona jest na pogrzeby – powiedział w kierunku Sebastiana, sądząc zapewne, że z nim łatwiej pójdzie.

– Skoro nikt się jeszcze nie zapisał, to my będziemy pierwsi. – Walczyłam dzielnie. – Po śmierci już jest obojętne, czy to sobota, czy poniedziałek.

Kapłan szukał wsparcia w Sebastianie, bacznie na niego zerkając.

– Niech ksiądz zapisze, tak jak Zosieńka mówi – powiedział po chwili, a mnie spadł kamień z serca. – Nie pożądaj ksiądz, obiecuję.

– Nazwiska – skapitulował.

Wziął leżące obok pióro, aby zapisać nasze dane.

– Zofia Majer z TYCH Majerów – przedstawiłam się.

– Pani ojciec jest...?

– Tak, jej ojciec jest tym, kim ksiądz myśli. – Sebastian był szybszy w odpowiedzi.

Najwyraźniej nie chciał, abym ponownie tłumaczyła zawilosci ojca, który samotnie mnie wychował, prowadząc przy tym firmę oraz powiększając swój majątek na giełdzie.

– Sebastian Poseł – powiedział mój narzeczony, kiedy kapłan skończył pisać moje dane.

– Radziłbym państwu już dziś iść do urzędu, załatwić formalności, bo może to trochę trwać. – Uścisnął nam ręce na odchodne.

Zadowoleni, wyszliśmy z kancelarii. „Udało się!” – cieszyłam się w myślach, wiedząc, że czeka nas jeszcze trudna przeprawa w urzędzie stanu cywilnego. Z opowieści Berki wynikało, że pracującym tam ludziom daleko do bycia człowiekiem.

\* \* \*

Trzy pary przed nami. Jedna bardziej przypominała rozwodzących się niż planujących ślub. Siedząc z dala od siebie, nie rozmawiali, na pewno nie wyglądali na zakochanych. Patrząc na drugą parę, widziałam trochę Baškę z ojcem. On – spokojnie po czterdziestce, ona – może jeszcze nastka, z nosem wlepionym w telefon. „No, może Baška aż tak telefonu nie kocha” – stwierdziłam, przenosząc wzrok na trzecią parę, z którą byli rodzice. Nie, nie byli oni młodzi. Mogli być w podobnym wieku do nas, lecz ich matki (jak stwierdziłam z rozmowy) wolały przyjść z nimi do urzędu, upewnić się, że młodzi wszystko załatwią.

Nasza kolej nadeszła. Trzymając się za ręce, weszliśmy dumnie do gabinetu, gdzie za biurkiem siedział pokaźnych rozmiarów pan z bujnym wąsem.

– Zapraszam. – Wskazał dwa krzesła. – Poproszę dowody osobiste, żebym mógł sprawdzić zdolność do zaślubin. Jaki to będzie ślub?

– Najpiękniejszy – wyznałam, przeszukując portfel.

Mężczyzna poprawił wąs i odchrząknął głośno.

– Kościelny czy cywilny?

– Kościelny, choć było trudno z datą, bo ksiądz nie wie, czy ktoś zmarły nie będzie chciał być wtedy chowany – przedstawiłam pokrótce nasze perypetie z kancelarii.

– Znaczący się konkordatowy – skwitował, po czym zaczął wpisywać nasze dane do komputera.

Dźwięk klawiszy nie należał do moich ulubionych. Kojarzył mi się z chwilami, kiedy mój przyszły mąż był niedostępny, nawet dla mnie.

– Jakie nazwisko będą nosiły dzieci? – zapytał urzędnik.

Zmroziłam go wzrokiem, a potem, żeby bolało bardziej, spaliłam, niczym czarownicy na stosie.

– Ja nie jestem w ciąży! – Wstałam nerwowo z krzesła, aby zerknąć na swój płaski brzuch. – Niech pan spojrzy na siebie! Sylwetki osy to pan nie ma.

Urzędnik wydawał się zmieszany.

– Chodziło mi o to, jakie nazwisko będą nosiły, jak już pani będzie w ciąży, a potem je urodzi – tłumaczył, speszony.

Usiadłam.

– No, masz pan szczęście. – Zbliżyłam się do jego twarzy. – I jeszcze jedno! Nie „je” w liczbie mnogiej, tylko „je” w liczbie pojedynczej.

Skinął posłusznie głową, najwyraźniej rozumiejąc to, co do niego powiedziałam.

– Poseł – wyznał spokojnie Sebastian, kiedy skończyłam mówić. – Dzieci będą Poseł, a żona chce być Majer-Poseł, bo jest z TYCH Majerów.

Z czułością zerknęłam na narzeczonego i dałam mu całusa. Batalia o moje posłubne nazwisko została rozstrzygnięta na moją korzyść. „Myślałam, że będzie trudniej” – przyznałam w myślach, przypominając sobie moje treningowe rozmowy samej z sobą na ten temat. Byłam aktorką, więc doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że do każdej roli należy się przygotować.

Sprawy urzędowe załatwione, papierek dla księdza spoczywał w szarej kopercie, zatem mogliśmy zająć się następnymi punktami z listy rzeczy do wykonania.

– To co teraz? – zapytał Sebastian po wyjściu z gabinetu. – Może zaproszenia?

– Dla mnie bomba – wyznałam.

– Mam już nawet koncepcję, tylko będzie to sporo kosztować.

– Rodzice płacą, więc nie oszczędzajmy.

W milczeniu szliśmy do najbliższej kawiarni, aby móc porozmawiać o zaproszeniach ślubnych. Termin był, godzina też, zatem mogliśmy zacząć działać z pompą.

– Czego się napijesz? – zapytał, kiedy już usiedliśmy.

– Shake, tylko błagam, mocno schłodzony – poprosiłam.

Sebastian podszedł do lady, aby zamówić napoje.

– Co powiesz na książkowe zaproszenia? – zapytał radośnie.

Moje myśli zaczęły krążyć w kółko, nie wiedząc, jak zareagować na propozycję.

– Nie będę czytać książki! – rzuciłam wściekle.

– Nie musisz jej czytać. To będzie książka z naszymi zdjęciami. Zrobimy specjalną sesję zdjęciową, dodamy do niej kilka zdań opisujących sytuację, a na ostatniej stronie zaprosimy gości do wzięcia udziału w rozpoczęciu naszej nowej małżeńskiej księgi.

Moja wyobraźnia nie potrafiła tego wizualizować, jednak hasło „sesja zdjęciowa” mnie przekupiło. Nigdzie nie znajdziemy lepszych zaproszeń niż te, na których będę ja. „No i Sebastian” – dodałam w myślach, obiecując sobie, że podczas sesji ustawią go gdzieś z tyłu, abym to ja mogła błyszczeć na pierwszym planie.

– Może zrobimy to tematycznie? – Sama nie wiedziałam, skąd pojawiła się ta myśl.

– Że niby jak?

„No właśnie, jak?” – zastanawiałam się chwilę.

– Ja – księżniczka, ty – mój rycerz. – Przypomniałam sobie bajki czytane przez nianię w dzieciństwie.

– A wszystko w kolorach czerni i czerwieni – dopowiedział Sebastian. – Taka mroczna miłość.

Może niekoniecznie o mrocznej księżniczce marzą małe dziewczynki, ale propozycja wydała mi się wyjątkowa. Taka niepowtarzalna i nietuzinkowa, a o takie wesele mi właśnie chodziło. Pragnęłam, aby pisały o nim gazety, a celebryci zazdrościli nam niestandardowych pomysłów.

Ślub był coraz bliżej, zatem i sesja musiała być na już. Nie na jutro! Na już! Zostawiając niedopite napoje, ruszyliśmy na poszukiwanie fotografa, który zechce zrealizować naszą wizję. Intensywny w przygotowania ślubne dzień okazał się jeszcze intensywniejszy, niż myśleliśmy. Nie mogliśmy się jednak zniechęcić. Musieliśmy działać TU i TERAZ, aby wszystko było

cudowne.

## 9×5

Sesja zdjęciowa wykonana. Teraz pozostało czekać na efekty naszej pracy. Młody, ambitny fotograf chętnie pochwylił naszą mroczno-miłosną koncepcję, dodając do niej odpowiednią zamkową scenerię.

Dziś kolejne moje wyjście do dzieciaków. O dziwo, nie traktowałam go jako zła koniecznego, jak miało to miejsce jeszcze kilka tygodni wcześniej, lecz jako miłą odmianę codziennego życia. Ten dzień zachowam w pamięci na długo. To dziś nadszedł plan zemsty na Baśce.

Spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, czy Marcel wykonał już swoje zadanie. Wiedziałam, że nie zrezygnuje, nie złapie cykora. Za dużo mógł stracić, już nie wspominając o tym, ile zyska, jeśli będzie grał w mojej drużynie.

Jak na zawołanie zadzwonił telefon.

– Udało się? – zapytałam.

Marcel odpowiedział, że tak, po czym szybko się rozłączył. Postanowiłam czekać na niego w świetlicy, gdzie było pełno dzieciaków, grających w jakieś planszówki. Dołączyłam do nich, chcąc zająć czymś myśli. „Monopoly” – przeczytałam napis na pudełku.

Telefon znów zadzwonił. Podejrzywałam, że to ona...

– Zośka, Zuza zniknęła! – krzyczała do słuchawki. – Porwali ją.

„Udało się” – cieszyłam się w myślach.

– Ale jak? – zapytałam z udawanym przerażeniem.

– Poszłam po nią, a nauczycielka mówi, że jakieś dwadzieścia minut temu odebrał ją jakiś chłopak. Ponoć miał moją zgodę, z numerem dowodu i podpisem – denerwowała się. – Niby nic nie wskazywało, żeby to był porywacz, bo powiedział coś Zuzce, a ona chętnie z nim poszła. Pewnie cukierkiem ją przekupił, zbrojeniec jeden.

– Cukierkiem? Zuzę? – powątpiewałam. – Przekupić to małe paskudztwo trzeba czymś dużym i drogim, a nie zwykłym cukierkiem.

– Tragedia się stała, a ty sobie kpisz! – wrzeszczała. – Opamiętaj się, przecież to twoja siostra!

Odruchowo spojrzałam na drzwi, w których stanęli właśnie Marcel i uśmiechnięta diablica. „Niech się jeszcze pomartwią” – zdecydowałam, rozłączając się.

– Zosia! – Diablica rzuciła mi się na szyję. – On powiedział, że tutaj będą dzieci, dużo dzieci, i zabawki.

– Miał rację. – Wysiliłam się na uśmiech. – Dżesi! – zawołałam.

Dziewczynka stanęła obok nas, czekając na moje dalsze słowa.

– To moja siostra, Zuzia. Zuzia, to jest Dżesika, możecie się razem pobawić.

– Supel! – ucieszyła się Dżesi.

Dziewczynki zniknęły przy domku dla lalek. Pochłonięte przebieraniem Barbie, nie zdawały sobie sprawy z intrygi, w jakiej brały udział.

– Spisałeś się na medal – pochwaliłam Marcela.

– Myślisz, że się o nią martwię?

– Jestem tego pewna, ale niech to jeszcze chwilę potrwa. – Próbowałam go uspokoić. – Diablica jest zadowolona, a to działa na naszą korzyść.

Obserwowałam bawiące się dziewczynki z radością wypisaną nie tylko na twarzy, ale wpisaną także w serce. „Jednak nie taki diabeł straszny” – pomyślałam o swojej siostrze.

„Wystarczy” – zdecydowałam po godzinie, po czym wybrałam numer Baśki.

– Przyjedźcie do domu dziecka, musimy pogadać – rzuciłam.

– Zocha, nie pierdol! Zuzki nie ma, a ty jak zawsze chcesz być w centrum uwagi – wściekała się. – Tylko ty i nikt więcej. Nie jesteś pępkiem świata!

– Zuzka jest ze mną – powiedziałam spokojnie.

– Już jedziemy. – Baśka także spuściła z tonu.

Widok szczęśliwych dziewczynek uświadomił mi, jak wiele omija Dżesi, która jest tutaj najmłodsza i nie ma się z kim bawić, tak jak teraz z diablicą. Zabawa ze starszymi nie była taka, jak ta z rówieśnikami. Oni myśleli inaczej, dla nich przebieranie lalek było dziecinne, a przecież właśnie o to chodziło w życiu Dżesiki. Ona była dzieckiem, chciała tej dziecinności.

– Zuziaku! – Baśka wbiegła do świetlicy niczym rzucony granat. – Nic ci nie jest?

Zuzia zdawała się nie zauważać rodziców. Zakładała kolejne ubrania Barbie, pokazując ją potem koleżance.

– Zocha! – Wzrok Baśki miał zapewne zabijać.

Uśmiechnęłam się promiennie, aby ją zdenerwować. Przeczesałam włosy palcami, po czym zapytałam:

– Coś się stało?

– Dlaczego? – Baśka wtuliła się w ojca.



– To nie ja pierwsza zachowałam się nie fair. To wy kazaliście dzieciakom denerwować mnie i dokuczać mi, aby mogły wyjechać na obóz, na który zasługują, a po prostu ich nie stać. Wykorzystaliście ich marzenia.

Patrzyli na mnie z niedowierzaniem, a ja po raz pierwszy od dawna poczułam, że coś we mnie pęka.

– Zuzce nic by się nie stało, a tak przynajmniej na chwilę mogła umilić czas porzuconej przez rodziców dziewczynce. Postąpiliście strasznie i już nie wspomnę o chęci ruszenia mojej lokaty, bo o tym będę wam przypominała do usranej śmierci.

– Ona się zmieniała – szepnął ojciec do Baśki, na tyle jednak głośno, że usłyszałam.

Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc raz na mnie, raz na bawiące się dziewczynki.

– To miała być kara? – zapytała Baśka.

– Karą będzie zorganizowanie dzieciakom wakacji ich marzeń. – Uśmiechnęłam się. – Młodej się tu nawet podoba, a wy może następnym razem pomyślicie wcześniej, zanim zechcecie kogoś wykorzystać.

– No dobra, zgadzam się – powiedział ojciec, spoglądając na uradowaną Zuzię.

Wiedziałam, że teraz nadszedł moment, aby podnieść wyżej poprzeczkę. Miałam ich w garści, nie zamierzałam wypuścić.

– I jeszcze coś... – Postanowiłam zaryzykować. – ...Marcel za dwa lata opuszcza dom dziecka. Chciałabym, abyście co miesiąc wpłacali na jego konto pewną sumę pieniędzy, która umożliwi mu lepszy start. To on był głównym dowodzącym w akcji „Wykurzyć Zośkę”. – Zaśmiałam się. –

No i Milena... – Zamyśliłam się. – Tato, uruchom swoje kontakty, aby dostała jakieś sensowne mieszkanie po opuszczeniu tych murów, a nie jakąś kanciapę na narzędzia.

Ojciec energicznie pokiwał głową.

– Jestem z ciebie taka dumna! – Baśka podeszła mnie przytulić. – Tylko niech głupiutka Zosia nie znika całkowicie.

– Już moja w tym głowa, że ona wciąż będzie was denerwować – rzuciłam.

– I rozśmieszać – szepnęła przyjaciółka.

Stałyśmy tak chwilę, dopóki nie rozdzieliły nas małe, ciepłe dłonie.

– Mamo, mamo, a Dżes może do nas przyjść kiedyś po przedszkolu? – zapytała diablina.

– Kochanie, ty mówisz ponownie r – ucieszyła się Baśka.

– Tak, bo Dzes powiedziała, że ona chciałaby mówić l, znaczy r, ale nie potrafi i dzieci się z niej śmieją – wyznała. – Ale ja ją nauczę i pokażę wszystkim śmiechotom, gdzie maki rosną.

– Śmiechotom? – zdziwiła się Baśka. – Chyba powinno być: gdzie raki zimują.

– Tym, co się śmieją – wytłumaczyła dumnie. – Z makami też ładnie brzmi, prawda? – Spojrzała na Dzesikę, która skinęła ochoczo głową.

Dziewczynki ponownie pobiegły się bawić, a my zaczęliśmy się śmiać.

– Ma coś po tobie z tymi przysłowiami – zauważył tata.

– Żeby tylko nie połknęła mistrza. – Zmarszczyłam brwi.

– Przerosła – zaśmiała się Baśka. – Żeby nie przerosła mistrza.

Śmialiśmy się wspólnie, po raz pierwszy od bardzo dawna. Nie pamiętam, kiedy ostatnio była taka sytuacja lub czy w ogóle ona miała miejsce. W każdym razie podobało mi się. Naprawdę mi się to podobało. Trójka dorosłych, bliskich sobie ludzi w końcu znalazła wspólny język.

– Przepraszam, że przeszkadzam... – Jeden z wychowawców wyraźnie nie chciał nam przerywać. – Czy państwo są rodzicami Zuzi? – skierował pytanie do Baśki i taty.

Równocześnie skinęli głowami, spoglądając, gdzie jest ich latorośl. Znali ją, wiedzieli, że do bycia aniołem jej daleko, a może jeszcze dalej niż daleko.

– Przepraszam, że zwracam uwagę, ale... to ważna sprawa – tłumaczył się, speszony. – Czy nie sądzą państwo, że Zuzia jest jakby... – Zastanawiał się chwilę. – ...jakby za mądra, zbyt bystra, jak na swój wiek?

– Owszem, jest inna niż reszta dzieci w jej wieku, ale to zapewne dlatego, że przebywa tylko wśród dorosłych. Dopiero od niedawna chodzi do przedszkola – wyjaśniła Baśka.

Wychowawca uśmiechnął się lekko.

– Przypuszczałbym raczej, że Zuzia należy do wyjątkowych dzieci. Sądzę, że to zespół Aspergera. Proszę, niech państwo wybiorą się z nią do poradni psychologiczno-pedagogicznej – wyznał spokojnie i odszedł do dzieci, pozostawiając nas z pytaniem: „Czym jest ten cały zespół?”.

*Dziewiąte 5 godzin*

*Liczba udanych akcji: jedna, i to jaka!*

*Liczba zwycięstw: również jedno (z nadmiarem w postaci kasy dla Marcela i mieszkania dla Mileny)*

*Profity (chyba): cholera, ja się zmieniłam pod wpływem tych dzieciaków.*

*Dolegliwości: moje serce ma więcej miejsca niż myślałam. Komora Zosi wciąż pełna, ale pozostałe czekają na nowo przybyłych.*

*PS oczywiście Sebastian także ma swoje miejsce J*

*Dolegliwości innych: podejrzenie zespołu Aspergera u Zuzki (cholera, nie znam takiego muzyka jak Asperger, a on najwyraźniej jest znany, bo nawet ma swój zespół).*

*Rada na dziś: pomyśl, zanim wykorzystasz innych (rada nie dla mnie, oczywiście).*

*Lekcja na dziś: diabły też mogą okazać się ludźmi.*

*Zdziwienie: jak ten czas szybko dziś zleciał, w sumie nie tylko dziś, ale w ogóle w ostatnim czasie.*

## 25 kwietnia 2016 roku

Nasza mroczno-miłosna księga była już gotowa. Aż dziw, że drukarnia tak szybko się z tym uporała, ale czego się nie robi dla podwójnego zarobku. Zdjęcia wyglądały wręcz fascynująco, chciało się na nie patrzeć i przewracać kartki, aby zobaczyć jeszcze więcej. Ja w krwistoczerwonej sukni z czarnymi wstawkami, kupionej na prędko w TK Maxx, oraz Sebastian w czarnym garniturze, zdobionym czerwoną nitką.

– Nadajesz się na mroczną księżniczkę – powiedział Sebastian, przerzucając po raz kolejny kartki zaproszeniowej księgi.

– Nie można się nadawać na kogoś, kim się po prostu jest, i już. – Nie odebrałam jego słów jako komplementu.

Zadowoleni z efektów, postanowiliśmy iść dalej w mroczno-miłosną tematykę, która całkiem przypadkiem wydawała się zdominować nasze wesele. Teraz wszystko musiało z tym współgrać. Zero białych storczyków, które proponowały przyjaciółki. Wesele miało być czarno-czerwonym pojedynkiem pomiędzy królem kier a królową karo. „Karty, to jest myśl” – ucieszyłam się.

– Kochanie, mam wizję! – krzyknęłam, uradowana.

– Zosieńko, nie teraz – stopował mnie. – Najpierw ślub, potem przyjemności.

– Ale kiedy mi właśnie o ślub chodzi!

– O ślub? – zdziwił się. – Nie o seks?

Może faktycznie więcej moich wizji dotyczyło właśnie kwestii przyjemności, ale żeby zaraz tak mnie postrzegać? „Mój własny narzeczony, mój przyszły mąż... miał rację” – zgodziłam się niechętnie, postanawiając poprawę. „Jeszcze o pokutę powinnam zapytać” – przypomniałam sobie formułę spowiedzi.

– Więc co to za pomysł? – Sebastian próbował udawać zainteresowanego. Zamknęłam oczy, pozwalając ponieść się fantazji.

\* \* \*

Słońce rzucało przyjazne ciepłe promienie na udekorowany ogród. Wszystko wkoło zdawało się być sceną teatru, przygotowaną na najważniejszy spektakl. Czerń i czerwień królowały pośród zieleni otaczającej natury. Namiot do tańca, zdobiony rzuconymi z góry kartami królowej karo i króla kier, idealnie współgrał z fotobudką, znajdującą się

w rogu, gdzie pełno było gadżetów rodem z balu maskowego w królewskim pałacu. Siedzący przy okrągłych stołach goście byli zachwyceni czerwono-czarną zastawą i dekoracją stołu, ułożoną na białym obrusie.

– Księżniczko! – zawołał dobrze mi znany głos. – Czy o takim weselu marzyłaś?

– Jest wytwornie. – Sama nie wiem, skąd w moim słowniku znalazło się to słowo, ale doskonale oddawało moje odczucia względem uroku wesela. – Nie mogę doczekać się ich min, kiedy zobaczą prezenty, jakie dla nich przygotowaliśmy.

Sebastian chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę tanecznego namiotu.

– Pora na nasz pierwszy, iście królewski taniec – przypomniał.

Goście patrzyli na nas, podczas gdy my wirowaliśmy spokojnie na parkiecie. Muzyka grała nie tylko w naszych uszach, ale i w sercach. Patrzyliśmy sobie w oczy, kiedy setki czerwono-czarnych baloników spadły na nasze głowy. Zadowoleni, czekaliśmy na więcej. Odgłos przekręcanych tub z płatkami róż docierał do naszych uszu, równie mocno jak muzyka. „Udało się!” – pomyślałam, czując jak czerwono-czarne płatki róż muskają nasze ciała.

\* \* \*

Powoli otworzyłam oczy, chcąc jak najdłużej zatrzymać widok w mojej pamięci.

– Więc? – ponaglał mnie.

– Niech całe wesele będzie mroczno-miłosnym klimatem w czerni i czerwieni – rzuciłam. – Nawiążemy tym do królowej karo i króla kier. Mam wizję wszystkiego... prócz prezentów, bo za szybko otworzyłam oczy.

Sebastian spojrzał na mnie, zdziwiony.

– To zamknij je ponownie.

Jemu wszystko wydawało się proste. W jego świecie, jak w świecie każdego mężczyzny, istniały tylko dwa kolory. Nie była to co prawda biel i czerń, jak w tradycyjnych przypadkach, lecz czerń i czerwień, którym powierzyliśmy nasz wielki dzień.

– Fajny pomysł z tym karo i kier – pochwalił mnie. – Może damy gościom talię kart w prezencie?

– A potem zagramy w bingo – wyśmiałam jego pomysł.

– Chyba w remika – poprawił mnie. – Do bingo nie potrzeba kart.

„Milczenie jest złotem – powtarzałam sobie w myślach, aby nie

wybuchnąć. – Karty, też mi pomysł”. Aż gotowałam się wewnątrz, starając się utrzymać parę pod powierzchnią skóry.

– To musi być coś wyjątkowego – zauważyłam – jak... jak...

Nic nie przychodziło mi do głowy. Pustka. Totalna przepaść, której nie mogłam przeskoczyć, aby zobaczyć, co się za nią kryje.

– Jak mydło – dokończył za mnie, co mnie rozwścieczyło.

– Mydło?

– Tak, mydło, z tymi naklejkami, co teraz się robi – tłumaczył.

Moja twarz zeszywniała. „Chwała, że korzystam z tych drogich przeciwzmarszczowców” – pomyślałam, pewna, że gdyby nie nadzwyczajne kosmetyki, to właśnie w tym momencie moja twarz ukazałaby każdą lekko zmarszczoną niedoskonałość.

– Decoupage! – olśniło go.

– Ty jesteś... – Nie wiedziałam, jakiego słowa użyć, by było w miarę delikatne.

– Genialny! – wykrzyczał radośnie.

Nienawidziłam, kiedy za mnie kończył wypowiedź. Szczególnie wtedy, kiedy nie miał racji.

– Jesteś idiotą! – Nie brzmiało to delikatnie. – Totalnym idiotą! Naszym gościom chcesz dać mydło w prezencie?

Wzruszył ramionami.

– Chcesz im dać do zrozumienia, i to nawet niedelikatnie, że mają się umyć. Bo co są brudni? Śmierdzą? A może inne Sebastianowe mądrości mi sprzedasz?

Wyraźnie zbiłam go z tropu poszukiwania odpowiedniego podarunku dla gości weselnych.

– Mam, mam, wiem już! – ekscytował się. – Może zrobimy takie ręczniki z motywem kluczowych kart, gdzie królową będziesz ty, a ja królem?

Uśmiechnęłam się lekko. „Tego jeszcze nie było” – próbowałam odszukać w myślach ręcznikowe podarunki na którymś z celebryckich wesel. Coraz bardziej byłam na tak, kiedy nagle w mojej głowie zaświtała cudowna myśl.

– I mieliby sobie mną później tyłek podcierać?

– Nie, nie – bronił się Sebastian. – Od podcierania jest papier toaletowy, a my mówimy o ręczniku.

– Ręcznik, sręcznik i tak tyłka nim dotykasz – skwitowałam.

– Ale...

– Żadnych ręczników!

Ponownie zostaliśmy z niczym.

– To musi być coś ekskluzywnego... – Rozmarzyłam się.

Sebastian usiadł i zaczął masować sobie skronie.

– Co ty robisz, do cholery?

– Pobudzam myślenie. – Wciąż zataczał niewielkie kółka palcami. – Zmuszam mój mózg do ciężkiej pracy. Mam w tym wprawę, przecież jestem pisarzem.

Cisza, która nastąpiła, nie zwiastowała wiele. Nie wiem czemu, ale byłam sceptyczna wobec tego całego masowania w celu pobudzenia myślenia, Sebastianowego myślenia.

– Że ja wcześniej na to nie wpadłam! – Doznałam olśnienia. – Zamówimy spinki dla mężczyzn i kolczyki dla kobiet, z motywem dwóch kart. To będzie taki faux pas.

– Skąd ty znasz takie słowa? – zdziwił się.

– Mój wykładowca powtarza to sformułowanie niczym pacierz i nie rozumiałam czemu, więc sprawdziłam i mój słownik jest bogatszy o dwa wyrazy – ucieszyłam się.

– Czemu dwa? Jeden, kochanie, i oznacza coś zupełnie innego – poprawił mnie.

– Może jeden, ale pisze się dwa, więc ja wybrałam tę większą liczbę i tobie nic do tego. – Przeczesałam nerwowo włosy palcami. – Pomyśl lepiej o spinkach i kolczykach. Czyż nie jestem genialna?

Nie potrzebowałam jego uznania, aby wiedzieć, że taki podarunek zostanie zapamiętany na znacznie dłużej niż ciasteczka, bańki mydlane, a nawet nieszczęsny ręcznik. Mój pomysł pozwalał gościom na wspomnianie naszego wesela co jakiś czas. Oczywiście wyobraźni widziałam gwiazdy z pierwszych stron gazet, w kolczykach z naszego ślubu. Spinki nie były, niestety, aż tak widoczne, ale cóż... mężczyzn też trzeba czymś obdarować.

– Wiesz, ile to będzie kosztowało?

– Nie wiem – burknęłam. – I wcale mnie to nie interesuje. Tatuś zapłaci, przecież ma jedną córkę.

– A Zuza?

– Zuza to nie córka, Zuza to diabeł.

Już chciał coś powiedzieć, ale mój wzrok go powstrzymał. Tak, wiem, zmieniłam zdanie o Zuzce, ale bez przesady, ślub był mój i koniec kropka. No może ewentualnie ze zmianą na nasz...

Zadowolona z rozwiązania problemu podziękowań dla gości, rzuciłam się

na laptop w celu wyszukania kogoś, kto zrealizuje wszystkie moje śmiałe pomysły. „Organizator ślubów” – przypomniałam sobie. Ja zapłacę, on działa. Układ wprost idealny.



## 26 kwietnia 2016 roku

Magdalena Woźniak – tak od dziś nazywał się mój największy niewolnik ślubny. Młoda, ładna, z doświadczeniem. Czegóż chcieć więcej, aby załatwić nawet najtrudniejsze, wręcz niewykonalne misje.

Sebastian, zajęty sprawami wydawanej książki, nie mógł uczestniczyć w spotkaniu. „Jak zawsze wszystko na mojej głowie” – pomyślałam, siedząc w wydziałowej kawiarence. Ogrom zajęć na uczelni nie pozwolił mi na spotkanie w innym miejscu. Musiała wystarczyć nam kawa z ekspresu i ciasto bananowe, z tak śladową ilością owoców, że trudno je nawet wyczuć w dość sporym kawałku.

Przyszła punktualnie. Blondynka z włosami do ramion, zaczesanymi do tyłu. Wyglądała ładnie, choć opaska włożona w jej włosy jest trochę zbyt widoczna. Ubrana w sukienkę do kolan, chciała najwyraźniej uchodzić za skromną i kompetentną.

– Witam, nazywam się Magdalena Woźniak i jestem...

– Wiem, kim pani jest, przecież po to panią tu zaprosiłam. – Podałam jej rękę. – Zosia Majer z TYCH Majerów.

Dziewczyna rozsiadła się wygodnie na plastikowym krześle. Z dużej pudrowo różowej torebki wyjęła kalendarz, pióro Parkera i okulary. „Typ kujonki” – pomyślałam sobie.

– Zatem kiedy ślub, pani Zofio?

– Tylko nie Zofio! – zdenerwowałam się. – I może lepiej bez „pani”, jak mamy ze sobą pracować.

Dziewczyna skinęła głową.

– Ślub jest drugiego lipca. Mam tutaj listę zadań dla ciebie, włącznie z adresem kościoła oczywiście. – Podałam jej przygotowany starannie wykaz.

Wzięła go i zaczęła czytać.

– Ale tu nie ma adresu sali weselnej – zauważyła.

– Nie ma i nie będzie! Wesele będzie w ogrodzie mojego rodzinnego domu.

Czytała dalej, co jakiś czas zapisując coś w swoim kalendarzu.

– Rozumiem i powiem ci, że lubię trudne wyzwania, a to bez wątpienia takim będzie. – Zaśmiała się lekko. – Dwa miesiące, żeby zorganizować ślub jak z bajki. Tego jeszcze nie było.

– I nie będzie – burknęłam.

– Jak to?

– Po nas już nikt nie będzie miał takiej ceremonii, będą o tym pisali na pierwszych stronach gazet i nawet ludzi z Pudelka zaproszę, aby i oni zobaczyli, jak się bawi prawdziwa elita. – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. – Twoim zadaniem jest wykonywanie tego, co ja wymyślę, a jeśli braknie mi pomysłów, to masz wpaść na taki, na który sama chciałam wpaść, tylko mi po prostu nie wyszło. Jasne?

– Ja-sne – wydukała.

– Dekoracje w kościele mnie średnio interesują, tam nie musi być motywu kart, ale niech będzie wyjątkowo. Jakieś świece w kielichach w kolorach czerni i czerwieni, kwiaty, dywan oczywiście i co tam sobie wymyślisz. – Wzruszyłam obojętnie ramionami. – Kościołem i tak nikt się nie przejmuje. Oni będą pamiętać to, co nastąpi potem. I na tym masz się skupić. Ogromny namiot do tańca, z parkietem i zwisającymi z góry kartami królowej karo i króla kier, fotobudka, drink-bar, atrakcje dla dzieci, może jakaś wróżka... –

Poniosły mnie wodze fantazji. – Do tego balonowa loteria na dzieciaki z domu dziecka. Oczywiście balony mają być w dwóch wzorach.

– Damy karo i króla kier – przerwała mi.

Z uznaniem pokiwałam głową.

– Szybko łapiesz, podoba mi się to – pochwaliłam ją, a ona się zarumieniła. – Musisz załatwić orkiestrę, fotografa, kamerę i wszystkie te drobiazgi, którymi nie chcę zaprzętać sobie głowy. Zresztą zapisałam ci na liście i nie zmarnuj tego, bo rzadko piszę coś dłużej niż SMS na iPhone. Ma być wyjątkowo. Aaa... i cena nie gra roli. Wszystkie wskazówki i wyjaśnienia są na drugiej stronie, jak nie ma czegoś na liście, znaczy, że masz się tym nie interesować. Balonowa loteria ma być hitem, który zostanie zapamiętany i opisany w gazetach. Nie jakaś tam karma dla psów czy zabawki, ale prawdziwe pieniądze na dom dziecka. Już widzę ich uśmiechy... – Rozmarzyłam się. – ...a i ja na tym trochę skorzystam. Znaczy się Sebastian, bo to pomoże przy reklamie jego książki.

– Napisał książkę dla dzieci?

– Chyba umarłych – przypomniałam sobie opowieści narzeczonego na temat jego dzieła.

Zrobiła dziwną minę, ale nie skomentowała.

– A fotografa na sesję poślubną także umówić? I co z podróżą poślubną? – zmieniła temat.

– Nie przesadzaj, w podróży poślubnej poradzimy sobie bez ciebie –

zauważyłam.

– Nie wątpię, ale czy rezerwować?

– Oczywiście, jeszcze w tym tygodniu powiem ci, gdzie chcemy lecieć. – Uśmiechnęłam się. – A fotografa zamów, ale to będzie sesja klasyczna, dla czasopism i reszty mediów.

– To znaczy?

– Ja w białej sukni, a Sebastian w smokingu i muszce.

– Już ktoś wykupił prawo do sesji?

– Jeszcze nie, ale to tylko formalność. – Zdenerwowała mnie swoim pytaniem. – Będą walić drzwiami i oknami, żeby zrobić nam zdjęcia w ogrodzie.

– W ogrodzie nie ma okien.

– Woźniak, zważaj sobie! To ja ci płacę i masz być potulna jak mały szczeniaczek.

– Przepraszam, właśnie szczeniak zrobił siku.

– Że tutaj?

– Żartowałam, to taka przenośnia do twojej wypowiedzi – próbowałam tłumaczyć.

– Jedyne, co możesz teraz przenieść, to swój tyłek w poszukiwaniu prezentów dla gości. Ma być tak, jak napisałam. – Wstałam, aby się pożegnać.

– Robi się, królowo. – Ucałowała mnie w policzek i już jej nie było.

„Ciekawe, co z tego będzie?” – zastanawiałam się, podjadając ciasto. Magda wydawała się rozumnym stworzeniem, choć trochę roztrzepanym. Wiedziałam jednak, że się postara. Mój ślub był dla niej przepustką do lepszego świata – do świata gwiazd, czerwonych dywanów i reflektorów, o którym marzył każdy. „Z tej kaczki może być łabędź – pomyślałam z uśmiechem na ustach. – Już ja tego dopilnuję”.

# 1 maja 2016 roku

Do ślubu raptem dwa miesiące, a Sebastian żył tylko książką. Nic do niego nie docierało, chyba że dotyczyło chleba weselnego, który dziwnym trafem i tak kojarzył mu się z jego dziełem. Aż strach pomyśleć, co będzie po tej całej premierze. Jeszcze trochę, a osiwieję, co nie jest dobrym proroctwem dla moich kruczoczarnych włosów.

Dzień wolny od studiów, wolny też od przygotowań do ślubu, z wyjątkiem wyprawy, aby rozdać kilka zaproszeń. Większość z nich wysłaliśmy, ale te najważniejsze postanowiliśmy dostarczyć osobiście. Niech ludzie wiedzą, że coś robimy w związku z naszym wielkim dniem.

Dzisiejszym kierunkiem jest miejsce, które przypadkowo pokochałam, mimo początkowej niechęci – dom dziecka. Moja kara, która okazała się szkołą życia dla dwudziestodziewięciolatki.

Dzwonek do drzwi oznajmił przybycie Sebastiana.

– Aż cud, że zajęty promocją książki dał radę znaleźć chwilę na tak przyziemne rzeczy, jak rozdanie zaproszeń z narzeczoną – zakpiłam pod nosem.

Nie rozumiałam jego radości i chyba to bolało najbardziej. On się cieszył, że będzie miał coś swojego, co po nim na zawsze zostanie, a ja nie miałam nic. Dzięki jego książce zrozumiałam, że pieniądze to nie wszystko, choć wcześniej myślałam inaczej.

– Gotowa? – zapytał, kiedy otworzyłam mu drzwi.

– Nie widać? – Wskazałam dłońmi na siebie.

– To idziemy, bo za dwie godziny muszę być pod telefonem.

– Znowu? – Zasmuciłam się.

Miałam nadzieję na wspólny obiad lub chociaż krótki spacer.

– Jeszcze tylko kilka dni. – Pocałował mnie w usta.

Wierzyłam mu. Nie miałam wyboru.

– Masz zaproszenie? – zapytał, a ja skinęłam głową.

Pojechaliśmy do nieprzyjemnego budynku, w którym kryło się wiele pozytywnych uczuć.

– Tu naprawdę można mieszkać? – Z przerażeniem patrzył na szary budynek. – Te mury nie widziały chyba remontu od dziesiątków lat.

– A jednak oni tu muszą mieszkać – wyznałam smutno. – W sumie nie mają innego wyboru.

Nacisnęłam klamkę, aby otworzyć drzwi.

– Zosia, Zosia! – Przechodząca korytarzem Dzesika zauważyła nas pierwsza.

– Zawołaj wszystkich do świetlicy – poleciłam jej.

– Mikołaj! – ucieszyła się. – Pan jest Mikołajem? Nie ma pan brody i nie jest pan czerwony – dopytywała Sebastiana.

– To mój narzeczony. – Pogłaskałam ją po głowie. – Leć po resztę.

Ruszyliśmy w dwójkę w stronę świetlicy, do której zaczęły powoli schodzić się dzieciaki. Kiedy byli już wszyscy, Marcel zamknął drzwi i otworzył okna, aby nie było przeciągu z korytarza.

– Skoro jesteśmy już wszyscy, to mogę, a w zasadzie możemy... – Ścisnęłam mocno dłoń Sebastiana.

– Biedne dziecko – stwierdził Marcel.

Zmierzyłam go nieprzyjemnym wzrokiem.

– Nie, nie jestem w ciąży. – Uśmiechnęłam się promiennie. – Chcielibyśmy was zaprosić na nasz ślub, który odbędzie się za dwa miesiące, czyli drugiego lipca.

– Biedny ty – Marcel zwrócił się do Sebastiana. – Zostały ci dokładnie dwa miesiące i jeden dzień, Zosiu...

Dzieciaki zaczęły skakać, nie zwracając uwagi na słowa kolegi. Część z nich zapewne nie rozumiała, co oznacza nasze zaproszenie, ale widząc reakcję pozostałych, nie chciały być gorsze.

– Chwila! – wesołe piski przerwał głos mojego narzeczonego. – Zosia nie powiedziała wam o najlepszym.

Skinął na mnie głową, abym zaczęła mówić. Patrzyłam na ich radosne twarze, ciesząc się, że mogłam ich poznać, pobyc z nimi. Przez ostatnie tygodnie zrobili dla mnie więcej niż ja sama dla siebie przez całe życie. Nauczyli więcej niż wszyscy nauczyciele, jakich miałam. Skradli moje serce.

– Skoro idziecie na ślub, to najpierw trzeba pójść na zakupy! – wykrzyczałam wesoło.

Dzieciaki podbiegły do mnie i Sebastiana, tuląc nas czule. „Dla takich chwil warto się zmienić” – pomyślałam, kładąc głowę na ramieniu narzeczonego.

– Pobawisz się z nami? – zapytała Dzesika Sebastiana.

Ochoczo poszedł za nią, czekając na propozycje zabawy.

– To może we Włóczykija? – usłyszałam głos Marcela.

– Marcel! – Skarciłam go wzrokiem.

– Chciałem go przetestować dla ciebie. – Zaśmiał się, a Sebastian wodził

oczami, nie rozumiejąc, o czym mówimy.

– Później ci wyjaśnię. – Posłałam mu całusa w powietrzu.

Młodsze dzieciaki zawładnęły Sebastianem, każąc mu robić owoce z ciastoliny. „Jak go znam, proponuje lepienie chleba” – uśmiechnęłam się do swoich myśli, aby po chwili usłyszeć potwierdzenie z ust narzeczonego.

Zabawa trwała i trwała. Sebastian zapomniał o służbowym telefonie, co bardzo mnie cieszyło. „Zrobił chociaż coś pożytecznego” – próbowałam wytłumaczyć swoją niechęć do książki. Nie chodziło o to, że nie lubiłam czytać. To była zupełnie inna rozmowa. Chodziło o to, że książka zdawała się ważniejsza niż ja, co nie mogło ująć mojej uwagi.

– Kochanie, może się zbieramy? – zaproponowałam po jakimś czasie.

– Oczywiście, moja pani. – Uśmiechnął się.

Dzieciaki pożegnały nas czule, posyłając buziaki i radosne uśmiechy.

– Może obiad? – zaproponował Sebastian, kiedy opuściliśmy dom dziecka.

– A ty nie miałeś być pod telefonem? – zapytałam, zdziwiona jego propozycją.

– Miałem, ale jak się bawiłem z dziećmi, to wysłałem SMS-a, że dziś mam dzień dla rodziny i jestem poza zasięgiem.

„Rodziny” – dźwięczało w mych uszach wesoło, kiedy do oczu zaczęły napływać mi łzy.

– Co jest? – Był wyraźnie zdziwiony.

– Myślałam, że już ci na mnie nie zależy – wyznałam szczerze, nie mogąc zatrzymać płynących po policzkach kropel. – Tylko ta twoja książka i książka.

Przytulił mnie, trzymając w objęciach zbyt długo. Najwyraźniej chciał odwlec moment tłumaczenia, nie wiedząc, co powinien powiedzieć.

– Przepraszam – wybrał zarazem najprostsze, ale i najtrafniejsze rozwiązanie. – Myślałem, że dla ciebie ona też jest ważna. Chciałem, abyś była ze mnie dumna. Ty – taka śliczna i dobra, a ja... ja – zwykły chłopak z sąsiedztwa.

– Jestem z ciebie dumna, ale wolałabym mieć ciebie więcej... skoro jesteś rodziną, to rozmawiajmy z sobą.

– Co do rozmowy, to musimy jeszcze chyba pogadać, ale to nie dziś. Dziś ma być przyjemnie – powiedział tajemniczo, wywołując w mojej głowie lawinę pytań.

Nie ciągnęłam tematu. „Cierpliwość jest dziewczicą” – przypominałam sobie znane porzekadło, chcąc wytrwać w czekaniu.

Weszliśmy do restauracji, kelner wskazał nam zarezerwowany wcześniej stół.

– Kiedy to zrobiłeś?

– Przez aplikację w telefonie – pochwalił się.

Złożyliśmy zamówienie, a ja wciąż myślałam o słowach Sebastiana. „O czym on chce rozmawiać?” – próbowało wyrwać się z mojej głowy na zewnątrz, aby poznać odpowiedź.

– Jak idą Magdzie przygotowania? – przerwał niezręczne milczenie.

– Stara się, cały czas dzwoni i dopytuje, a jak nie odbieram, to pisze SMS-y w stylu: „Błagam, odbierz ostatni raz”, choć i tak wiem, że to nie będzie ostatni.

– To chyba dobrze?

– W sumie doskonale. Narzeczony do mnie nie dzwoni, to musi mi Magda wystarczyć. – Uśmiechnęłam się lekko.

– Co powiesz zatem na mały seans filmowy we wtorek?

– Kiedy to?

– Trzeci maja.

– Kurczę, nie mogę, jestem umówiona z dziewczynami na plotki.

– O czym wy chcecie znowu plotkować? – Zaśmiał się, wiedząc, że wszystkie kontaktujemy się z sobą na bieżąco.

– O moim wieczorze panieńskim!

Sebastian zrobił wielkie oczy.

– O czym?

– I moim ostatnim szalonym wieczorem w czasach wolności – wyznałam.

– Nie sądzisz, że już miałaś takich hm... szalonych wieczorów wystarczająco dużo? – zauważył.

– Ale ten ma być ostatnim. – Zatrzepotałam rzęsami. – Ty też sobie zrób taki szalony męski wieczór.

Spojrzał na mnie niepewnie.

– Z paczką chipsów i coca-colą?

– Nie, z Kordianem i innymi znajomymi – zachęcałam go.

– Ja nie mam innych znajomych. – Spuścił wzrok.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przez to swoje pisanie stracił kontakt z ludźmi. „Aż dziw, że ten Kordian się uchwiał” – pomyślałam. Kelner przyniósł nasze zamówienie, a ja wciąż zastanawiałam się, jak mogę pomóc narzeczonemu. Było mi go szkoda. Biedak musiał mieć przyjaciół lub choćby znajomych, bo jeśli pokłóci się z tym całym Kordianem, to komu się wyżali.

Przecież nie mnie...

– Wiem! – Aż wstałam z krzesła, dumna z siebie. – Pójdiesz do klubu i powiesz, że stawiasz wszystkim piwo, jedno, drugie i... się rozkręci. Jak jesteś dobry dla innych, to oni dla ciebie też będą.

Sebastian najwyraźniej nie rozumiał, o co mi chodzi. Patrzył na mnie tym swoim pytającym spojrzeniem, czekając, aż powiem więcej, lecz nie miałam tego w planie.

– A co oni dla mnie zrobią? – zapytał w końcu.

– Oni się z tobą zaprzyjaźnią – mówiłam, uradowana.

– Dlatego, że stawiam im piwo? To nie przyjaźń, to wykorzystywanie.

Miał rację. Cholera, ponownie miał rację. Moje próżne podejście znów dało o sobie znać. Pozwoliło pokazać, że pieniądze są najważniejsze, że mając je, mamy władzę. Sebastian miał rację. Przyjaźni się nie kupi. W przyjaźni kupić można jedynie mordercę. Mordercę, który byłby zdolny zabić Jolkę, kiedy ja bym się zawahała.



## 3 maja 2016 roku

Spotkanie dotyczące losów mojego wieczoru panińskiego miało mieć miejsce w domu Berki i Karola, z racji trudności w przemieszczaniu się błogosławionej przyszłej matki Polki. „Niech ta jej ciąża już się skończy” – błagałam, mając nadzieję, że wieczór paniński spędzimy poza granicami jej mieszkania.

Punktualnie o piętnastej wraz z Baską dotarliśmy do Berki. Cała reszta czekała na nas, sącząc carlo rossi. Tylko biedna ciężarna musiała zadowolić się sokiem ze świeżych jabłek, który kupiła specjalnie dla niej Marietta.

– Siadajcie, kochane, a ja wam powiem, jakie mamy plany. – Mari wskazała kanapę. – Twój wieczór paniński będzie imprezą nie z tej ziemi.

Już mi się podobało. „Niech każdy wie, że księżniczka wychodzi za mąż” – pomyślałam, uśmiechając się do siebie.

– Zamieniam się w słuch. – Ulokowałam się wygodnie na niewielkim skrawku kanapy, jaki pozostał wolny.

Marietta podeszła do swojej torby, aby wyjąć z niej tęczową teczkę. „Jak widać proces odsztywniania wciąż trwa” – byłam z niej dumna.

– Jako że Zosia wychodzi za mąż tylko raz...

– A ja to ile razy wychodziłam? – oburzyła się ciężarna.

– Mari chodzi o to, że ty w razie potrzeby znajdziesz następnego, a ona... sama widzisz. – Jolka, jak zawsze, musiała dodać coś złośliwego.

Powiedzenie, że milczenie jest złotem, zdecydowanie nie znajdowało miejsca w życiu Jolki. Ona była ponad wszelkimi normami, zwyczajami, tradycjami, a może bardziej poniżej tych norm.

– Chodzi mi o to, że musi być wyjątkowo, bo Zosia nie lubi nudy – wytłumaczyła Jolce Marietta. – Prawda? – zwróciła się do mnie.

Skinęłam ochoczo głową, posyłając jednocześnie mordercze spojrzenie Jolce. „Że też ja jej jeszcze nie zabiłam” – zamyśliłam się na chwilę.

– Pojedziemy na fajfy do Ciechocinka! – Mari aż klasnęła z radości.

Wyjęła z teczki kilka kolorowych kartek, pokazując je każdej z nas.

– Może nie mają tam Marriotta, ale jest kilka hoteli, które są oblegane przez turystów i mają doskonałe spa – zachwalała. – Weekend w rezydencji Villa Park, a wieczorkiem fajfy z tubylcami i przyjezdnymi.

– Tylko ci przyjezdni to pewnie już na emeryturze – zauważyła Monia.

Marietta pokręciła z niezadowoleniem głową. Nie lubiła sprzeciwów.

– Emerycy mają więcej werwy niż te młode dziki... w tańcu oczywiście. –

Zaśmiała się. – A przecież o zabawę nam chodzi.

– Co to są te fajfy? – postanowiłam zapytać.

– Fajfy to takie imprezy taneczne o piątej. Są w każdej knajpie i nawet nie wiesz, ile ludzi na nie przychodzi. Zawsze można wyrwać jakiegoś dziadka, który postawi ci drinka, a może i więcej. – Marietta broniła swojego pomysłu.

– Mamy być galeriankami? – zdziwiła się Monia.

– Chyba tęzniankami – burknęła z niezadowoleniem Jolka – bo galerii to oni na oczy w tym Ciechocinku nie widzieli. A poza tym w waszym wieku to już raczej emerytowane galerianki.

– Masz rację, w naszym wieku. – Berka jako jedyna zauważyła nieścisłość w wypowiedzi Jolki. – W naszym, znaczy się twoim także.

Jolka zamilkła na chwilę, zapewne rezygnując z ciętej riposty w stosunku do ciężarnej. Byłam bardziej niż pewna, że jak już Berka urodzi tego potwora z brzucha, to Jolka odegra się na niej za dzisiejsze wypomnienie wieku.

– No dobra, niech stracę i pojedziemy na te fejfy – postanowiłam.

– Fajfy – poprawiła mnie Mari. – To musimy wybrać dogodny termin.

Każda z nas sięgnęła po kalendarz, jakbyśmy miały je wypełnione niczym największe gwiazdy kina. Oczywiście, ja należałam do tych wielkich gwiazd, ale mój kalendarz musiał się dopasować do mnie, nie ja do niego.

– Może weekend od dwudziestego do dwudziestego drugiego maja, czyli za lekko ponad dwa tygodnie? – zaproponowała Monika.

Jolka skinęła na znak zgody, ja, Baśka i Mari także. Tylko Berka cały czas przerzucała kartki swojego kalendarza.

– Nie możemy! – wykrzyknęła nagle. – Musimy być wtedy w Staromiejskim Domu Kultury, to znaczy w sobotę musimy tam być.

– Masz tam szkołę rodzenia? – zapytała Baśka.

– Do szkoły rodzenia bym was nie zabrała, a wtedy musicie być ze mną – odpowiedziała Berka.

– Dają rozwody w domu kultury? – zdziwiła się Jolka. – No, skoro śluby można brać gdzie się chce, to trzeba i innowację w rozwodach wprowadzić.

Berka pogładziła się nerwowo po brzuchu. Nie chciała wybuchnąć. Kilka ruchów ręką wystarczyło, aby wrócić do stanu spokojnej matki.

– Doktor Papuzka ma wtedy pokaz swojej metody powstałej na podobieństwo jakiegoś Porannego Kręgu, który pomaga niepełnosprawnym.

– Gadasz! Co to takiego? – zainteresowała się Monika.

– On to nazwał Papuzim Kręgiem...

Wszystkie parsknęłyśmy śmiechem.

– Też tak zareagowałam. Jak byli z mamą na Fuerteventurze, to w takim parku zwierząt były specjalnie wytresowane papugi, grały w koszykówkę, jeździły na deskorolce...

– Papuga na deskorolce? – zdziwiłam się. Dla mnie było to nieosiągalne doświadczenie, a co dopiero dla jakiejś papugi.

– Tak, widziałam to nawet na filmie – odpowiedziała mi Berka. – I obydwójce stwierdzili, że skoro papugi są takie mądre, to można je wykorzystać w pracy z niepełnosprawnymi intelektualnie. Dzieciaki mają uczyć papugi jakichś sztuczek, a przy tym same się czegoś nauczą – wytłumaczyła.

Patrzyłyśmy na nią z szacunkiem. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że jej matka będzie skłonna zrobić w życiu cokolwiek, a co dopiero coś pożytecznego. Sama Berka wydawała się zadowolona z całej inicjatywy. Nie mogłyśmy zatem jest nie wesprzeć w dniu inauguracji metody.

– To może kolejny tydzień? – zapytała Marietta.

– Siódmego muszę być na zebraniu dotyczącym ostatecznego planu promocji książki Sebastiana. – Baśka spojrzała na mnie wymownie. – Do osiemnastego jestem niedostępna, a po osiemnastym mogę się wstydzić wychodzić z domu.

– Następny tydzień po Papuzim Kręgu. – Mari zręcznie ucięła jej wypowiedź.

Baśka skinęła niechętnie głową, wyraźnie niezadowolona z tego, że nikt nie współczuł jej nawału pracy, związanego z wydaniem książki mojego narzeczonego. Może jednak miała trochę racji z tym wstydem, kiedy już książka trafi do księgarni, a potem w ręce wymagającego czytelnika, jak określała go zawsze Baśka.

– To dzwonię do Villi i rezerwuję nam wszystkie możliwe zabiegi – ucieszyła się Marietta.

– Kąpiel z pomarszczeńcem też nam zapewnisz? – kpiła Jolka, lecz Mari postanowiła nie reagować na jej zaczepki.

Wyluzowana Marietta wciąż była perfekcjonistką, niemogącą pozwolić sobie na awanturowanie się bez powodu. „A może powód był? – zastanawiałam się przez chwilę, jednocześnie podziwiając przyjaciółkę za jej silną wolę. – Ja na pewno bym odbiła atak”.

– Dziewczyny, a jaki motyw przewodni zrobimy na wieczorne w Ciechocinku? – Berce chyba przypomniał się strój Myszki Minnie z jej

panieńskiego.

– Patrząc na resztę fajfowiczów to chyba „ostatni rejs na Titanicu” – zaproponowała Monika.

– Tam są powodzie? – zdziwiłam się.

– Oj, Zośka, Zośka, a ja już myślałam, że ten dom dziecka to całkowicie z ciebie głupotę wybił – zaśmiała się Baśka.

– Niech będzie rejs na Titanicu, bez „ostatni” – postanowiła Monika.

Wtorkowe, wolne z racji święta, popołudnie przebiegło w przyjemnej atmosferze. No może prócz kilku uwag zrzędlivej Jolki, której humor mógł być spowodowany przytyciem w okolicy ud. „Aż dziw, że żadna z nas nie zwróciła jej uwagi” – dopiero teraz się nad tym zastanowiłam, postanawiając, że w razie wojny to właśnie te kilka kilo będzie moją najcięższą bombą.

## 10×5

Jeszcze niedawno cieszyłabym się, że nadszedł ostatni dzień odbywania mej kary. Jeszcze niedawno, ale nie dziś. Dziś było mi smutno, że pewien źle rozpoczynający się rozdział musi się zakończyć. Zakończyć happy endem, z którego jestem dumna. Dzieciaki polubiły mnie, a i ja zrozumiałam, że w moim sercu jest więcej miejsca niż tylko dla mnie. Te małe „potwory”, jak nazywałam je na początku, nauczyły mnie więcej niż wszystkie szkoły, do jakich uczęszczałam.

Z wielkim tortem, kilogramami cukierków weszłam przez dobrze znane mi drzwi, za którymi panowała cisza. Nie tego się spodziewałam. Myślałam, że i dla nich będzie to wielki dzień, jednak najwyraźniej się pomyliłam. Pusty korytarz, który zapamiętałam z mojej pierwszej wizyty, nigdy potem nie był pustym. Biegały po nim roześmiane dzieciaki, co rusz wymyślając nową zabawę.

– O, pani dziś u nas? – Za plecami usłyszałam głos kucharki.

„Zapomnieli” – posmutniałam, dochodząc do wniosku, że byłam dla nich tylko jedną z wielu. – Przecież dzieciaki nieraz powtarzały, że „ktoś przychodzi, by potem odejść”. Jeszcze kiedy mówili mi te słowa, byłam pewna, że i ze mną tak będzie. Chciałam jak najszybciej zakończyć przymusową pracę, aby móc znów żyć beztrąsko w swojej książęcej komnacie.

– Dzieciaki są w świetlicy, mają tam jakiś turniej gier planszowych – powiedziała niepytana o nic kucharka.

– Grają w planszówki beze mnie? – zdziwiłam się. – Kto będzie przegrywał? – Wysiliłam się na uśmiech.

Ruszyłam przed siebie. Drogę do świetlicy przemierzałam regularnie. To właśnie tam działy się wszystkie najważniejsze wydarzenia z życia domowników: turnieje, odrabianie lekcji, oglądanie telewizji, a nawet skromne obchody urodzin czy imienin.

Zamknięte drzwi świetlicy świadczyły o otwartych na oścież oknach. Dzieciaki zawsze tak robiły, aby uniknąć przeciągu i niepotrzebnego trzaskania drzwiami.

– Niespodzianka! – Usłyszałam głośnie krzyki, kiedy tylko nacisnęłam klamkę.

Nim zdążyłam wejść do środka, dzieciaki były już przy mnie. Dżesika złapała moje nogi, nie dopuszczając innych blisko mnie.

– A ja myślałam... – Łzy napłynęły mi do oczu.

– Ty nie myśl, Zośka, to nie w twoim stylu. – Rozpoznałam głos Marcela.

Kiedyś jego słowa wywołałyby u mnie lawinę złości. Dziś wiedziałam, że nie ma złych intencji, po prostu lubi się ze mną droczyć, a ja powinnam mu na to czasem pozwolić.

Dzieciaki odeszły ode mnie na chwilę, aby powrócić ponownie z pięknymi laurkami, na których była dziwna postać z długimi czarnymi włosami, mająca zapewne być mną. Zbyt długie ręce, za krótki tułów czy wielkie stopy to coś, do czego zdążyłam się przyzwyczaić przez ostatnie miesiące. Sama lepiej siebie narysować nie potrafiłam, więc czego wymagać od dzieci.

– To może dziś pobawimy się w coś szalonego? – zaproponował Marcel.

– Hm... pod warunkiem, że ty jesteś włóczykijem. – Wiedziałam doskonale, jaką zabawę ma na myśli.

– Chciałabyś zobaczyć takie ciacho jak ja, co? – przechwalał się.

– Chyba za dużo drożdży do ciebie dodali, bo jakoś za bardzo wyrosłeś. – Wskazałam na okolice brzucha.

– Marcel, Zosia, choć jeden dzień sobie darujcie – upomniała nas pani dyrektor.

Marcel odszedł do reszty, aby rozłożyć cukierki na półmiski. Widząc tort, zorientował się, że przydałby się nóż, po który niezwłocznie udał się do kuchni.

– Będziemy za tobą tęsknić – przyznała dyrektorka, kiedy byliśmy same.

– Ja za wami też.

– Zosiu, nie chcę być nachalna, ale może pomyśl o zmianie kierunku studiów. – Spojrzała na mnie znacząco. – Z dziećmi radzisz sobie doskonale. Kochają cię.

Zaśmiałam się.

– Niech pani nie zapomina, czemu tu jestem.

– Pamiętam i wiem, że tego żałujesz – zauważyła.

Skinęłam głową, bo miała rację.

– Byłam w przedszkolu, przeprosić tego chłopca – zwierzyłam jej się.

– Doskonale – pochwaliła mnie.

– No, można tak powiedzieć – rzuciłam niepewnie. – Zaniósłam mu w ramach przeprosin zestaw Lego Star Wars.

– Miło z twojej strony. Rozumiem, że się ucieszył i wybaczył? – Uśmiechnęłam się.

– On tak, ale inne dzieci chciały, żebym... je pobiła. – Zrobiło mi się

głupio.

Kobieta zaśmiała się pod nosem. Sama pracowała z dziećmi i wiedziała, jakie są przekupne. Nie musiałam mówić jej więcej, aby zrozumiała przedstawioną przeze mnie sytuację.

– Dobra, dzieciaki, to zaczynamy przedstawienie. – Dyrektorka wpierv głośno klasnęła w dłonie, zanim zaczęła mówić.

Dzesika wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na krzesło, udekorowane bordową narzutą (zapewne zasłoną), przewiązaną złotą wstążką z kokardą na końcu. Kurtyna, zrobiona z podobnych narzut, odsłoniła się, ukazując zadowolone dzieciaki z kolorowymi pacynkami w dłoni.

– Jestem Zosia i jestem najpiękniejszą bogaczką – zaczął mówić jeden z chłopców, przeczesując jednocześnie palcami czarne włosy pacynki.

– Chyba jak sama na przystanku stoisz – powiedział następny chłopiec, zapewne będący w tym przedstawieniu Marcellem.

– Nie stoję na przystanku, bo tam za dużo zarasków.

– Niby jakich?

– Takich, srakich i owakich – powiedziała pacynkowa ja.

Zaśmiałam się szczerze, przypominając sobie sytuację, kiedy, nie wiedząc, co powiedzieć, tworzyłam rymy. „Kilka tygodni wystarczyło, aby te dzieciaki mnie całkowicie rozgryzły” – pomyślałam, dumna z nich.

Przedstawienie trwało, a ja śmiałam się wniebogłose. „Idealnie przerysowana ja” – pochwalałam w myślach scenarzystę sztuki.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła? – Obok mnie pojawił się Marcel.

Mogłam się domyślić, że to jego sprawka.

– Nie, pod warunkiem, że na końcu będę mądrą, piękną i dobrą istotą. – Zaśmiałam się.

– Jakoś przeżyję, jak będziesz na mnie zła. – Uśmiechnął się i już go nie było.

Najwyraźniej pozwolił mi w spokoju delektować się końcówką sztuki, w której grałam wymarzoną główną rolę. Główną rolę w ubraniach, jeśli tak można nazwać poszarpany rękaw bluzy, z której zrobiono mi sukienkę. Dzieciaki biły brawa swoim występującym kolegom, a mnie zrobiło się smutno, że mój czas w domu dziecka dobiegł końca (zwrot niczym z *Big Brothera*, którego oglądałam w TVN-ie lata temu), ale także przyjemnie, że ktoś będzie mnie miło wspominał, co do tej pory raczej nie miało miejsca. Zazwyczaj wszyscy chcieli się mnie szybko pozbyć. Tylko na studiach grali rolę o cztery lata za długo. Byłam dla nich jak mrówka w kompcie, która nie

mogła wyjść, zanim się go nie wypilo, znaczy pracy nie napisało.

– Czy mogę coś powiedzieć? – Wstałam ze swojego „tronu”.

– Będzie przynudzać! – krzyknął Marcel, zaraz potem zaczynając wydobywać z siebie głośnie „buuuu”.

Mimo próby wyprowadzenia mnie z wewnętrznej równoważni w ramach podziękowania postanowiłam powiedzieć kilka słów.

– Kochani... – Czułam się jak prezydent na wiecu. – ...jestem wam wdzięczna za wszystko, co mnie tu spotkało. Było kilka wpadek...

– Kilka? – zaśmiał się wychowawca.

– No, może kilka to zbyt delikatne określenie. – Uśmiechnęłam się, chcąc, aby mi wybaczyli te drobne nieporozumienia. – Jednak mimo wszystko było nam ze sobą dobrze. Pokazaliście mi, że jest we mnie coś więcej niż samozachwył, choć musicie przyznać, że był i jest on słuszny. – Wskazałam na swoją nienaganną sylwetkę. – Dziękuję, że mogłam być tu z wami... – Wzruszyłam się.

– Nie mieliśmy w sumie za dużego wyboru – burknął złośliwie Marcel, lecz widząc płynące po moim policzku łzy, podszedł, aby mnie przytulić. – Nie jesteś aż taka zła.

– Mieszczę się w skali?

– Nawet z tą figurą nie dajesz rady – odpowiedział wesoło.

Skala ocen Marcela była niczym tradycja w domu dziecka. Każdy nowo przybyły musiał przejść dziwne testy, po których lądował między jedynką a dziesiątką na skali wymyślonej przez chłopaka. Po moim pierwszym dniu Marcel zaznaczył mnie za skalą, przy minus setnej pozycji.

– Kto chce tort?

Wszystkie dzieciaki jak na komendę podniosły dłonie do góry. Słodyczne, zło powszednie XXI wieku, były najlepszymi nagrodami w każdym konkursie. „Jeszcze nie muszą liczyć, ile to kalorii, ile trzeba spalać i ile zębów może od nich wypaść” – pomyślałam z przekąsem, prosząc, aby mogły jak najdłużej żyć w błogiej nieświadomości.

*Dziesiąte 5 godzin*

*Ilość wylanych łez: więcej, niż planowałam (sądzę, że nie potrafię liczyć do tej trylionomilionobilonowej liczby).*

*Liczba zaskoczeń: grałam w przedstawieniu, i to główną rolę... może nie tyle grałam, co byłam inspiracją.*

*Propozycje na dziś: iść na takie studia, żeby móc pracować z dziećmi.*

*Przyjęte propozycje: na razie 0, ale kto wie, co przyniesie mi jutro.*



*Rada na dziś: mniej samozachwyty w życiu, nawet jeśli uważam, że jest on słuszny (bo jest!!!).*

*Lekcja na dziś: szkoła nie uczy niczego konkretnego, to inni (głównie dzieci) uczą nas, jak być ludźmi.*

# 18 maja 2016 roku

Nienawidzę tego dnia! Nienawidzę tego dnia! Nienawidzę go i już! Zdecydowanie bardziej odpowiadają mi dni, kiedy to ja jestem na pierwszym planie, a dziś wyjątkowo będzie inaczej. Będę postacią drugoplanową, a może i dalszoplanową, czego chyba nie wytrzymam psychicznie.

Poranne wstawanie nie należy do najmilszej czynności dnia. Zwłaszcza wtedy, kiedy wiesz, że nawet ubiór nie jest w stanie poprawić ci samopoczucia. Podobno w życiu kobiety jest tylko jeden dzień, kiedy wie, w co się ubierze. Zonk! Jak u Chajzera, w kocim teleturnieju. W moim były dwa takie dni, w tym jeden właśnie dziś. „Piękna bogaczka w worku reklamuje powieść swojego narzeczonego” – oczyma wyobraźni widziałam te napisy na plotkarskich portalach.

Sebastian z uśmiechem na ustach czekał, aż będę gotowa do wyjścia. Taca z chlebem, w który wbite były wykałaczki z miniaturową okładką książki, stała na kawowym stoliku. Wyglądała nawet okazale. Zdecydowanie lepiej niż ja w tym worku, będącym ponoć sukienką.

– Kochanie, bo się spóźnimy – popędzał mnie narzeczoney.

– Spóźnimy, nie spóźnimy, kogo to obchodzi – burknęłam wściekle. – I tak wyglądałam jak nieszczęście.

Czekałam na słowa pocieszenia z jego ust. „Kochanie, i tak jesteś najpiękniejsza” – dźwięczało mi w głowie, jeszcze zanim zdążył coś powiedzieć. Znałam go, wiedziałam, o czym myśli i co chce powiedzieć.

– Może to i dobrze, nie będziesz odwracała uwagi od książki – dotarło do moich uszu szybciej, niż zdążyłam się na to przygotować. – *Karykatura życia* dziś jest najważniejsza.

Ponowny cios. Przyjęłam uderzenie, zapominając zrobić unik. Upadłam i nie miałam siły się podnieść. *Karykatura życia* wygrała z zawodowcem, a przecież ja nigdy nie przegrywam. No, prawie nigdy!

– Idziemy? – Najwyraźniej nie mógł się doczekać wyjścia do galerii.

„Jak ja cię chcę zabrać na zakupy, to taki chętny nie jesteś” – pomyślałam zgryźliwie, ostatni raz przeglądając się w lustrze. Podobno ładnemu we wszystkim ładnie. Nieprawda! Byłam załamana, ale z dumnie podniesioną głową ruszyłam na podbój rynku wydawniczego.

Według Baśkowego harmonogramu pierwsza promocja miała odbyć się w Arkadii. Taca chleba z wbitymi wykałaczkami ciążyła w mojej dłoni. Nie przywykłam do bycia podawaczem, znacznie lepiej wychodziła mi rola

przyjmującego. Ludzie podchodzili do nas chyba bardziej z ciekawości, o co chodzi z chlebem aniżeli z pragnienia posiadania książki. Kilka osób dłużej porozmawiało z Sebastianem, kompletnie mnie ignorując. To było nowe doświadczenie. Zdecydowanie niemiłe.

– Ile dają za promocję? – Starszy pan podszedł do mnie, kiedy Sebastian był zajęty rozmową z ekspedientką księgarni.

– Ile, ile! Cztery gile – burknęłam, zła, że mógł mnie wziąć za płatną hostesę.

– Chyba dwa.

– Co dwa?

– Gile. – Zaśmiał się. – Mówi się dwa gile. A zarabiać na promocjach to nie wstyd, choć za dużo nie wyciągniesz. Z takim ciałkiem... to zaproponowałbym ci coś innego, tylko wiesz, nie przy ludziach. – Konspiracyjnie rozejrzał się dookoła.

Rzuciłam w niego tacą, nie wiedząc, co odpowiedzieć. „Bezczelny staruch! – wyzywałam go w myślach. – Jak on mógł mnie tak potraktować?”

– Lubię ostre dziewczynki – szepnął mi do ucha.

– Co tu się dzieje? – Dopiero teraz Sebastian zauważył zamieszanie.

– On chciał mnie przelecieć, i to w toalecie! – krzyknęłam, wskazując na oddalającego się starucha.

Sebastian spojrział na niego uważnie, jednak nie pobiegł za nim, aby rzucić się na niego w mojej obronie.

– Musiałaś coś źle zrozumieć. – Pocałował mnie w policzek i wrócił do zaczepiania przechodzących obok nas ludzi.

Miałam dość tej Arkadii, tego chleba, tej całej *Karykatury życia* i, co najgorsze, Sebastiana. Chciałam wrócić do domu, schować się pod białym kocem z wielkim napisem „Princess”, który zawsze dawał mi przyjemne schronienie przed problemami.

\* \* \*

Dwie godziny minęły. Pora wyruszyć do Złotych Tarasów, gdzie znów będę musiała wystawić się na pośmiewisko. „Obym nie spotkała nikogo znajomego” – błagałam w myślach.

Ta sama taca, inny chleb (tamtego Sebastian wolał nie podnosić z podłogi) i sztuczny uśmiech na mojej twarzy, o który prosił Sebastian. Znaczy się prosił o uśmiech, nie o sztuczny, ale innego nie mogłam powołać do życia. Nawet mój aktorski zmysł był uśpiony, kiedy nie grałam najważniejszych

trąbek, jak mawiają muzycy.

– Zofia Majer, kto by się jej tu spodziewał. – Usłyszałam za plecami znajomy głos. – Taka bogaczka, a na promocjach musi dorabiać. – Zaśmiała się.

Głosu nie rozpoznałam od razu, ale ten głupi śmiech poznałabym wszędzie. Marta z pamiętnych wakacji, ta sama, która chciałam mnie zniszczyć, dając mi gotową pracę magisterską, będącą kłamliwym wywodem na temat kasztanów.

– Nie muszę dorabiać, czasem można pomóc bezsensownie. – Uniosłam dumnie głowę.

– Bezsensownie to ty gadasz – burknęła. – Pewnie firma tatusia splajtowała i musisz za dychacza za godzinę pracować, bo w kosmetologii nie poszło.

– Dla twojej wrednej wiadomości to z kosmetologią mamy się dobrze. Aż dziw, że nie mówisz do mnie „pani magister”, ale wybaczę ci po starej znajomości – powiedziałam, żałując, że nikt nie robi jej w tym momencie zdjęcia. – A jak tam sprawy sercowe? Po Miśku ktoś był czy drugi taki naiwny się nie trafił?

Odwróciła się na pięcie i poszła przed siebie, zapewne klnąc na mnie pod nosem. Wygrałam. Wyszłam zwycięsko z tej batalii.

– Kto to był? – Sebastian podszedł dopiero, kiedy Marta zniknęła z pola widzenia.

– Koleżanka. Dawna koleżanka.

Promocja w Złoty Tarasach wydawała się udana. Sztuczny uśmiech zamienił się w szczerą, za sprawą rozmowy z wredną Martą. Kilka osób wyszło z księgarni z książką Sebastiana, prosząc go przy okazji o autograf. Chleb z tacy schodził jak świeże bułeczki, a i mój worek wydawał się jakiś ładniejszy.

– Hej, jak idzie? – Już prawie kończyliśmy, kiedy pojawiła się Baśka z aparatem. – Zrobię wam kilka zdjęć i wrzucę na fanpage Windy. W sumie mógłbyś założyć też swój profil – zasugerowała Sebastianowi.

Ludzie, widząc aparat, chętnie podchodzili do nas, skosztować chleba i pochwalić się zakupem książki. „Ci to mają parcie na szkło” – pomyślałam.

– Widzisz to? Ludzie pytają mnie o tyle rzeczy! – Podekscytowany Sebastian nie wiedział, jak sensownie sklecić zdanie, kiedy mówił do Baśki.

– To dobrze, bo mamy w planach spotkania autorskie. I to nie tylko w księgarniach. Duża sieć warszawskich piekarni odezwała się do nas

z pytaniem, czy nie moglibyśmy zrobić jakiegoś spotkania u nich.

– Do książki chleb gratis – cieszył się.

Mina Baški sugerowała, że ma coś na myśli, jednak szczerze broni tego przed trafieniem na język. Kilka fotek, ostatnie wpisy i czas na kolejną galerię. „Blue City, a potem tylko Mokotów” – cieszyłam się w myślach, kiedy trafiliśmy do kolejnej galerii, tym razem na warszawskiej Ochocie. Ponownie ten sam plan. Taca, chleb z wykałaczkami i rozmowy z Sebastianem. Odliczałam godziny do końca, marząc, że jak wrócę do domu, założę najdroższą sukienkę i będę w niej chodziła tyle samo czasu, co w tym worze.

– Zmęczona? – Aż dziw, że „pan pisarz” zechciał mnie zauważyć podczas tej całej promocji.

– Marzę o pięknych ciuchach – wyznałam.

– W sumie ten worek nie jest taki zły. – Zaśmiał się. – Mogłabyś w nim wróble odstraszać na polu.

– Chcesz się zamienić? – zaproponowałam, nie chcąc się z nim kłócić o jego złośliwą uwagę.

Pocałował mnie czule w usta, a ja poczułam, że pragnę więcej.

– A co byś powiedział na wróblowy seks?

– W zasadzie... – Zamyślił się na chwilę. – Jesteś genialna! Tylko czekaj, pomyślę nad tytułem... w sumie najlepiej byłoby *Na wróbla*, takie zabawne. – Parsknął.

Przytuliłam się do niego, sądząc, że przyjął moją propozycję.

– Muszę iść po zeszyt, muszę to zapisać! – wykrzyknął, gnając do księgarni.

„To się powróblowaliśmy” – pomyślałam smutno. Sebastian oszedł, zostawiając mnie samą na straży chlebowej tacy. Ludzie podchodzili i odchodzili, a jego wciąż nie było. „Pewnie już notuje jedną ze scen” – byłam pewna, że siedzi na wygodnym pufie, jakich wiele wewnątrz księgarni, i pisze swoje wróblowe przemyślenia. „Właściwie powinien dać mi część honorarium, koncepcja była moja, beze mnie by na to nie wpadł” – postanowiłam, że jak tylko wróci, przypomnę mu o swoim udziale w pomyśle.

Zjawił się po kilkunastu minutach, w dłoni trzymając zeszyt z Minionkiem.

– Innych nie było? – zapytałam.

– Zosiu, nie patrz na zeszyt, ten był pierwszy z brzegu – tłumaczył

łagodnie. – Ty mi lepiej powiedz, jak myślisz, jak wróble... no, wiesz... robią sześćdziesiąt dziewięć?

Nawet mnie to pytanie zaskoczyło. „Dwa małe wróble i sześćdziesiąt dziewięć” – zastanawiałam się w myślach. Wiedziałam, że muszę coś powiedzieć, skoro chcę mieć udziały z książki o ptakach.

– Wiesz, podobnie jak my, tylko ich najczulszym punktem są...

– Łapy – powiedział za mnie.

– Nie dałeś mi dokończyć. – Zrobiłam groźną minę, jednak byłam szczęśliwa, że pomógł mi wybrnąć z opresji. – Łapy to ich taki punkt G.

Sebastian zapisał wszystko, co mówiłam, w swoim Minionkowym zeszytcie, po czym powrócił na chwilę do promocji.

– Kochanie, a myślisz, że jaką pozycję wróble lubią najbardziej? – zapytał po kilku minutach.

„Ten znowu widzi te ptaszory” – pomyślałam, zdegustowana.

– Na nieboszczyka – burknęłam.

– Ale... jak to?

Widząc moją minę, postanowił przełożyć dopytywanie o trupią pozycję wróbli na potem. „Potem, którego nie będzie” – zdecydowałam, dumna z siebie. Kolejne dwie godziny minęły znacznie szybciej niż poprzednie, co mogło jedynie radować.

Galeria Mokotów była ostatnim punktem na dziś i miałam nadzieję, że na zawsze. Znacznie bardziej fascynuje mnie wydawanie pieniędzy w sklepach niż paradowanie w worku po galeryjnych holach. Ostatnie tace z chlebem, ostatnie rozmowy z fanami i można wracać do domu. „Jakże człowiek w ciężkich sytuacjach może docenić piękno słowa «dom»” – na sercu robiło mi się znacznie cieplej na samą myśl o moim ubraniu.

„Worki z głów i zakończone” – ucieszyłam się, już w samochodzie zmieniając garderobę na bardziej codzienną niż ptasią, jak określił ją narzeczony. W sumie nie wiem, czy słowo „narzeczony” nie brzmi tu obraźliwie. Dziś powinnam mówić: „pisarz” lub „pan pisarz”. „Z Bożej łaski” – dodałam w myślach.

Dzień uważam za zakończony! Już nigdy nie będzie pierwszej premiery książki Sebastiana, bo przecież debiutu nie można powtórzyć. Od jutra zabieramy się za temat najważniejszy: ŚLUB! Czyli zacznę od rana maltretować Magdę telefonami... tyle to mogę zrobić dla dobra sprawy.

## 21 maja 2016 roku

Mam wrażenie, że ostatnie moje dni zdominowały ptaki. Jak nie wróble Sebastiana, albo w zasadzie bardziej moje, to papugi Doktora Papużki. „Bożeszce, ja nawet nie znam jego imienia” – skarciłam się w myślach, ciesząc się, że chociaż znam imię pani Elżbiety, znaczy się Pani Papugowej.

Jak zdążyłam się przyzwyczaić, musiałam iść sama. Sebastian ponownie, jak wczoraj i przedwczoraj, miał jakąś ważną promocję i spotkanie w radiu, aby przeczytać fragmenty powieści. „Mam nadzieję, że wybrali godzinę emisji, kiedy nikt nie słucha” – pomyślałam, przypominając sobie urywki tekstu, jakie musiałam przeczytać. Zdecydowanie wolałam, aby inni nie musieli tego słuchać, ale wredna Baśka specjalnie go tam wciągnęła, by mi dopiec.

Ubrana „na sportowo”, jak prosiła wczoraj przez telefon Berka, zadzwoniłam po taksówkę, która miała mnie zawieźć do Staromiejskiego Domu Kultury, na przedstawienie. „Przedstawienie” to idealna nazwa tego, co mogło powstać z połączenia pomysłów Państwa Papuzików. Pani Ela była osobą nadzwyczaj pospolitą i niezauważalną, a doktor bez imienia wydawał się dziwakiem.

Taksówka zawiozła mnie przed dobrze mi znany budynek, który mijalam wielokrotnie, idąc na Stare Miasto. Wnętrze pozostawało dla mnie tajemnicą do dnia dzisiejszego. Nie dane było mi rozglądać się wkoło, gdyż już przekraczając próg ogromnych drzwi, czułam na sobie spojrzenia przyjaciółek. Berka ubrana w stylu „ciężarówka na joggingu”, Jolka w swoich fitnessowych ciuszkach, Monia w dresach, pamiętających chyba epokę dinozaurów, i Marietta... Mari w „odsztynionym” stylu, idealnie pasującym do dnia dzisiejszego, i Baśka wyglądająca w sumie jak co dzień, w tych spranych, luźnych dżinsach i rozciągniętym topie.

– Nie boisz się, że jakieś dziecko pomyli cię z papugą? – zagadnęłam Mari, ciekawa, co nią kierowało, kiedy zakładała neonowe ciuchy w kolorach żółci, różu i pomarańczy.

„I do tego ta zielono-czerwona frotka na nadgarstku” – pomyślałam, zażenowana jej nieumiejętnością doboru ubrań.

– Fajne, co? – Określiła się, abym mogła ją lepiej zobaczyć.

– Tak zajebiste, że bardziej zajebistym się nie da być, nawet będąc zajebiście zajebistym – skomentowałam.

Uznała to za komplement i się uśmiechnęła, dodając jeszcze biel do

swojego image'u. Aż strach pomyśleć, jak ubierze się na wieczór panieński w Ciechocinku. Jej pomysł na „ostatni rejs” może być rzeczywiście naszym ostatnim.

– Mama i Janusz są tak szczęśliwi, że mogliście przyjść – ekscytowała się Berka, wyraźnie dając nam do zrozumienia, że hormony dziś były po szczęśliwo-wzruszającej stronie skali ciążowych uniesień.

Weszliśmy na dużą salę, gdzie na kolorowych, miękkich pufach siedzieli niepełnosprawni, między którymi rozstawiono klatki z papugami. Dzieciaki wydawały z siebie przeróżne okrzyki – jedne były zapewne oznaką radości, inne strachu przed nieznanym.

– Witam was, kochani. – Doktor Papużka, którego imię już znałam, uklonił się w pas. – Dziękuję za liczne przybycie i zapraszam na pierwszy pokaz innowacyjnej metody Papuziego Kręgu. Możecie czuć się wybrańcami, którzy jako pierwsi poznają założenia tej nowatorskiej metody. Zaczynamy!

Ludzie zaczęli głośno bić brawo, co bez wątpienia podobało się prowadzącemu.

– Elżuniu! – zawołał, kiedy aplauz ucichł. – Podaj mi, proszę, Albinka.

Pani Ela niczym na skrzydłach podbiegła do jednej z klatek, aby wyjąć wielką białą papugę. Albinek usiadł jej na dłoni i z wdziękiem pozwolił się zanieść do pana Janusza.

– Oto Albin. Albin, uklon się – zwrócił się do papugi, a ta schyliła lekko głowę. – Albinie, poleć po swoją piłkę i zagraj w nią z kimś.

Ptaka odfrunął. Ludzie patrzyli za nim, a on zatrzymał się przy piłce, którą zgrabnym ruchem pchnął w kierunku jednego z dzieci. Wszyscy zaczęli klaskać, a dziecko, zachęczone przez prowadzącego, odepchnęło piłkę w stronę papugi. Papuga zatrzymała piłkę, wydobywając z siebie głośny pisk, na który Doktor Papużka zareagował entuzjastycznym klaskaniem.

– Albin prosi o brawa dla chłopca – powiedział przez mikrofon, zachęcając do nagrodzenia chłopca za swoją pracę.

„Papugi uczą dzieci, a dzieci papugi” – przypominałam sobie słowa Berki i z wielkim zaciekawieniem zaczęłam oczekiwać na kolejne papuzie popisy.

Prezentacja trwała prawie godzinę. Dzieci były szczęśliwe, a papugi już najwyraźniej zmęczone. Pan Janusz i pani Elżbieta spisali się na medal. Ta metoda mogła okazać się hitem, a nie kitem, jak myślałyśmy z dziewczynami. Papugi to nie takie głupie stworzenia, a nawet powiedziałabym, że jedne z mądrzejszych. Aż żal było wracać do domu, ale dziewczyny miały inne plany na sobotę niż wspólne plotki. A ja jakie miałam



plany? Samotnie spędzić czas, oczekując przyjscia Sebastiana, jeśli raczy sobie o mnie przypomnieć, oczywiście.

Taksówka podwiozła mnie przed dom. Zapłaciłam, zostawiając napiwek, i weszłam do domu, mając nadzieję, że Baśka, ojciec i diablica wrócą jak najszybciej z rodzinnego wypadu do Krainy Kulek, jak mówiła Zuzka.

– Już jesteś? – Kiedy otworzyłam drzwi, usłyszałam głos Sebastiana.

„Pamiętał o mnie” – ucieszyłam się.

– A ty tutaj? Nie w radiu?

– Audycja była o czwartej rano, potem szybkie spotkanie i oto jestem. – Wyszczrzył zęby. – Mam dla ciebie prezent.

Moja radość sięgnęła zenitu. Nie dość, że nie spędzę samotnie soboty, to jeszcze prezent.

– Jako że kochasz zwierzęta... – zaczął.

„Kurwa mać, mać kurwa! Kolejnej wróblopapugi nie zniosę” – wyzywałam w myślach, wciąż się uśmiechając, aby nie robić przykrości narzeczonemu.

– Kupiłem nam nasze pierwsze wspólne dziecko. – Złapał mnie za dłoń. –

Będziemy dla niego cudownymi rodzicami, Zosieńko. Musisz mi jednak wybaczyć, ale sam nadałem mu imię, bo patrząc na niego, nie mogłem traktować go jak ONEGO, jakiegoś obcego... Przytulasek, prawda, że piękne? Zresztą to mężczyzna jest głową rodziny i muszę się tak zachowywać. Chodź do twojego pokoju, żeby go poznać.

– On jest w moim pokoju? – zdenerwowałam się.

– A gdzie miałem go umieścić? Budy nie macie, a zresztą dziecko powinno być przy rodzicach – wytłumaczył.

Wstałam z kanapy i niepewnym krokiem poszłam do pokoju. Miałam nadzieję, że Przytulasek okaże się małym, kanapowym psiakiem, a nie wielkim i ciężkim potworem. Otworzyłam delikatnie drzwi, bojąc się, że coś skoczy na mnie szybciej, niż byłabym skłonna na to zareagować. Jednak nic takiego nie miało miejsca. „Pewnie się nie zadomowił” – tłumaczyłam sobie i wtedy zobaczyłam jego.

– Zabierz go, zabierz go! – Wskoczyłam szybko na łóżko. – Ja nie lubię dżdżownic.

– To tylko wąż. – Zdziwiła go moja reakcja. – Nasz Przytulasek.

Przytulasek? „Ironia” byłaby za delikatnym określeniem tej sytuacji. Ten potwór nie mógł pozostać w moim pokoju ani chwili dłużej.

– Wiesz, Jolka zawsze mówiła, że chłopcy lepiej wychowują się w domu

ojca – palnęłam pierwsze, co mi przyszło na myśl. – A Przytulasek to przecież chłopiec.

Sebastian spojrział na mnie, zdziwiony, dopiero po chwili się uśmiechając.

– Zosieńko, że ja sam, głupi, na to nie wpadłem. – Pocałował mnie pospiesznie, po czym zabrał Przytulaska do siebie.

I tyle by było ze wspólnej soboty. Niby rodzina się powiększyła, a ja samotnie zjem wiadro lodów na pocieszenie, planując przy tym, jak pozbyć się Przytulaska. I to jeszcze przed naszym ślubem, bo przecież później będzie musiał mieszkać z nami, a do tego stanowczo nie mogłam dopuścić. „Jestem złą matką” – pomyślałam, kiedy w mojej głowie rodziły się mordercze wizje pozbycia się wężowego syna.

## 26–29 maja 2016 roku

Ciechocinku, nadchodzimy! Jako że weekend wzbogacił się o wolne w Boże Ciało, postanowiłyśmy ruszyć w nieznane dzień wcześniej. Niewielki bus, wynajęty przez tatę, podjechał przed nasz dom szybciej, niż bym sobie tego życzyła. Nie zdążywszy nałożyć nowego tuszu z granatowym połyskiem, musiałam zejść na dół. Dziewczyny czekały na sofie, podekscytowane wyprawą. Tylko Berka wydawała się lekko zmęczona.

– A ty co? – zapytałam, patrząc na nią smutnym wzrokiem.

– Nie spałam całą noc – wyznała.

– Trenowałaś? – Uśmiechnęłam się słodko.

– Chyba bronienie goli – zakpiła.

– Grałaś w piłkę w nocy? – szczerze zdziwiła się Jolka.

Berka zmierzyła ją wzrokiem.

– Nie ja, ono. – Zaśmiała się. – Ja byłam bramkarzem, przyjmującym uderzenia.

– Ta ciąża to straszna sprawa – przyznałam, myśląc, jak ciężko byłoby mi, gdybym nie spała całą noc.

„Dzieciak chce się bawić, a ty nie potrafisz się mu postawić” – zadrwiłam w myślach z przyjaciółki, pewna, że gdybym kiedykolwiek była w takiej sytuacji, dałabym maleństwu tak popalić, że marzyłoby o śnie.

Zapominając o worach pod oczami Berki, postanowiłyśmy ruszać w drogę. Kierowca najwyraźniej nie został uprzedzony, z kim będzie miał do czynienia, bo kiedy zaczęłyśmy śpiewać *Szczęśliwej drogi już czas*, patrzył na nas niczym na dziwadła. Zapewne w myślach obmyślał najkrótszą trasę, aby się nas jak najszybciej pozbyć.

– A pan co taki spięty? – zapytała w końcu Jolka. – Bawić się jedziemy, a nie stypować.

– Stypować? – zdziwił się.

– To taka odmiana od stypy. – Wszystkie wybuchłyśmy śmiechem. – Jako jedyny facet w tym gronie chyba ma pan dla nas jakieś rozrywki? Tańce, striptiz, drinki...

Kierowca pobladł. Nawet przez chwilę było mi go żal, ale w sumie mógłby się trochę odmroczyć. Zero integracji – tylko kierownica, te pedały, wajcha z biegami i droga przed nim – a przecież wiozł sześć pięknych kobiet. W sumie pięć średnich (już trudno, zaliczę tu Jolkę i nawet ciężarną Berkę, z litości) i mnie – śliczną.

– Wiecie panie, pan Maksymilian mówił, żebym lepiej się nie wdawał z wami w dyskusje, bo może się to źle dla mnie skończyć – powiedział po chwili, lekko speszony.

– Zabiję go! – Baśka aż wstała z siedzenia i zaczęła machać groźnie rękami.

– Chyba o to mu chodziło – mruknął pod nosem.

– To tylko mała zapowiedź tego, co potrafimy. – Jolka puściła do niego oczko.

Przełknął głośno ślinę, po czym wbił przerażony wzrok w szybę. „Już my mu pokażemy” – postanowiłam za wszystkie, wiedząc, że i one myślą podobnie.

Droga do Ciechocinka była dość długa. Miałyśmy czas na wspominki z poszukiwań męża przez Berkę, szybkiego ślubu i jeszcze szybszego zapłodnienia. „Aż dziw, że nie przespali się ze sobą wcześniej, może wtedy to ja wygrałabym naszą zabawę” – zastanawiałam się przez moment.

W pełnej trzeźwości i doskonałych nastojach dotarliśmy do Villa Park, o którym mówiła Marietta. Sheraton to nie był, do Marriotta też sporo brakowało, ale jak na wiejski hotel wyglądał dość okazale i bogato.

– Wchodzimy? – zapytałam, kiedy już każda z nas miała w dłoni swoją walizkę.

Skinęły głowami i pewnym krokiem wkroczyłyśmy do środka.

– Wow! – Monia wydobyła z siebie dziwny dźwięk zachwytu. – Kto za to płaci?

Czułam na sobie spojrzenie Baśki, czekającej, aż coś powiem. Najchętniej chciałaby, żebym uniosła się honorem, rzucając: „Ja płacę”, ale nie, nie ze mną te numery. Przecież to oni chcieli, byśmy się z Sebastianem poznali.

– Maksiu zgodził się za wszystko zapłacić – wydukała rozpaczliwie.

– Ma gest – zauważyła Monika. – Przecież pokój tu kosztuje pewnie tyle, co pół mojej wypłaty, a my będziemy tu cały weekend.

Monika była podekscytowana. Aż promieniała z radości, że spędzi trochę czasu z Jolką, choć dla mnie nie byłby to powód do euforii.

– Monia, ty masz pokój z Jolką, Berka z Baśką, a Mari za zorganizowanie tego wyjazdu trafi ze mną do apartamentu – zakomunikowałam, podając jednocześnie karty wejść do pokoi. – Idziemy się przebrać w kostiumy kąpielowe, bo od piętnastej mamy spa tylko dla siebie.

Dziewczyny klasnęły z zachwytu w dłonie, jedynie Baśka zdawała się niezadowolona.

– Co ci jest? – Berka szturchnęła lekko Baśkę w ramię.

– Dziś Dzień Matki – powiedziała smutno. – I co ze mnie za matka, jak nie spędzam go z dzieckiem?

Berka przystanęła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Ważne, że Dzień Dziecka spędzisz z ropuchą – wciąłam się w rozmowę, doskonale zdając sobie sprawę, że tatuś już zadbał o to, żeby Zuzka nie tęskniła za mamą.

Posłała mi mordercze spojrzenie, ale po chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki złagodniała. Nie wierzyłam w magię, choć z pewnością mogłabym nazwać Baśkę wiedźmą. Byłam pewna, że w jej głowie rodził się jakiś szatański plan. W końcu nie bez przyczyny nazywałam jej córkę diabolicą. Genów nie przeskoczysz.

– Masz rację, Zosiu, i wiesz, Zuza, czy jak ty mówisz, ropucha, powinna się przyzwyczajać, że nie zawsze z nią będę – rzuciła słodko, a ja czekałam na ciąg dalszy jej wypowiedzi. – Dlatego w przyszły weekend ja i Maks pojedziemy nad morze, a ty i Sebastian zajmiecie się Zuzą i Julką.

– A Julką czemu?

– Tori i Arti zapewne też skorzystają z chwili wolności. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Po moim trupie! Ostatnio, jak nas z nimi...

– Gorzej być nie może – przerwała mi, chwytając w dłoń walizkę, by iść za Berką do pokoju.

– Oj, może – powiedziałam sama do siebie. – Gorzej być może.

\* \* \*

– Tu jest zajebiście, nawet zajebiściej niż zajebiście – rzuciła Jolka, zanim zdążyła wskoczyć do basenu. – Ja tu zostaję na zawsze, ale tylko z Monią, wy wracacie.

Monia zarumieniła się, a ja postanowiłam nie wnikać, co się działo w ich pokoju, kiedy zniknęły za drzwiami. Nie chcąc brnąć głębiej w relacje między nimi, postanowiłam korzystać z weekendu, jaki zafundował nam ojciec. Jacuzzi, trzy sauny, basen, bicze wodne, masaże i specjalnie dla nas przygotowany stół z drinkami wydawały się spełnieniem marzeń.

Wskoczyliśmy do jacuzzi, by poczuć na swych ciałach cudowne mrowienie. „Aż dziw, że się do niego zmieściliśmy w sześć plus Berkowy dodatek” – pomyślałam, bacznie obserwując radosne dziewczyny. Ten wypadek był nam potrzebny. Nie tylko dlatego, że miałam zostać żoną, ale

dawno nie spędzałyśmy z sobą tyle czasu. Teraz byłyśmy na siebie wręcz skazane, co wydawało się zarówno przerażające, jak i fascynujące.

– Pamiętacie, jak lata temu siedziałyśmy godzinami na trzepaku? – przypomniałam sobie nastoletnie czasy.

Wszystkie skinęły głowami.

– Ja nawet gdzieś mam zeszyt z naszymi wyznaniem i datami – zaśmiała się Marietta. – Nie mogłam przeoczyć przecież pierwszego pocałunku Baśki czy kolejnej próby zostania maratończykiem przez Jolkę.

Zaśmiałyśmy się jak na komendę. Jolka i jej wieczne odchudzanie z nocnym podjadaniem. Choć zawsze w nią wierzyłyśmy i chciałyśmy wspierać, wszystko kończyło się szybciej, niż zdążyło zacząć. Kto by pomyślał, że kiedyś jej się uda.

– Nawet ja nie pamiętam, kiedy się pierwszy raz całowałam – zauważyła Baśka. – Za to wiem z kim. – Zarumieniła się.

– Mari, zapisz może jeszcze pierwszy pocałunek Baśki z moim ojcem. – Zmierzyłam „macochę” wzrokiem. – Niech wszystko będzie udokumentowane.

– Zosia, miało być miło – upomniała mnie Monia, głaszcząc mnie przy tym delikatnie po plecach.

Uśmiechnęłam się promiennie w stronę Baśki, by załagodzić sytuację. Odpowiedziała tym samym, nie mogło być inaczej. To był przecież mój weekend.

– Pamiętacie, jak się zapisałam na maraton? – zapytała Jolka.

– Taaa... zasapałaś się po stu metrach i zeszłaś z trasy. – Berka wybuchła śmiechem.

– Szkoda mi było tylko wpisowego, mogłabym za nie kupić tonę słodyczy.

– Wiecie co, czasem żałuję, że nie mamy już swojego niebieskiego trzepaka – wyznała smutno Monia.

Niebieski trzepak niedaleko naszej szkoły, na jednym z blokowisk, gdzie się wychowałyśmy. Nawet kiedy się wyprowadziłam do domku, nie mogłam ominąć naszych trzepakowych spotkań. Tata cierpliwie mnie na nie woził, nie chcąc, abym jeździła niepotrzebnie komunikacją miejską. Dziś miejsce naszego trzepaka zajmował skalniak z kwiatami. Piękne goździki, bratki i rojniki nie były jednak w stanie wymazać naszych wspomnień.

– Kto chce drinka? – Baśka jako pierwsza wyszła z jacuzzi. – Wezmę wszystkim, a dla ciebie sok pomarańczowy. – Wskazała na Berkę.

– Nie lubię pomarańczy!

– Od kiedy? – zdziwiłam się.

– Od jakiegoś dwudziestego pierwszego tygodnia ciąży.

Współczujące spojrzenie Baśki świadczyć mogło jedynie o tym, że sama doskonale rozumiała sytuację. Przecież nie tak dawno i ona była w ciąży, jednak dla odmiany nie chwaliła się nią, jak Berka. „Zatajanie ciąży musiało być ciężkie” – pomyślałam, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak wiele przyjaciółka musiała poświęcić dla związku z moim ojcem.

Masaże, sauny, pływanie i drinki to zdecydowanie to, czego nam było trzeba. Po kilku godzinach rozpieszczania swoich ciał miałyśmy w końcu ochotę zaszaleć w apartamencie.

\* \* \*

Ciche pukanie przerwało poprawianie mojego make-upu. Spojrzałam na Mari, zanim otworzyłam drzwi dziewczynom, lecz ona zajęta była rozmową przez telefon.

– Tak, Teodorku... Nie, Teodorku... Nie, na pewno nie, Teodorku... Daj mi go, porozmawiam z nim... – dochodziło do moich uszu. – Napoleon, bądź grzeczny, pańcia wróci, a Teodor nie jest zły. Jak przestaniesz go drapać, to pańcia zamówi ci wizytę w kocim spa, tym, co byłeś na sylwestra. Miauu, miauu, kochany, i pamiętaj: bądź grzeczny. – Uśmiechnęła się do telefonu i ponownie zamiauczała.

Patrzyłyśmy na nią, oszołomione tą sytuacją. Nie tylko mnie wydało się dziwne rozmawianie z kotem przez telefon. Dziewczyny najwyraźniej też były w szoku.

– Ty naprawdę gadałaś z kotem? – Jolka przerwała krępujące milczenie.

Marietta wzruszyła obojętnie ramionami, nie rozumiejąc naszego zdziwienia.

– Nie z kotem, tylko z Napoleonem – rzekła w końcu.

– A Napoleon to czasem nie kot? – zadrwiłam.

– To przyjaciel rodziny – wyznała, przerzucając nerwowo włosy przez ramię.

Postanowiłyśmy nie ciągnąć tematu kociego przyjaciela. Miałyśmy się dobrze bawić i to się liczyło. Wyposażone w hektolitry alkoholu, mogłyśmy pić co najmniej do rana. Whisky, tequila, wino, wódka, gin... Tu było wszystko. „Zapewne doliczą to do rachunku, ale raz się żyje” – ucieszyłam się, polewając pięć razy whisky z colą i sok dla Berki.

– To za co pijemy? – zapytałam, kiedy każda już miała szklanekę w dłoni.

– Za przyjaźń! – krzyknęłyśmy równo, jakbyśmy wcześniej to planowały.

Głośna muzyka, pełen barek i doskonale towarzystwo to idealne połączenie wymarzonego weekendu panieńskiego. Mimo wielu zgrzytów między nami zawsze wiedziałam, że razem jesteśmy niczym ułożone puzzle. Każdy pasuje do siebie, tworząc razem piękny obraz. Życie to właśnie taka układanka, w której należy odnaleźć wszystkie zaginione elementy. My odnalazłyśmy siebie już jako dzieci, a teraz dołączamy do naszych puzzli i inne, idealnie pasujące elementy. Tylko od nas zależy, jaką układanką będziemy i jak pozwolimy się jej rozrosnąć.

– Jakie mamy plany na jutro? – Monika skierowała pytanie do organizatorki wyjazdu.

– Jako że dziś nie pójdziemy spać wcześniej niż... jutro, to śpimy do południa, a potem idziemy na fajfy do najlepszej ciechocińskiej knajpy. Zapewne nie chcecie oglądać tężni czy fontann, dlatego po fajfach znów zaszalejemy tutaj – recytowała plan dnia. – Oczywiście, nie zapominając o śniadaniu, obiedzie i kolacji.

Idealny wieczór trwał. Nie wiem nawet, kiedy się skończył. Piłyśmy, tańczyłyśmy i śmiałyśmy się do upadłego, nie patrząc na wiszący na jednej ze ścian zegar. Czas się nie liczył. Liczyłyśmy się tylko my. I tak miało zostać.

\* \* \*

Kac nie jest dobrym towarzyszem. „Może właśnie dlatego zwą go kacem mordercą?” – rozmyślałam, trzymając się za głowę. Czułam się tak, jakby zaraz miała pęknąć. Spojrzałam w lewo. Zobaczyłam Mariettę, leżącą w samych stringach. „Widocznie nie zdążyła założyć pizamy” – zakpiłam w myślach, dopiero po chwili spoglądając na swój ubiór, a raczej jego brak. Nic nie pamiętałam. Film urwał mi się, jak jeszcze byłam ubrana w seksowną koronkową białą sukienkę przed kolano. „Hm... a może lepiej za pupę” – poprawiłam sama siebie w myślach.

Włożyłam leżącą obok koszulkę i poszłam do toalety. Usiadłam na ubikacji, szczęśliwa, że mogłam pozbyć się wczorajszych trunków, które nie tylko wywołały przeraźliwy ból głowy, ale nękały również mój pęcherz. Dopiero po chwili otworzyłam oczy...

– Kurwa! – krzyknęłam, najgłośniej jak potrafię.

Moje oczy skoncentrowały się na widoku w wannie. Jolka, pokryta czerwonymi plamami, a obok niej Monia, również cała we krwi.



– Mari! Mari! – darłam się, wybiegając z łazienki.

– Czego? – zapytała, nie otwierając oczu.

– One nie żyją, utopiły się w pustej wannie. – Dopiero po wypowiedzeniu tych słów dotarł do mnie ich sens, a raczej brak tego sensu.

Marietta niechętnie wstała i podążyła za mną do łazienki. Patrzyła spokojnie na leżące w wannie dziewczyny, jakby był to naturalny widok. Zerknęła na mnie bacznie i zaczęła się śmiać.

– Mari, musimy kogoś zawiadomić. – Potrząsałam nią, podejrzewając, że jej śmiech musiał być reakcją stresową. – Lecę po dziewczyny!

– Stój! – Złapała mnie za rękę.

Podeszła do wanny, sięgnęła po prysznic i odkręciła wodę, kierując ją na leżące ciała. Stałam nieruchomo, zastanawiając się, co ona robi. „Chce zatrzeć ślady morderstwa” – przypomniałam sobie *Kryminalne zagadki Miami*, gdzie niejednokrotnie zabójca tak postępował.

– Co jest, kurwa? – cicho zaprotestowała Jolka.

Podbiegam do niej. Przytuliłam mocno, zdając sobie nagle sprawę, jak wiele dla mnie znaczyła. „Tyle razy życzyłam jej śmierci, ale dawno nic nie ucieszyło mnie tak, jak wieść o jej zmartwychwstaniu” – westchnęłam z ulgą.

Jolka potrząsnęła Monią kilkukrotnie, jednak ta nie reagowała. Zaczęła delikatnie wymierzać jej policzki i dopiero wtedy Monia otworzyła zaspane oczy.

– Zocha myślała, że umarliście – zaśmiała się Mari.

Dziewczyny spojrzały po sobie, nie rozumiejąc słów Marietty. Na ich twarzach widoczne było zmęczenie, a oczy błagały o kilka minut snu.

– Ale ta krew... – próbowałam się tłumaczyć.

– Nie pamiętasz, że sama to zrobiłaś? – przerwała mi przyjaciółka. – Jak dziewczyny poszły się kąpać i długo nie wracały, to weszłaś do nich, a one smacznie spały. Chwała, że je znalazłaś, bo inaczej pewnie by się potopiły, biedaczki, choć pijanego lichu nie bierze.

– Złego – poprawiła ją Monia.

– Wy byłyście pijane. – Zaśmiała się lekko. – A ty wypuściłaś wodę z wanny i wpadłaś na pomysł polania ich ketchupem, aby rano zaczęły się bać, że coś im się stało.

Opowieść Marietty była spójna, jednak zupełnie nie pasowała do mojej wizji dnia wczorajszego. „Jak mogłam być tak pijana?!” – karciłam się w myślach.

– A co z Berką i Baską? – przypomniałam sobie, że jeszcze ich mi brakuje

w całej tej opowieści.

– Berka była senna i poszła się położyć, a Baśka chciała zadzwonić do Maksa. Miała zaraz wrócić, ale pewnie powiedziała tak, aby nas zbyć – wytłumaczyła spokojnie.

– Tata wie? – Bałam się, że Baśka zadzwoniła do ojca tylko po to, aby powiedzieć, jaka jestem nieodpowiedzialna i niedojrzała.

– Tata? Z tego, co pamiętam, zarzekałaś się, że będziesz do niego mówiła „Maks”. – Zachichotała. – Według twojej dedukcji, nawet słusznej, swoją drogą, nie powinnaś mówić do partnera swojej przyjaciółki inaczej niż po imieniu.

– Ja naprawdę tak powiedziałam? – zdziwiłam się.

Skinęła głową, a ja obiecałam sobie, że nie będę już nigdy piła alkoholu. No, może nie, że nigdy, ale nigdy w takich ilościach.

\* \* \*

Ubrane w temacie „ostatni rejs”, udałyśmy się na wychwalane przez Mari fajfy. Aż dziw, jak różnie każda z nas zrozumiała motyw przewodni. Ja chciałabym tonąć na bogato, w pięknej sukni, szpilach i drogiej biżuterii. Berka... jej wybaczę worek, który miała na sobie, bo zapewne w takim rozmiarze brzucha trudno znaleźć chociażby coś na codzienny strój, a co dopiero tematyczny. Jolka i Monika wybierały strój wspólnie – Monika w sukience w marynarskie pasy, a Jolka w skrojonym damskim garniturze z koszulą w prążki. Pasowały do siebie idealnie. No i odmieniona Marietta – dwudziestodwuletnia dziewczynka w zielonej tiulowej spódnicy, do której dobrała żółtą bluzkę w różowe grochy.

– Jak się topić, to wyraziście. – Zaśmiała się, okręcając się radośnie wokół własnej osi.

– Na pewno ciebie pierwszą by ratowali – powiedziała Jolka, co Mari przyjęła najwyraźniej jako komplement. – Byłabyś widoczna z kilku mil.

Marietta, nie przejmując się Jolką, pewnie prowadziła nas do knajpy, znajdującej się niedaleko głównej ulicy. Muzykę słychać było z daleka. Nogi aż same rwały się do tańca. Kiedy otworzyłyśmy drzwi, naszym oczom ukazał się niesamowity widok – dziesiątki starszych osób, podrygujących w prawo i w lewo, niekoniecznie do rytmu. Kobiety poubierane w eleganckie stroje, modne jakieś sto lat temu, i panowie pod krawatem.

– Laski przyszły! – krzyknął jeden z panów na nasz widok.

– Moja prawnuczka jest od nich starsza – zauważyła pani w wielkim

kapeluszu.

Nie zważając na zazdrosne spojrzenia kobiet, postanowiłyśmy się dobrze bawić. Ruszyłyśmy na parkiet, nie chcąc tracić ani chwili. Zespół grał, a cała sala śpiewała razem z nim. Nie było nikogo, kto siedziałby i patrzył. Tu każdy przyszedł po to, by się bawić, i to było najwspanialsze.

– Berka, twoja babcia by tu pasowała! – krzyknęłam w pewnym momencie do przyjaciółki. – Czuję, że parkiet byłby jej.

– Masz rację. – Zaśmiała się. – Muszę zapisać ją do jednego z tych sanatoriów. A niech poszaleje, bo przy matce to najbardziej szaloną rzeczą jest oglądanie *Trudnych spraw*.

Fajfy okazały się doskonałą odskocznią od dnia codziennego. Starsi panowie prosili nas do tańca, a i panie z czasem zauważyły, że nie jesteśmy dla nich konkurencją. Kiedy zespół zapowiedział ostatnią piosenkę, cała sala zaczęła głośno prosić o jeszcze kilka melodii. Niestety, *Ostatni raz zatańczysz ze mną* nieuchronnie oznaczało finał imprezy.

– Tu jest jak na innej planecie – stwierdziła Baśka, kiedy tanecznym krokiem wracałyśmy do hotelu. – Jakby czas się zatrzymał.

– Jak będę stara, to wyślijcie mnie do Ciechocinka – zaapelowała Jolka.

– To w sumie już możesz zostać. – Monia zaśmiała się, ściskając dłoń partnerki.

\* \* \*

Sobota nadeszła zbyt szybko. Po wczorajszych fajfach zjadłyśmy wykwintną kolację, zaliczyłyśmy masaż, po czym zmęczone poszłyśmy spać. Nawet nie miałyśmy siły imprezować w apartamencie, tak nas staruszki wymęczyły.

Zeszłyśmy na śniadanie wcześniej niż wczoraj. W restauracji było już dość dużo ludzi. Zajęłyśmy sześćosobowy stolik i pałaszowałyśmy w najlepsze.

– Przepraszam panie... – Jedzenie przerwał nam młody mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze. – Czy mogę o coś panie zapytać?

Odłożyłyśmy na chwilę sztucce, aby móc wysłuchać w skupieniu.

– Dziś wieczorem mamy tutaj wybory Miss Turnusu i chciałbym zapytać, czy nie zechciałyby panie wziąć w nich udziału.

– Ja odpadam. – Jako pierwsza głos zabrała Berka, wskazując przy tym na swój wielki brzuch.

Wymieniłyśmy między sobą spojrzenia, próbując ustalić jedną wersję odpowiedzi. Znałyśmy się na tyle dobrze, by wiedzieć, co która myśli.

– OK, piszemy się na to – zdecydowałam. – Przecież przyjechałyśmy się tu bawić.

Dziewczyny klasnęły radośnie w dłonie.

– Tylko każda z uczestniczek musi dodatkowo zaprezentować jakiś talent – dodał na odchodnym mężczyzna.

– Żaden problem – odpowiedziała mu Berka, pewna, że do wieczora coś wspólnie wymyślimy.

Pospiesznie zjadłyśmy śniadanie, aby móc w pełni oddać się przygotowaniom do wyborów. „I tak zostanę miss” – pomyślałam, patrząc na uradowane dziewczyny. W temacie wyborów nie byłam nowicjuską. Mój debiut co prawda był daleki od ideału, ale drugi raz nie przegram. Nie ja.

Dziewczyny zjawily się w naszym apartamencie szybciej, niż się spodziewałam. Musiało im zależeć na koronie Miss Turnusu. Przyniosły ze sobą swoje najlepsze ciuchy, którym i tak daleko było do moich firmowych wdzianek. „Na jeden wieczór musi wrócić stara Zosia” – postanowiłam, przypominając sobie dumnie, jak kilka lat temu stałam na scenie podczas wyborów Miss Warszawy. Zapewne temu konkursowi piękności daleko do tego stołecznego, ale nie zaszkodzi spróbować. Przecież zawsze należy pokazać siebie od najlepszej strony. „Tylko ten talent...” – chodziło mi po głowie.

– Co pokażecie jako talent? – Berka rzuciła pytanie w przestrzeń.

– Ja będę recytowała wiersz, tylko sama jeszcze nie wiem jaki – wyrwała się do odpowiedzi Baśka. – Może Baczyński, a może Gałczyński... a może coś współczesnego, coś bardziej na czasie.

Jolka zmierzyła ją wzrokiem.

– Bardziej na czasie? – rzuciła kpiąco. – Przecież publika będzie miała średnio więcej lat, niż wynosi w Polsce wiek emerytalny. Zresztą recytowanie? Też mi talent! – Prychnęła.

Baśka odwróciła się do niej plecami, nie chcąc wchodzić w dyskusję.

– A ty co pokażesz, jeśli wiersze są do bani? – zapytała Mari.

– Nie mówię, że są do bani, tylko że recytowanie to żaden talent – burknęła obojętnie. – Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie... – Jolka zaczęła recytować, żeby pokazać Baśce, że każdy to potrafi.

Jolka skończyła po chwili, lecz Baśka wciąż udawała obrażoną. Czytanie i mówienie to były przecież jej jedyne atuty.

– Ja zaprezentuję gimnastykę akrobatyczną – pochwaliła się w końcu Jolka, zaczynając się rozgrzewać.

Patrzyłam na nią, oniemiała. Jeszcze dwa lata temu nie mogła się schylić na prostych nogach, a dziś rozciągała się dumnie do szpagatu.

– Moniś, a ty? – zapytała czule Jolka, wykonując przysiady.

Monika uśmiechnęła się lekko, po czym oblała się rumieńcem.

– Będę grała na flecie – wyznała cicho. – Kiedyś byłam w tym dobra, więc może coś z tego pozostało.

– A skąd weźmiesz flet? – zapytałam.

– Wczoraj widziałam takie kolorowe flety, jak szłyśmy na fajfy. Pójdę po jeden, jak tylko podsłucham, co wy chcecie zaprezentować. Bo może się okaże, że wygram bez fletu.

– Zabawne! – rzuciła Baśka, pewna, że uwaga dotyczyła jej recytacji wiersza.

„Będzie łatwej, niż myślałam – przyznałam, wiedząc, że żadna z nich mi nie zagraża. – Jeszcze tylko Mari. Ciekawe, co ona knuje?”

– Ja będę śpiewała – oznajmiła Marietta. – Mam w planie wzbudzić litość w publice. Jak myślicie: *Kolorowe kredki* czy *Wszystkie dzieci nasze są*? Co ich bardziej poruszy?

Zastygłyśmy na moment. Śpiewająca Marietta to już było wiele, a co dopiero Marietta wykonująca piosenki rodem z przedszkola. To musiało być zabawne. „A jak jeszcze założy jakiś swój odsztywniony look, to będzie porażka” – oczyma wyobraźni widziałam Mariettę śpiewającą o kredkach, w tiulowej spódnicy, którą wczoraj miała na sobie.

– Zośka, a ty masz jakiś talent?

Wiedziałam, że Jolka będzie pierwszą, która we mnie zwątpi. „A ty, głupia, się cieszyłaś, że ożyła” – przypomniałam sobie wczorajszy poranek.

– Mam talent i to niejeden. – Przeczesałam włosy palcami. – Jestem tunelem talentów.

– Chyba jaskinią – poprawiła mnie Berka.

– Tunel czy jaskinia, nieważne. Ważne, że wygram, i się zdziwicie – wyznałam pewnie i tylko ja jedyna wiedziałam, ile w tym kłamstwa.

– Przeczesywanie włosów to nie talent – upomniała mnie Jolka, a ja zapragnęłam, aby wczorajszy ranek mógł się wydarzyć ponownie.

Przerzucając ubrania, zastanawiałam się, jaki talent pokazać. A raczej jaki w ogóle posiadam. Nie chciałam być nudna i powielać pomysły przyjaciółek. To musiało być coś niesamowitego i tylko mojego. Coś, czego żadna z kandydatek nie zaprezentuje na scenie. Dokopując się do dna walizki, w mojej głowie pojawiła się piękna myśl. „Mam!” – ucieszyłam się

i zaczęłam przygotowywać wszystko, co będzie mi potrzebne do prezentacji mojego talentu.

\* \* \*

Sala restauracyjna była pełna. Wszystkie stoliki zajęte, a nawet potrzebne było dostawienie dodatkowych krzeseł. „Wybory z prawdziwego zdarzenia” – pomyślałam, co rusz poprawiając sukienkę, którą miałam na sobie.

– Witam państwa na wyborach Miss Turnusu. – Poznałam głos mężczyzny, który przerwał nam rano śniadanie. – Dziś zobaczymy dziesięć kandydatek walczących o koronę Villa Park oraz nagrody ufundowane przez naszych sponsorów.

Gromkie brawa opanowały przestrzeń restauracji.

– Wybory podzielone są na trzy etapy. Część pierwsza to prezentacja w strojach wieczorowych, druga to pokaz talentów i trzeci to nic innego jak koronacja nowej Miss Turnusu. – Zaczął klaskać, zachęcając do tego również publiczność. – Zatem, muzyko, graj, a panie zapraszam na scenę.

Zgasły światła, jedynie reflektor nad sceną bił blaskiem. Muzyka zaczęła spokojnie grać, a my ruszyłyśmy na scenę. Nas pięć i pięć senierek, które wyglądały całkiem znośnie, jak na swoje lata. Kolejno wychodziłyśmy na scenę, pokazać się publiczności. Każda dostawała owacje, co jeszcze bardziej mobilizowało do pięknej prezentacji. Żadnych potknięć, wywrotek czy przepychanek.

Po pierwszej części nadszedł czas na konkurs talentów. Dziesięć minut na przebranie i oczekiwanie na swoją kolej. Pierwsza była Baśka. Wyszła pewnie na scenę, biorąc mikrofon od prowadzącego.

– Krzysztof Kamil Baczyński... – zaczęła mówić, niespecjalnie zaskakując przy tym publiczność.

Druga była pani Helenka, która pokazała grę na garnkach. „Zamiast gotować, wali w nie pół dnia” – skwitowałam jej talent w myślach. Numer trzy to flecistka Monika, która dość poprawnie zagrała melodię *Panie Janie*, której uczyłyśmy się w podstawówce, na lekcjach muzyki u pana Franca. Czwarty pokaz należał do pani Katarzyny, machającej wstęgą. „Naoglądała się olimpiad i skacze teraz jak emerytowana sarenka” – zdziwiłam się, że tak łatwo będzie mi wygrać. Jednak owacje dla pani Katarzyny zdawały się nie mieć końca. „Musiała przyjechać na turnus ze sporym gronem znajomych” – pomyślałam.

Jolka i jej akrobacje również zostały miło przyjęte. Entuzjazm, z jakim wykonywała kolejne pozy, najwyraźniej udzielił się widzom. „O nie, ona mnie nie pokona” – zdecydowałam, że muszę dać z siebie jeszcze więcej, niż myślałam. Po Jolce nadszedł czas na panią Czesię. Niską, dość kręłą kobietę z cudownym głosem. Kiedy zaczęła wydobywać z siebie dźwięki arii operowej, publiczność oraz my, ukryte za kotarą, zamarliśmy z wrażenia. Jej głos niósł się niczym najpiękniejsza wiadomość z niebios. „Mam konkurencję” – zauważyłam, kiedy pani Czesia zeszła już ze sceny.

Z głośników zaczęła płynąć melodia do piosenki *Kolorowe kredki*, co zapowiadało występ Marietty. Próba wzbudzenia litości okazała się trafna. Publiczność wraz z kolorową Marią śpiewała przebój z lat naszej młodości. Numer osiem to pani Matylda. Już samo imię mówiło mi, że nie pokaże nic ciekawego. Nie myliłam się. Starsza pani zaczęła opowiadać dowcipy, które chyba tylko ją śmieszyły. „Kłapa” – stwierdziłam, uradowana, że jednej z konkurentek się nie powiodło.

Nadeszła pora mojego występu. Z głośników wydobywały się romantyczne nuty, a na środku sceny stało krzesło, na którym siadłam okrakiem, zdejmując z siebie narzutę. Striptiz to bez wątpienia mój talent i dzięki niemu zdobędę koronę. Wyginałam się coraz śmielej, nie słuchając gderania kobiet. Dla mnie liczył się męski zachwyt, bo to przecież oni będą wybierać nową miss. Już chciałam się położyć na podłodze i zrobić numer z uniesieniem nóg, kiedy do moich uszu dobiegło rozpaczliwe wołanie:

– Franciszek, Franciszek! Dzwoncie po pogotowie. – Ten głos przerwał mój występ.

Starszy pan leżał nieruchomo, ale uśmiech wciąż gościł na jego twarzy. „Zabiłam go” – pomyślałam ze smutkiem.

– Franek, ty żyjesz. – Głos moich wyrzutów sumienia zagłuszyła kobieta, która kazała dzwonić po karetkę.

– Bronka, bo ja sobie przypomniałem, jak my kiedyś... – Pan Franciszek złapał zarumienioną żonę za rękę. – To były czasy. Całą noc, na zmianę, bez wytchnienia.

– Wstawaj już, myślałam, że nie żyjesz, a ty tutaj o seksie tylko myślisz!

Mój występ się skończył. Zostałam nagrodzona brawami, z których najgłośniejsze były te pana Franciszka. „Został jeden występ” – wyliczałam w myślach.

Po moim striptizie nawet pokaz zonglerski pani Jadzi nie zdołał uspokoić publiczności, wciąż wspominającej mój występ. „W tym wieku

zonglerka?” – zdziwiłam się szczerze, zastanawiając się, czy tylko na turnusie są takie żywiołowe.

Występy się zakończyły. Prowadzący przejął mikrofon, prosząc zebranych w sali panów o wpisanie na kartkach numerów pań, na które oddają swój głos. My miałyśmy kilka minut na przebranie. „Jak przyjmować koronę, to w pięknej sukni” – zdecydowałam się założyć długą kreację z satyny, doskonale podkreślającą moje atuty.

– Zapraszam, drogie panie, ponownie na scenę – usłyszałyśmy głos prowadzącego.

Wykonałyśmy polecenie i z coraz większym napięciem oczekiwałyśmy na werdykt.

– Drodzy panowie, mieliście pisać numerki, a nie imiona, ale zostanie wam to wybaczone! Tytuł drugiej wicemiss zdobywa pani Jadzia od zonglerki.

Pani Jadzia wyszła przed szereg, dumnie prężąc się w oczekiwaniu na nałożenie szarfy.

– Tytuł pierwszej wicemiss trafia do pani Jolanty za pokaz akrobatyczny – przeczytał z kartki. – Sam chciałbym się tak wyginać.

Zadowolona Jolka zrobiła dwa kroki w przód. Czekając na szarfę, kłaniała się kilkakrotnie. „Wiedziałam, że wygram” – w myślach już tworzyłam mowę dziękczynną.

– Tytuł Miss Turnusu... O cholerka, takiej sytuacji jeszcze nie było. Mamy remis, a tylko jedną koronę.

„Jaki remis?!” – nie pozwalając zejść uśmiechowi z twarzy, zastanawiałam się, co on gada.

– Mamy remis pomiędzy panią Zosią a panią Czesią – wydukał w końcu.

Obydwie wyszłyśmy przed szereg, czekając na rozstrzygnięcie w kwestii naszego podzielonego tytułu.

– Z góry muszę przeprosić, ale i koronę, i szarfę mamy tylko jedną. Musimy zrobić dogrywkę – zarządził prowadzący.

Spojrzałam na konkurentkę, na jej promienny uśmiech, po czym wzięłam mikrofon od mężczyzny.

– Chciałabym zrezygnować z dogrywki – rzuciłam, choć moje myśli mówiły coś innego. – Nową Miss Turnusu jest pani Czesia. Ja jeszcze kiedyś zdobędę tytuł.

Pani Czesia przytuliła mnie mocno.

– Jak będziesz w moim wieku, to zrezygnuj ze striptizu na scenie –



powiedziała szeptem. – Te stare fałdki mogą nie robić takiego wrażenia.

Korona ozdobiła siwe włosy pani Czesi. Publiczność zaczęła głośno bić brawa, a dziewczyny podbiegły do mnie, mocno mnie przytulić. „Ja też wygrałam” – cieszyłam się, wiedząc, że to te pięć tulących mnie kobiet było moją największą wygraną. Dzięki nim spędziłam najwspanialszy weekend panieński i aż szkoda będzie jutro wracać do Warszawy. Jednak zanim to nastąpi, pora na zabawę.

\* \* \*

Koło południa wyruszyliśmy do domu. Pięć skacowanych dusz i jedna trzeźwo-zmęczona Berka. Kierowca milczał, prosząc zapewne w myślach, abyśmy dały mu spokój i o nic nie pytały. Jego wzrok utkwiony był w drogę i nawet nasze śmiechy tego nie zmieniły. Zapewne marzył, aby już być w Warszawie.

– Pamiętasz, że następny weekend spędzasz z dziewczynkami? – przypomniała mi Baśka.

Skinęłam głową, wiedząc, że nie dam rady się wymigać. „Już pewnie mają zarezerwowany hotel nad morzem” – powtarzałam sobie nerwowo w myślach.

– Dziewczyny, myślicie, że Karol mnie rzuci? – Pytanie Berki nas zaszokowało.

– Niby czemu? Masz jego dzieciaka w brzuchu – przypomniała jej Jolka.

Patrzyliśmy na nią, wciąż zdziwione jej pytaniem, kiedy ona zaczęła głośno szlochać.

– Bo on wraca coraz później do domu, ma mnie już najwyraźniej dość. – Chlipała.

Nie wiedziałyśmy, co jej poradzić. Żadna z nas nie miała takiego problemu.

– To może go przetestujemy? – zaproponowała Baśka. – Uspokój się i dzwoń do niego, że masz ochotę na truskawki.

– Ale nie mam. – Berce nie spodobał się pomysł przyjaciółki.

– Dzwoń, później będzie jeszcze zabawniej – zapewniła ją Baśka.

Zrezygnowana Berka sięgnęła po telefon i wybrała numer Karola.

– Cześć, kochanie... Tak, wracamy już... Wiesz, mam ochotę na truskawki... Dobrze, do potem. – Rozłączyła się.

– I...? – zapytała Baśka.

– Powiedział, że kupi. – Uśmiechnęła się.

– Połknął haczyk – ucieszyła się pomysłodawczyni.

Jechałyśmy dalej, a Baśka wprowadziła nas w swój niecny plan. Swoją drogą, i ona potrafiła pokazać czasem pazury.

Dziesięć minut minęło, Berka znów sięgnęła po telefon.

– Cześć, kochanie... I co, kupiłeś te malinki dla mnie...? Jakie truskawki? Ja chciałam malinki.

Nasze śmiechy opanowały wnętrze busa. Żałowałam, że nie mogę widzieć miny Karola.

Po dziesięciu minutach Berka wykonała kolejny telefon do męża.

– Karolku, znalazłeś te pomarańcze dla mnie...? Karol, nie rób ze mnie niezrównoważonej... Wiem, czego chciałam... Dzwoniłam, żebyś kupił pomarańcze.

– I teraz będzie ostatni telefon – zakomunikowała Baśka. – On powie, że chciałaś pomarańcze, a ty, że cię mdli przecież po nich. Założę się, że jak przyjedziesz do domu, będziesz miała cały koszt owoców, prócz pomarańczy, mam nadzieję.

„Ciekawe, czy ojca też tak w konia robiła?” – zastanawiałam się, żałując, że nie mogłyśmy wspólnie z nią przechodzić okresu ciąży.

– Karolku, kupiłeś śliwki...? Jakie pomarańcze? Mdlu mnie od nich, chcesz, żebym rzygała cały wieczór? – Rozłączyła się, przybijając Baśce piątkę.

– Dobra robota – pochwaliła ją Marietta.

Naszym oczom ukazała się zielona tablica z napisem „Warszawa”. Byłyśmy w domu.

## 4 czerwca 2016 roku

Baśka i ojciec wyjechali nad morze już wczoraj wieczorem. Arti i Tori wykorzystali swój wolny weekend na szaloną wyprawę, cokolwiek się za tym kryło. Tylko my zostaliśmy w domu: ja, Sebastian i dwie ropuchy. Postanowiliśmy, że Julka i Sebastian wprowadzą się do nas na te dwa dni, aby łatwiej było nam kontrolować sytuację.

Rybka Mini Mini opanowała ponownie salon. Wpatrzone w nią dziewczynki, zdawały się nie widzieć nic więcej. „Może nie będzie tak źle” – pomyślałam, tworząc w głowie wizję szybkiej schadzki z Sebastianem. Pociągnęłam go do góry, bacznie obserwując, czy dziewczynki wciąż nieruchomo oglądają bajki. „Udało się” – cieszyłam się, wchodząc cicho po schodach.

Już od progu zaczęłam całować narzeczonego, lecz on był bierny wobec moich pieszczot.

– Zofio! – Zabrzmiało groźnie. – Musimy porozmawiać.

Nie tego się spodziewałam. Rozmawiać możemy później, kiedy dziewczynki będą w pobliżu, a teraz mogliśmy mieć chwilę dla siebie.

– Zofio, nie ożenię się z kobietą, która mnie okłamuje.

I po co ta gadanina? Chyba się za dużo filmów naoglądał.

– Zatajanie prawdy także się w tym liczy. – Posłał mi smutne spojrzenie.

– Ale ja...

– A epizod w filmie porno? – przerwał mi.

Epizod? Grałam tam główną rolę, a on nazywa to epizodem?! W ogóle skąd on to wie? Baśka...

– Skąd wiesz? – postanowiłam się upewnić, że to moja przyszła macocha za tym stała.

– Kordian mi powiedział, w zasadzie to pokazał – wytłumaczył. – Jest twoim wielkim fanem i zapytał mnie, czemu nie pojechałaś na ten festiwal, żeby odebrać nagrodę.

– Nie chciałam, abyś się dowiedział – jęknęłam. – Wstydziłam się.

– Niepotrzebnie – posłał mi lekki uśmiech – przeszłości nie zmienisz, a powinnaś mi ufać, przecież będę twoim mężem.

Przytulił mnie mocno, zaczynając powoli błądzić dłońmi pod moją bluzką. „A jednak” – cieszyłam się, wpijając w jego wargi.

– Zosia, telewizor nie działa! – Usłyszałam wołanie mniejszej z ropuch.

Zdenerwowana zbiegłam na dół, przypominając sobie, że one zawsze

popsują nam romantyczne chwile. Jakby miały jakiś noktowizor wszczepiony w nasze ciała.

Ekran był czarny, faktycznie nie działał. Nie chcąc bawić się w jego naprawę, wysłałam dziewczynki do mojego pokoju, wołając Sebastiana na dół. „Zmiana miejsca nam nie przeszkodzi” – obiecałam sobie.

– Tak, tak, zaraz będę... Ale co się stało? – Usłyszałam głos narzeczonego.

– Gdzie będziesz?

– Muszę jechać do Windy, podpisać zgodę na wydanie audiobooka, bo w pierwszej umowie tego nie było – wytłumaczył. – Zbieraj dzieciarnię, jedziemy do zoo.

Diablice musiały podsłuchiwać naszą rozmowę, gdyż po chwili stały już obok nas, gotowe do wyjścia. „A miało być tak pięknie” – nuciłam sobie w głowie słowa znanej piosenki.

Wyprawa do zoo w sobotę nie była trafionym pomysłem. Tłum szczęśliwych rodzin, głośne krzyki dzieci i smród odchodów zwierząt to na pewno nie widok idealnej soboty. Zdecydowanie wolałabym ją spędzić w czterech ścianach naszego domu.

– Zobaczymy żyrafy! – Zuzia aż podskakiwała z zachwytu.

– I słonie – cieszyła się Julka.

Chodziliśmy wąskimi alejkami, znajdując co rusz nowe zwierzęta. Diablice prosiły o zdjęcia, a ja niczym opłacony fotograf klikałam iPhone’em.

– A może wam zrobimy zdjęcie? – zaproponowała Julka przy żyrafiarni.

Zgodziliśmy się, zdziwieni bezinteresownością naszych sióstr. Ustawiliśmy się przy bramie, kiedy jedna z żyraf pochyliła się nad nami, spuszczając potok śliny wprost na moje włosy.

– Widzisz, nie trzeba jej dawać jedzenia, aby poczęstowała Zośkę śliną. – Usłyszałam cichy śmiech ropuch.

– Zabiję was, zabiję! – krzyknęłam, wściekła. – Zaplanowałyście to?!

– Tego... – Wskazały na gęstą plamę na moich włosach. – ...nie.

Miałam w planie je rozszarpać, jednak Sebastian mnie powstrzymał.

– Pójdę po czapkę – powiedział, chcąc zapewne mnie uspokoić.

– Co planowałyście? – Wchodziłam na wyżyny cierpliwości, by zachować resztki spokoju.

– My tylko... – zaczęła Zuzka.

– Nie mów jej! – rozkazała Julka. – Ona nas zabije, jak się dowie.

– Zabiję was, jak mi nie powiecie.

– Chciałyśmy dać żyrafie twój telefon. – Tym razem Julka pękła pierwsza.

Diablice, ropuchy... Brakowało mi słów, by je opisać. „Co z nich wyrośnie?” – zastanawiałam się, oczyma wyobraźni widząc je w ośrodku dla trudnej młodzieży. „Rozpieszczone gówniary!” – wyzywałam w myślach, zdając sobie sprawę, że po części przypominały mi mnie za młodu.

Sebastian przyszedł z czarną czapką z daszkiem, którą zdołał zakupić w jednym ze sklepów z pamiątkami. Nie była zła. Założyłam ją dość chętnie i, wbrew przewidywaniom ropuch, z uśmiechem na ustach postanowiłam kontynuować zwiedzanie zoo.

Małpiarnia, słoniarnia i inne dziwne nazwy były wskazówkami do poruszania się po ogrodzie. Jak prawdziwa rodzina wędrowaliśmy między klatkami. „Może kiedyś i my będziemy mieć dzieci? – pomyślałam, lecz szybko wygoniłam tę myśl z mojej głowy. – To niedorzeczne. Ja matką? Tego jeszcze nie było... i nie będzie”.

Kończyliśmy już zwiedzanie, kiedy moja komórka oznajmiła przyjście wiadomości. Pewna, że to Baśka, postanowiłam nie sięgać po telefon od razu. „A niech się martwi” – postanowiłam i dopiero w samochodzie odczytałam wiadomość od Marietty:



Koniec odsztywniania STOP Teodor się wściekł STOP Muszę być sobą STOP Zrozum to STOP

SMS-y od Mari zawsze można było sklasyfikować jako dziwne. Tym razem zabawiła się w tworzenie telegramu, aby mieć pewność, że dojdzie. „Och, ta Mari” – uśmiechnęłam się do siebie, dumna, że koniec ze śmiesznym wyglądem pani porządnickiej. Swoją drogą i Teodor mnie zaskoczył. Ciepłe kluchy okazały się chłodniejsze, niż myślałam.

## 25 czerwca 2016 roku

Do ślubu pozostał tydzień. Siedem dni, z których jeden musimy zmarnować przez jakiś mecz. „Dzieje się historia”, „Wyszliśmy z grupy i mamy szansę na więcej” oraz „Euro jest co cztery lata” – to tylko nieliczne z wypowiedzi Sebastiana, mające przekonać mnie do popołudniowego seansu przed telewizorem.

Zaopatrzeni w chipsy i piwo, usiedliśmy przed salonowym telewizorem w domu Sebastiana już dziesięć minut przed meczem. Ja – ubrana w kupioną specjalnie na tę okazję koszulkę z białym orłem na piersi oraz Sebastian – w biało-czerwonej koszulce Euro 2016, owinięty szalikiem w barwach narodowych i w czapeczce, jakby wszystkiego było mało. „Trzydzieści trzy stopnie na dworze, a ten w szaliku” – zaśmiałam się w myślach.

Mecz się rozpoczął. Piłkarze weszli na stadion, odśpiewano hymny, po czym sędzia odgwizdał początek gry. Biali kontra czerwoni. My kontra Szwajcaria. Bieganina za piłką wciągnęła nawet mnie, choć sport był dla mnie wiedzą tajemną. Po pierwszej połowie umiałam już nawet wymienić kilka nazwisk graczy, wymienianych co chwilę przez komentatora. Lewandowski, Błaszczykowski, Pazdan, Milik, Fabiański, Krychowiak i Grosicki to tylko nieliczni z naszych reprezentantów.

– Jaki, kurwa, spalony! – krzyknął nagle Sebastian, spoglądając na mnie, abym się najwyraźniej zgodziła z jego zdaniem.

– Sędzia kalosz. – Złożyłam ręce na piersiach.

Moja wypowiedź była nieważna. Piłka wciąż wirowała między jedną a drugą bramką. Atak czerwonych na nas... Sebastian podniósł się z miejsca, wydając z siebie głośny okrzyk, kiedy bramkarzowi udało się złapać piłkę. Zimna krew, szybkie podanie i nasi ruszyli. Grosicki podał i GOL. Błaszczykowski strzelił w sam środek okienka. Szczęśliwy Sebastian rzucił mi się na szyję, składając miliony pocałunków na mojej twarzy. „Jedna bramka, a tyle czułości” – pomyślałam, zastanawiając się jednocześnie, jak zareaguje na kolejną.

– Spalony! – Sebastian znów krzyczał w stronę sędziego.

Wstałam z kanapy, chcąc wyjść na chwilę z salonu.

– Gdzie idziesz?

– Do łazienki.

– Zośka, twój pęcherz to w ogóle nie jest patriotą. Sikać w takim momencie! – mówił, nie spuszczać wzroku z ekranu.

W łazience dyskretnie wybrałam numer Berki. Kto jak kto, ale ona będzie wiedziała, czym jest ten cholerny spalony.

– Berka, mam mało czasu, bo robię siku – zaczęłam, kiedy tylko usłyszałam jej głos.

– Mam pomóc ci w sikaniu? – Zdziwiła się. – Psi, psi, psi...

– Berka, serio mówię! – Zdenerwowałam się.

– Ja też. Wiesz, sama kiedyś miałam problem z pęcherzem, ale farmaceutka dała mi...

– Berka, czym jest, do cholery, ten spalony? – przerwałam jej wywód.

Cisza po drugiej stronie nie rokowała dobrze.

– Jaki, kuźwa, spalony?

– Berka, przecież ty nie bluźnisz – przypomniałam jej. – Spalony w piłce nożnej. Sebastian cały czas krzyczy, spalony tu, spalony tam, a ja za cholere go nie rozumiem.

– To go zapytaj – zasugerowała.

Chrząknęłam.

– Zwariowałaś?! Wtedy pomyśli, że jestem głupia.

– A ja skąd mam niby wiedzieć, co to jest?

– Przecież Karol ci to tłumaczył, jak wpadłaś na pomysł, że znajdziesz męża na meczu.

– Nie przypominaj mi nawet! – Zdenerwowała się. – To było rok temu, nie pamiętam. Ten spalony to było coś, że piłkarz nie może być za blisko bramkarza czy kogoś tam. Chcesz posłuchać mojej rady?

– Pewnie. Przecież jakimś cudem jesteś dziś mężatką.

– Udawaj, że wiesz, o co chodzi – wyznała radośnie, po czym się rozłączyła.

„Złote rady Bernadetty” – zadrwiłam, dziwiąc się, że jeszcze nikt nie wpadł na to, by je opublikować.

Wróciłam do salonu, lecz Sebastiana nie było przed telewizorem. Zdziwiłam się, przecież śmiał się ze mnie, że wychodzę, więc gdzie on się podział. „Już ja mu pokażę” – postanowiłam.

– Widzisz, mój pęcherz jest patriotą i wytrzymał do przerwy. – Usłyszałam za plecami.

Nie skomentowałam tego. Postanowiłam, że zagnę go na spalonym. „Będę szybsza niż sędzia” – obiecałam sobie. Druga połowa się rozpoczęła. Siedzieliśmy nieruchomo przed telewizorem. Szwajcarzy strzelili nam gola, biedny Fabiański był bez szans. Remis. Walka zaczynała się od nowa.

– Spalony! – krzyknęłam.

Pierwsza próba i od razu spektakularny sukces – udało mi się odciągnąć wzrok Sebastiana od telewizora, bo wpatrywał się teraz we mnie. „Jak niewiele trzeba, aby go zadowolić” – przyznałam z dumą.

– Jaki spalony? Przecież on jest pod swoją bramką, nie naszą.

– No tak, ale jest za blisko bramkarza – próbowałam się bronić.

– I...?!

– I się zaraz spali na tym słońcu, więc zaczęłam krzyczeć. Niech medycy usłyszą. – Nawet mnie wydawało się to głupim tłumaczeniem.

Sebastian milczał. Ponownie skierował swój wzrok na telewizor, by obejrzeć końcówkę meczu. „Za trzy minuty będzie po wszystkim” – tłumaczyłam sobie, wyczekując pojawienia się na zegarze liczby dziewięćdziesiąt.

– Dogrywka – powiedział Sebastian, zanim zaczęłam się cieszyć z remisu.

– Jak tak dalej pójdzie, to będą karne, a karne to istna loteria.

– Ale za co kara? – Nie rozumiałam.

– Rzuty karne to taki strzał z pola karnego, z jedenastego metra – tłumaczył, wskazując palcem miejsce na telewizorze.

Oczekiwałam dogrywki. Byłam ciekawa, jak dalej potoczy się sytuacja. Sebastian miał rację – dogrywka nic nie zmieniła. Nadszedł czas jedenastek. Zaczynali Szwajcarzy, my będziemy kończyć. Trafili, my też...

– Yeee! – Sebastian aż podskoczył po niecelnym strzale przeciwników. – Tylko trafcie, tylko trafcie! – Zacisnął kciuki.

Ostatni karny. Krychowiak. Spojrzał na piłkę, zerknął na bramkarza i zdecydowanym ruchem umieścił piłkę w siatce.

– Kurwa, ja pierdołę! – wykrzykiwał, machając szalikiem Sebastian. – Toż to historyczny moment, jesteście w ćwierćfinale.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale cieszyłam się razem z nim. Polacy wygrali, a co to dało, to już mnie nie interesowało.

– Jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli odwołać ślub.

– Co?! – Byłam pewna, że od tych wszystkich spalonych mój przegrzany mózg ma omamy słuchowe.

– No, jeśli nasi graliby drugiego lipca, to sama rozumiesz, siła wyższa – wyznał, po czym pobiegł do góry.

„Odwołać ślub” – dźwięczało mi w głowie. Odwołać, nie przełożyć. Chociaż tak naprawdę żadna z tych opcji nie wchodziła w grę. „Nikt nie będzie zmieniał planów Zosi Majer” – postanowiłam. – Najwyżej przełoży



się mecz, ślub był wcześniej planowany”.

– Możemy się hajtać – stwierdził po chwili Sebastian. – Nasza grupa nie gra drugiego.

Niby szczęśliwe zakończenie, lecz mnie wciąż kołatały w głowie dwa słowa: „Odwołać ślub”. Wypowiedziane pośpiesznie, wprowadziły wiele zamieszania. Niepotrzebnego zamieszania, które musi prędko zniknąć. Do ślubu tydzień, a ja wciąż nie wiem miliona rzeczy o moim narzeczonym... „Pewnie żartował” – przekonywałam siebie, zmniejszając tym samym listę niewiadomych.

# 1 lipca 2016 roku

Po dzielnej i honorowej walce nasi reprezentanci muszą wrócić do kraju. Historia, o której mówił Sebastian, będzie ponoć powtarzana przez nas dzieciom, a potem wnukom. „Jakim dzieciom, jakim wnukom?” – miałam zapytać, lecz okrzyk: „Dziękujemy”, wydobywający się wczorajszego wieczoru z ust mojego narzeczonego, był zbyt głośny, abym mogła się przez niego przebić. Tysiące fajerwerków puszczone w niebo, aby mogły rozbłysnąć w podzięce za walkę do ostatnich chwil oraz za dumę, jaką w nas wyzwolono dzięki pierwszemu za mojego życia wyjściu z grupy na tak ważnym turnieju.

Euro dla Polaków się skończyło. Pora zacząć dalszy rozdział, jakim jest nasz ślub. Na dwadzieścia cztery godziny przed nim nie wiedziałam, co myśleć, i w zasadzie nic nie czułam. Zero motyli, brak dreszczyku emocji. Jedyne, co mnie zastanawiało, to czy Magda zdąży i czy zorganizuje wszystko tak, jak jej kazałam. Nie towarzyszyły mi opisywane na blogach emocje, stres i niepewność. Nie czułam nic. Byłam wręcz obojętna, co jeszcze bardziej mnie denerwowało niż wizja przesiadywania godzinami w toalecie.

Na dzień przed ślubem Sebastian miał spotkanie autorskie w Krakowie, a ja musiałam wszystko, jak zawsze, dopiąć na ostatni guzik. „Dobrze, że ostatnio trochę schudłam” – radowałam się na myśl, że dopięcie guzika może dzięki temu będzie łatwiejsze.

W ogrodzie od wczoraj montowany był namiot oraz parkiet. Florystki przyjeżdżały i odjeżdżały, zostawiając kwiaty i dekoracje. Magda biegała między personelem, cały czas zwracając im uwagę, że coś źle stoi, nie tak wygląda lub po prostu nie pasuje do wizji.

– Zabiję go! Zabiję! – krzyczała wbiegająca do domu Magda.

– Kogo? – zapytała Baśka.

– Dmucha-pęka. – Zrobiła się purpurowa ze złości.

– Kogo? – zapytałyśmy jednocześnie z Baśką.

Magda opróżniła jednym haustem szklankę wody z miętą i cytryną.

– Dmucha-pęka. – Wskazała palcem mężczyznę przy dmuchanym zamku do skakania. – Rozstawił się w złym miejscu, robiąc dziurę w gumie. Niby zakleił ją taśmą, ale ona nie pasuje do koloru.

– Jak może nie pasować? Ten zamek jest iście oczojebny – zdziwiła się Baśka. – Zuziaku, chodź do nas.

Wzrok Magdy spotkał się z moim, kiedy na schodach rozbrzmiał tupot małych stóp. Diablica, choć już mniej diabelna niż kiedyś, stała przed nami, uśmiechając się promiennie.

– Co sądzisz o tamtym zamku? – zapytał ją Baśka.

– Jaaa... kurczaki, jaki cudaczny zamek – ekscytowała się. – Mogę poskakać?

– Jutro, kochanie. – Baśka pogłaskała małą po głowie. – Pan musi jeszcze go dodmuchać.

Smutek opanował jej twarz, lecz nie wdawała się w dyskusję z mamą. Wiedziała, że lepiej czasem zamilknąć, niż stracić przyjemność skakania przez marudzenie.

– Kiedy będzie Sebastian? – zapytała Magda, gdy Baśka i Zuzka poszły na górę.

– Nie wiem. – Wzruszyłam obojętnie ramionami, ponownie zastanawiając się, czy ten ślub to dobry pomysł.

– Zosiu, mamy problem z kolorem karo... – Magda nie wiedziała, jak zacząć ten temat.

– Jaki?

– One nie są czarne!

– Jak nie są? – zdziwiłam się. – Wszystkie dekoracje są czarne jak karo i czerwone jak kier.

– Wszystkie dekoracje są czarne jak pik i czerwone jak kier, bo same je wybierałyśmy. Jednak karty do powieszenia w namiocie zamawiałam przez internet i są czerwone... wszystkie są czerwone, jak kier i karo, o jakie prosiłam.

– Ma być czarno-czerwono – zdecydowałam szybko.

– Pomaluję czerwone romby czarnym markerem! – Podekscytowana swoim genialnym pomysłem, pędem ruszyła do ogrodu.

Zostałam sama ze swoimi myślami. Nurtujące pytania powróciły, nie pomagając znaleźć odpowiedzi. Przeczytałam setki forów na temat miłości, zastanawiając się, czy to, co czuję do przyszłego męża, to właśnie to. Motylki nie fruwały w moim brzuchu, mogłam normalnie jeść i spać. Nie było nic, co opisywały zakochane forumowiczki.

Sięgnęłam po iPhone'a, by wybrać numer Berki.

– Skąd wiedziałaś, że Karol to Karol? – zapytałam, usłyszawszy ją po drugiej stronie.

– Przedstawił mi się.

– Nie, nie o to mi chodzi.

– A o co, jeśli mogę zapytać? Wtedy pewnie łatwiej mi będzie odpowiedzieć.

– Skąd wiedziałaś, że Karol to ten jedyny? No, wiesz, że będzie dobrym mężem, kochankiem, przyjacielem, że będzie wszystkim, czym powinien.

Usłyszałam głośne westchnienie.

– Zastanawiasz się, czy dobrze robisz, biorąc ślub z Sebastianem? – Zaśmiała się. – To normalne, też się zastanawiałam, tylko nie miałam kogo zapytać, o co chodzi z tą całą miłością. Miłość jest przereklamowana! Nie ma motyli w brzuchu i innych pierdół, jakie lansują komedie romantyczne. Życie to tylko życie, a miłość to coś więcej niż westchnienia i patrzenie w oczy.

– To co to?

– To tęsknota, wspólne plany, marzenia, wspomnienia... Nie da się być z kimś, kto pięknie mówi, ale nic nie robi, a Sebastian ciebie kocha i ty, uwierz mi, jego też. Czasem inni widzą coś szybciej niż my sami. Spójrz na mnie.

– Berka...

– Tak?

– Jesteś aniołem – wyznałam.

– Całą ciężarówką aniołów, można powiedzieć. – Zaśmiała się, zapewne gładząc w tym momencie ogromny brzuch. – Muszę lecieć, bo Karol chyba się nie mieści w garnitur, skoro tak długo ze sobą gadamy, a go nie widzę. Nie myśl za dużo. Ciesz się ślubem, bo potem będziesz jak ja.

– Niedoczekanie. – Przesłałam jej całusa i rozłączyłam się.

Miłość... Tak trudna do opisanego. Zdecydowanie łatwiej byłoby, gdyby była chorobą. Wtedy znalazłbyśmy jej objawy i sposób leczenia. Idąc za radą przyjaciółki, postanowiłam nie myśleć, co zdecydowanie łatwiej mi przychodziło jeszcze pół roku temu. „Może po długim niemyśleniu teraz chcę się nacieszyć jego pojawieniem” – tłumaczyłam sobie swoje ostatnie roztargnienie. „Nie myśleć!” – rozkazałam sobie, chcąc móc nacisnąć magiczny przycisk, odpowiedzialny za tę czynność.

– Zosieńko, król Karol nie dojedzie na ślub. – Magda wpadła do domu niczym tornado.

– A był zaproszony? – Zdziwiłam się, bo nie wysyłaliśmy zaproszeń do Wielkiej Brytanii.

Magda rzuciła mi piorunujące spojrzenie.

– Król Karol to taki skrót myślowy od króla karo – tłumaczyła.

– To dama miała być karo, a król kier – przypomniałam jej. – A skrót nie może być dłuższy, bo jest wtedy wydłużonym skrótem, nie samym skrótem.

Jej błędny wzrok wskazywał, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi.

– Cholera, może lepiej, że nie dojedzie?! – Otarła pot z czoła. – Dobrze, że inne dekoracje są w porządku. Dziwne, że nikt nie zauważył, iż powinna być dama pik, a nie karo.

– Chyba jednak pójdę i je sprawdzę, bo może więcej Karoli jest, niż powinno – stwierdziłam, a ona spuściła wzrok. – Żartowałam! Przecież widziałam już ogród. Nawet te pomalowane na czarno karo wyglądają naturalnie.

Magda rzuciła mi się na szyję, ściskając mnie zbyt mocno. Moje żebra wbijały się już w płuca, kiedy w końcu puściła.

– Kocham cię – odparła, wracając do ogrodu.

Uśmiechnęłam się lekko, przypominając sobie siebie sprzed kilku miesięcy. Wtedy na pewno zrobiłabym awanturę o nieszczęsnego króla, ale dziś nie miałam na to ochoty. Wiedziałam, że Magda się stara, i to było dla mnie najważniejsze. „Jutro będę żoną” – pomyślałam nagle, czując, jak do moich oczu napływają łzy. Nie mogły one być łzami rozpacz, jakie wylewałaby z siebie nieszczęśliwa panna młoda. Ja byłam szczęśliwa, tylko musiałam sobie to częściej powtarzać.

## 2 lipca 2016 roku

Życie nie może być tylko czarno-białe. Od nas zależy, jaką barwę mu nadamy, mieszając wydarzenia w kolorach emocji. Pomiędzy czernią a bielą mieszczą się miliony, a może nawet i miliardy kolorów, barw, odcieni. Nasze życie może zatem być takie, jakim je namalujemy w wyobraźni.

Moje życie bez wątpienia miało więcej kolorów niż tęcza, ale zapewne mniej niż paleta barw Duluxa, jaką widziałam ostatnio w Obi, szukając idealnej czerni i ekstrawaganckiej czerwieni. „Ogniste flamenco” wprost idealnie komponuje się z „Nocną wyprawą”. Dwie dominujące barwy, dwa szlachetne kolory i dwa światy, które mają się połączyć. Świat mój, czerwonej, słodkiej Zosi, i świat Sebastiana, czarnego, mroczno-horrorowego rycerza. Dziś te światy miały stać się jednością.

Jeszcze rok temu śmiałam się z Berki, że przypadkowo złapała męża, a dziś sama miałam stanąć przed ołtarzem i powiedzieć najważniejsze słowa w moim życiu. Tego egzaminu nie mogę oblać, z niego nie ma poprawki czy też wpisu warunkowego, jak było na studiach. Tutaj życie pisze swoją historię i tylko jeden raz daje szansę. Nie używając backspace’a.

Moja czerwono-czarna, barokowa, mroczna suknia wisiała przed moimi oczyma. Patrzy na mnie, zadając pytanie, czy na pewno tego chcę, czy jestem gotowa. Stałam przed nią i słucham dwóch ważnych mówców: serce się radowało, lecz rozum nie lubił pośpiechu. To wszystko działo się tak szybko, może nawet zbyt szybko.

– Zośka! – Baśka niby krzyczała, ale jej głos wydawał się przyjazny. – Zaraz będzie fryzjer, a chwilę później kosmetyczka. Mówiłam, żebyście jak ludzie brali ślub po południu, ale nie, trzeba wejść do kościoła punkt dwunasta.

Baśka krzyczała coś jeszcze, jednak udało mi się jej nie słuchać. Miałam większe problemy. Kochałam Sebastiana, on kochał mnie, ale czy pół roku wystarczy, aby poznać kogoś na tyle dobrze, by móc spędzić z nim całe życie? Moje myśli błądziły do niedalekiej przeszłości. Uśmiechałam się do siebie, wspominając wydarzenia ostatnich miesięcy. Szalone ucieczki, kończące się kilkugodzinnym pisaniem, kończenie mych myśli w sposób nie zawsze trafiony... Czy byłam gotowa poświęcić temu całe życie?

– Zocha, fryzjerka przyszła. – Ponownie słysząc głos Baśki.

Ostatnie spojrzenie na suknię sprawiło, że byłam pewna swojej decyzji. „Kto nie ryzykuje, ten ma puste konto” – jak mawia często tatuś.

– Idę, idę. – Zwlekłam się do salonu.

– Witam, pani Zosiu. – Młoda dziewczyna, bodajże Marika, podała mi rękę na powitanie. – Czeszemy jak ostatnio?

Wpatrywałam się w nią i nagle zobaczyłam coś, czego wcześniej nie mogłam dojrzeć. Zamknęłam oczy, aby utrwalić obraz w pamięci.

– Nie, nie tak, jak było. – Uśmiechnęłam się. – Mam inny plan na dziś.

– Zaczynam się bać – szepnęła Baśka.

Fryzjerka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma. Bała się, to było widać.

– Więc jak? – zapytała, chcąc ukryć zdenerwowanie.

– Niech się pani nie boi – uspokajałam ją, przypominając sobie, że podczas próbnego czesania mogłam się wydać lekko niemą. – Chcę taki artystyczny nieład z czerwonym warkoczem w tle.

– Kompletnie zgłupiałaś! – Baśka spojrzała na mnie krytycznie.

– Ale...

– Ale będzie dobrze – przerwałam fryzjerce, po czym usiadłam na obrotowym krześle, kupionym specjalnie na ten jeden dzień.

Czesanie moich włosów to nagroda dla fryzjerów, połączona jednocześnie z niezwykłym wyzwaniem. Tylko najlepsi są w stanie okiełznać kruczoczarny raj znajdujący się na mojej głowie. Marika wydawała się dobra w swoim fachu. Dwukrotna mistrzyni Polski w czesaniu ślubnym i awangardowym, znająca się na najnowszych trendach i technikach stosowanych przez najbardziej znanych w świecie fryzjerów. Praca była dla niej ewidentnie pasją, co w niej chyba najbardziej ceniłam.

– Zocha, Sebastian dzwoni. – Baśka podała mi telefon.

– Tak...? Nie, nie, to niemożliwe... Wiedziałam, że o czymś zapomnieliśmy, ale o tym... I co teraz? Nie wiesz... To kto ma wiedzieć...? Będzie dobrze... Coś wymyślimy... Masz rację... – Uśmiechnęłam się lekko, mimo złych wieści.

– Co jest? – dopytywała Baśka.

– Zapomnieliśmy o obrączkach. – Zaczęłam się nerwowo śmiać.

– O obrączkach?

– Tak, o obrączkach, co cię tak dziwi?

– No, bo one są chyba najważniejsze, a jak nie naj, to prawie naj – tłumaczyła Bacha. – I co teraz?

– Jeszcze nie wiem, ale coś się wymyśli – rzuciłam na odczepnego, wzrokiem dając znać Marice, by zabrała się znów za moje włosy.

– A ta cała Magda? – Baśka drapała się nerwowo po głowie. – Po coś ją wynajęłaś, do cholery?

– Magda nie miała na liście obrączek, to zbyt osobiste.

– Co w tym niby osobistego?

Proste pytanie, ale w dniu ślubu wydawało się nie na miejscu. „Jak można nie rozumieć sensu obrączkowej osobistości?” – zastanawiałam się.

– Nie zrozumiesz tego, bo nie masz obrączki – burknęłam, pewna, że wybrałam najlepszą drogę na ścieżce, którą brnęłam.

– Ty też nie! – dopiekła mi.

Fryzura ślubna była już prawie gotowa, mała diablica z ochotą paradowała w tiulowym tutu, w kolorach dominujących na naszym weselu, a Baśka, obgryzając paznokcie, chodziła po salonie.

– Jadę! – rzuciła nagle. – Kupię te cholerne obrączki.

Marika klasnęła w dłonie z radości, a dumna Zuza wtuliła się w swoją genialną mamę. W papilotach na głowie, szlafroku w krowie łaty i puchatych papciach Baśka pojechała po obrączki.

– Poświęca się dla pani – skomentowała Marika, zapewne mając na myśli jej strój, zdecydowanie odbiegający od modowych trendów ulic Warszawy.

– Pewnie myśli, że bez obrączek nie wyjdę za mąż. – Zaśmiałam się. – A wtedy by się mnie nie pozbyła z domu.

Marika rzuciła mi niepewne spojrzenie.

– Przecież to pani przyjaciółka.

– Jak się mieszka z kimś pod jednym dachem, to nawet przyjaźń musi pooddychać wyczyszczonym ze spalin powietrzem – rzuciłam.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie – stwierdziłam dumnie.

– Tadam! – wesoło zawołała Marika, odsłaniając lustro znajdujące się przede mną.

Awangarda z artystycznym nieładem zaplątane w odważny czerwony warkocz – to musiało wyglądać pięknie, ale... takie nie było. Gorzej być już nie mogło. Cofam: gorzej być mogło. Ślub miał się odbyć za niecałą godzinę, a ja byłam jeszcze w proszku. Potrzebowałam makijażu, rozpaczliwie. „Gdzie jest Tonia?” – zastanawiałam się, chcąc przypomnieć sobie, na którą byłam umówiona z kosmetyczką.

– Tonia! – krzyknęłam, kiedy tylko odebrała telefon. – Gdzie ty jesteś?

Coś mówiła, jednak ja zrozumiałam jedynie: „Kurwa, zasnęłam”, po czym nastąpiła lawina słów nienadających się do publikacji, gdziekolwiek.



– Ropucha! – zawołałam siostrę. – Przynieś mi moją kosmetyczkę.

– A ile zapłacisz? – zapytała z tym swoim wrednym uśmiechem na ustach.

– Zuzka, jak chcesz żyć...

– Hm... groźby z ust panny po spowiedzi? – Miałam ochotę ją naprawdę udusić. – Mogę o tym zapomnieć za stówkę.

– Ile? – zdziwiłam się.

Zazwyczaj ropucha chciała piątaka, maksymalnie dychę, a teraz miałam jej zapłacić haracz w wysokości stu złotych.

– Za chwilę urośnie do dwustu.

– Dobra, daję stówę, ale idziesz po kosmetyczkę – skapitulowałam.

Czerwono-czarne tutu radośnie fruwało w rytm podskoków Zuzki. Aż miło było patrzeć na swoją kopię z dzieciństwa, ubraną w tak piękną suknię. Gdyby nie jej diabelskie wnętrza, mogłaby być naprawdę cudownym dzieckiem. Tak cudownym, jak ja kiedyś.

Baśka przyjechała na dwadzieścia minut przed wyjściem, kiedy kończyłam tuszować oczy. Dumna, wydająca się nie zauważać swojego wyglądu, podała mi małe pudełeczko.

– Niech będą – pochwaliłam ją.

– Niech będą? – oburzyła się. – To ja latam po stolicy, szukając obrączek dla ciebie, a ty jak rozwydrzona smarkula mówisz tylko nędzne „niech będą”?

– A co mam powiedzieć? – zdziwiłam się.

– Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję”, ale twój ubogi słownik nie uwzględnia widocznie takich wysublimowanych słów.

– Dziękuję.

– Za późno. – Odwróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju.

Nałożyłam na siebie wymarzoną suknię, by po raz ostatni móc przejrzeć się w lustrze. Każda kobieta w dniu swojego ślubu chce wyglądać jak księżniczka. Ja wyglądałam tak na co dzień, zatem ten dzień musiał być inny, ale też wyjątkowy. Dziś wyglądałam jak dama. Jedna z tych, o których mówiły Baśka i Berka, kiedy rozmawiały o tej książce... *Romantyczna i rozrzutna* czy jakoś tak. Seksowny gorset, od którego odchodziła ogromna kopia, prezentował się idealnie.

– Musimy iść! – krzyczała Baśka.

Założyłam czarne lakierowane szpilki i pognałam na dół, gotowa do zamążpójścia. Baśka stała przed drzwiami, trzymając za rękę Zuzkę.

Wyglądała inaczej niż dwadzieścia minut temu. Wyglądała pięknie, wręcz zjawiskowo. Jak na Baškę, oczywiście. Po papilotach, szlafroku i kapciach nie było śladu. Z zapuszczonej matki znów stała się budzącą pożądanie kobietą.

– A gdzie tata? – zapytałam, rozglądając się z niepokojem.

– Spóźni się trochę, jakieś zawirowania na giełdzie, ale zdąży. – Uśmiechnęła się pokrzepiająco.

Limuzyna stała przed domem. Czarną karoserię przystrojono krwistoczerwonymi różami. „Maksymalny minimalizm w czystej postaci” – pomyślałam, patrząc z uśmiechem na „karoce”, którą miałam podjechać przed kościół. Wytworna suknia bez wątpienia nie była skłonna do współpracy podczas wsiadania do samochodu. Ogromne koło nie chciało się zgiąć, aby idealnie wkomponować się w czarne drzwiczki.

– Niech pan włączy radio – poprosiła Baška szofera wynajętego wspólnie z limuzyną przez tatę.

Kierowca na jej znak nacisnął przycisk po swojej prawej stronie, aby z radia mogły wydobyć się ostatnie dźwięki *Zawsze tam, gdzie ty* odśpiewane specyficznym głosem Panasewicza.

– Widzisz, nawet radio ci sprzyja – zaśmiała się Baška.

Gitara ucichła, aby ustąpić miejsca Monice Brodce. Góralka o mocnym głosie tym razem zaczęła delikatnie.

– Mamusiu, ona śpiewa o ślubie, jak u Zochy – zauważyła już po pierwszych wersach Zuzka.

Wsluchane w piosenkę, czekałyśmy na jej rozwinięcie. Nigdy specjalnie nie przepadałam za Brodką, która jako laureatka *Idola* zrobiła karierę, w przeciwieństwie do młodziutkiej Ali Janosz, o której świat już chyba zapomniał.

*Sukienka samotnie w szafie lśni.*

*Nie założy jej już nikt.*

*Nie dowie się, czemu tak stało się.*

*Zamiast „tak” on powiedział „nie”.*

– Mamuś, ale on ją zostawił – prawie z płaczem mówiła ropucha, u której czasami uczucia najwidoczniej brały górę nad diabelskim usposobieniem.

– To tylko piosenka. – Baška ją przytuliła.

– Ale mówiłaś, że nawet radio jej sprzyja. – Wskazała na mnie. – A co jak on ją zostawi?

Baśka spojrzała na małą, potem na mnie i moją sukienkę. Czy ona też myślała, że ktoś mógłby mnie zostawić?

– Kochanie, nie martw się niepotrzebnie – uspokajała dziecko.

– Ale jak on ją rzuci... – Zuza zaczęła delikatnie chlipać. – ...to nie będę mogła zamieszkać w jej pokoju, a w moim zrobić prawdziwej bawialni.

Przetwarzałam informacje, lecz nie chciałam przyjąć do wiadomości, że moja młodsza siostra myślała tylko o sobie. Była tak podobna do mnie, co jeszcze bardziej bolało, kiedy zdawałam sobie sprawę, że na jej miejscu myślałabym podobnie.

– Nie martw się – pocieszałam ją, odruchowo głaszcząc jej kruczoczarne włosy. – Jak mnie zostawi, to możesz wprowadzić się do mojego pokoju.

Małe oczy rozbłyły nieskrywaną radością. Dzieci mają w sobie coś szczególnego, czego nie ma żaden dorosły – szczerłość, którą my tak bardzo boimy się okazywać.

– A ty? – A jednak czasem myślała o innych.

– A ja będę wtedy w więzieniu, bo zabiję gnoja, jak zwieje – mówiłam ze złością w głosie.

– Wyślę ci kosmetyki. – Diablica przytuliła się do mnie, a mnie pękł kamień na sercu.

Dotarliśmy przed kościół, gdzie czekał na nas tłum gości, którzy chcieli uczestniczyć w naszym przedstawieniu. W moim i Sebastiana. Od teraz, jak tylko wysiądę z limuzyny, już nic nie będzie moje czy jego. Teraz wszystko już będzie miało miano naszego.

Sebastian otworzył z uśmiechem drzwi, by pomóc mi się wydostać. Ubrany w czarny garnitur, pod którym widać idealnie zaprasowaną czerwoną koszulę z czarną satynową muszką, wyglądał zniewalająco. Dopełniając swój wizerunek czarnymi, eleganckimi lakierkami z czerwonymi sznurówkami, sprawiał wrażenie zdecydowanie innego niż pół roku wcześniej, kiedy się poznaliśmy na progu jego domu. Na nosie brak okularów, które zastąpiły już dawno soczewki, jednak uśmiech i dołeczki wciąż pozostały. Sebastian zdecydowanie podał mi dłoń, choć wiedziałam, że on też się stresował.

– To co? – zapytał ukradkiem Sebastian, całując mnie w policzek.

Uśmiechnęłam się, nic nie mówiąc. Próbowałam wyszukać w tłumie tatę, lecz go nie dojrzałam. Dostrzegłam machającą z oddali Monikę, przy której stała ponura postać, Jolka. Podeszły do mnie, całując przyjacielsko.

– Karol, daj spokój. – Usłyszałam za plecami. – Toć dam radę, do porodu jeszcze czas.

Berka pouczała biednego Karola, który nie miał już chyba siły walczyć dłużej z ciężowymi hormonami.

– Jesteśmy – radośnie oznajmiła Berka, ocierając pot z czoła. – Gdzie Mari?

– Tutaj! – Przez tłum przedzierała się klasycznie ubrana Mari, ciągnąc za rękę Teodora.

– Czyli wszyscy są? – upewniła się Berka.

Spuściłam wzrok, nie chcąc, by inni widzieli moje szkliste oczy. Najpiękniejszy dzień w moim życiu, a mój ojciec jak zawsze wolał giełdę, która w przeciwieństwie do mnie przynosiła mu zyski, nie same straty.

– Maks już jedzie – zapewniła Baśka, widząc moją minę. – Wejźmy już do kościoła. – Pociągnęła za sobą dziewczyny.

Pozostaliśmy w czwórkę: ja, Sebastian, Berka i Kordian. A może nie w czwórkę, lecz w piątkę, bo przecież Berka pod sercem nosi małą istotkę. Ksiądz wyszedł po nas na zewnątrz i gestem zaprosił do środka. Muzyka grała, goście z uznaniem śledzili każdy nasz ruch, a moje serce biło tak mocno, że nie byłam w stanie go opanować. Miałam wrażenie, że zamiast muzyki moje serce wyznacza rytm naszego spaceru do ołtarza.

Ksiądz zaczął mówić, lecz ja nie mogłam się skupić na jego słowach, co chwilę zerkając na ławkę za nami, gdzie wciąż było puste miejsce dla mojego taty. Słowa księdza odbijały się echem od ścian kościoła, jednak skrzypnięcie drzwi jest w stanie je zagłuszyć. „Tata” – byłam pewna i uśmiechnęłam się promiennie.

– A teraz proszę was, podejdźcie do mnie i złożcie sobie słowa przysięgi – ksiądz gestem zaprosił nas do siebie.

Trzymając się ciągle za ręce, podeszliśmy bliżej ołtarza.

– Teraz powtarzajcie za mną słowa przysięgi – mówił, przysuwając mikrofon w stronę ust Sebastiana.

Serce dygocze, jest niczym bęben, którego nie mogę uspokoić.

– Ja, Sebastian, biorę sobie ciebie, Zofio, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę...

– Kurwa, wody! – rozlega się krzyk Berki za naszymi plecami.

Karol podbiega do niej, podając półlitrową butelkę wody niegazowanej.

– Odeszły! Ja rodzę! – sprecyzowała Berka, sama najwyraźniej nie mogąc uwierzyć w to, co się działo.

Ksiądz patrzył, zdziwiony, nie wiedząc, czy powinien kontynuować.

– Berka, nie teraz, wytrzymaj do końca – poprosiłam.

– Ile? – wysapała, jakby już regulowała oddech do nadchodzącej akcji porodowej.

Skierowałam wzrok na księdza.

– Dziesięć minut – odparł, zdenerwowany.

– Dam radę. – Uśmiechnęła się, prawie leżąc na krześle.

Goście, wyraźnie zdziwieni zaistniałą sytuacją, szeptali między sobą.

– Czy możemy kontynuować? – nieśmiało dopytywał ksiądz.

Skinęliśmy głowami, a on westchnął z ulgą.

– Teraz niech pani mówi za mną...

Przystawił mi mikrofon do ust.

– Ja, Zofia, biorę sobie ciebie, Sebastianie, za męża i ślubuję ci... – Zawiesiłam głos. – Ślubuję ci...

Spojrzałam Sebastianowi w oczy. Czekał, aż dokończę swoją kwestię, ale ja nie mogłam... Nie teraz...

Odwróciłam się i wybiegłam z kościoła. Niespiesznie, nie chcąc się potknąć. Szpilki są zbyt wysokie, by w nich chodzić, a co dopiero biegać. Uciekłam, zostawiając go tam samego. Samego przed ołtarzem...

# Epilog

– Dlaczego to zrobiłaś? – Monika zadała to pytanie pierwsza, choć cała czwórka chciała to zrobić.

Szpitalny korytarz nie był najlepszym miejscem do rozmów: niewygodne plastikowe krzesła, a jasne ściany kojarzyły się z psychiatrykiem, jaki widuje się w horrorach (jedyną różnicą była obecność klamek w oknach)... Porodówka, psychiatryk, jedna cholera. I w jednym, i w drugim miejscu człowiek może ześwirować.

– Więc? – ponagliła mnie Jolka.

Wzruszyłam obojętnie ramionami, mając nadzieję, że dadzą mi spokój. Myliłam się. Zapewne prędzej żaby zaczną latać, niż one przestaną pytać. Wpatrzone we mnie, wyczekiwały mojej odpowiedzi. Wiedziałam, że nie odpuszczą. Nie one.

– Zawsze on kończy za mnie zdanie i chciałam zobaczyć, jak tym razem to zrobi. – Zaśmiałam się słodko.

Zamarły w bezruchu, spoglądając na moją twarz. Czułam ich palące spojrzenia, ale nie potrafiłam dodać nic więcej.

Musiałyśmy wyglądać nieco dziwnie na tym szpitalnym korytarzu: Monika w granatowej sukni na ramiączkach, Baśka w długiej koronkowej, seledynowej kreacji, Jola ubrana w czarno-granatową sukienkę, dopasowaną do sukni Moniki, Marietta w grafitowej garsonce, zupełnie niepasującej do okazji, i ja... panna młoda w barokowej, ogromnej sukni ślubnej w mrocznych odcieniach czerwieni i czerni. Szósta zajęta była krzykiem i stękaniem, które słyszałyśmy zza drzwi jednej ze szpitalnych sal. Ubrana w ogromny worek, leżała i cierpiała, rodząc własnymi siłami swoje pierwsze dziecko. Zapewne Karol trzymał ją za rękę, podtrzymując na duchu, lub sam leżał gdzieś w pobliżu, utraciwszy przytomność, jakby to on rodził.

– I pomyśleć, że mogłam być już po pierwszym tańcu. – Odruchowo spojrzałam na zegar, powieszony na jednej ze ścian.

Monika przytuliła mnie mocno, czując, że zaraz może nadejść kulminacja moich uczuć, eksplozja emocji.

– A jaką mieliście wybraną pierwszą piosenkę? – zaciekawiała się Jolka, zapewne mając w zanadrzu ciętą ripostę.

Z małej kopertówki wyjęłam swojego iPhone'a. Kliknęłam kilka razy, by móc odtworzyć im piosenkę, do której wraz z Sebastianem mieliśmy opracowaną choreografię.

– *Pełnia?* – jako pierwsza skojarzyła Marietta.

– Widzę, że nawet radia czasem słuchasz z tym swoim Teodorkiem. – Zaśmiałam się lekko.

Mari zmierzyła mnie wzrokiem, lecz nic nie powiedziała. Dziś był mój dzień i nic ani nikt nie mógł tego popsuć. Nawet wizyta w szpitalu musiała mieć jakiś znaczący wkład w mój ślub. Nasz ślub. Włóczenie się po szpitalnym korytarzu na pewno sprawi, że nie zapomnę tego dnia do końca życia, a i leżąc w trumnie będę go wspominała. „Może lepiej się spalić, żeby nie pamiętać?” – zastanawiałam się, lecz szybko doszłam do wniosku, że nikt nie udowodnił jeszcze, iż popiół nie myśli i nie czuje.

– Przecież w tej piosence nie ma nic... – Monia zawiesiła na chwilę głos. – ...romantycznego.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Co ona mogła wiedzieć o romantyzmie, jeśli była w związku z największą wredotą, Jolką. Romantyzm to coś, o czym one obydwie wiedzą tyle, co ja o prawie Einsteina, jeśli takowe powstało. Romantyzm to delikatne muśnięcie dłoni, to zapisany na serwetce czuły liścik, to... na pewno coś innego niż łączy Monię i Jolkę.

– Ta piosenka ewenentnie podkreśla klimat naszego wesela – zauważyłam mądrze. – Chcieliśmy, aby wszystko było spajnością.

– Ewentnie? – zdziwiła się Mari.

– Chodzi jej o „ewidentnie” i o „spójność”, jeśli chcesz pytać o to drugie dziwne słowo – wytłumaczyła Monika. – Wiesz, Zośka szybciej mówi, niż myśli. – Ostatnie słowa miały być chyba moją obroną.

– Ona nie myśli, kochanie. – Jolka cmoknęła Monikę w policzek, posyłając mi mordercze spojrzenie.

Gdyby jej wzrok mógł mówić, bez wątpienia byłby to okrzyk zwycięstwa. Aż dziw, że nie miała na imię Wiktoria. Widocznie pani Tereska i pan Mirek mieli w stosunku do niej inne plany, niezwiązane z walką i zwycięstwem.

Kolejne minuty dłużyły się. Czekaliśmy w napięciu na wieści z sali porodowej, które jak na złość nie nadchodziły. Berka męczyła się, pociła, stękała i krzyczała, a dziecko wciąż w niej tkwiło. Już w łonie matki odziedziczyło upartość po rodzicielce. Ale czego się spodziewać? Pewnie tam, w brzuchu, miało lepiej niż tutaj, na zewnątrz, nie miało żadnych problemów, nie musiało martwić się, czy zostanie dla niego kawałek weselnego tortu, ani nawet o to, czy tort weselny w ogóle dojechał na miejsce.

„So love me like you do, lo-lo-love me like you do. Love me like you do,

lo-lo-love me like you do” – śpiewała Ellie Goulding z mojej torebki.

– Słucham? – Przerwałam Ellie w najważniejszym momencie. – Nie wiem... No, jeszcze nie... A co ma robić? Krzyczy, sapie, rodzi... Tak, dam znać... Dziękuję... Ja też pa.

Przyjaciółki spojrzały na mnie pytająco.

– Sebastian chciał wiedzieć, co u nas – powiedziałam cicho, nie chcąc lawiny kolejnych pytań.

Dyskrecja nie była jedną z moich przyjaciółek. Nie wygrała walki z innymi i pozwoliła hienom naskoczyć na biedną myszkę. „Hm... a może hieny nie jedzą myszy?” – pomyślałam, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że nie ma to w tej chwili najmniejszego znaczenia.

– Swoją drogą ciekawe, że on się nie rozmyślił. – Byłam pewna, że Jolka chciała mi dokuczyć.

Postanowiłam ją zignorować. Sebastian kochał mnie taką, jaka jestem, i wybaczyłby mi wszystko, nawet drobną ucieczkę sprzed ołtarza, do jakiej doszło kilka godzin wcześniej. Zakochany i wyrozumiały, wytłumaczył gościom, że zaraz wrócę, i tak też się stało. Znał mnie lepiej niż swoje niedziurawe kieszenie, którymi powinien się cieszyć, bo jak tylko się przedrą, to będzie miał kłopot – szycie mi nic a nic nie wychodziło.

– Skoro się jej już oświadczył, to wiedział, że mogą z nią być cyrki – zaśmiała się Marietta, a my razem z nią.

W sumie trzeba przyznać jej rację. Nasz związek to był taki mały cyrk, w którym my byłyśmy głównymi bohaterkami. Sebastian był mężnym treserem, ja słodką, drobną akrobatką, a otaczające nas osoby pełniły rolę naszych tresowanych zwierzątek. Jolka bez wątpienia była pluącą jadem lamą.

– Jak wy mało wiecie o miłości – stwierdziłam, znów odpływając myślami do naszego cyrkowego namiotu, w którym – miałam nadzieję – zachwyci mnie niejedno przedstawienie mojego tresera i jego dzikiej bestii, którą będą próbowała okiełznać. Albo stanę się tą słabszą, która po nocnych igraszkach, zacznie wdrapywać się na szczyty rozkoszy.

– Coś jeszcze mówił? – dociekała Monika.

– Czekają na nas z pierwszym tańcem i tortem śmietanowym. – Potarłam dłonie z radości na myśl o cukiernicznym cudunku, które próbowałam kilka miesięcy temu.

– Dziwne, jakby pierwszy taniec tańczył bez ciebie... – zauważyła Mari.

– W zasadzie mógłby tańczyć z miotłą, gabaryty i iloraz inteligencji ten



sam – syknęła Jolka.

– Miotła i zapewne ty wiele byście dały za takie cycki jak moje – odburknęłam, gładząc dłońmi swój biust.

– Biust i dupa to jedyne twoje zalety. – Jolka nie dawała za wygraną. – Chociaż w waszym związku wszystko jest możliwe i może on ujrzał w tobie to, czego inni nawet z lupą nie zobaczą.

Moje myśli powędrowały do przeszłości. Nie potrzebowałam wehikułu, aby udać się na ponowne przeszukiwanie kontenerów ze śmieciami w celu znalezienia... sama jeszcze wtedy nie wiedziałam czego. Małe zawiniątko tylko z wierzchu było wstrętą książką, której wewnątrz okazało się bogatsze, niż ktokolwiek by podejrzewał. Wspomnienie ukradkowych oświadczeń było kolejnym, które nawet w trumnie będzie mi towarzyszyło. „Chociaż nudno nie będzie, jak będę tak stare czasy wspominać” – pomyślałam, szybko żałując, że w tak młodym wieku myślę o śmierci i życiu po niej.

– Zośka, Maks wysłał wam przelew na konto już wczoraj, więc pieniądze powinnaś już mieć, lecz proszę cię, abyś uważnie przejrzała kopertę, którą on ci dziś dał – powiedziała Baśka ni stąd, ni zowąd.

– Pusta koperta? Mogłam się tego spodziewać! – rzuciłam jadowicie, choć tak naprawdę nie spodziewałam się tego po moim ojcu.

– Nie pusta, lecz wyjątkowa. – Uśmiechnęła się. – To list dla ciebie od twojej mamy.

– Ale... – nie zdążyłam dokończyć, bo rozdzwonił się telefon Baśki.

Odeszła od nas, lecz słyszałyśmy jej rozmowę:

– Co...?! Ale jak to...? Nie wierzę!

Uczucia Baśki trudno było wyczytać z jej twarzy. Była dziwnie... nijaka, co podsyciło naszą ciekawość.

– Co jest? – Jolka jak zawsze nie wytrzymała próby cierpliwości.

– Kurwa, on ma besta... – wyznała, zszokowana.

– Jaki on? Jaka bestia? – dopytywałam.

– Twój Sebastian... znaczy się jego książka zdobyła status bestsellera i właśnie robią dodruki, bo jest taki popyt.

– A mówiłaś, że się nie sprzeda? – przypomniałam jej.

– Bo tak miało być – przyznała. – Ta *Karykatura życia* będzie moim bestsellerowym koszmarem, bo jak to można czytać?!

Drzwi sali otworzyły się. Błady Karol ledwie wyszedł na korytarz.

– Dziewczynka? Chłopiec? – przekrzykiwałyśmy się.

Karol stał pod ścianą, próbując uregulować oddech. Jak na świeżo

upieczonego ojca, wyglądał jakoś dziwnie... nieświeżo.

– I dziewczynka, i chłopiec – rzekł w końcu, robiąc się jeszcze bledszy. Spojrzałyśmy po sobie, nie wiedząc, jak zareagować na tę wiadomość.

– Obojnak – pierwsza nazwała rzeczy po imieniu Monika, a Mari, słysząc jej słowa, przeżegnała się, jakby była praktykującą katoliczką.

– Wiecie co, miałam o tym na zajęciach... – zaczęłam, przypominając sobie wykład z profesor Stankiewicz. – To się nazywa profesjonalnie hermafrodytyzm i nie jest tak rzadkie, jak myślimy. Oglądaliśmy nawet film o tym wszystkim. Jak on się nazywał? – Pukałam się w skroń. – XYZ, nie to było XXY.

Dziewczyny po raz pierwszy spojrzały na mnie z uznaniem. Pragnęłam zatrzymać tę chwilę jak najdłużej, lecz Karol mi na to nie pozwolił. Słyszając moje słowa, padł jak kłoda, zapewne przytłoczony wydarzeniami dzisiejszego dnia. Nachylone nad nim, biłyśmy go po twarzy. Jeden raz, drugi, trzeci, piąty... aż w końcu straciłyśmy nadzieję. Jedynie rozsądna Monia zachowała zimną krew (zapewne z racji swojego zawodu). Pobiegła w głąb holu, by po chwili wrócić z kubkiem zimnej wody. Nie zastanawiając się, wylała całą zawartość na twarz Karola, który gwałtownie otworzył oczy.

– Bliźniaki, cholera – wycedził przez zęby, po czym znów stracił przytomność.

Szczęśliwie poderwałyśmy się z klęczek. Karol prędzej czy później odzyska przytomność, a my teraz miałyśmy ważniejsze zadania. Należało się cieszyć i świętować. Przecież nie co dzień zostaje się cicią. I to od razu podwójną.

– To co, jedziemy na wesele, opić to?

Wzięłyśmy się za ręce i skierowałyśmy się ku wyjściu. Monia, najbardziej empatyczna z nas, odwróciła się na chwilę, zerkając na leżącego na płytkach Karola.

– A z nim co robimy? – zapytała, bardziej z rozsądku niż troski.

– Ktoś go znajdzie. – Zaśmiałam się. – Może jakieś bliźniaki.

– W sumie idźmy – powiedziała zarumieniona Monika. – Musimy wam coś z Jolką później powiedzieć.

– Nienawidzę tych naszych weselnych rozmów – stwierdziłam, przypominając sobie nocne wyznania podczas wesela Berki i Karola.

To nie mogło się dobrze skończyć! Po prostu nie mogło. Cokolwiek to było, ważne, że zawsze może być gorzej, nawet jak już nie może, to i tak może. Uwierzcie mi ☺.

Warszawa, 16.12.1987 roku

Kochana Zosiu,

Kiedy to czytasz, jesteś już mężatką. Twój świat po części się teraz zmieni, a ja już dziś żałuję, że nie będę mogła podpowiadać Ci w trudnych decyzjach, jakie i mnie spotkały, kiedy wyszłam za mąż. Codzienne pytania: „Co dziś na obiad? Jak się czujesz? Co dziś robimy?” zupełnie inaczej brzmią, kiedy jesteś po ślubie. Pamiętam, jak myślałam, że Maks martwi się o mnie, wciąż dociekając, jak się czuję, lecz po ślubie (nawet dość szybko) zrozumiałam, że to wygodne rozpoczęcie rozmowy. Taka cudowna rutyna, której wpięrnienawidziłam, lecz z czasem pokochałam.

Jeszcze bardziej pokochałam świat i małżeństwo, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Już od pierwszych chwil wiedziałam, że nasza rodzina powiększy się o śliczną dziewczynkę. Prosiłam Maksa, abyśmy nazwali Cię Zofia, bo „Świat Zofii” pięknie prezentuje bohaterkę o tym właśnie imieniu. Cięża nas zaskoczyła, lecz nigdy nie pomyślałam, że gdyby nie ona, to byłoby lepiej. Aż chciało się wstawać z łóżka, czując, że pod sercem rośnie ktoś taki jak Ty. To było dziewięć najwspanialszych miesięcy. Musiałam zrezygnować z planów na Akademii, ale wiedziałam, że kiedy podrośniesz, to do nich wrócę. Wierzyłam, że po twoim urodzeniu dokończę doktorat, wyjadę na misję i będę wykładała na najlepszej pedagogicznej uczelni w Polsce.

Dziś wiem, że moje plany muszę odłożyć na dużo więcej niż „potem”. Dziś wybrałam swoje „nigdy”, bo jesteś dla mnie najważniejsza. Pamiętam ponurą twarz lekarza, kiedy mówił, że jeśli urodzę, to mogę umrzeć, że poród mnie zabije. Pamiętam łzy Twojego taty, kiedy podjęłam decyzję, i moje łzy, które spływają mi po policzkach, kiedy piszę ten list. Jeszcze nie wiem, czy zdążę Cię utulić w ramionach. Nie wiem, czy będzie mi dane pocałować Twoją główkę. Wiem jednak, że jesteś moim najwspanialszym darem od losu, i chcę być w moim imieniu podziękowała za niego.

Jesteś już mężatką i jest to chyba najlepszy czas, by spełnić moją prośbę... Masz teraz u swego boku kogoś, kto będzie Cię wspierał we wszystkim, a mam dla Ciebie spore wyzwanie. Chciałabym, abyś wyjechała z mężem na misję do Konga, bo to właśnie planowałam, zanim dowiedziałam się o ciąży. Tata pomoże Ci wszystko zorganizować, zna kilka osób, które się tym zajmują. Chciałabym, byś poznała życie inne, niż Ty miałaś, a w zamian dostaniesz najpiękniejszy prezent, jakim jest radość innych.

Kiedy wrócisz, będzie na Ciebie czekała nagroda. Na pewno nie pożałujesz, Zosieńko.

*Kocham Cię najmocniej jak mogę i patrzę na Ciebie z góry,*

*Mama*

# Podziękowania

Zawsze w książkach wczytuję się namiętnie w podziękowania, zastanawiając się, komu ja będę dziękować. No właśnie, komu? Lista osób zdecydowanie za długa, a miejsca zdecydowanie za mało (chyba że Wydawnictwo pozwoli mi napisać osobną książkę z podziękowaniami ☺).

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi: gdyby nie on, możliwe, a nawet wręcz pewne, że książka by nie powstała. To on zachęcał mnie do zajęcia miejsca przed komputerem w celu tworzenia moich ukochanych dialogów. Dziękuję Ci za to, że ze mną wytrzymujesz i na dodatek mnie wspierasz, kupując nowy, piękny laptop do pisania.

Podziękowania należą się mojej rodzinie, zaczynając od Zuzi, której dedykuję tę książkę, zaznaczając, że nie jest diabolicą ani ropuchą, gdyby ktoś szukał podobieństwa. Moim rodzicom, którzy zawsze we mnie wierzyli, chcąc motywować mnie ku lepszemu życiu. To dzięki Wam jestem ambitna (choć Wy nazwiecie to pracoholizmem ☺). Dziękuję Darkowi, Agnieszce, Dorocie, Mariuszowi, Dominice, Babci, Dziadzi i tym, których wymieniać bym mogła przez kilka stron – za pozytywne nastawienie do mojej twórczości i częste podpowiedzi w tworzeniu sytuacji. Na podstawie naszych rodzinnych spotkań można by napisać oddzielną książkę, komedię oczywiście.

Dziękuję ludziom Fundacji ☺. Tym, którzy każdego dnia obcują ze mną, wywołując niejednokrotnie uśmiech na mojej twarzy.

Dziękuję Adzie Lewandowskiej (zasługujesz na własny akapit), za rozczulenie mego serca do granic, jakich jako autor nie znałam. Dziękuję i wierzę, że ta książka także będzie towarzyszyła Ci w codziennych podróżach po Toruniu.

Podziękowania należą się bez wątpienia Wydawnictwom Videograf, za chęć pracy ze mną. W szczególności dziękuję Ani, za odnalezienie każdej mojej literówki, uchwycenie moich często dziwnych myśli w piękne zdanie. Nie mogę zapomnieć o Ewie, mojej Miss(trzyni) Promocji, za jej optymizm i cierpliwe odpowiadanie na liczne mejle z mojej strony. Podziękowania ślę także na ręce Damiana Walaska, który wykonuje najtrudniejszą do opisanie przed moimi bliskimi pracę łamania powieści, nadając im kształt prawdziwej książki. Mam nadzieję, że nie macie mnie dość, bo chciałabym spędzić z Wami jeszcze trochę czasu ☺.

Dziękuję osobom, które mogłam poznać dzięki pierwszej książce.

Aleksandrze Sowie, Malwinie Latko (choć znałyśmy się wcześniej, to muszę Cię wymienić, bo dajesz mi siłę napędową do pisania ☺), Krystynie Meszce, Urszuli Janiszyn, Sandrze Jędrowiak i wielu innym, którzy zdobyli me serce swoją osobowością i miłością do książek.

Dziękuję tym, którzy sięgnęli po *Męża potrzebnego na już*, i tym, którzy dopiero po niego sięgną. Liczne wiadomości, jakie dostałam po ukazaniu się pierwszej części, dodały mi otuchy do tworzenia dalszych losów dziewczyn. Każde słowo z ust Czytelników jest na wagę złota, dlatego tak się cieszę, że chcecie ze mną rozmawiać (choć często są to długie rozmowy, jak się rozpiszę).

Nie bez powodu Zosia odbywa „karę” w domu dziecka. To miejsce jest dla mnie wyjątkowe, gdyż dzięki takim Marcelom czy Dżesikom dowiedziałam się, kim chcę być w przyszłości, co wiernie realizuję w wieku dorosłym. Zachęcam Was, abyście poświęcili trochę swojego czasu innym, szczególnie tym, którzy będą za to wdzięczni. A jak wiadomo, dzieci są najbardziej wdzięcznymi, ale i szczerymi istotami. Wolontariat nie boli, dodaje nam jedynie wiary w nasze możliwości.

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prześwietlenie](#)

[Sylwester 2015](#)

[1 stycznia 2016 roku](#)

[5 stycznia 2016 roku](#)

[6 stycznia 2016 roku](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[7 stycznia 2016 roku](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[8 stycznia 2016 roku](#)

[11 stycznia 2016 roku](#)

[21 stycznia 2016 roku](#)

[23 stycznia 2016 roku](#)

[26 stycznia 2016 roku](#)

[2 lutego 2016 roku](#)

[3 lutego 2016 roku](#)

[7 lutego 2016 roku](#)

[8 lutego 2016 roku](#)

[12 lutego 2016 roku](#)

[1×5](#)

[14 lutego 2016 roku](#)

[2×5](#)

[23 lutego 2016 roku](#)

[3×5](#)

[29 lutego 2016 roku](#)

[1 marca 2016 roku](#)

[4×5](#)

[12 marca 2016 roku](#)  
[13 marca 2016 roku](#)  
[5,6×5](#)  
[25 marca 2016 roku](#)  
[7×5](#)  
[27 marca 2016 roku](#)  
[3 kwietnia 2016 roku](#)  
[4 kwietnia 2016 roku](#)  
[8×5](#)  
[11 kwietnia 2016 roku](#)  
[14 kwietnia 2016 roku](#)  
[9×5](#)  
[25 kwietnia 2016 roku](#)  
[26 kwietnia 2016 roku](#)  
[1 maja 2016 roku](#)  
[3 maja 2016 roku](#)  
[10×5](#)  
[18 maja 2016 roku](#)  
[21 maja 2016 roku](#)  
[26–29 maja 2016 roku](#)  
[4 czerwca 2016 roku](#)  
[25 czerwca 2016 roku](#)  
[1 lipca 2016 roku](#)  
[2 lipca 2016 roku](#)  
[Epilog](#)  
[Podziękowania](#)